

**„AN**

**41**  
**42**

**EKS”**

**kwartalnik polityczny**

**Żydzi jako polski problem**

**T. GARTON ASH - W. GOLDKORN - J. T. GROSS  
- J. KARPIŃSKI - I. SHAHAK - A. SMOLAR**

**WOJCIECH KARPIŃSKI**  
**Słowa i widzenie**

**ROZMOWA Z MARTINEM MALIA**

**STANISŁAW GOMUŁKA**  
**Drogi wyjścia z kryzysu rządzenia**

**ZBIORY OSRODKA KARTA**

---

# "ANEKS"

kwartalnik polityczny 41-42/1986

---

## *spis treści*

---

### ŻYDZI JAKO POLSKI PROBLEM

Jakub Karpiński: Asymetria .....	3
Jan Tomasz Gross:	
Ten jest z ojczyzny mojej, ... ale go nie lubię .....	13
Timothy Garton Ash: Życie śmierci .....	36
Israel Shahak: Normalność w nieludzkim świecie .....	52
Włodzimierz Goldkorn: Sens historii i zagłada Żydów ....	67
Jacek Kuroń: Zośka .....	77
Aleksander Smolar: Tabu i niewinność .....	89

---

### DZIEWIĘCDZIESIĄTA ROCZNICA

### URODZIN JÓZEFA CZAPSKIEGO

Wojciech Karpiński: Słowa i widzenie .....	134
--	-----

---

### WYWIAD ANEKSU

Martin Malin: Rosja, Europa, „Solidarność”, rewolucja ...	149
---	-----

---

Alain Besançon: Kwestia rosyjska .....	160
--	-----

---

## POLSKA GOSPODARKA

Stanisław Gomułka: Drogi wyjścia z kryzysu zadłużenia ...	172
---	-----

---

## POLEMIKI

Grzegorz Bakuniak: „Sens ludzkiego doświadczenia”, czyli pamięć ludzka jest figiarna .....	208
---	-----

---

## KSIĄŻKI

Stanisław Barańczak: Od Sołżenicyna do Greene'a .....	217
Wacław Wyrwa: „Historia lat siedemnastu” – książka, której nie ma .....	224

---

O autorach .....	232
------------------	-----

---

### APEL NA RZECZ POLSKICH ROBOTNIKÓW

W 1977 ROKU grupa intelektualistów z wielu krajów\* wystąpiła z Apellem na Rzecz Polskich Robotników. Dary nadesłane z całego świata umożliwiły udzielenie skutecznej pomocy finansowej i prawnej wielu ofiarom prześladowań i ich rodzinom.

OBECNIE fala aresztowań i represji jest o ileż większa – i o ileż większe są potrzeby. Jako powiernicy Funduszu ponawiamy apel do osób indywidualnych i stowarzyszeń o udzielenie pomocy prześladowanym działaczom «Solidarność» – robotnikom, intelektualistom, studentom i ich rodzinom.

WPLATY należy przysyłać na konto:

APPEAL FOR POLISH WORKERS  
Irving Trust Company  
Account No. 037648-400  
36-38 Cornhill, London EC3V, U.K.

**Włodzisław Brus – Leszek Kołakowski – Czesław Miłosz**

\* Daniel Bell (USA), Włodzisław Brus (Wlk. Brytania), Mary McCarthy (USA), Robert Conquest (Wlk. Brytania), Pierre Dais (Francja), Pierre Emmanuel (Francja), Gustaw Herling-Grudziński (Włochy), Leszek Kołakowski (Wlk. Brytania), Edward Lipiński (Polska), Golo Mann (RFN), Czesław Miłosz (USA), Iris Murdoch (Wlk. Brytania), Denis de Rougemont (Szwajcaria), Laurent Schwartz (Francja), Ignazio Silone (Włochy), Piotr Słonimski (Francja), Alfred Tarksi (USA).

# *Żydzi jako polski problem*

Jakub Karpiński

## ASYMETRIA

Pogrom w Kielcach odbył się 4 lipca 1946 roku. Data, wielu Polakom nieznaną, dla wielu Żydów może być najważniejszą w powojennej historii Polski. 4 lipca może komuś kojarzyć się z amerykańskim świętem narodowym. Może ta data kogoś skłonić do refleksji nad kulturą prawną Zachodu, na przykład amerykańską, i polską – taką, jaką mogli widzieć Żydzi 4 lipca i później. Ludzie z tłumu w Kielcach coś myśleli, mieli jakieś odczucia i przekonania, można przypuszczać, że niektórzy zamierzali zbiorowo wyrównać jakieś rachunki. Jedni chcieli błę Żydów, bo to robili inni. Rozpowszechniono historię o zaginionym chłopcu. Tłum szukał winnych, ale mało go zapewne interesowała wina indywidualna. Widziano w Żydach przedstawicieli obcej zbiorowości i atakowano zbiorowość, nie widać było, by tłum troszczył się o różnice między tymi, których atakował. Ofiary zaś zapewne nie wnikały w to, skąd wziął się pogrom, kto brał w nim udział, a kto tego nie robił. Wiedzano, że napadli Polacy. Sprawa obiegła świat.

Po pogromie szukano prowokatorów, indywidualów pobudzających tłum i najaktywniejszych w tłumie. Ale jest to też powód, by myśleć o zbiorowościach, o tym, że aby tłum zgromadził się i zadziałał, musi go coś łączyć, tłum wyodrębnia tych, przeciw którym się zwraca, dostrzega ich obcość i dzieli jakieś mętne

zapewne przekonanie o zbiorowej winie obcych i ich zbiorowej odpowiedzialności.

Nie byłoby zapewne źle, gdyby odniesienia wzajemne Polaków i Żydów mogły przebiegać między jednostkami. Ale w tej sprawie jednostki stale odnoszą się do zespołów ludzkich, do Polaków i Żydów w ogólności, choć nie jest wcale łatwo tak te zbiorowości określić, by w każdym przypadku było wiadomo, kto do nich należy, a kto nie. Słowa poety polskiego, które zna każde dziecko w Polsce, brzmią „Litwo, Ojczyzna moja...” Do Polski należała Białoruś i Ukraina, i Gdańsk, i Śląsk. Polska była ojczyzną rozmaitych ludzi i składała się z wielu ojczyzn. Polacy, poddani króla Polski, mówili różnymi językami, wyznawali różne religie i nie zawsze polskość polegała na odrzucaniu przybyszów, potomków przybyszów lub współziomków mówiących innym językiem, o czym świadczy дума Polaków z Wita Stwosza, z Kopernika lub z Chopina, których polskości w Polsce nie kwestionowano. Później jednak nietrudno było znaleźć takich, którzy kwestionowali polskość Żydów lub ludzi, którym można było przypisać pochodzenie żydowskie.

Pod koniec XIX wieku w Polsce pozbawionej własnego państwa pojawiły się nurty i partie polityczne, dla których polskość była kryterium zbierania zwolenników, a rozumiano przez nią podobieństwo języka, obyczaju i religii, a niekiedy także i pochodzenia. Odkryto, że nie wszyscy mieszkańcy Polski są Polakami i zaczęto organizować Polaków przeciw zaborcom, ale także przeciw innym, którzy Polakami nie są. Mówiono o egolzmie narodowym i jednych mieszkańców przeciwstawiano innym, którym zarzucano winy ekonomiczne (handel żydowski), kulturalne (ciemnotę, ale także liczną obecność Żydów na imprezach kulturalnych) oraz winy polityczne (głosy żydowskie przeciw endeckim w wyborach do Dumy rosyjskiej). Naród chciano wyodrębnić wśród dawnych współobywateli i rzeczywiście takie wyodrębnienie następowało, szukano przewinień zbiorowych (i znajdowano je), oskarżano zbiorowości i domagano się wyrównania krzywd od osób należących do innej zbiorowości. Słyszysz się często: jesteś Polakiem, poczuwasz się do wspólnoty z Polską, brałeś więc w jakiś sposób udział w rozmaitych prześladowaniach Żydów aż do zbrodni klejckiej (i w późniejszych), no-

sisz winy polskie i powinieneś za nie odpokutować (jeśli to możliwe) i co najmniej przeproszać Żydów. A jeśli jesteś Żydem, masz odpowiadać za to, co robią lub robili inni Żydzi, za to, że handlowali, popierali postów socjalistycznych, Rosję i komunizm, uważali, że Polacy to faszyci winni zagłady Żydów i że pogrom w Kielcach był gorszy od Oświęcimia.

Były już artykuły zatytułowane „Polacy a Żydzi”. Na pewno można z sensem mówić o dwu sprawach: „niektórzy Polacy a Żydzi” oraz „niektórzy Żydzi a Polacy”. A może jeszcze lepiej byłoby rozpatrywać zagadnienie „niektórzy Polacy a niektórzy Żydzi”.

Kłopot powstaje wtedy, gdy zaczyna się mówić o kulturach. Można zapytać, czy istnieje jedna kultura żydowska, za którą odpowiedzialni są wszyscy Żydzi, i jedna kultura polska, za którą odpowiedzialni są wszyscy Polacy. Wyobrażenie o jednolitości kultur ułatwia wzajemne oskarżanie. Nie wydaje się jednak, by było słuszne powiedzieć, że rysem niezwykłym kultury polskiej jest antysemityzm, zaś rysem niezwykłym kultury żydowskiej jest przekonanie, że wszyscy Polacy są wrogami Żydów. Kultury polskiej nie stworzyli ani endecy, ani ONR. Te ruchy polityczne pojawiły się stosunkowo niedawno i było im daleko do dominacji. Kultury społeczności bardziej skomplikowanych są tworamii niejednorodnymi i z pewnością wewnątrz kultur współczesnych można wybierać. Polak i Żyd mogą w kulturze polskiej i żydowskiej wybrać rozmaite wierzenia, nastawienia, wzory odczuć i wzory postępowania. Wydaje się, że pochopne są próby jednolitego opisu skomplikowanych kultur jako całości, pochopne są też oskarżenia takich kultur w całości. Nie jest natomiast bezsensowne wyszukiwanie tendencji w jednej i drugiej kulturze. Można mówić o ignorancji po obu stronach, o uprzedzeniach i wierzeniach nieugruntowanych. Ale można i trzeba mówić także o działaniach.

Nie wydaje się, aby odniesienia wzajemne były symetryczne. Różnice można wyliczać dość długo. Żydzi w Polsce – a nie Polacy – byli mniejszością. Przy tym co najmniej część Żydów chciała stać się i stawała się Polakami (oczywiście, stawianie się Polakami znaczyło różne rzeczy w różnych wypadkach). Nie było natomiast takich zmian w kierunku odwrotnym. Jeśli Żydzi

chcieli być i stawali się Polakami, to może dlatego, że kultura polska (lub jakaś jej część) była dostatecznie atrakcyjna. Część polskiej większości utrudniała Żydom polonizację. Pogrom zaś był takim spotkaniem mniejszości z większością, w którym mordowano mniejszość.

Zawsze w Polsce istniały instytucje wspólne dla mieszkańców z różnych grup i stanów lub co najmniej nieobojętne dla różnych obywateli. Taką instytucją było państwo – wraz z ważną częścią państwa – wojskiem. Żydzi mieli powody brać pod uwagę, jak instytucje polskie odnoszą się do działań skierowanych przeciw Żydom. Przez dwadzieścia lat przed drugą wojną światową państwo było wspólne, zaś niektórzy Polacy chcieli je uczynić państwem Polaków etnicznych. Wypowiedź premiera lub zachowaniami się prywatnych osób. Żydzi bacznie śledzili, czy są to raczej wypowiedzi reprezentantów większości etnicznej, czy też wypowiadają się urzędnicy wspólnego państwa.

Kościół katolicki należy także do instytucji, dla których po stronie żydowskiej brak odpowiednika. Niektórzy Polacy uważali Kościół katolicki za instytucję polską, chociaż jest to instytucja ponadnarodowa. Niektórzy Żydzi także jakby z trudem dostrzegali, że Kościół katolicki nie jest tym samym co Kościół polsko-katolicki, zaś stosunki *polско-żydowskie* nie są tym samym co stosunki *katolicko-żydowskie*.

Katolicyzm odłączył się od judaizmu i katolicy na ogół powiedzą, że go wzbogacił, a Żydzi, że był herezją i bluźnierstwem. Z perspektywy żydowskiej (wedle poglądu niektórych Żydów) akcje antysemityczne w Europie były wytworem chrześcijaństwa. Z perspektywy chrześcijańskiej (wedle poglądu niektórych chrześcijan) były to działania pogańskie.

W Polsce katolicyzm był zawsze religią większości mieszkańców, a ponieważ także jest to religia międzynarodowa, która od początku nie odróżniała Greka i Żyda, więc Żydzi mieli powody interesować się wierzeniami i przekonaniami, powtarzanymi przez katolików, choćby to były wierzenia spoza listy dogmatów. Ktoś, kto Żydom jako zbiorowości przypisuje odpowiedzialność za śmierć Chrystusa, wykracza poza Ewangelię i poza zasady moralności chrześcijańskiej. Gdy jednak takie wypowiedzi się



zdarzały. Żydzi mieli powody, by zwracać na nie uwagę. Były też dla nich ważne te wypowiedzi dostojników Kościoła katolickiego w Polsce, które ich dotyczyły. I nawet marginesowe wypowiedzi autorytetów kościelnych miały dla Żydów większe znaczenie niż dla chrześcijan najbardziej uczone wypowiedzi rabinów.

W czasie okupacji niemieckiej każdy Żyd, jeśli chciał przeżyć, musiał się ukrywać. Reszta mieszkańców nie była w tej sytuacji. Władze niemieckie miały wyraźny pogląd na to, kto jest Żydem, a kto nie, i zróżnicowały sytuację prawną i perspektywy życiowe Żydów i nie-Żydów. Polacy (obywatele polscy), jeśli byli Żydami, byli skazani na zagładę już na początku lat czterdziestych, podobnie jak wszyscy inni Żydzi, obywatele krajów, do których sięgnęła armia niemiecka. Los reszty obywateli polskich nie był przesądzony w tym samym stopniu i projekty zagłady bezwzględnej zrealizowano tylko w stosunku do Żydów. Żydzi, których władze niemieckie izolowały, prześladowały i postanowiły zgładzić, żyli w otoczeniu polskim, a nie odwrotnie, i nastawienia Polaków do Żydów miały znaczenie, którego nastawienia Żydów do Polaków nie miały.

W czerwcu 1946 roku tłum polski zamordował w Kielcach 42 osoby, którym udało się uniknąć śmierci z rąk Niemców. Dla innych ocalonych Żydów był to przykład tego, co jest możliwe i na ogół starali się wyjechać z Polski jak najszybciej. Uważali, że przed wojną państwo niedostatecznie ich chroniło, że w czasie wojny Polak, który ich zobaczył, był zagrożeniem, i że (jak świadczył o tym pogrom kielecki) zagrożenie po wojnie nie znikło.

Historia Żydów w Polsce jest równie długa jak historia Polski. W niektórych okresach Polska była centrum kultury żydowskiej. Zaś w XX wieku ziemia polska była miejscem wydarzenia wyjątkowego w dziejach świata: zagłady milionów Żydów dokonanej przez niemiecką maszynę państwową. Wykonawcy tej zbrodni starali się zatrzeć jej ślady. Żydzi jako społeczność narodowa nie mają w Europie ziemi własnej. Są tylko miejsca rozrzuconych popiołów w Polsce. Wydaje się słuszne powiedzieć, że na Polaków ciąży obowiązek pamięci: ktoś powinien w Polsce pamiętać o Żydach. Ten obowiązek nie musi być przez Żydów odwzajemniony: Polacy nie są związani z ziemią Żydów w ten sposób, który związał Żydów z ziemią Polaków.



Żydzi w Polsce na ogół chcieli być Żydami, część myślała o własnym państwie. Ale kiedy ktoś pochodzenia żydowskiego stawał się Polakiem, bo tak chciał, to napotykał ludzi, którzy wypominali mu obcość. Spotykał Polaków, którzy uważali, że obcość przenosi się z pokolenia na polenie niezależnie od tego, co robią potomkowie, natomiast zależnie od tego, kim są przodkowie. Tak się złożyło, że Ameryka nie odrzuca osób o nazwisku Brzeziński lub Kissinger, we Francji nie uważa się, by Poniatowski lub Lustiger nie byli Francuzami. W Polsce zaś nie zawsze jest równie oczywiste, że ktoś może powiedzieć „nazywam się Izaak Goldman, jestem Polakiem” bez narażenia się na sprzeciw lub (co często gorsze) na uśmiech. Polak może nazywać się Ingarden, de Virion lub Tischner. Gdy Goldman chciał być Polakiem, było mu na ogół trudniej.

W XX wieku sporo ludzi w Polsce starało się odróżnić Żydów i Polaków również wtedy, gdy to wcale nie było łatwe i sporo ludzi uważało, że Polska jest przede wszystkim dla Polaków. Ruchy polityczne uczyniły sobie program z ograniczania wpływów mniejszości żydowskiej i było dość agitatorów, którzy ten program głosili. A byli też „radykalni działacze polityczni”, którzy nie głosili programów, lecz posługiwali się pałką. Przeciętnie biorąc, w czasach nowożytnych na pewno Żydów w Polsce odrzucano bardziej niż Litwinów i na pewno odrzucano ich w Polsce bardziej niż w wielu innych krajach. Mimo odrzucania, część Żydów ulegała asymilacji, choć przeważała obcość, po wojnie zaś wyjechali z Polski liczni Żydzi i Polacy pochodzenia żydowskiego. Wtedy można było zawsze znaleźć takich Polaków, którzy wyjeżdżającym pomagali odczuć, że nie wyjeżdżają od siebie.

Żydzi polscy na własnej skórze badali nastroje Polaków, polską świadomość narodową, polskie wyobrażenia o tym, kto jest Polakiem, a kto obcym. Odczucia – takie jak strach lub poniżenie – były metodą badania, kim są lub mogą być Polacy. I niełatwo Żydom tłumaczyć, że strach był błędem. Widocznie odrzucano ich lub atakowano dostatecznie często i robiła to wystarczająca liczba Polaków, by Żydzi czuli, że się ich nie chce. Żydom opuszczającym Polskę trudno więc zarzucać, że mylili się; gdy w zbiorowym doświadczeniu byli socjologami, którzy

zbadali i wyjeżdżając ocenili naród polski – pod tym względem, który interesował ich najbardziej.

Rzecz prosta, Żydzi mylili się, gdyby sądzili, że dla Polaków sprawa żydowska była równie ważna jak dla Żydów lub gdyby swe negatywne doświadczenia odnosili do wszystkich Polaków. I mylili się ci, którzy budowali wielkie schematy historyczne, gdy chcieli wyjaśnić zagładę lub próbowali ocenić komunizm. Byli tacy, dla których zagłada Żydów była kontynuacją ich traktowania w Polsce, czymś podobnym do antysemityzmu przedwojennego lub nawet następstwem chrześcijańskiego stosunku do Żydów. Zwolennicy komunizmu uważali, że komunizm pomoże im przetrwać, że jest potrzebny, aby okiełznać *polских faszystów* i zrobić porządek z *ciemnotą w Polsce*. Byli tacy, którzy mówili lub pisali o prawicowo-nacjonalistycznej Armii Krajowej i szukali osłony w Armii Czerwonej. Komunizm uważano za postępowy, zaś antysemityzm utożsamiano z reakcją i kontrrewolucją. Polak, któremu komunizm się nie podobał, mógł być z tej racji uznany za antysemitę.

Zagładę Żydów niełatwo zrozumieć i nie rozumieli jej ci, którzy ginęli. Nie widzieli powodu, by jej oczekiwać. Nie ma też powodu, by zaprzeczać ich doświadczeniu i konstruować ciąg zdarzeń, w którym Treblinka jest uzasadniana przez przedwojenny antysemityzm. Nie ma tu uzasadnienia, jest to konstrukcja historyczna, którą trudno zaakceptować.

Po stronie polskiej było jednak coś więcej niż konstrukcje intelektualne, były przestępstwa. I wbrew częstym wypowiedziom, nic ich nie wyrównuje „po drugiej stronie”. Zbrodnie UB to nie zbrodnie żydowskie, bo UB, Informacja Wojskowa, prokuratura lub sądownictwo w czasach stalinowskich to nie były instytucje żydowskie, ale komunistyczne i sowieckie. Pracowali w nich ludzie pochodzenia żydowskiego, Polacy i obywatele sowieccy. Funkcjonariusze tych instytucji niewiele mieli wówczas wspólnego z żydostwem, za to wiele z komunizmem i z podporządkowaniem Polski interesom radzieckim. Przeciwdziałać się komunizmowi nie jest łatwo. Kto chce zwalczać komunizm, a zwalcza Żydów, temu się pomieszało w głowie i przestawilo.

Żydzi wyjechali z Polski i świadczą przeciw Polsce, opisują ją jako kraj straszny, groźny i wstrętny. Trudno tu uzyskać zgodę,

bo dla Polaków Polska przedwojenna nie była groźna, podczas okupacji niemieckiej poziom groźby był dla obu stron inny, a pó wojnie Polacy i Żydzi – przeciętnie biorąc – co innego uważali za podstawowe zagrożenie. Istnieli Żydzi obojętni dla komunizmu i Żydzi antykomuniści. Polacy często uważają, że Żydzi komuniści lub byli komuniści piszący o polskim antysemityzmie mogliby też coś napisać o swoim wyborze komunizmu i o tym, co robili jako komuniści, choć oczywiście trudno wymagać, by pisanie prawdy w jednej sprawie było warunkiem niezbędnym prawdziwości tego, co mówi się w innej sprawie.

Polak, jeśli chce zachowywać się uczciwie, nie może zaprzeczać temu, co się zdarzało: istnieniu w Polsce ruchów politycznych, które tak rozumiały polskość, że ograniczanie „żywiotu żydowskiego” należało według nich do najważniejszych spraw dla polskości, istnieniu Polaków, którzy wydawali Żydów Niemcom, istnieniu takich, którzy Żydów mordowali. To bardzo wielu Żydom wystarczyło, aby Polska nie stała się ich rzeczywistą ojczyzną lub by być nią przestała. To, co się w Polsce działo, skłaniało i skłania wielu Żydów do nieprawdziwych uogólnień, stwierdzeń i wyjaśnień, i do pretensji zgłaszanych pod adresem wszystkich Polaków. Trudno jednak dopatrzeć się powodu, dla którego jedni Polacy mieliby odpowiadać za to, co zrobili inni. Można odpowiadać za tych, których się wychowywało, za działania własne lub za ich zaniechanie. Można też odpowiadać za działania organizacji, do której ktoś się przyłączył i w której działa. Trudniej pogodzić się z odpowiedzialnością za obcych, tym bardziej gdy są obcy kulturalnie i żyli wcześniej. Kto domaga się takiej odpowiedzialności, z trudem może to uzasadnić i wtedy popełnia błąd intelektualny. Może się zdarzyć, że ktoś skłamię, tendencyjnie dobierze fakty, sporządzi nieprawdziwą relację. Jednak pogrom kielecki był zdarzeniem z innej sfery. Morderstwo to nie kłamstwo, to nie sprawa idei ani polemika intelektualna.

Ale błąd intelektualny, tendencyjność lub fałszerstwo mogą mieć znaczenie polityczne. W tej sprawie powiedziano już tyle, że zawsze można znaleźć cytaty, książkę lub film rozjątrzające Polaków lub Żydów. Wśród milionów Polaków i Żydów mówiących i piszących – można znaleźć autorów najdziwniejszych

wypowiedzi. Te wypowiedzi bywają utrwalane i istnieje tu rynek spraw kuriozalnych, licytacja dziwności i ich kolekcjonowanie. Istnieje obyczaj zbierania tego, co najgorsze (czasem ze złośliwą satysfakcją), by mogło to świadczyć przeciw drugiemu narodowi. Można znajdować takie wypowiedzi najgorsze, ale warto pamiętać, że ich kolekcjonowanie nie jest tym samym, co badanie opinii publicznej. Opinie są zwykle zróżnicowane i zmienne, a ich badanie polega między innymi na poszukiwaniu miejsca danego poglądu wśród innych i jego ważności, która dla przedmiotu opinii jest zwykle inna niż dla tego, kto ją wypowiada.

W dodatku sprawa „Polacy a Żydzi” odbywa się w otoczeniu zewnętrznym i jak każda sprawa mogąca wzbudzić silne uogólnione emocje, sprawa ta bywa wykorzystywana przez strony trzecie. Uogólnione opinie na temat stosunku Polaków do Żydów wykorzystywano przeciw Polsce; przeciw jej niepodległości i jej granicom w czasie pierwszej wojny światowej i wkrótce po niej, przeciw wojskom polskim na Zachodzie w czasie drugiej wojny światowej lub przeciw opozycji w Polsce komunistycznej. Uogólnione opinie na temat stosunków Żydów do Polaków wykorzystywano przeciw Żydom i przeciw państwu Izrael; robiły to władze komunistyczne, gdy Związek Radziecki wyraźnie zaczął popierać państwa arabskie przeciw Izraelowi. Tu jednak także nie ma symetrii, bo Polskę na podstawie faktów i opinii o stosunku Polaków do Żydów można zwalczać w licznych istotnych dla Polski krajach Zachodu, natomiast Żydów na podstawie ich domniemanego lub rzeczywistego stosunku do Polaków można zwalczać tylko w Polsce, co może być istotne dla Polaków, ale nie dla Żydów, już w Polsce nieobecnych. Ponieważ czytelnicy bywają różni, dodaje, że morderstwo jest morderstwem bez względu na to, czy szkodzi czyjejś opinii.

Ci, którzy rozważają temat „Polacy a Żydzi”, chcą czasem coś wyjaśnić, podają przyczyny i sugerują, zwłaszcza gdy mówią o grupie własnej, że zachowywała się tak, jak musiała: Endecy i ich następcy stawali się nagle marksistami i mówili na przykład, że – jeszcze przed pierwszą wojną światową – o stosunku Polaków do Żydów decydowały interesy. Widocznie jednak nie było to takie jasne, skoro nie każdego Polaka, zwłaszcza przemysłowca i handlowca, można było namówić na program ekonomiczny

polegający na bojkocie sklepów żydowskich, nie mówiąc już o udziale w akcjach ostrzejszych. Po stronie żydowskiej można zaś było spotkać wyjaśnienia czynnego zaangażowania się w komunizm tym, że uzyskiwało się w ten sposób poczucie bezpieczeństwa. I tu jednak okazywało się, że nie wszyscy mieli na takie bezpieczeństwo ochotę. Próby rekonstrukcji motywów są więc – jak zwykle – hipotetyczne, przekonanie o determinizmie trudno uzasadnić, a już w każdym razie wyjaśnień (zwykle wątpliwych) nie należy utożsamiać z usprawiedliwieniem.

I ostatnia uwaga: rzetelny opis nawet najprzykrzejszych wydarzeń jest potrzebny. Zresztą, to nie akademickie opisy są wykorzystywane przez wrogów obu narodów. Tak wykorzystuje się raczej wrażenia, uogólnienia i podejrzenia, pobudzone emocjonalnie legendy i stereotypy, o wiele bardziej nośne społecznie i chwytliwe politycznie niż te prace historyczne i socjologiczne, których autorzy chcą się czegoś dowiedzieć, wiedzą, co piszą, i odpowiadają za słowa w tym sensie, że sprawdzają, czy mają rację, i próbują swoje wypowiedzi uzasadnić.

Jakub Karpifski

NAKŁADEM ANEKSU

**Leszek Kołakowski**  
**CZY DIABEŁ MOŻE BYĆ ZBAWIONY**  
**I 27 INNYCH KAZAŃ**  
 poświęconych kulturze, chrześcijaństwu,  
 socjalizmowi i Polsce

W TOMIE M.IN.: Szukanie barbarzyńcy, Mała etyka, Fabula mundi i nos Kleopatry, Intelktualiści, O tak zwanym kryzysie chrześcijaństwa, Odwet sacrum w kulturze świeckiej, Diabeł, Samozatrucie otwartego społeczeństwa, Wolność i wolności, Marksistowskie korzenie stalinizmu, Ludobójstwo i Ideologia, Tezy o nadziei i beznadziejności, Sprawa polska, O nas samych i inne eseje.

Str. 320

Cena £6.50; US \$14.00

**Jan Tomasz Gross**

**TEN JEST Z OJCZYZNY MOJEJ...,  
ALE GO NIE LUBIĘ**

Pomysłowość i zdecydowanie narodu polskiego usiłującego wyzwolić się z uścisków tak zwanego „realnego socjalizmu” wzbudziły, szczególnie w ciągu minionych dziesięciu lat, podziw w całym świecie. Jednym z głównych wątków, wokół którego skrytalizował się opór społeczeństwa, widocznym wyraźnie przynajmniej od 1956 roku, jest dążenie do utrwalenia tożsamości narodowej poprzez staranny namysł nad historią. Zrozumienie, że totalitaryzm, aby zatriumfować, musi zniszczyć każdą niezależną rzeczywistość społeczną i zapanować nie tylko nad teraźniejszością, ale i nad przeszłością, jest w Polsce rozpowszechnione nie dlatego, że wszyscy czytali Orwella, ale dlatego, że przez prawie dwa stulecia Polacy skutecznie bronili się w nierównej walce przed zaborcami, pielęgnując ideę Polski i historii własnego narodu. Tak więc już raz, po utracie suwerenności państwowej w osiemnastym wieku, społeczeństwo zamknęło się duchowo we własnej przeszłości i dało to wyniki: Polska odzyskała niepodległość. Także i w dwudziestym wieku, poprzez doświadczenia, jakim poddany był naród polski od momentu upadku Drugiej Rzeczypospolitej, zamyślenie nad historią stałe towarzyszyło walce Polaków o wolność. W pismach podziemnych ukazujących się podczas drugiej wojny światowej około połowy objętości przeciętnego numeru zajmowały artykuły o tematyce historycznej. A przecież

autorzy, drukarze i kolporterzy nie ryzykowaliby aresztowania przez Gestapo jak tylko w imię spraw, które uważali za naprawdę ważne. Niezależne wydawnictwa z okresu ostatnich dziesięciu lat również poświęcają mnóstwo uwagi sprawom historycznym.

Otóż pomimo upartych wysiłków zawładnięcia przeszłością i odebrania rządowi monopolu na historię Polski – wysiłków wzmagających się podczas wszystkich okresów samodzielnej aktywności społeczeństwa – nie wrócono nigdy do zagadnienia stosunków polsko-żydowskich podczas ostatniej wojny. Jest to jedyny ważny fragment dwudziestowiecznej historii Polski, o którym nie napisano ani na emigracji, ani w wydawnictwach podziemnych żadnego bodaj tekstu, który nie mógłby zostać opublikowany w obiegu oficjalnym. Cóż może być przyczyną tej niespotykanej zaiste zgodności opinii jeśli nie rozpowszechnione wśród Polaków przekonanie, że sprawy te zostały już dostatecznie (i ostatecznie) – wyjaśnione? Zanalizujmy funkcjonującą w polskim społeczeństwie wiedzę na temat tego, co się właściwie zdarzyło między Polakami i Żydami w czasie drugiej wojny światowej. A ponieważ temat, jak wiadomo, jest drażliwy, w paru słowach spróbuję przedstawić intencje, które mną powoływały, aby się nim zająć.

Podstawowe tezy przedstawione w moim tekście zapisałem sześć lat temu po przeczytaniu polemiki Rafaela Scharfa i Andrzeja Szczypiorskiego opublikowanej przez paryską *Kulturę* w listopadzie 1979 roku. Wysłałem wtenczas artykuł do pisma *Res Publica*, które, o ile mi wiadomo, miało zamiar go wydrukować wraz z komentarzem polemicznym. Jednakże zamówiona przez redakcję odpowiedź nie została napisana aż do momentu, w którym pismo przestało się ukazywać. W 1984 roku wygłosiłem referat na sesji naukowej poświęconej historii Polski. Część mojej wypowiedzi dotyczyła zagadnienia stosunków polsko-żydowskich w czasie wojny i parę zdań, które wypowiedziałem na ten temat, wywołało dość gwałtowną – przeważnie niechętną – reakcję publiczności. Kiedy więc instytut do badania stosunków polsko-żydowskich założony niedawno w Oxfordzie zaprosił mnie na wykład jesienią 1985 roku, napisałem od nowa, choć na kanwie przed paru laty sformułowanych myśli, tekst, który czytelnik właśnie ma w ręku.



Zaczynam tak nieskromnie, podając historię tego artykułu, jakby zawarte w nim były jakieś myśli o doniosłym znaczeniu, aby uniknąć choćby części nieporozumień, które, obawiam się, artykuł ten wywoła. Bowiem kiedy nie poprawiona przeze mnie wersja tłumaczenia oksfordzkiego wykładu dotarła do kilku znajomych w Polsce, skomentowali mój tekst jako aberrację umysłową, że oto pod wpływem filmu „Shoah” odezwała się we mnie krew Machabeuszów. A ponieważ w moim przekonaniu wszystko, co człowiek pisze, adresowane jest, w pierwszym rzędzie, do przyjaciół, zrozumiałem, że tekst mój nie broni się sam i trzeba go podeprzeć deklaracją dobrej woli. Co też i czynię.

Chciałbyr przede wszystkim zapewnić czytelników, że mój artykuł jest reakcją na zew krwi piastowskiej raczej niż krwi Machabeuszów. Bo zagadnienie stosunków polsko-żydowskich, a w szczególności fakt, że Polacy pomagali Żydom w czasie okupacji hitlerowskiej, jest dla mnie sprawą bliską, jako że jestem, by tak rzec, owocem tego zjawiska. Matka moja, z porządnej szlacheckiej rodziny, wyszła w Warszawie 7 grudnia 1939 roku za mąż za Żyda. Jej pierwszego męża zabili Niemcy w lutym albo marcu 1943 roku. W jakiś czas później, przynosząc na melinę ukrywającym się Żydom gazetki konspiracyjne, poznała mego ojca. Choć wygląd miał nieszczęśliwy jak na tamte czasy – Zygmunt Zaremba proponował mu papiery armeńskiego kupca, jeśli by zechciał objąć białostocki okręg konspiracyjny PPS-WRN – wyprowadziła go z Warszawy po powstaniu, wyciągnęła z obozu w Pruszkowie, aż wreszcie zamieszkali w majątku jej ciotki, gdzie było w miarę bezpiecznie, bo miejscowym ludziom po prostu w głowie się nie mieściło, żeby „nasza panienska” mogła przestawać z Żydem. I tak doczekali wyzwolenia. Podaję te intymne szczegóły, bo wiem dyskusja na temat podjęty przeze mnie często, jak wiadomo, obsuwa się w argumentację *ad personam*. Ja zaś piszę ten artykuł w przekonaniu, że dla Polaków zagadnienie stosunków polsko-żydowskich w czasie wojny jest sprawą o znaczeniu doniosłym. I nie jestem zgoła odosobniony wygłaszając taki pogląd. Marek Leski, w doskonałej „Glossie do Żydów Polskich Normana Daviesa” opublikowanej w 10 numerze podziemnego czasopisma *Arka*, pisze co następuje:

„...ważna kwestia, jaka pojawia się w kontekście tradycji antysemitki w Polsce to nasz stosunek do owej tradycji i jej wpływ na czasy współczesne. Jakież może być, wypada zapytać, realne oddziaływanie wydarzeń sprzed dziesięcioleci na to, co dzieje się obecnie? Po co angażować się uczuciowo w spory, które powinny być przedmiotem beznamiętnych analiz historyków? Dlaczego ktoś z nas ma czuć się dotknięty faktem, że istnieli kiedyś Polacy-szmalcownicy, bądź że inni Polacy ustanawiali getto ławkowe? Przecież nie istnieje odpowiedzialność zbiorowa, a zatem nasze poczucie się do winy za czyny niektórych przodków byłoby równie absurdalne jak obciążanie winą kanclerza Kohla za Auschwitz, czy piłkarzy «Dynamo» Kijów za Kołymę.

Dokonanie rachunku sumienia wobec przeszłości wydaje się jednak pożyteczne i uprawnione, i nikt rozsądny jego potrzeby nie kwestionuje. Nie jest bowiem rzeczą obojętną, jaki potencjał tkwi w kulturze narodowej i w jakich praktycznych formach znajdował on ujście. Jeżeli więc obecnie snujemy plany naprawy Rzeczypospolitej zdając sobie sprawę, że plany te nie mogą być zasadniczo sprzeczne z podłożem kulturowym polskiego społeczeństwa, ...to tym samym niezwykle ważną staje się kwestia funkcjonalnych granic narzuconych nam przez specyfikę kulturową społeczeństwa, w którym żyjemy. ...W tym sensie problem stosunków polsko-żydowskich (a w ogólności stosunek Polaków do wszystkich mniejszości w Polsce międzywojennej i wcześniej) staje się problemem czegoś bardziej zasadniczego, a mianowicie możliwości asymilacji przez polskie społeczeństwo mechanizmów pluralistycznych... Antypluralistyczne wątki polskiej kultury są sprawą szczególnie ważną współcześnie, gdy od kilku lat dokonywane są próby społecznej samoorganizacji poza strukturami komunistycznymi. ...Rozrachunek z polskim nacjonalizmem i jego ksenofobiami jawi się zatem jako ważne zadanie wprowadzenia naszego społeczeństwa w szeregi krajów o kulturze obywatelskiej, wolnościowej, pluralistycznej” (str. 105-106).

Napisałem pierwszą wersję tego artykułu sześć lat temu, u progu „Solidarności”, w przekonaniu, że nośność polskiej tra-

dycji wolnościowcy wymaga, aby Polacy rozpatrzyli z uwagą historię swojego stosunku do Żydów w czasie drugiej wojny światowej. A tak najbardziej to pragnąłbym, żeby wszystko, co mam tutaj do powiedzenia, okazało się bezzasadne.

*O tym, jak brzmi obieguwa wersja polsko-żydowskich stosunków w czasie wojny i dlaczego jest nie do przyjęcia.*

Świetny historyk literatury, eseista i działacz społeczny, członek założyciel Komitetu Obrony Robotników, Jan Józef Lipski, wielokrotnie wypowiadał się na temat stosunków polsko-żydowskich. Jeden z jego esejów, pod tytułem „Dwie ojczyzny – dwa patriotyzmy. Uwagi o megalomanii narodowej i ksenofobii Polaków”, uznany został w prasie niezależnej, to znaczy przez autentyczną opinię publiczną, za błyskotliwe studium i wnikliwą zarazem krytykę patriotycznych uproszczeń i stereotypów. U Lipskiego znajdziemy więc opis stosunków polsko-żydowskich poczyniony przez kogoś, kto interesował się problemem od lat, kto duchowo nigdy nie przynależał do Ciemnogrodu i którego znaczny wkład w sprawę zrozumienia stosunku Polaków do innych narodowości jest powszechnie uznany. W najnowszym i najbardziej zwięzłym wystąpieniu na temat nas interesujący – w przemówieniu z okazji 40 rocznicy powstania w getcie warszawskim wygłoszonym w kwietniu 1983 roku – po stwierdzeniu, że pomoc polskiego ruchu oporu dla walczących Żydów była jedynie symboliczna, Lipski powiedział co następuje:

„Sumienie narodu polskiego byłoby chore i obumierające, gdybyśmy nie zadali sobie irnogo pytania: czy – jeśli nie w walce z bronią w rękę, to w dziele pomocy i ratunku – zrobiliśmy tyle, ile było można? Oddając hołd powstańcom Getta oraz pomordowanym jego bezbronnym mieszkańcom, mamy prawo i obowiązek oddać dziś hołd i tym Polakom, którzy stracili życie ratując Żydów. Dużo było w polskim narodzie poległych heroicznie na tym najbardziej ryzykownym, najbardziej godnym czci dla jego bojowników odcinku polskiej wojny. Trzeba było wówczas bohaterstwa ogromnego, by w Polsce walkę na tym właśnie odcinku podjąć. Czy można od każdego z milionów zwykłych ludzi żądać bohaterstwa? Są jednak czasy i sprawy, które doma-

gają się bohaterstwa. My, którzy pamiętamy, spytajmy się, czy nie było jednak zbyt wiele obojętności? Co prawda zmieszanej ze strachem, lecz przecież obojętności. Czy wszyscy zrobiliśmy tyle, ile można było, czy też mniej lub nic – w czasie gdy i ginący ludzie, i nasze własne normy moralne wołały o więcej niż można.

Krzywdzi się jednak nieraz Polaków, wyciągając w świecie zbyt daleko idące uogólnienia ze zjawiska współpracy niektórych Polaków w tropieniu Żydów lub ich szantażowaniu. Przestępcy i amoralny margines istnieją niestety we wszystkich społecznościach, a jego ofiarą padali wówczas w Polsce nie tylko Żydzi, lecz i Generał Grot-Rówecki, i tyśiąc innych żołnierzy konspiracji. Nieodpowiedzialne uogólnienia w tym przedmiocie mamy prawo odrzucić, tak jak winniśmy odrzucić uogólnienia krzywdzące inne narody. Antypolonizm nie jest moralnie niczym lepszym niż antysemityzm czy antyukrainizm”<sup>1</sup>.

W przytoczonym cytacie, składającym się z pytania i następującego po nim dwóch niemal równej długości akapitów, uderza dążenie Lipskiego do zachowania symetrii i równowagi. W pierwszym akapicie swojego wywodu autor zajmuje się, z grubsza biorąc, postawami: mówi, że wśród Polaków było, być może, zbyt wiele obojętności wobec sytuacji, w jakiej znaleźli się Żydzi, ale było też – odnotowuje Lipski – ze strony Polaków pomagającym Żydom wiele bohaterstwa. W drugim akapicie autor mówi, z grubsza biorąc, o zachowaniach: niektórzy Polacy (zdemoralizowany margines) prześladowali Żydów. Wszelako ofiarą prześladowań tej grupy padali również inni Polacy. Co więcej, Lipski zwraca uwagę na to, że Polacy-ofiary denuncjacji byli z reguły ludźmi, by tak rzec, wyższej jakości. Znow więc uzyskujemy wrażenie swoistej równowagi: po jednej stronie olbrzymia liczba zamordowanych Żydów, po drugiej zaś (wprawdzie liczebnie mniejsza) grupa zamordowanych Polaków złożona z ludzi wyjątkowych, bojowników o wojsność, generała i tysiący żołnierzy. Wreszcie w konkluzji wywodu zostajemy przeniesieni w czasy powojenne, aby dowiedzieć się, że Żydzi też nie są bez winy w stosunku do Polaków, albowiem te „nieodpowiedzialne uogólnienia” rozgłaszane są właśnie przez Żydów (w przemó-

wieniu wygłoszonym na Uniwersytecie Warszawskim w 1981 roku Lipski mówi to wprost), zaś – jak wiadomo z ostatniego zdania przytoczonego cytatu – „antypolonizm nie jest moralnie niczym lepszym niż antysemityzm”.

Co się zaś tyczy pytania otwierającego fragment tu cytowany – pytania, na które musimy odpowiedzieć, rozważając sprawę stosunków polsko-żydowskich podczas drugiej wojny światowej – Lipski pozostawia je zawieszony w próżni. Zapytuje: czy Polacy pomagali Żydom tyle, ile było można?, ale nie daje na to pytanie odpowiedzi. Nie formuluje też norm, którym jego zdaniem podlegało wówczas ludzkie zachowanie: są czasy zobowiązujące do heroizmu – twierdzi, ale również powiada, że nie możemy wymagać heroizmu od przeciętnego człowieka. Lipski nie mówi nawet jasno, co się właściwie stało: według niego Polacy byli jednocześnie zbyt pasywni i nadzwyczaj bohaterscy w stosunku do Żydów. Mimo tych ograniczeń trzeba podkreślić, że autor nie przesądza definitywnie o tym, co się wydarzyło. Przeciwnie, waha się, pozostawiając jakby tę sprawę do wyjaśnienia w przyszłości, na przykład kiedy mówi, że „ocena egzaminu zdanego w tej sytuacji przez Polaków podczas drugiej wojny światowej nie może być, niestety, prosta i jednoznaczna”. Lipski stwierdza nawet, że „znaczna część społeczeństwa była obojętna wobec zagłady Żydów”. „Czy naprawdę nie słyszeliśmy nigdy w czasie okupacji zdania: «po wojnie Hitlerowi postawi się pomnik?»” zapytuje<sup>2</sup>. Choć godne podziwu w swojej szczerości, obserwacje te nie służą jednak Lipskiemu za punkt wyjścia do dalszych rozważań. Co to znaczyło „być obojętnym wobec zagłady Żydów” podczas wojny? Jak wielką była ta „znaczna część społeczeństwa”, o której mówi? Jak przejawiał się antysemityzm podczas okupacji? Zestawiając marginesowe społecznie zjawisko szmalcownictwa z równie marginesowym społecznie bohaterstwem tych, którzy pomagali Żydom, Lipski zajmuje się problematyką nieistotną w świetle pytania, które sam postawił, omija bowiem zagadnienie postaw i zachowań całej reszty, czyli znakomitej większości polskiego społeczeństwa.

W wypowiedziach na temat postaw i zachowań Polaków w czasie okupacji przewija się argumentacja, o której dotychczas ledwie wspomniałem, choć należy jej się uważna analiza. Argu-

mentacja tą ma na celu wykazanie, że Polacy uczynili na rzecz Żydów wszystko, czego można było od nich oczekiwać. Wróćmy dla ilustracji raz jeszcze do wypowiedzi Lipskiego:

„Znam ludzi schwytanych przez Niemców z bronią w ręku, którzy jednak przeżyli w obozach koncentracyjnych – nie znam człowieka ukrywającego Żyda, który by przeżył wpadkę, ani o takim nie słyszałem. Co więcej, żołnierz AK wiedział, że jeżeli zostanie aresztowany, czekają go tortury, może aresztują jego żonę, zapewne wkrótce rozstrzelają go, ale mógł liczyć, że małe dzieci ocaleją. Kto ukrywał Żyda – i na to nie mógł liczyć”<sup>2</sup>.

W okresie okupacji niemieckiej w Polsce karano za niesienie pomocy Żydom śmiercią. Całe rodziny zabijano za ukrywanie Żydów w miejscu zamieszkania. Taka jest prawda o tych czasach. Czy się więc należy dziwić, że większość Polaków zastosowała się do rozkazów niemieckich? Odpowiedź na to pytanie byłaby oczywista – nie, nie w tym nie ma dziwnego – gdyby nie fakt, że w inne rodzaje działalności, również zagrożone przez Niemców karą śmierci, Polacy angażowali się masowo. Chodzi mi o to, że jeśli przyjmniemy pewien schemat wyjaśniający zachowania ludzkie, powinniśmy go móc zastosować do wszystkich porównywalnych wyborów w danej sytuacji. Przyjmując tedy, że względ na ryzyko śmierci z rąk okupanta tłumaczy zachowania Polaków podczas drugiej wojny światowej, natrafiamy na poważne trudności.

Nie da się zaprzeczyć, że pomaganie Żydom było zajęciem bardziej niebezpiecznym niż wszystko inne w czasie okupacji, bo w dodatku zagrożonym nieodwołalnie karą śmierci dla całej rodziny. Zastanówmy się jednak (choć snując te rozważania na papierze i z bezpiecznej perspektywy czterdziestu lat, ocieramy się, być może, o granice przyzwolności), jak wedle tego rozumowania przedstawia się wybór między alternatywą przystąpienia do konspiracji lub ewentualnego udzielenia pomocy Żydowi. Lipski, w cytowanym fragmencie, przedstawił dokładne rozliczenie: za konspirację – tortury i śmierć, aresztowanie współmałżonka, którego prawdopodobnie również będą torturować, obóz koncentracyjny albo rozstrzelanie. Dzieci przeżyją, choć osieroczone. Za pomaganie Żydowi zginie cała rodzina, wszelako nie

torturowana. *Per saldo* zatem – przypominam, że rozpatrujemy wyłącznie zasadność argumentów, a nie rzeczywiste sytuacje ludzi, którzy musieli podejmować te przerażające decyzje – różnica zagrożenia wynikającego z udziału w konspiracji i będącego konsekwencją niesienia pomocy Żydom (choć oczywiście istniała) była dość subtelnej natury. Niewątpliwie dająca się odczuć dla osób obarczonych dużą rodziną, zmniejszała się wydatnie już dla małżeństw bezdzietnych, zaś znikła zupełnie dla osób samotnych: ludzi młodych nie mających jeszcze rodzinnych obciążeń a już samodzielnych, dla starych panien i emerytów. A czy było tak w istocie, że ludzie przynależący do tych kategorii angażowali się w konspirację antyhitlerowską z takim samym zapalem, co w niesienie pomocy Żydom? Nie zapominajmy też, że i w walce z konspiracją Niemcy stosowali zasadę odpowiedzialności zbiorowej. W publicznych masowych egzekucjach rozstrzelano w okupowanej Polsce tysiące ludzi. Jestem zupełnie pewien, że znacznie więcej osób poniosło śmierć w związku z aktywnością konspiracyjną niż za pomaganie Żydom. Dlaczego więc działalność konspiracyjna przyciągała tak wielu ludzi, podczas gdy Żydom pomagała jedynie drobna garstka? Zważywszy na niewielką różnicę konsekwencji, jakie pociągało za sobą zaangażowanie w konspirację lub, alternatywnie, w niesienie pomocy Żydom, nie można r ó w n o c z e ś n i e – odwołując się li tylko do faktu hitlerowskich represji – wytłumaczyć zachowania polskiego społeczeństwa w tych dwóch niedozwolonych domenach. Na przeszkodzie stoi bowiem ogromna różnica częstotliwości, z jaką Polacy angażowali się w konspirację i w pomaganie Żydom.

Twierdzenie, że z powodu niemieckich represji Żydom nie można było pomóc bardziej, niż to miało miejsce, ma swą własną dynamikę, która prowadzi do innego, już nie wolnego od wartościowania jak nryślenie w kategoriach kosztów, ujęcia stosunków polsko-żydowskich podczas ostatniej wojny. Pozwolę sobie na zacytowanie tekstu wydrukowanego w paryskiej *Kulturze* w listopadzie 1979 roku. Zastanawiając się, na jakiej podstawie można było oczekiwać, że Polacy podejmą ryzyko pomagania Żydom, Andrzej Szczypiorski pisze co następuje: „Kto dał zbiegowi z getta moralne prawo, by w obronie jednego własnego



życia wystawiał na śmiertelny sztych egzystencję już nie tylko jednego Polaka, ale całej polskiej rodziny?" Szczypiorski zapewnia czytelnika wprawdzie, że „jest to postawienie na głowie całej moralnej problematyki kultury europejskiej”<sup>4</sup>, ale takie ujęcie zagadnienia jest o tyle pouczające, że pokazuje ciekawe rozwinięcie argumentacji opartej na rachunku kosztów. Bowiem dopóki pozostajemy, ściśle biorąc, w horyzoncie myślenia o kosztach, poprawna odpowiedź Żydowi stukającym do naszych drzwi z prośbą o pomoc brzmi: „Idź sobie, boję się, nie chcę narażać życia swojego i rodziny”. Mówiąc tak nie kwestionujemy prawa Żyda do życia. Być może nawet czujemy sympatię do Żyda i do jego wysiłków. A także nie zapominamy kto, naprawdę, winien jest temu, że za pomoc Żydowi możemy zginąć – ten oczywiście, kto Żyda ściga i kto chce go zabić. Natomiast kwestionując prawo Żyda do zastukania w drzwi naszego domu i nując pretensję do niego, że wystawia nas na śmiertelne niebezpieczeństwo, uznajemy, że to on właśnie jest winien zagrożeniu naszego życia, podejmując usiłowania ocalenia własnego. Takie postawienie sprawy możliwe jest tylko wtedy, kiedy się zapomni o istotnym ogniwie łańcucha przyczynowego – o niemieckim prześladowcy. Ale prostota tego ujęcia jest psychologicznie przekonująca: problemem jest Żyd. Jak zwykle zresztą. Teraz jest większym problemem niż kiedyś, ale teraz wszystkie problemy są większe. Szczypiorski powiada wprost, iż wielu ludzi musiało odczuwać zniecierpliwienie w stosunku do Żydów za to, że poszukiwali pomocy.

Można by rzec, że rozważam tu jedynie jakąś wyspekulowaną abstrakcją, niewiele mającą wspólnego z rzeczywistością okupacyjną. Ale jeśli owo rozumowanie w kategoriach kosztów wziąć na serio i uznać za wytłumaczenie tego, co się między Żydami i Polakami wydarzyło w czasie okupacji, to wypada przecież zapytać: czy Polacy kiedykolwiek jasno powiedzieli, że nie pomagali Żydom podczas wojny, bo się bali? Szczypiorski usiłuje nas przekonać, że istotnie strach i poczucie winy leżały u podłoża zachowań polskiego społeczeństwa: „A kiedy Żyd odchodził, wówczas ów Polak przez całą noc miotał się w czterech ścianach swego domu i prowadził dialog z własnym sumieniem, z własnym narodem, z ludzkością i Bogiem, dialog tak zawily i strasz-

ny, że trzeba Dostojewskiego, aby to wyrazić<sup>6</sup>. Obawiam się, że to stwierdzenie Szczypiorskiego nie znajduje potwierdzenia w świadectwach historycznych epoki. Bo gdyby rzeczywiście Polacy, którzy odmówili Żydom pomocy, toczyli ze sobą później „dostojewski” pojedynak, to po skończonej wojnie nastąpiłby okres powszechnej pokuty za zbiorowe niespełnienie chrześcijańskiego obowiązku niesienia pomocy bliźniemu. Jak wiemy, nic podobnego się nie wydarzyło. Sformułowanie – „Polacy nie pomagali Żydom bardziej, bo się bali” – pojawia się z reguły dopiero w odpowiedzi na zarzuty. Polacy nie umieją i nie chcą mówić o tym, co się wydarzyło między nimi a Żydami w czasie drugiej wojny. A skoro już zostaną do tego zmuszeni przez okoliczności, za ich wypowiedzią czai się zazwyczaj albo pytanie Szczypiorskiego (jakim prawem Żydzi oczekiwać mogli więcej niż zostało dla nich uczynione), albo urażona godność, jak w tekście Lipskiego z okazji rocznicy Marca 1968: „za co się mnie (nas) bije po twarzy?” (tymi blącymi są oczywiście Żydzi czyniący zarzuty Polakom z powodu ich zachowania w czasie wojny)<sup>6</sup>. Argument „kosztorysowy”, pojawiając się z reguły dopiero jako odpowiedź i w tonie pełnym urazu, sprawia nieodparte wrażenie, że jest racjonalizacją przyjętej postawy, nie zaś jej wytłumaczeniem.

Stereotypowy opis stosunków polsko-żydowskich z czasów okupacji jest według mnie zakłamanym zarówno w ogólnym zarysie, jak i w odniesieniu do ważnych szczegółów. W ogólnym zarysie dowiadujemy się bowiem z niego rzeczy następującej: otóż w obliczu niespotykanej dotąd zbrodni, w kontekście sytuacji całkowicie niezwykłej (kiedy cały naród zabijany jest przez pewną grupę ludzi, która oddaje się temu zajęciu systematycznie przez dłuższy czas), żyje sobie jeszcze inna grupa ludzi, zachowując się w miarę normalnie – to znaczy ludzie ci boją się kar, których należy się bać; są wśród nich bohaterowie, jak również i hultaje. Aby wytłumaczyć zachowanie Polaków wobec eksterminacji Żydów w czasie drugiej wojny światowej, opisany przeze mnie stereotyp odwołuje się do zdrowego rozsądku: mowa jest jedynie o kosztach rozmaitych zachowań, a także o normalnym rozkładzie moralnych kwalifikacji pośród członków grupy (owa garstka bohaterów i garstka tzw. „szumowin”). Nic z wyk-

łość zaistniałej sytuacji jest całkowicie zapoznana. Przyczyny takiego a nie innego zachowania Polaków w stosunku do Żydów są, wedle tego tłumaczenia, banalne i łatwo zrozumiałe. Tak samo zresztą, jak i samo zachowanie Polaków. „W zestawieniu z przeraźliwym materiałem faktów – powiedział Miłosz o wymordowaniu Żydów – sama myśl o literaturze wydaje się niewłaściwa”<sup>7</sup>. Jak się, wobec tego, ma do „materiału faktów” tłumaczenie kosztorysowe albo uwaga, że ostatecznie w każdym społeczeństwie jest bandycki margines, albo oburzenie, że się dobre imię Polaków szkaluje przez „nieodpowiedzialne uogólnienia”? Żadne z tych wyjaśnień ani nie pozwala zrozumieć, ani nie daje opisu tego, co się stało; żadne nie pozwala zrozumieć, dlaczego Żydzi, którzy przeżyli, mają do Polaków tak nieusuwalny uraz; żadne nie daje pojęcia, dlaczego Polacy reagują tak nerwowo, albo raczej defensywnie, na każdą próbę podjęcia tego tematu. Czemu, zapytajmy się wreszcie, należy przypisać, że Żydzi z reguły drętwiąją z oburzenia na wspomnienie tego, co się między nimi a Polakami wydarzyło w czasie wojny, zaś Polacy z reguły wołają o tym nie mówić? Otóż z powodów, które tu wyłożyłem, zależność przyczynowa postulowana przez myślenie w kategoriach kosztów jest dla mnie nie do przyjęcia. Co więcej, wydaje mi się, że kierunek zależności przyczynowej między zjawiskami, o których w argumencie kosztorysowym mowa, był dokładnie odwrotny. Postawię więc tezę, której dowód znajdzie czytelnik w drugiej części artykułu, że to dlatego, iż Polacy w zasadzie nie byli gotowi pomagać Żydom, Niemcy mogli za pomaganie Żydom skutecznie stosować brutalne represje, nie robiąc żadnych wyjątków i trapiąc Polaków, którzy łamali okupacyjne zarządzenia dotyczące Żydów.

*O tym, że antysemityzm rozpowszechniony w czasie okupacji wśród polskiego społeczeństwa był przyczyną, dla której Niemcy tak brutalnie i bezwyjątkowo mordowali Polaków za pomaganie Żydom, i dlaczego Polakom trudno jest o tym mówić.*

Przejdźmy od razu *ad medias res*: w czasie drugiej wojny światowej, podczas okupacji hitlerowskiej, znakomita większość polskiego społeczeństwa odczuwała brak sympatii do Żydów. Teza

ta, wbrew pozorom raczej ogólnie sformułowana, oparta jest na olbrzymim, do dziś względnie łatwo dostępnym, materiale dowodowym. Otóż w potwornych latach okupacji hitlerowskiej społeczeństwo polskie zachowało jedną podstawową wolność obywatelską – wolność prasy mianowicie. Wydawano prawie dwa tysiące pism. Każde środowisko, każdy kierunek polityczny, miały swoje pisma konspiracyjne i wypowiadały się w nich z całkowitą swobodą. Dlatego też artykuły zamieszczone w prasie konspiracyjnej stanowią doskonały probierz nastrojów i opinii rozpowszechnionych w społeczeństwie. Otóż z lektury publicystyki okresu okupacji okazuje się, że oprócz centralnej prasy akowskiej oraz wychodzących w późniejszym okresie okupacji gazetek komunistycznych cała prasa podziemna jest nastawiona mniej lub bardziej antyżydowsko, choć oczywiście różnice stanowisk od skrajnej prawicy spod znaku Piaseckiego do, dajmy na to, publikacji Stronnictwa Ludowego były olbrzymie.

Rzut oka na prawie wachlarza politycznego wywołuje uczucie zgrozy. Oto, dla przykładu, artykuł wyprodukowany w środowisku Komitetu Prac Społeczno-Politycznych „Pobudka”, opublikowany 30 X 1943 roku w czasopiśmie *Słowa Prawdy*:

„Czem są żydzi i czem byli dla nas, ba nawet czem jeszcze mogą być – każdy powinien wiedzieć. Żydzi obsiedli nas jak zaraza, a Polska była żydowską wylegarnią. Na 14 milionów żydów całego świata, czwarta część ich żyła i tuczyła się na naszej polskiej krzywdzie. Czy poczuwała się z tej racji do jakiejś wdzięczności? Niel W każdej toczącej się wojnie, żydzi trzymali stronę naszych nieprzyjaciół, a w najlepszym wypadku – silniejszego. Naród polski ponosił stratę za stratą, żydzi każdą wojnę, każde powstanie narodowe, wykorzystywali dla bogacenia się i powiększania swych wpływów... Niemcy nie zgładzili wszystkich żydów... wymordowaniu uległo 2,275,000 żydów, pozostało w ghetach, obozach i ukrywa się koło 550,000, wyemigrowało, głównie do Sowieców, około 525,000. Ten milion, przeważnie młodych żydów wyjdzie z kryjówek, ghet, z lasu i wróci z armią sowiecką, gdy ta zbliży się do naszych granic. Żydzi wypłyną w krytycznym momencie, mosąc nam zemstę i usiłując pozbawić owoców zwycięstwa przez swe wpływy na

Zachodzie i swe możliwości na wschodzie. Myśmy jednak w ostatnim ćwierćwieczu zmądrzeli i wiemy, że żyd jest naszym wrogiem... Jeżeli żydzi pozostaną neutralni, gotowi jesteśmy przebaczyć im wiele i poprzeć emigrację na bezludne dziś tereny południowej Rosji, bądź gdziekolwiek indziej. Na konferencji pokojowej powinniśmy żądać uznania żydów za obywateli nawet nieistniejącego państwa, byle polscy żydzi przestali być polskimi obywatelami. Problem żydów w Polsce powinien przestać istnieć”.

Im bliżej centrum, tym spokojniejszy ton publicystyki, a i o problematyki politycznej przesuwamy się niekiedy do zagadnień obyczajowych. Weźmy, na przykład, do ręki pismo *Polska* wydawane przez środowisko sympatyków Sanacji. 17 grudnia 1942 roku czytamy w nim co następuje na temat „Procederu Volksdeutschów”:

„Hitlerowska prasa i wydawnictwa propagandowe nazywają stale Żydów zbrodniarzami ludzkości, stawiają im wiele najstuszniejszych zarzutów, najbezwzględniej potępiają jako demoralizatorów i deprawatorów młodego pokolenia, pornografów i handlarzy żywym towarem, stręczycieli do nierządu... Tymczasem warto zanotować ciekawy objaw. Żydzi zostali w miastach polskich zamknięci za murami lub w bestialski sposób wymordowani. Zdawalioby się, że zniknie z miast naszych, jak zapewniali Niemcy, ta plaga i ohydny proceder, lecz stało się inaczej. Od Żydów ten ohydny i poniżający proceder przejęli skwapliwie w naszych miastach Volksdeutsche. Nie ustępują w tym fachu Żydom. Są tak samo cynicznie brutalni, bezwzględni, zajmują się stręczeniem do nierządu, ściągają bezrobotne dziewczęta polskie do jaskiń przy współudziale policji niemieckiej i urzędników Arbeitsamtu. ...W niczym nie różnią się od Żydów, a tylko ich godnie naśladują. Nie jest do pomyślenia, aby uczciwy Polak przykładał rękę do tych zbrodniczych praktyk. Należy czynić wszystko aby ten ohydny proceder pozostał w ręku wybranych narodów Volksdeutschów i Żydów. To ich przywilej”.

Zaś niewinna broszurka Stronnictwa Pracy na temat „odwiecznej treści dacha Rosji”, pod zachęcającym tytułem: „Nie

żałuj czasu... przeczytaj” takie, dla przykładu, zawiera refleksje historiozoficzne:

.....na arenę wyniszczonej wojną Rosji wkraczają żydzi. Byстрыm okiem ludzi interesu ocenili, że nadeszła wielka okazja. Teren Rosji uznali za najodpowiedniejszy grunt dla krwawej i od wieków oczekiwanej rozprawy z chrześcijaństwem i kulturą Zachodu. Judaizm zaczął kształtować nowe oblicze ducha bolszewickiej Rosji. I chociaż Polska bez reszty odrzuciła ten wrogi system, niebezpieczeństwo trwa, bo źródło zarazy jest blisko”.

Oczywiście trzy artykuły z podziemnych gazetek można traktować tylko jako materiał ilustracyjny i tak jak każdą inną próbkę cytatów łatwo zbyć mówiąc, że daje tylko obraz cząstkowy. Wszelako dowody na rozpowszechnienie antysemityzmu wśród Polaków można wziąć także i z innych źródeł, dobrze poinformowanych i uprawnionych do formułowania uogólnień na temat nastrojów polskiego społeczeństwa. Zachowały się przecież raporty, sprawozdania i meldunki wybitnych działaczy podziemia okupacyjnego, w tym również delegatów Rządu na Kraj i dowódcy Armii Krajowej.

Jan Karski, wysłannik organizacji podziemnych w kraju, przyjechał z pierwszą misją polityczną na Zachód na wiosnę 1940 roku. Rząd generała Sikorskiego znajdował się wtedy w Angers i tam też złożył Karski swój raport. I choć nie miał jeszcze wtedy do przekazania informacji o masowej zagładzie Żydów (w filmie „Shoah” opowiada o przygotowaniach do drugiej podróży kurierskiej, w czasie której poinformował Aliantów o zagładzie Żydów), to jednak już wtedy raport jego zawierał drastyczne informacje na temat sytuacji Żydów w Polsce. Były one miejscami na tyle niewygodne dla rządu generała Sikorskiego, że przygotowując wersję oficjalną, do której Alianci mogli mieć dostęp, raport Karskiego sfalszowano. Uznano bowiem, że Zachód nie powinien wiedzieć o nastrojach antysemitycznych w Polsce, o których informował Karski w swoim meldunku. Wedle jego rozeznania – a pisał swój raport jako emisariusz polityczny podziemia, nie zaś osoba prywatna dzieląca się subiektywną oceną – Niemcom udało się znaleźć wąską platformę porozumienia „z dużą częścią polskiego społeczeństwa” wokół problemu żydowskiego<sup>6</sup>.

Oczywiście musimy pamiętać, że w tym okresie okupanci nie mordowali jeszcze masowo Żydów, a tylko odseparowali ich od reszty społeczeństwa, pozbawili prawa własności i poddali wymyślnym szykanom i ograniczeniom. I właśnie izolacja społeczna i wyzysk ekonomiczny (a raczej wywłaszczenie) spotkały się, jak relacjonuje Karski, z szeroką aprobatą wśród Polaków. Dokładniejszą informację w tej sprawie znajdziemy w szczegółowym raporcie ówczesnego Delegata Rządu wysłanym do Londynu jesienią 1941 roku z Warszawy: „Polityka niemiecka wobec mniejszości żydowskiej wywołuje dwoiste uczucia. Metody nieludzkiego terroru stosowane wobec Żydów są wprawdzie powszechnie potępiane i wywołują dużo litości, ale izolacja społeczna, a zwłaszcza gospodarza elementu żydowskiego znajduje powszechnie uznanie. Łączy się z tym lęk, szczególnie sfer kupieckich, przed ewentualnym powrotem Żydów do dominujących stanowisk w życiu gospodarczym”<sup>9</sup>. Oczywiście Żydzi nie mogli powrócić do dominujących stanowisk w życiu gospodarczym, bo takowych nigdy nie zajmowali. Natomiast handlarz żydowski mógł ewentualnie wrócić do swojego sklepiku, który tymczasem wszedł w posiadanie sąsiada-Polaka. W każdym miasteczku, w każdym sąsiedztwie, uczucia niechęci do Żydów wplecione były w historię osobistych zadrażnień i urazów. Później Żydzi, którzy przeżyli wojnę i powrócili do dawnych miejsc zamieszkania, nierzadko spotykali się z wrogością i niechętnym zdziwieniem okolicznej ludności, a czasami byli po prostu zabijani. No bo ci wracający mieli przed wojną majątki, rzeczy, które teraz mogli chcieć z powrotem wziąć w posiadanie, albo czasem nawet odebrać cudem uratowane dziecko zostawione kiedyś z przygodną polską rodziną.

25 września 1941 roku – a więc w trzy miesiące po wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej i po pierwszej fali zbiorowego mordowania Żydów na wschodnich terenach Rzeczypospolitej przez oddziały specjalne SS – dowódca Armii Krajowej, generał Grot-Rowecki, wysłał do Londynu telegram następującej treści:

„Melduję, że wszystkie oświadczenia i posunięcia Rządu i członków Rady Narodowej dotyczące Żydów w Polsce, wywołują w Kraju jak najgorsze wrazenie i znakomicie ułatwiają propagandę Rządowi nieprzychylną lub wrogą. Tak



było z «Dniem Żydówstwa» i przemówieniem Szwarcbarda, nominacją Libermana i życzeniami na żydowski nowy rok. Proszę przyjąć jako fakt zupełnie realny, że przygniatająca większość kraju jest nastrojona antysemitcko. Nawet socjaliści nie są tu wyjątkiem. Różnice dotyczą tylko taktyki postępowania. Zalecających naśladowanie metod niemieckich prawie nie ma. Nawet tajne organizacje pozostające pod wpływem przedwojennych aktywistów Klubów Demokratycznych lub Polskiej Partii Socjalistycznej, akceptują postulat emigracji jako rozwiązanie problemu żydowskiego. Jest to dla wszystkich równie oczywiste, jak, na przykład, konieczność usunięcia z kraju Niemców... Antysemityzm jest obecnie postawą szeroko rozpowszechnioną<sup>10</sup>.

I postawa ta zgoła nie ulegnie zmianie z biegiem czasu, czyli w miarę postępującej masowej zagłady Żydów. W lipcu 1944 r. w przededniu Powstania Warszawskiego, kiedy przeważająca większość polskich Żydów została już zabita, kolejny emisariusz polityczny, Cełt, w raporcie po powrocie z nijsji do kraju napisał co następuje:

„Delegat Rządu prosił mnie, abym oświadczył, że według niego Rząd przesadza w miłości dla Żydów. Delegat rozumie, że to są dla naszej polityki zagranicznej posunięcia konieczne, ale uważa, że trzeba w nich zachować umiar. Zarówno za rządów gen. Sikorskiego, jak i teraz, Rząd idzie w swym filosemityzmie za daleko, zwłaszcza, że w kraju Żydzi są nielubiani<sup>11</sup>».

Delegaci Rządu (czyli zwierzchnicy cywilnej sieci konspiracyjnej w kraju) oraz dowódca Armii Krajowej, którzy otrzymywali zbiorcze dane na temat sytuacji ludności polskiej i jej nastrojów, dają świadectwa, wydaje mi się, niepodważalne.

Skoro więc już wiemy o postawie ludności polskiej w stosunku do Żydów od świadków nieuprzedzonych i lepiej niż ktokolwiek inny poinformowanych, zapytajmy z kolei, co się właściwie wydarzyło między Polakami a Żydami i dlaczego? Weźmy do ręki jakąkolwiek książkę na ten temat, choćby z *happy endem*. Najlepiej opowieści Żydów, którzy przeżyli okupację dzięki ofiarnej pomocy Polaków. Wiadomo z literatury przedmiotu, że Niemców i w ogóle urzędników administracji hitlerowskiej, było

w Polsce w czasie okupacji stosunkowo niewielu. Wiemy też, że szmalcownictwo było tylko zjawiskiem marginesowym. Skąd więc to wszechobecne zagrożenie dla ukrywającego się Żyda? Otóż lektura na przykład książki Bartoszewskiego i Lewinówny (*Ten jest z Ojczyzny mojej...*) nie pozwala mieć wątpliwości, jaka jest odpowiedź na to pytanie. A mianowicie, to generalnie odczuwana wrogość w stosunku do Żydów była przyczyną, dla której ukrycie się Żyda poza terenem getta (jedyne sposoby ratunku przed śmiercią z ręki hitlerowców) było tak strasznie trudne. Co zrobić, na przykład, z takim wspomnieniem 10-letniego żydowskiego chłopca (rzecz się dzieje na łące):

„Gdy tylko stanąłem nad brzegiem strumyka przyszli chłopcy, jakoś poznali we mnie Żyda i ażeby się o tym dokładnie przekonać, dopadło mnie trzech łobuzów, ścignęli ze mnie spodnie i zaczęli krzyczeć na głos «Żyd, Żyd, Żyd». Potem mnie chwycili, wykręcili ręce do tyłu i zaczęli się naradzać, czy mnie utopić, czy wydać w ręce policji niemieckiej”<sup>12</sup>.

Gorliwi pastuszkowie dostali wprawdzie później w skórę od rodziców za te nsitowania (wiemy o tym z dalszego ciągu relacji), ale mimo wszystko ciarli przechodzą na myśl, że to nie żaden margines społeczny występuje w tym epizodzie, ale po prostu dzieci. Bo trzeba pamiętać zawsze, że Polacy nie pochwalali zabijania Żydów. Zaakceptowali tylko, jak nam już o tym powiedział Delegat Rządu, izolację Żydów, czyli odseparowanie ich do gett. We wstępie do tomu wspomnień dzieci żydowskich wydanego w Krakowie w 1947 roku Maria Hochberg-Mariańska ze smutkiem odnotowała, że niektóre nazwiska Polaków pomagających Żydom w czasie wojny zostały na ich własną prośbę usunięte z publikowanych relacji. Osoby te bowiem obawiały się wroglej reakcji sąsiadów, gdyby się stało wiadome, że podczas wojny ukrywali Żydów. Jest niestety tragiczną prawdą okupacji, że wszechobecne niebezpieczeństwo dla ukrywających się Żydów stanowili sąsiedzi Polacy. Literatura wspomnieniowa z tamtych czasów oraz pamięć tych, którzy przeżyli, nie pozostawiają w tym względzie żadnych wątpliwości – że ukrywającym się Żydom kazano siedzieć w przysłowiowej szafie, że na ulicę nie mogli wychodzić ani nawet podchodzić do okna, to nie

tylko dlatego, że obawiano się przypadkowego spotkania z przechodzącym Niemcem (tych było niewiele), ale dlatego, że dozorca, sąsiadka, dziecko grające w piłkę na podwórku albo byle przechodzień mogli złożyć donos na policji.

Pouczające może być prześledzenie różnicy między zaangażowaniem w konspirację i w pomaganie Żydom. Działacze podziemia też przecież byli narażeni na denuncjacje. Konspiracja też przecież musiała działać w ukryciu. Jednakże oddamy chyba ducha epoki stwierdzając, że oprócz agentów gestapo i kolaborantów zdecydowana większość społeczeństwa sprzyjała konspiracji, jeżeli wręcz nie była w nią zaangażowana. Dokładnie odwrotne twierdzenie stosuje się do sytuacji pomagania Żydom – oprócz ludzi, którzy tę działalność rzeczywiście prowadzili, zdecydowana większość społeczeństwa była jej nieprzychylna, jeżeli wręcz nie nastawiona wrogo. I tak na przykład w folklorze okupacyjnym znajdziemy mnóstwo historyjek i dowcipów na temat amatorszczyzny w konspiracji, opowieści o tym, jak młodzieńcy w oficerkach albo dziewczyny z wypchanymi torbami mylą piętra, pukają do niewłaściwych drzwi, mamrocząc jakieś absurdalne hasła po to tylko, aby najprzód rozbawiony, a potem już raczej zniecierpliwiony sąsiad odprowadził ich pod właściwy adres, na melinę, o której istnienia nie powinien był przecież w ogóle wiedzieć. Ale wiedział, i nie on jeden, i krył. Nie przypominam sobie z lektur ani jednej historyjki skonstruowanej wedle tego samego wzoru na temat ukrywania Żydów.

W przypadkowych rozmowach z obcym albo z dalekimi znajomymi, w pociągu na przykład, ludzie jakże często dawali sobie nawzajem do zrozumienia, że są zaangażowani „w robotę”; albo cynkowanie przy pomocy ubioru, że się jest w konspiracji – moda na oficerki na przykład. Ciągłe jeszcze nie wpadł mi w rękę ani pamiętnik, ani utwór literacki z opisem przypadkowego spotkania, w którym rozmówcy chwają się, dając sobie nawzajem do zrozumienia, że ukrywają Żydów. Nie tylko byłoby to niebezpieczne – jak wiemy Polacy z odwagą i fantazją stawiali czoła niebezpieczeństwom podczas wojny – ale przede wszystkim ryzykowałby człowiek, że przypadkowy rozmówca uzna to za wątpliwą powódź do dumy. Praca podziemna i pomaganie Żydom różniły się zasadniczo nie mniej lub bardziej ostrymi sank-

cjami karnymi wymierzanymi przez hitlerowców osobom uznanym za winne uprawiania jednej lub drugiej z tych form działalności. Najważniejsza różnica między nimi polegała na tym, że praca w konspiracji otoczona była powszechnym szacunkiem i że zajmowało się nią mnóstwo ludzi, zaś w pomaganiu Żydom zaangażowane było niewiele osób pozbawionych, w tej swojej działalności, szerokiego poparcia.

Z opisu sytuacji, który tu przedstawiłem, bierze się moja teza o odwróceniu zależności przyczynowej postulowanej przez obiegowy model stosunków polsko-żydowskich podczas okupacji: że pomoc Żydom wymagała wyjątkowego bohaterstwa (innymi słowy, że za pomaganie Żydom tak skutecznie i brutalnie karano), stąd się brało po części, że zakaz pomagania Żydom – w odróżnieniu od wszystkich innych zakazów, za których łamanie groziła śmierć – był przestrzegany, i że łamało go stosunkowo niewiele osób. Gdyby Polacy pomagali Żydom z takim samym rozmachem jak konspirowali, to i ryzyko pomagania Żydom radykalnie by się zmniejszyło. Po pierwsze, nie denuncjowano by się nawzajem, gdyby co piąta czy co dziesiąta rodzina miała „swojego Żyda”, tak jak miała swoje powiązania konspiracyjne. Po drugie, wiadomo, że żadna policja nie jest w stanie dopilnować nagminnie łamanych przepisów. Gdyby jeden Polak na pięciu czy na dziesięciu – nie zaś jeden na stu czy na dwustu – pomagał jakiemuś Żydowi, gestapo byłoby bezradne. Brutalne represje najłatwiej dają się zastosować przeciwko niewielkiej grupie ludzi, która jest izolowana we własnym społeczeństwie.

Wiedza posiadana przez nas na temat pomocy Żydom podczas drugiej wojny światowej daje się ująć schematycznie w trzy punkty: wiadome jest o kontekście sytuacyjnym stworzonym przez Niemców, że za pomaganie Żydom groziła śmierć i odpowiedzialność zbiorowa całej polskiej rodziny; wiadome jest o postawach Polaków, że były one na ogół antyżydowskie; wiadome jest wreszcie o zachowaniu Polaków, że stosunkowo niewielka grupa ludzi spośród polskiego społeczeństwa pomagała Żydom. Otóż w modelu obiegowym na temat polsko-żydowskich stosunków w czasie wojny z kontekstu

sytuacyjnego wnioskuje się o zachowaniu Polaków, ignorując całkowicie zagadnienie postaw. Interpretacja zaproponowana przeze mnie wiąże w jednym schemacie wszystkie trzy ustalenia – postawy, zachowania oraz kontekst sytuacyjny.

Choć pamięć drugiej wojny światowej żywa jest wśród polskiego społeczeństwa i bardzo szczegółowa, o stosunkach polsko-żydowskich z tego okresu wspomina się rzadko i niechętnie. Dzieje się tak, moim zdaniem, również i dlatego, że to, co się wydarzyło, w ogóle nie pasuje do drogiego Polakom schematu interpretacji własnych dziejów. Wątki interpretacyjne, które mam na myśli, to po pierwsze przekonanie, że wolność jest niepodzielna. „Za waszą wolność i naszą”, każdy uczeń szkolny zna to romantyczne hasło polskich patriotów walczących o wolność innych narodów, i o Polskę zarazem, na polach bitewnych rozsianych po całym świecie. „Ibi patria ubi male”, pisał Adam Mickiewicz w *Księgach narodu polskiego i pielgrzymstwa polskiego*, „gdzie tylko w Europie jest ucisk Wolności i walka o nie, tam jest walka o Ojczyznę”<sup>13</sup>. Ta wizja, ta wrażliwość, opiera się na założeniu o wspólnocie, o braterstwie, ofiar. Jak to pogodzić z postawą, którą Polacy przyjęli w stosunku do Żydów w czasie wojny, kiedy to nie w jakimś kraju odległym, ale w najbliższym sąsiedztwie nie rozpoznali braci w ofierze?

Drugi wątek interpretacyjny, który zostaje podważony przez wydarzenia, o których tu była mowa, to zasada doskonale dla Polaków zrozumiała, że w relacjach antagonistycznych między silniejszym a słabszym, między mniejszym a większym, między dysponentem władzy państwowej a jej podmiotem, niejako z definicji rację ma mniejszy, słabszy i podporządkowany; że racji silniejszego zawsze trzeba dowieść i to bardzo skrupulatnie. Jest to zasada stosowana do interpretacji historii Polski w dziedzinie stosunków międzynarodowych, jak również w myśleniu o stosunkach między państwem a społeczeństwem. Niespodziewanie, w okresie dwudziestolecia międzywojennego (tzn. kiedy Polacy stali się stroną silniejszą, większą i organizującą porządek publiczny we własnym państwie) okazało się, że ta zasada nie obowiązuje. Mniejszości narodowe cierpiały rozmaite formy dyskryminacji w niepodległej Polsce. Okazuje się więc, że wolność,

kiedy ją Polacy odzyskali i zaczęli uprawiać była istotnie różna od tej, której dochodzili przez dwa stulecia. Stało się tak być może dlatego, że walką narodowowyzwoleńcza (bo z nią właśnie spleciony jest romantyczny mesjanizm) dotyczy uobywatelnienia większości, lub może nawet całości (tzn. narodu), i nie ma na uwadze części, czyli na przykład praw mniejszości. Brak rozróżnienia między tymi racjami powoduje, że patriotyzm i ksenofobia doskonale idą w parze. Historia stosunków polsko-żydowskich w czasie drugiej wojny światowej, a szerzej – stosunek Polaków do mniejszości narodowych w ogóle, każe przemyśleć podstawy całej polskiej tradycji wolnościowej.

W marcu 1983 roku ukazał się podwójny numer *Znaku* w całości poświęcony tematyce żydowskiej. Tom otwiera dobrze znane zdjęcie grupy powstańców z getta prowadzonych na egzekucję. Na dole strony data i podpis: „19 IV 1943 wybuchło powstanie w getcie warszawskim”. W połowie strony dedykacja: „pamięci tych, którzy wybrali godną śmierć”. Dopiero po chwili zastanowienia zdaje sobie człowiek sprawę z bezmyślności tego hołdu oddanego przecież w najlepszej wierze. No bo dlaczego odmawiać godności śmierci trzem milionom polskich Żydów, których zagazowano? Oswoił się najwyraźniej z ideą ofiary, która jednak czyni owocującą, z figurą zmartwychwstania, z myślą, że ostatecznie można oddać życie, byle „dla sprawy”. Wpasowujemy się w ten sposób w stojącą wizję historii, wedle której ofiara zawsze w końcu wychodzi na swoje. Kompletna pustka Holocaustu, strata, z której nie się nie daje uratować, nie daje się również wpasować w historiografię ofiary, która nie idzie na marne.

Jan Tomasz Gross

#### PRZYPISY

- 1 Jan Józef Lipski, „Dwie Ojczyzny i imnoszki”, *tytuł*, 1985, str. 113-114.
- 2 *Ibid.*, str. 34, 37.
- 3 *Ibid.*, str. 36.
- 4 *Kultura*, nr 11/1979, str. 124, 125.
- 6 *Ibid.*, str. 124.

- 6 Lipski, ibid., str. 105, 106.  
 7 Czesław Miłosz, *Świadectwo poezji*, Instytut Literacki 1983, str. 67.  
 8 Cytat według książki Dawida Engla, *In the Shadow of Auschwitz: the Polish Government in Exile and the Jews*, rozdział 3, str. 52 (w maszyniepisie).  
 9 Źródła archiwalne, na których opiera się cytat, podane są w mojej monografii *Polish Society Under German Occupation: The General-gouvernement, 1939-1944*, Princeton University Press, 1979, str. 184-186.  
 10 Patrz przypis nr 9.  
 11 Patrz przypis nr 9.  
 12 Władysław Bartoszewski i Zofia Lewinówna, *Ten jest z ojczyzny mojej...*, Kraków 1969, str. 758-759.  
 13 Adam Mickiewicz, *Księgi narodu polskiego i pielgrzymstwa polskiego*, Instytut Literacki, Rzym 1946, str. 89.

## NAKLADEM ANEKSU

Irena Grudzińska-Gross i Jan T. Gross (red.)  
 W CZTERDZIESTYM  
 NAS MATKO NA SYBIR ZESŁALI...

Poprzedzony analitycznym wstępem J. T. Grossa wybór relacji  
 dzieci i dorosłych o okupacji sowieckiej i zsyłce w latach  
 1939-1942, napisanych w Teheranie po wyjściu  
 Armii Andersa z ZSRR.

Str. 508

Cena: £9,50; US\$19,00

Władysław Bartoszewski

DNI WALCZĄCEJ STOLICY  
 KRONIKA POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

Str. 382

CENA: £ 7,00; US\$14,00



Timothy Garton Ash

## ŻYCIE ŚMIERCI

*Drukujemy poniżej drugą część eseju, który ukazał się w New York Review of Books 19 grudnia 1985 roku. Pierwsza część poświęcona jest filmowi „Heimat” w reżyserii Edgara Reitza. Film ten, trwający piętnaście i pół godzin, ukazuje ponad sześćdziesiąt lat historii Niemiec poprzez losy mieszkańców jednej wsi. Pominięta część zaczyna się od słów: „«Heimat» jest filmem o pamięci. Pamięć płata figle. «Heimat» też”...*

„Shoah” jest filmem o pamięci. Pamięć płata figle. „Shoah” też. Ale nie takie jak „Heimat”. Reitz pozwala Niemcom zapomnieć. Claude Lanzmann zmusza wszystkich, by pamiętali. Jeden z francuskich krytyków napisał, że „Shoah” to pomnik przeciw niepamięci – w porównaniu z tym dziełem „Heimat” jawi się jako pomnik zapomnienia. Reitz świadomie przyjął postawę amoralną („staramy się unikać ocen”). Lanzmann jest żarliwie moralny. „Jestem głęboko przekonany – wyjaśnił w wywiadzie dla *L'Express* – że sztuka i moralność to jedno”. Figle „Shoah” są figlami sztuki, nie sztuki w służbie moralności.

Niepowtarzalnym sukcesem artystycznym Lanzmanna jest rekonstrukcja życia w obozach śmierci. Życia śmierci. Rekonstrukcja z niczego – a raczej z czegoś jeszcze ulotniejszego niż nic, z niemości, z *le néant*, jak to określa sam Lanzmann. Nie po-

zostały nawet popioły. *Tworzenie od nowa*, nie tylko odtworzenie. „Shoah” nie jest filmem dokumentalnym. Brak znanych ujęć czarnobiałych: historyczny tłum skandujący „Sieg Heil” i cięcie montażowe ukazujące zwały trupów w Bergen Belsen. Nie ma Hitlera, nie ma trupów. Zamiast tego dziewięć i pół godziny wywiadów z tymi spośród żydowskich ofiar, które przeżyły, z niemieckimi katami, z polskimi świadkami (wiedzami? obserwatorami? – każde określenie jest już oceną). Wywiady są długie, żmudne, zdumiewające, przeplatają się nawzajem, a ilustrują je długie, powolne njęcia obozów śmierci, tak jak wyglądają one dzisiaj, wraz z torami kolejowymi, które do nich prowadzą, z krajobrazem dokoła, jeszcze raz z torami kolejowymi, miastami, w których mieszkają dzisiaj ci, którzy przetrwali, i raz jeszcze z torami kolejowymi. Niemcy, Żydzi, Polacy: Lanzmann wymaga, wyciąga, prosi, a jeśli trzeba, zmusza do przypomnienia sobie najdrobniejszych fizycznych szczegółów przeżyć związanych z obozami śmierci. „Musisz” – woła, gdy jeden z Żydów, którzy przetrwali, załamuje się. – „Proszę, musimy mówić dalej”. „Czy może pan dokładnie opisać ten tunel? – pyta oficera SS z Treblinki. – Jak wyglądał? Ile mierzył wszerek? Jak się w nim czuli ci ludzie?” I pod koniec filmu Lanzmann poczułem, że zaczynam rozumieć, co z definicji wydawało się niemożliwe, że wiem, jak się czuli ludzie, którzy znaleźli się w tunelu wiodącym do komory gazowej w Treblince.

Żaden inny film na ten temat, jaki dotąd obejrzałem, nie zrobił na mnie tak trwałego wrażenia jak „Shoah”: obrazy i głosy powracały nieproszone w środku nocy, albo wówczas, gdy bawiłem się z synkiem w ogrodzie. Niektóre świadectwa pisemne, pewne teksty literackie działały podobnie: myślę o *Ostatnim sprawiedliwym* André Schwartza-Barta i o opowiadaniach Tadeusza Borowskiego. Ale fakt, że „Shoah” jest filmem, a nie książką, znacznie zwiększa wrażenie. „Nie mogłem się od tego oderwać” – brzmi trywialna formułka recenzentów. Ale od „Shoah” dosłownie „nie można się oderwać”. Nie można przerwać lektury po stronie 43, przeczytawszy o matce wyrzekającej się syna przed komorą gazową, wyjść do ogrodu i ochłonąć. Chyba że wyjdziemy z kina i ominie nas następne kilkadziesiąt stron. Jeśli nie, to trzeba wysiedzieć do końca. Tracimy równo-

wagę. Męczy nas pragnienie. Czujemy się wyczerpani. Złościmy się wręcz, gdy kamera zabiera nas ponownie, chyba po raz setny, powoli, jakże powoli, wzdłuż torów kolejowych, do rampy. Ale to śmiertelne powtarzanie, to wyczerpanie jest istotnym składnikiem tworzenia Lanzmanna. Rozmyślnie korzysta z dyktatorskich uprawnień reżysera zamykając nas w bydlęcym wagonie i posyłając w dziewięciogodzinną podróż do Oświęcimia.

Lanzmann jest niezwykle samoświadomym twórcą. W czasie dyskusji zorganizowanej przez nowy Instytut Badań Polsko-Zydowskich w Oxfordzie, po pierwszym pokazie filmu w Anglii, analizował, wyjaśniał i chwalił własne osiągnięcie z tak obsesyjnym zainteresowaniem sobą jako artystą, że nasuwa się porównanie z Wagnerem lub Joyceem. („To potwór” – powiedział jeden z moich znajomych – „złoty potwór”). Lanzmann mówił o swoim filmie jako o symfonii, wielkim dziele architektury, sztuce Szekspira. Zapytany o to, dlaczego nie poprosił o wywiad tego czy owego spośród słynnych ofiar, które przeżyły, odpowiadał, iż okazywali się „słabi” jako postacie, że nie byli w stanie przeżyć na nowo swoich doświadczeń przed kamerą, że nie pasowali do jego sztuki. W tym filmie, mówił, każdy staje się aktorem, „współtworzy fikcję rzeczywistości”. Spytany o kryteria wyboru, odpowiadał, że film zbudowany został wokół jego własnych obsesji, inaczej nie dałoby się go nakręcić.

„Film może być czymś innym niż dokumentem” – mówił. „Może być dziełem sztuki – a mimo to zachować precyzję zapisu”. Dokładność to druga niezwykła cecha filmu. Za dziewięcioma z górą godzinami projekcji kryje się około trzysta pięćdziesiąt godzin materiału i jedenaste lat poszukiwań w archiwach całego świata. W Oxfordzie, wobec najwybitniejszych ekspertów od spraw polskich i żydowskich, odpowiadał na wszystkie szczegółowe pytania, dotyczące drobnych faktów, jak sądzę, kompetentnie, z przekonaniem i z poczuciem uzasadnionym, że uczynił coś, czego nie dokonał żaden z wypytyjących go historyków. Dlaczego zabrakło świadków z *Einsatzgruppen* – specjalnych plutonów hitlerowskich do masowych egzekucji? Nieliczni jedynie spośród nich pozostali przy życiu, odparł. Próbowal przeprowadzić z nimi wywiady. Było to bardzo trudne. W jednym przypadku ukryta w torbie kamera (ta sama, z jakiej ko-

rzystał, prowadząc wywiady z innymi hitlerowcami) została zde-maskowana. „Poszedłem na miesiąc do szpitala. Zostałem dotkliwie pobity. Skradziono mi cały materiał”.

W miarę jak mówił, stawało się jasne, że nie chodziło mu tylko o prawdę artystyczną („moje obsesje”), ale i o prawdę historyczną. Przedstawia swoją interpretację długofalowych przyczyn Holocaustu, istoty procesu eksterminacji, wypowiadając się jak historyk wśród historyków. Argumenty Lanzmanna pokrywają się w znacznej mierze z poglądami profesora Raula Hilberga \*, który pojawia się w „Shoah” jako główny świadek-specjalista. „Mamy do czynienia z logicznym ciągiem rozwojowym – powiada Hilberg – gdyż od zarania chrześcijanie mówili w gruncie rzeczy do Żydów: «nie możecie żyć pośród nas jako Żydzi». Władcy świeccy w późnym średniowieczu zdecydowali: «nie możecie żyć pośród nas», zaś hitlerowcy wreszcie ogłosili: «nie możecie żyć»”. Nie było jednak wyraźnego rozkazu, który nakazywał, że od tej chwili będzie się zabijało Żydów. *Ostateczne Rozwiązanie* to „szereg drobnych kroczków logicznie ze sobą powiązanych”, u kresu których „biurokracji stają się wynalazcami biurokratycznego procesu niszczenia”, który Hilberg skrupulatnie zrekonstruował jak nikt dotąd. Można kwestionować zasadność tej interpretacji, jak to w sposób przekonywujący czynił profesor Israel Gutman w czasie dyskusji w Oxfordzie, ale niewątpliwie w tej centralnej sprawie „Shoah” stawia tezy wyraźne i precyzyjne.

Spotkawszy się z zarzutami co do interpretacji wypowiedzi Polaków, Lanzmann powiedział: „Wydaje mi się, że ukazałem prawdziwą Polskę... głęboką Polskę”, a przede wszystkim, że nie pominął „niczego istotnego na temat Polaków”. Wypowiadając się w ten sposób, wystąpił raz jeszcze jak historyk, którego dzieło winno być przedmiotem sporu historyków. Jest bowiem rzeczą jasną, iż kryteria uczciwości, reprezentatywności, zupełności, zapewnienie, iż nic, co istotne, nie zostało pominięte, wszystko to jest ważne dla osądu pracy historyka, tylko marginesowo zaś

\* Raul Hilberg, *The Destruction of the European Jews*, Holmes and Meier, 1985 (pierwsze wydanie 1961).

dla oceny dzieła sztuki. Trudno uznać za ważny czy znaczący zarzut, że powieściopisarz, dramaturg lub malarz „pomiął coś istotnego” (dlaczego na przykład Leonardo pomiął stopy Mo-ny Lizy?). Natomiast stwierdzenie, że historyk „pomiął coś istotnego”, jest zawsze ważne. Od historyka oczekujemy przy- najmniej wyjaśnienia kryteriów, na mocy których coś pomiął.

Lanzmann przykłada więc do swego dzieła dwa kryteria, by nie powiedzieć – podwójne kryterium. Jeśli teraz postaram się poka-zać, że w polskiej części „Shoah” pominięto coś istotnego, wiem, że narażam się równocześnie na dwa zarzuty. Można bowiem, po pierwsze, twierdzić, że pełnia artystyczna filmu jest dużo ważniej- sza niż pełnia historyczna lub jej brak. Po drugie – że część polska jest, historycznie rzecz ujmując, mniej istotna w filmie, którego tematem jest proces eksterminacji. Zgoda. Pełnia artystyczna jest ważniejsza. Unikalną i niepodważalną zasługą „Shoah” jest prze- konywające ukazanie tego, czego żaden inny film dokumentalny nie dokonał, jest doprowadzenie do tego, że wyobrażamy sobie to, co niewyobrażalne, odtwarzamy życie śmierci.

Posługując się dokładnym przeciwieństwem brechtowskiego „efektu obcości”, Lanzmannowi udaje się wyeliminować dystans między przeszłością a dnem dzisiejszym. Czyni to, „by pomóc ludzkemu sumieniu, by nigdy nie zapominało, nigdy nie przy- wykło do perwersji rasizmu i jego potwornych zdolności niszcze- nia”. Taki sens moralny dzieła Lanzmanna jest bardziej jeszcze uderzający, gdy uświadomimy sobie, kto jest autorem tych słów. Cytuję papieża Jana Pawła II, który w ten sposób określił „Shoah” na audiencji udzielonej veteranom francuskiego i bel- gijskiego ruchu oporu. Nie wiem, czy sam Lanzmann zgodziłby się, że o to właśnie mu chodziło, lub czy o to przede wszystkim. Nie wątpię jednak, że to między innymi osiągnął. Jego dzieło sztuki ma wielką wymowę moralną.

Po drugie, zgadzam się, iż część polska jest historycznie dru- gorzędna. Polacy nie byli ani katami, ani głównymi ofiarami obozów zagłady – a to jest temat Lanzmanna. Byli (tylko?) maszynistami i dróżnikami, chłopami uprawiającymi pola wokół obozów, lokalną ludnością, którą przechowywała, była obojętna lub denuncjowała Żydów. Jeden z izraelskich uczestników dys- kussji w Oxfordzie porównał prywatnie polską krytykę sposobu

przedstawienia Polaków w „Shoah” do krytyki żydowskiej dotyczącej obrazu Żydów w filmie „Ziemia obiecana” Wajdy. W obu przypadkach krytycy nie dostrzegają rzeczy najistotniejszej w przekazie reżysera, wobec której obraz Żydów czy Polaków jest raczej nieistotny, stanowi bardziej tło niż temat główny.

Ale Lanzmanna niezwykle fascynuje polskie tło: poświęca mu w filmie znacznie więcej miejsca, niżby to wynikało z czysto historycznej dbałości o szczegóły. (Jest też rzeczą uderzającą, że w amerykańskim wydaniu książkowym scenariusza Lanzmanna wydawca uznał za stosowne zaopatrzyć obwolutę w zdjęcie polskiego maszynisty prowadzącego parowóz do Trebłinki.) Ponadto sam Lanzmann żąda, by sposób, w jaki przedstawia on polskie tło, oceniać wedle tych samych historycznych kryteriów co główny temat filmu. Historia stosunków polsko-żydowskich nie jest chyba dzisiaj tak istotna dla narodu żydowskiego (*chyba nie jest*), ale jestem przekonany, że ma nadal znaczenie dla narodu polskiego: jest Polakom potrzebna po to, by sami mogli siebie dobrze zrozumieć. Dlatego też sądzę, że warto poświęcić temu – nie najważniejszemu w samym filmie tematowi – resztę rozważań.



Współczesne polskie reakcje na sprawy polsko-żydowskie trudno jest uporządkować. Nie ma tu jasnych linii podziału między władzą, opozycją a Kościołem. Gdy „Shoah” zaczęto wyświetlać w Paryżu, rząd PRL zrazu wystosował oficjalny protest do Quai d'Orsay. Potem jednak zakupił film i pokazał (częściowo) w telewizji oraz (w pełnej wersji) w paru kinach. W prasie oficjalnej pojawiły się głupie i nieprzyjemne artykuły, głównie spod piór propagandowych dziennikarzy, którzy nigdy filmu nie widzieli. Potem jednak opublikowano także inteligentne oceny krytyków, którzy film zobaczyli (np. Artura Sandauera „Shoah a sprawa polska” w *Polityce* z 3 sierpnia 1985). Ponadto te dwa typy wystąpień można było znaleźć także w prasie katolickiej i podziemnej.

Dyskusja jest beznadziejnie utrudniona ze względu na to, że antysemityzm pozostał problemem i przedmiotem politycznej manipulacji w powojennej Polsce. Tak się rzecz miała w okresie

„antysyjonistycznego” pogromu w 1968 roku pod wodzą frakcji w partii i służbie bezpieczeństwa, co doprowadziło do wyrzucenia z pracy większości pozostałych jeszcze w Polsce Żydów, ale i w burzliwym okresie 1980-1982, gdy pewne głosy antysemitki rozlegały się a to w partii, a to w Kościele, a to w „Solidarności”, aczkolwiek wówczas były już rzeczywiście całkiem marginalne. Toteż każdy uświadomiony politycznie Polak wypowiadający się na ten temat zapytuje sam siebie: jak zostanie wykorzystane to, co napiszę? Jak zdeformuje to, co powiem *Zołnierz Wolności*? Komu to będzie służyć? Ja sam słyszę podobny głos, ponieważ mój ostatni esej na temat Polski napisany dla *New York Review of Books* doczekał się czarującej polemiki w *Zołnierzu Wolności* podpisanej przez pułkownika (!) W. Zielińskiego. Ale to jest głos autocenzury.

Takie obawy są zawsze i wszędzie zgubne dla swobodnej dyskusji. W Polsce są one wzmocnione przez inny jeszcze kompleks. Każdy Polak wychowany jest w przekonaniu, że jego naród jest jedną z ofiar historii: na ogół niewinną i czystą ofiarą agresywnego nacjonalizmu potężniejszych sąsiadów. Potem staje on twarzą w twarz z gorzkim i ogólnym oskarżeniem swego narodu przez amerykańskiego, brytyjskiego, francuskiego czy też polskiego Żyda – oskarżeniem (któż takiego nie słyszał?), które stawia Polaków na tawie oskarżonych gdzieś między Barbie a Mengele. Wychowany w przekonaniu, że jest ofiarą, nagle słyszy, że był katem.

Wiemy, na czym polega nacjonalizm zwycięzcy. Ale istnieje także nacjonalizm ofiary. Nacjonalizm ofiary to jedna z wielu rzeczy, które łączą (a przynajmniej łączyły) Polaków i Żydów. Cechą charakterystyczną nacjonalizmu ofiary jest niechęć uznania cierpień innych oraz niezdolność zrozumienia, że i ofiara może być gnębicielem. W słynnych „Uwagach o nacjonalizmie” Orwell pisze: „Jeśli gdzieś w zakamarkach umysłu tkwi jeszcze u kogoś nacjonalistyczna lojalność albo nienawiść, to pewne fakty, choć wiadomo, że są prawdziwe, pozostają nie do przyjęcia”. Cytuje on przykłady „niedopuszczalnych faktów” dla rozmaitych „nacjonalistów”, dla brytyjskiego konserwatysty, komunisty, pacyfisty, itd. Poniżej zacytuję jeden fakt, który jest niedopuszczalny dla polskiego i jeden dla żydowskiego nacjonalisty.



używając określenie „nacjonalista” w specyficznym orwellowskim, szerokim i ujemnym sensie:

*Dla polskiego nacjonalisty:* w okresie drugiej wojny światowej istniał w Polsce jadowity i rozpowszechniony antysemityzm.

*Dla żydowskiego nacjonalisty:* Warunki życia pod okupacją niemiecką były dla Polaków gorsze niż dla wszystkich pozostałych narodów wyjąwszy Żydów.

Dla każdego w miarę obiektywnego obserwatora, który zna się nieco na omawianym okresie, oba stwierdzenia są oczywiste. „Proszę przyjąć jako fakt zupełnie realny – pisał dowódca AK do rządu polskiego w Londynie we wrześniu 1941 roku – że przyniatająca większość kraju jest nastrojona antysemicko... I teraz antysemityzm jest nadal rozpowszechniony. Nawet tajne organizacje pozostające pod wpływem przedwojennych aktywistów Klubów Demokratycznych lub Polskiej Partii Socjalistycznej akceptują postulat emigracji jako rozwiązanie problemu żydowskiego. Jest to dla wszystkich równie oczywiste jak, na przykład, konieczność usunięcia z kraju Niemców” (cytuje za znakomitą pracą Jana Grossa *Polish Society Under German Occupation*, Princeton University Press, 1979).

Zarazem jednak, jak ukazują dobitnie Gross, niemiecki historyk Martin Broszat i wielu innych, okupacja niemiecka w Polsce miała charakter szczególnie skrajny. Churchill nie popadł w przesadę, gdy stwierdził: „W poniedziałek Hitler strzela do Holendrów, we wtorek – do Norwegów, w środę pod ścianą stawia Francuzów lub Belgów, w czwartek – cierpieć muszą Czesi. Ale zawsze, codziennie strzela do Polaków”. Dlatego też, jak trzeźwo zauważa Nechama Tec w swej wspaniałej pracy \* poświęconej chrześcijanom pomagającym polskim Żydom – „przeszkody i trudności w udzielaniu pomocy Żydom były największe w Polsce”. Przedstawienie tych dwóch „niedopuszczalnych faktów” nie zakłada żadnej symetrii ani moralnej równoważności. Chciałbym tylko podkreślić, że dopóki nie jesteśmy w stanie uznać takich podstawowych faktów – a wygląda na to, że więk-

\* *When Light Pierced the Darkness: Righteous Christians and the Polish Jews*, Oxford University Press, 1986.

szość ludzi, którzy wypowiedzieli się ustnie lub pisemnie na ten temat na przestrzeni ostatnich czterdziestu lat, nie była w stanie uznać jednego lub drugiego – nie możemy próbować poważnie odpowiadać na prawdziwe pytania takie jak: czy istnieje jakiś związek między antysemityzmem Polaków w okresie okupacji a faktem, że obozy zagłady umieszczono w Polsce?

Sam Lanzmann nie jest pewien odpowiedzi na to pytanie, co widać z jego wywiadów i wypowiedzi w czasie dyskusji w Oxfordzie. „Czy zdaje pan sobie sprawę z tego, że film jest aktem oskarżenia przeciwko Polsce?” – spytano go w redakcji *L'Express* (wywiad ukazał się w maju 1985 r.). „Tak – odparł – ale sami Polacy się oskarżają. Oswoili się z rutyną eksterminacji. Nikomu nie przeszkadzała”. Ale w czasie dyskusji w Oxfordzie powiedział: „Nie jest to oskarżenie... przeciwko Polakom, gdyż nie sądzę, by mogli cokolwiek zdziałać”. A w chwili później, wypowiadając się o polskiej wiosce Grabów, która odgrywa ważną rolę w filmie, wykrzyknął: „Taka mała wioska po prostu pozwoliła, żeby zabrano połowę ludności... wiedząc doskonale, że mają ich zagazować, bo wszyscy wiedzieli”. „Pozwoliła, żeby zabrano” Żydów – znaczy: mogła coś przeciwko temu uczynić. Lanzmann powiedział też, że całą jego rodzinę uratowali chłopci francuscy i oświadczył kategorycznie, że „we Francji nigdy by nie można zbudować obozów zagłady”.

Nie wierzymy jednak artyście, wierzymy jego opowieści. Co nam właściwie pokazuje ten film? Przede wszystkim pokazuje nam długie fragmenty niezwykłych rozmów Lanzmanna w polskich wioskach i zagrodach opodal obozów śmierci. W rozmowach tych polscy chłopcy opisują, co widzieli z procesu zagłady, jak wówczas reagowali i co o tym teraz myślą. Chłop opowiada z uśmiechem, jak to jako młody chłopak szedł wzdłuż wagonów i przeciągał palcem po szyi, by pokazać Żydom, że się ich wiezie na śmierć. Zagraniczni Żydzi przyjeżdżali wagonami osobowymi, powiada, byli pięknie ubrani, w białych koszulach... grali w karty. Zagraniczni Żydzi, o tak, byli tacy otyli, powtarzają jego koledcy, a my im pokazywaliśmy na mięki, że ich mają zabić. Uśmiechają się do kamery. Ale tenże chłop mówi: „Kiedy ludzie zaczęli rozumieć, co się dzieje, byli przerażeni i między sobą mówili, że od chwili stworzenia świata nikt jeszcze nie wy-

mordował tylu ludzi w taki sposób". Polacy bali się także o siebie. A o Żydów to nie? – pyta Lanzmann. No cóż, odpowiada chłop, jak ja się skaleczę w palec, to pana nie boli, co?

Potem spotykamy wieśniaków z Grabowa, mieszkających w domach ongiś należących do Żydów.

Opisują, jak Żydzi byli zapędzeni do kościoła – polskiego kościoła katolickiego – i wysłani następnie do Chełmna, dwadzieścia kilometrów dalej. „Niemcy wrzucali takie małe dzieci za różki na ciężarówkę. Starych też”. „Czy Polacy wiedzieli, że Żydów w Chełmnie zagazują? – pyta Lanzmann – Czy pan wiedział?” „Tak”.

Potem grupa starszych kobiet. „Żydówki były piękne – mówią – Polacy lubili się z nimi kochać. Do szalu ich doprowadzały Żydóweczki”. Dlaczego były takie piękne? „Bo nie pracowały. Polki pracowały. Żydówki myślały tylko o własnej urodzie i o strojach”. „Kapitał był w rękach żydowskich”. „Cała Polska należała do Żydów”. I grupa mężczyzn. Czy są zadowoleni, że już nie ma Żydów? „Nie przeszkadza nam to. Jak pan wie, przed wojną cały polski przemysł należał do Niemców i Żydów”.

Potem najbardziej niesamowita scena. Grupa chłopów przed kościołem w Chełmnie. Odgłosy modłów i pieśni. Co świętujemy? „Narodziny Najświętszej Marii Panny. Jej urodziny”. I na tle dawnych pieśni maryjnych chłopci opisują zapędzanie Żydów do tego właśnie kościoła, ich jęki i krzyki w nocy, przyjazd ciężarówek, które były zarazem komorami gazowymi, zabijanie. Dlaczego to Żydów spotkało? „Bo byli najbogatsi! Wielu Polaków także zabito. Nawet księży”.

Potem występuje mężczyzna, podkreślający swoją ważność. Uważa się za lepszego od innych, a reszta jakby się z tym zgadzała. „Pan Kantarowski nam opowie, co mu powiedział jego znajomy. Zdarzyło się to w Myndjewece (sic) pod Warszawą”. „Słuchamy”, mówi Lanzmann.

Żydów zgromadzono na rynku. Rabin zapytał SS-mana: „Czy mogę do nich przemówić?” SS-man się zgodził. Więc rabin powiedział, że około dwóch tysięcy lat temu Żydzi skazali niewinnego Chrystusa na śmierć. A gdy to uczynili, krzyknęli: „Krew jego na nas i na dzieci nasze”. Potem rabin powiedział: „Może

właśnie nadzwiedził czas, więc nie sprzeciwiamy się. Idźmy, róbmy to, co sam kazał”.

A kiedy Lauzmann wyraża wątpliwości co do tej fantastycznej powieści staruszkę, krzepczy on: „Tak samo Filat umył ręce i powiedział, że Chrystus jest niewinny... Ale Żydzi wołali: «krew jego na nas». To wszystko teraz już pan wie!”.

Reakcja jednego z najbardziej szanowanych polskich intelektualistów katolickich na to wszystko była symptomatyczna i nieco szokująca (ponieważ uszpe mi teraz do ucha: oto fragment, który *Zobniez Wolności* rzeczywiście wywarł z kontekstu). Jerzy Turowicz, redaktor naczelny czelownego tygodnika katolickiego — *Tygodnik Powszechny* — wstał gdzieś na początku dyskusji w Oksfordzie i powiedział mniej więcej tyle: film jest jednostronny. Chłopi są próżni, prymitywni, takich pełno w każdym kraju. Wspaniałym pomagają Żydom. Wład Waszem jest 1500 polskich drzewek. Poisid katolicyzm ma niewiele wspólnego z polskim nacjonalizmem, a polski antysemityzm i tak nie miał nic wspólnego z zbrodnią Żydów w czasie drugiej wojny światowej.

Mimo całego zniechęcenia do Turowicza muszę stwierdzić, że to nie wysłuchany naprawdę nie wywarzy. Taka reakcja to czysty „nacjonalizm” w sensie Orwellowskim. Przedstawienie polskich chłopów katolików i ich katolickiego antysemityzmu przez Lauzmanna to wywołanie i wyzwanie pod adresem polskich intelektualistów katolickich. Brzmi on następująco: na miłość boską, też mamy to problem, żywy, krowy, koszarowy problem. Dlaczego trzeba było czekać sześć lat i mojej prowokacji, byście się nim w ogóle zajęli? A Turowicz odpowiada po prostu: nie widzę żadnego problemu”.

\* Trzeba uznać, że choć, ze wielu młodzieńców intelektualistów katolickich już się tym problemem zajęło. Podać na przykład specjalnie wydanie numeru kwietniowego z 1933 roku miesięcznika katolickiego *Więź*, oraz podobny numer *Znaku*, luty-marzec 1933. Sam *Tygodnik Powszechny* został określony przez rządnika prasowego rządu, Józefa Uruski, który jest Żydem, jako „balwochwalczo filosemicki”. W numerze z 20 listopada 1933 roku *Tygodnik Powszechny*, który dotarł do mnie w Ameryce, były między innymi też do druku, zamieścić artykuł Turowicza poświęcony ogólnie w Oksfordzie — „Słońce w czasach Polaków”. Turowicz powtarza swoje argumenty z Oksfordu, ale przynajmniej także, że w *międzywojennej*

Czy sposób przedstawienia tego problemu w filmie Lanzmanna jest niesłuszny? Tak i nie. Nie, o tyle o ile wszystko, co pokazuje, jest niewątpliwie prawdą. Ci ludzie istnieją. Tak mówią. Oczywiście, pytania są agresywne, nawet pełne złości. „Wzbogacili się” – mówi o jednym z małżeństw w Grabowie, które wprowadziło się do żydowskiego domu, to znaczy do drewnianej chaty w biednej wiosce rolniczej w jednym z najbardziej zacofanych zakątków Europy. Bogacz Lanzmanna z pewnością szokuje i zdumiewa, iż rozmawia z prawdziwym, żywym chrześcijańskim antysemitą, który sprawia wrażenie, iż zszedł z kart podręcznika o antysemityzmie (który powinien istnieć po polsku). Nie ukrywa jednak i nie spłaszcza człowieczeństwa tych ludzi, ich złożoności, cudacznej mieszanki przesądów i przyziemnego, zdrowego rozsądku w chłopskiej umysłowości. Żydzi śmierdzieli, mówi jeden chłop. Dlaczego? – pyta Lanzmann i spodziewamy się tu odpowiedzi ideologicznej. „Bo byli garbarzami, a garbowane skóry śmierdziały”. Albo jakaś staruszka mówi, że teraz wiedzie się jej lepiej niż przedtem. „Czy dlatego, że nie ma już Żydów, czy z powodu socjalizmu?” – pyta Lanzmann. Nie, dlatego, że kiedyś wykopywała ziemniaki, a teraz sprzedaje jajka...

Pokazuje nam Lanzmann ich grubiaństwo, ale i współczucie. Wysuszony, stary kolejarz wybucha płaczem, przypominając sobie rozstrzelanie żydowskiej matki z dzieckiem. „Strzelił jej w serce. Zabił matkę. Ten pan (wyjaśnia tłumaczka) mieszka tu od dawna, ale tego nie potrafi zapomnieć”. Matka i dziecko – podstawowy obraz polskiego katolicyzmu: Maria i Jezus. (Żydowska matka z dzieckiem). O ileż bardziej ludzcy są ci „prymitywni” Polacy niż „cywilizowani” Niemcy, którzy nie śmieliby roześmiać się przed kamerą rozmawiając o obozach zagłady – *man weiss, das tut man ja nicht*.

W końcu sam Lanzmann, prawie że wbrew sobie, nabiera sympatii dla „prostych” Polaków, takich jak drobny maszynista,

---

Polisce istniał rozpowszechniony antysemityzm, który miał po części korzenie religijne, i że był to „grzech społeczny”, za który nie dokonano jeszcze w Polsce w pełni odpowiedniego „rachunku sumienia”.

pan Gawkowski, który prowadził pociągi do Treblinki; sympatii, której nie mógłby zapewne poczuć dla „cywilizowanych” Niemców, takich jak ohydny Herr Stier, ongi kierownik departamentu 33 kolei niemieckich, który jedynie zarządzał tymi „specjalnymi pociągami” z dalka i nadal twierdzi, że „nic nie wiedział” o miejscu ich przeznaczenia – „takim jak ten obóz, jakże się on nazywał? To było w rejonie opolskim... już mam – Oświęcim!”

Pod tym względem polskie fragmenty „Shoah” są nie tylko głębokie i wzruszające, ale uczciwe i prawdziwe. Nie jest to jednak pełna prawda historyka, do której czyni aluzję Lanzmann mówiąc, że nie pominął niczego, co istotne w kwestii Polaków. Otóż istotne aspekty stosunków polsko-żydowskich jednak zostały pominięte, co łatwo stwierdzić, porównując film ze skrupulatnym sprawozdaniem w pracy Nechamy Tec, która prześledziła ponad 500 biografii Polaków pomagających Żydom. W „Shoah” nie ma ani jednego Polaka, który Żydom pomagał, aczkolwiek znalazł się w filmie wywiad z kurierem polskiego rządu emigracyjnego, Janem Karskim, który na próżno starał się zaalarmować przywódców świata zachodniego wiadomościami na temat tego, co się dzieje z Żydami na terenie Polski. Wstrząsający wywiad.

Tec dochodzi do wniosku, że jedyne socjologiczne uogólnienie, jakie można uczynić o ludziach pomagających Żydom, to że chłopcy byli najmniej skłonni do udzielenia takiej pomocy. W „Shoah” widzimy niemal wyłącznie chłopów. Przy paru wypowiedziach dotyczących kar, jakie Polakom groziły za jakąkolwiek pomoc Żydom, Lanzmann stara się rzucić na nie cień wątpliwości poprzez sam sposób stawiania pytań. Natomiast w pracy Tec znajdujemy, na przykład, reprodukcję niemieckiego plakatu ogłaszającego wyrok śmierci na 55 Polakach w jednym tylko regionie (Galicja) i jednym dniu w grudniu 1943 roku, z czego na ośmiu za *Judenbeherbergung*, czyli za udzielanie schronienia Żydom.

Pod koniec filmu jeden z ludzi, którzy przeżyli powstanie w getcie warszawskim, opisuje ucieczkę przez tunel do aryjskiej Warszawy, gdzie ku swemu zdumieniu stwierdził, że „życie idzie naprzód normalnie, jak przedtem. Otwarte są kawiarnie, restau-

racje, jeżdżą tramwaje, nawet kina działają. Getto – kończy – było izolowaną wyspą w normalnym świecie”. Lanzmann komentuje to, pokazując długie ujęcia dzisiejszej Warszawy. Jak słusznie jednak stwierdził Leszek Kołakowski w czasie dyskusji w Oxfordzie, Warszawa mogła się wydawać normalna w 1943 roku wyłącznie komuś, kto właśnie się wynurzył z nieopisanego piekła getta, ale polska stolica pod rządami hitlerowców nie była z pewnością „normalna” w takim sensie, w jakim „normalna” jest dzisiejsza Warszawa. Było to miasto w szponach terroru.

O tym Lanzmann milczy. Ale milczy też o karuzeli za murami getta, w „aryjskiej Warszawie”, karuzeli, która działała nawet wówczas, gdy getto szło z dymem, zaś odgłosy broni palnej świadczące o ostatnich rozpaczliwych zmaganiach mieszały się z muzyką rozrywkową, podczas gdy „rozwiewał suknie dziewczynom / ten wiatr od domów płonących” – jak pisał Czesław Miłosz w wielkim poemacie „Campo di Fiori”. Nie wspomina też o tym, co mówili niektórzy ludzie z „aryjskiej Warszawy” cytowani przez Kazimierza Brandysa w *Miesiącach*: „Od sympatycznej pani, która ważyła masło w sklepiku spożywczym, usłyszałem, że Hitler zdezynfekował Polskę z Żydów (płonęło wtedy getto warszawskie)”. Nie wspomina także o tych przestępcach spośród Polaków, którzy szantażowali Żydów („szmalcownicy”) ani o roli, jaką odegrała przedwojenna „granatowa policja” pomagając w zapędzeniu Żydów do getta. Czy to także nie są rzeczy istotne?

Prawdziwy problem polega na tym, że niezależnie od tego, co Lanzmann opowiada, „Shoah” nie jest wypowiedzią w sporze historycznym na temat Polaków i Holocaustu w tej samej mierze, w jakiej stanowi wypowiedź historyczną na temat procesu zagłady. Jak widzieliśmy, wypowiedzi Lanzmanna poczynione poza samym planem filmowym, a dotyczące związków między antysemityzmem w Polsce w czasie okupacji a działalnością obozów zagłady na polskiej ziemi, są niejasne. I w samym filmie brak tu jednoznacznej opinii – brak argumentu historyka – na ten temat. W tej sprawie nie występuje również świadek koronny, żaden Hilberg (być może dlatego, że nie ma jeszcze Hilberga od stosunków polsko-żydowskich z czasu ostatniej wojny). Nie zamierzam kwestionować osiągnięcia Lanzmanna: choć je jed-



nak dookreślić. Już w obecnej postaci – żywy, osobisty, surowy i jednostronny – film ten powinien być obowiązkowo obejrzany w Polsce właśnie ze względu na wspomnianą tematykę. Dobrze by było, gdyby jego surowość i stronniczość sprowokowały polskich intelektualistów, głównie historyków i zapoczątkowały poważne naukowe badania na ten temat – tak, by w następnym filmie mógł pojawić się już polski Hilberg, z którym warto by się spierać.

Skoro rząd Jaruzelskiego toleruje badania nad stosunkami polsko-żydowskimi w Polsce, a nawet je popiera (warto odnotować ten fakt polityczny z aprobatą, bez względu na spłot motywacji, jakie się za nim kryją) oraz – rzecz równie istotna – dzięki poparciu Papieża warunki zewnętrzne dla takiego wysiłku intelektualnego i moralnego wydają się bardziej sprzyjające (albo przynajmniej mniej niesprzyjające) niż w jakimkolwiek innym okresie po 1945 roku. Można sobie jednak wyobrazić niestety, także efekt przeciwny, jeszcze jedno jałowe, gorzkie starcie intelektualnych nacjonalizmów, w którym polski nacjonalizm ofiary zderza się z żydowskim nacjonalizmem ofiary.



„Shoah” jest o tyle większym filmem niż „Heimat” – bardziej złożonym, trudniejszym, głębszym, ważniejszym – że można by się zastanawiać, czy ma sens omawianie ich jednocześnie. Po namyśle jednak sędzę, że właśnie ta różnica w jakości obu filmów stanowi prawdziwy problem. Dlaczego film Reitza o niemieckiej pamięci jest o tyle „łatwiejszy”, lżejszy, bardziej powierzchowny niż film Lanzmanna o pamięci żydowskiej i polskiej? Nie dlatego, że Reitz jest gorszym reżyserem, ale dlatego, że *niemiecka pamięć o tym okresie jest „łatwiejsza”*. Nie myślę oczywiście o pamięci tych wrażliwych na historię i moralnie udręczonych przez nią Niemców, którzy określili publiczny stosunek Republiki Federalnej do hitlerowskiej przeszłości i których subtelnym rzecznikiem jest obecny prezydent Richard von Weizsäcker. Myślę o powszechnej pamięci najzwyczajszych Niemców zachodnich, tej, o której mówi Reitz – prywatnej pamięci, powiedzmy, Herr Kohla. Porównując oba filmy, odkrywamy naj-

bardziej monstrualną niesprawiedliwość: to ofiary, a nie oprawcy cierpią najbardziej, gdy przypominają sobie przeszłość. To ofiary załamują się, podczas gdy oprawcy pławią się w szczęśliwym rozpamiętywaniu o „Heimat”.

Oba filmy przypominają nam: pamięć jest zdradziecka; pamięć jest amoralna; pamięć również zapomina. Istnieją rzeczy, którym pamięć nie jest w stanie spojrzeć w twarz. Jeśli ci, którzy przeżyli – Niemcy, Żydzi czy Polacy – próbują przypomnieć sobie dokładnie to samo wydarzenie, nie są w stanie przypomnieć go sobie w ten sam sposób: nie mogą wręcz fizycznie, tak jak człowiek sparaliżowany nie może podnieść pióra. Oba filmy mówią również: strzeżcie się tyranii reżysera. Zarówno „Shoah”, jak i „Heimat” są ostatecznie ukształtowane i zniekształcone przez stronniczość postaw i biografii reżyserów. Ameryka Reitza \*, Polska Lanzmanna są również produktami, nieuchronnie spaczonymi produktami ludzkiej pamięci.

Dzięki Bogu istnieją historycy! Oto wniosek, jaki nasuwają mi oba filmy. Jedynie zawodowi historycy z ich wypróbowanymi metodami badań, jasnymi zasadami selekcji i posługiwania się dowodami są w stanie uzbroić nas tak, byśmy mogli spojrzeć faktom w twarz. Jedynie historycy dostarczają nam kryteria, wedle których możemy oceniać „Heimat” i „Shoah”. Nie dlatego, by każdy historyk był bardziej bezstronny niż każdy reżyser filmowy. Jednakże charakter zawodu (przynajmniej w wolnych społeczeństwach) czyni historyków wrażliwymi i otwartymi na wzajemne ataki, podobnie jak polityków w państwach demokratycznych. Podczas gdy reżyser filmowy jest zawsze, z natury rzeczy, wielkim dyktatorem. A więc historycy są naszymi obrońcami. Bronią nas przed niepamięcią – to truizm. Ale bronią nas również przed pamięcią.

Timothy Garton Ash  
przekład autoryzowany

\* Chodzi tu o antyamerykańskie uprzedzenia, którymi cechuje się odcinek „Heimatu” przedstawiający okres tuż po wojnie (przyp. red.).

**Israel Shahak**

## **NORMALNOŚĆ W NIELUDZKIM ŚWIĘCIE**

**Uwagi o artykule Timothy Garton Asha**

Urodziłem się w Warszawie i przybywałem w getcie warszawskim niemal do końca. Potem znalazłem się „po stronie aryjskiej” (jak się to wówczas mówiło), ukrywany przez polską rodzinę katolicką wspomaganą przez innych Polaków, i na koniec w obozie Bergen Belsen, gdzie spędziłem prawie dwa lata. Byłem dzieckiem. W kluczowym okresie doświadczeń 1942-45 miałem od dziewięciu do dwunastu lat i myślę, że ten fakt pomógł mi w późniejszych latach zrozumieć istotę Zagłady głębiej od ludzi wówczas już dorosłych. Dzieci bowiem pod wpływem doświadczeń z jednej strony dojrzewają ponad wiek, z drugiej – nie tracą jednak dziecięcej umiejętności dziwienia się. Po latach znalazłem w Izraelu potwierdzenie moich spostrzeżeń, rozmawiając z rówieśnikami podobnie jak ja doświadczonymi.

Po pierwsze więc uważam, że Garton Ash, a w większym jeszcze stopniu Lanzmann, nie chcą zrozumieć postępowania tych, którzy usiłowali prowadzić „normalne” życie, nie zważając jakby na masowe zbrodnie popełniane wokół, ani zachowania tych, którzy w gruncie rzeczy pośrednio pomagali w dziele zagłady. Obaj ograniczają się bowiem, całkowicie i bez wyjątku, do oceny postępowania Polaków i pomijają – w wypadku Lanzmanna można nawet powiedzieć celowo – fakt, że wielu Żydów zachowywało się dokładnie tak samo. Przykładem niech będzie getto

warszawskie. Latem 1942 roku, na krótko przed rozpoczęciem masowej eksterminacji Żydów w Warszawie, ale już po wymordowaniu Żydów w innych miastach, między innymi w Lublinie, co było powszechnie wiadome nawet dzieciom, życie w getcie toczyło się zwykłym trybem; tak samo jak w polskiej Warszawie potem, w czasie eksterminacji Żydów warszawskich. Powiem więcej: życie w getcie po wymordowaniu już większości późną jesienią i zimą 1942, kiedy zmniejszyła się liczba łapanek Żydów przeznaczonych na śmierć, życie w tej nieszczęsnej, żalostnej resztkę getta również powróciło do jakiejś „normalności”: grało się w karty, urzędowało spotkaniom towarzyskim czy wymyślało rozrywki kulturalne. To samo zaobserwowałem później w bardziej jeszcze rozpaczliwych warunkach obozu Bergen Belsen. Przez kilka miesięcy wozy załadowane setkami nagich, szkieletowatych zwłok przejeżdżały codziennie rano o tej samej godzinie za drutami naszego „specjalnego” niewielkiego obozu. Kiedy to się zaczęło, szok przeżyli nawet najbardziej doświadczeni i, mimo ciągłego straszliwego głodu, wielu nie mogło nic wziąć do ust. Po kilku jednak dniach życie nasze zaczęło znowu być „normalne”, o trupach mówiło się coraz rzadziej i jadło wszystko, co nadawało się do zjedzenia. Z podobną reakcją spotkałem się też, kiedy tuż obok naszego obozu ludzie masakrowano pałkami i codziennie widzieliśmy i słyszeliśmy krzyki torturowanych na śmierć. Wyjaśnienie tego fenomenu jest proste: prócz krótkich chwil „w obliczu śmierci” ustala się niemal w każdych warunkach rodzaj „normalności”.

Potrzeba normalności nie jest cechą szczególną Polaków, co sugeruje Lanzmann; jest l u d z k a po prostu. Nie zamierzam twierdzić przez to, że większość świadków tych horrorów, Żydzi czy Polacy, nie cierpieli z tego powodu, czy nie odczuwali współczucia dla ofiar, twierdzą tylko, że po to, by w ogóle żyć, m u s i e l i oni wracać do stanu normalności, w którym cierpienia innych przestają być obsesją pochłaniającą całe ich życie. Może to właśnie miał na myśli Platon mówiąc, że ludzie nie mogą znieść zbyt wiele rzeczywistości.

Garton Ash pisze, że okupacja nazistowska w Polsce była straszniejsza niż w innych krajach, a Polacy dyskutujący z Lanzmannem na sesji w Oxfordzie podkreślali, że w „polskiej” War-

szawie panował terror. Jest to niewątpliwie prawda. Jednakże nie ten argument powinni oni podnosić, broniąc Polski przed Lanzmannem, ale ten, że wszyscy: Polacy, Żydzi i jakiegokolwiek innej narody zachowywałyby się w podobnych okolicznościach w mniej więcej ten sam sposób, bo zachowanie to jest częścią czegoś, co ogólnie można nazwać „naturą ludzką”. By to stwierdzić, wystarczy pobieżna znajomość historii i zamyślenie się nad takimi zjawiskami znanymi z doświadczeń ludzkości, jak: palenie na stosie na placach miejskich na oczach przyjaciół i sąsiadów skazanego, czy kamieniowanie przed bramą miejską.

Ostatnie obchody święta Paschy (w kwietniu 1943), w których brałem udział z moimi rodzicami, odbywały się przy akompaniamencie powstania w getcie i strzałów, które rozlegały się niedaleko nas. Było to święto wprawdzie ubogie i jakby pospieszne, ale zgromadzono niezbędne na tę okazję akcesoria i odbyły się wszystkie ceremonie, łącznie z przepisowymi śpiewami. Rok wcześniej Pascha była jeszcze świętem radosnym, obchodzonym okazale nie tylko w naszej rodzinie, ale i w wielu tysiącach innych żydowskich rodzin getta warszawskiego. Bez wątpienia, gdyby wtedy przybył ktoś do nas z jakiegoś wschodniego miasteczka, gdzie większość Żydów została już przez Niemców wymordowana, i zobaczył jeden z licznych bali czy koncertów, które w getcie urządzano, powiedziałby (gdyby był tak głupi jak ocaleniec z getta warszawskiego, którego wybrał Lanzmann), że podczas gdy w jego stronach Żydzi są zabijani, w getcie warszawskim „życie toczy się tak naturalnie i normalnie jak przedtem”. Lanzmann po prostu slyzał, co chciał słyszeć: Polacy są tacy a tacy, Żydzi zaś są narodem wybranym, ktoś... zachowanie nie powinno być analizowane. Nie chciał wysłuchać autentycznej prawdy, że jedni i drudzy (i oczywiście wszystkie inne narody) zachowują się mniej więcej w ten sam sposób w podobnych okolicznościach i muszą się tak zachowywać, by dalej żyć.

Podobne rozważania dotyczą tych, którzy brali udział w eksterminacji Żydów (lub w innych masowych zbrodniach popełnianych przez nazistów), albo je w ten czy inny sposób popierali. Z tym że dążenie do jakiejś normalności jest potrzebą zdecydowanej większości, w istocie prawie każdego, we wszystkich spo-

leczeństwach, podczas gdy uczestniczenie w zbrodni, nawet w warunkach bezkarności i nagród (w postaci stałej pracy i pewnego zabezpieczenia przed terrorem) akceptowane jest jedynie przez mniejszość. Niestety i Garton Ash, i Lanzmann uchylają się od rozpoznania tego podstawowego faktu społecznego. Oczywiście, że byli polscy policjanci, którzy przeprowadzali łapanki Żydów i oczywiście byli Polacy, którzy szantażowali Żydów. Moją własną matkę zatrzymał jeden taki na ulicy w Warszawie (wykupiła się brylantowym pierścieniem), podczas gdy ja szedłem za nią z przyjacielem Polakiem i będąc odpowiednio wytrenowani, przeszliśmy obok niej, drżąc o jej życie i poczekałmy za rogiem, aby nie podwyższać ceny krwi. Byli jednak także – o czym wie każdy z ocalańców żydowskich, a Garton Ash również powinien wiedzieć – żydowscy szantażyści, wielu nawet znanych z imienia, mieszkający poza gettem, którzy nie byli ani gorsi, ani lepsi niż polscy. Byli także żydowscy policjanci w getcie. Do obowiązków każdego z nich w pierwszych tygodniach eksterminacji latem 1942 roku należało dostarczenie odpowiedniej liczby Żydów przeznaczonych na śmierć. Dzisiaj, po latach, uważam, że polscy i żydowscy wspólnicy zbrodniarzy są sobie równi w ogromie zła i najwyższa odraza, z jaką się ich wspomina, nie zależy od narodowości. Moja jednak pamięć (i pamięć wszystkich ocalałych Żydów, kiedy uczciwie rozmawiają „w swoim gronie”) nie pozwala zapomnieć, że w owym czasie my, Żydzi, nienawidziliśmy żydowskich policjantów i żydowskich szpiegów bardziej niż kogokolwiek innego. Latem 1942 Żydów zatrudnionych w dużych fabrykach pracujących dla armii niemieckiej nie wylapywano do transportów. Kiedy wychodzili z pracy o piątej po południu, wstrzymywano nawet uliczne łapanki, by spokojnie mogli wrócić do domów. Pewnego popołudnia, kwadrans po piątej, wyglądałem z okna fabryki „Tebens”, jednego z tych uprzywilejowanych zakładów. Nagle zobaczyłem żydowskiego policjanta wlokącego chłopca (żydowscy policjanci, nie mając broni, wybierali naturalnie słabsze ofiary). Chłopiec opierał się i krzychał z całych sił, że żydowski policjant nie ma prawa go brać. Wtedy niemiecki wicedyrektor fabryki, brutalny potwór nazwiskiem Bach, wyszedł przed bramę, wyjął pejcz, który zawsze nosił przy sobie, dzielił nim żydowskiego policjan-

ta i krzyknął: „Ma być porządek, przeklęty Żydu!” Ten incydent był naturalnie na ustach wszystkich następnego dnia, i choć Bach był powszechnie znieawidzony, chwalono go. Każdy ciężzył się ze skompromitowania żydowskiego policjanta i mówił, że choć Bach jest potworem, to ten policjant „jest gorszy”. Znacznie później, pod koniec zimy 1943 roku, znany żydowski szpicel został zastrzelony przy wejściu do naszego domu na Lesznie. Akcja ta była niczbędną częścią przygotowań do powstania, które wkrótce potem wybuchło. Widziałem ją: młody mężczyzna strzelił z rewolweru z bardzo bliskiej odległości. I wtedy, razem z kilkorgiem innych dzieci, odtńczyliśmy z radości taniec nad zwłokami, a następnie pobiegłem co tchu, aby zanieść tę dobrą wiadomość mojej matce. Ona najpierw była tak zadowolona jak ja, szybko jednak zreflektowała się i skrzyczała mnie, bo grzeczny chłopiec nie tańczy nad zwłokami, bez względu na to, kim był zabity człowiek...

Takie właśnie historie Lanzmann mógłby pokazać, gdyby nie był więźniem swoich własnych uprzedzeń, a Garton Ash powinien był je znać. Ich próba znalezienia „tego co istotne” w polskiej sytuacji jest nieuczciwa i nieprawdziwa. Jest ona ponadto zarozumiała i rasistowska, mimo nieprzekonywującego cytowania przez Gartona Asha Orwella na temat nacjonalizmu oflary. Oczywiście, taki nacjonalizm istnieje, ale nie to jest najistotniejsze. Najważniejszą sprawą jest wzór zachowania, który odnaleźć można w każdej społeczności. W każdym bowiem narodzie znaleźć można mniejszość żerującą na zbrodni, mniejszość tych, którzy ryzykują życiem, by ocallé innych oraz zdecydowaną większość, która niemal w każdej sytuacji poszukuje jakiejś formy normalności, czyli zachowuje się w sposób typowy dla wszystkich, a nie tylko dla Żydów czy Polaków. Dostrzeżenie tej różnicy jest bardzo istotne – uważam – zarówno dla zrozumienia przeszłości, jak i podjęcia środków zaradczych na przyszłość. Spotykając się twarzą w twarz z tak krańcowym irracjonalizmem, jakim był nazizm, musimy myśleć tak racjonalnie (a zatem tak prawdziwie) jak tylko można. Bertrand Russel w swojej interpretacji Arystotelesa zauważył, że „to co irracjonalne dzieli nas, to co racjonalne łączy”. Poprawne i ludzkie zrozumienie Holocaustu może być pomocne w jednoczeniu ludzi dobrej woli



wszędzie, podczas gdy poszukiwanie tego, co rzekomo stanowi „istotę” postawy tego czy innego narodu, pogarsza tylko sprawę i zwiększa groźbę kolejnego ludobójstwa. Ponadto właściwe zrozumienie przez świat zagrożenia, jakie niesła eksterminacja Żydów, może i powinno być potężnym osarżeniem. Ujżnienie znieprawienia mniejszości Żydów i Polaków, którzy zostali sługami Niemców, uswiadomiłoby powszechnie grożące niebezpieczeństwo, które czai się wszędzie, ale przeciwko któremu ludzkość walczy z niejakim sukcesem. Słowa „z łaską boską idę tam”, zwrócone do wszystkich, zawierają prawdę na temat tego, co stało się z ludźmi w czasie Zagłady, którą będziemy zdolni odkryć, jeśli będziemy jej naprawdę szukać.



Drugi temat, który chciałbym poruszyć, to czy rzeczywiście istnieje historyczny związek pomiędzy stosunkiem chrześcijan do Żydów a ich wymordowaniem przez Niemcy nazistowskie oraz czy istniał związek między szczególnego rodzaju antysemityzmem w Polsce a faktem, iż właśnie tam umieszczono obozy zagłady. Tę sprawę należy podnieść, nawet jeśli zaakceptuje się (jak ja to przyjąłem) opis, który Garton Ash cytuje z książki Jana Grossa, na temat utrzymującego się antysemityzmu w Polsce w 1941 roku do tego stopnia, że postulat emigracji Żydów jako rozwiązania „problemu żydowskiego” przyjęli nawet polscy socjaliści. Czy można (potępiając „rozwiązanie przez emigrację” „problemu” jak i e j k o l w i e k grupy, tak jak ja to czynię, a także, jak sądzę, czyni i Garton Ash) wykonać rodzaj skoku myślowego i postawić znak równania między tym postulatem a zaprobowaniem ludobójstwa lub wręcz udziałem w ludobójstwie? Myślę, że odpowiedź brzmi „nie”, gdyżby bowiem istniała gotowość do rozumienia, która powinna się łączyć zawsze z gotowością do porównań z innymi, podobnymi faktami, absurdalność opinii Hübberga i Lanzmanna o „wyjątkowości” Holocaustu i polskiego antysemityzmu byłaby oczywista.

W 1944 roku, w czasie trwającej Zagłady, brytyjska Partia Pracy na swoim dorocznym zjeździe zgłosiła projekt rozwiązania

problemu Palestyńczyków w Palestynie poprzez ich przesiedlenie. Takie pomysły były bardzo popularne w wielu innych partiach socjaldemokratycznych w Europie w latach dwudziestych i trzydziestych. Potępiam je, ale nie zgadzam się, że popieranie ich świadczyło, iż brytyjscy członkowie Partii Pracy popierali likwidację lub zagładę Palestyńczyków. Pragnienie „spowodowania emigracji” Palestyńczyków z Palestyny było od wiclu dziesięcioleci – i nadal jest – bardzo rozpowszechnione wśród syjonistów, a szczególnie w socjalistycznym odłamie tego ruchu. Zakorzeniło się także w wielu diasporach żydowskich, szczególnie w USA, oraz w znacznej części społeczeństwa izraelskiego. W chwili gdy piszę te słowa, dzienniki izraelskie doniosły, że 22 procent izraelsko-żydowskiej opinii publicznej uważa „pozbycie się” Palestyńczyków, którzy są obywatelami izraelskimi, „za jedyne rozwiązanie”. Odszetek zaś popierających „pozbycie się” „tylko” Palestyńczyków z zachodniego brzegu Jordanu i rejonu Gazy (albo większości z nich) musi być z pewnością jeszcze wyższy. Tego typu politykę stosowano już w latach 1967-1968, kiedy to rządzi Izraeli zdominowany przez Partię Pracy zmusił do wyjazdu znaczną część Palestyńczyków, przypuszczalnie około 500 tysięcy. Byłem przeciwny i nadal jestem przeciwny temu ohydnemu przestępstwu wobec ludzkości. Nie zgadzam się jednak, że eksterminację i wygnanie (lub wymuszoną emigrację) należy traktować w tych samych kategoriach lub nawet zakładać, że jedna z nich wpływa na drugą. O tym, jak się ludzie zachowują i co ma na nich wpływ, należy wnioskować na podstawie ich zachowania, a nie używając sylogizmów. Dotyczy to i Polaków, i Żydów, i jakiegokolwiek innej grupy. Ludzie, którzy „pozwalają sobie” na ukradzenie czegoś od rządu, nie okradną przyjaciela. Ludzie, którzy tolerują pewien rodzaj przestępstwa popełnionego przez innych, nie popełnią go sami. Można uważać, że jest to nielogiczne, ale jest przecież bardzo ludzkie. I nie jestem pewien, przynajmniej w odniesieniu do naszego stadium rozwoju cywilizacji, czy głębsza znajomość logiki sprawiłaby, że ludzie byłiby lepsi.

Wedle tego, co pamiętam sam i co pamiętają moi przyjaciele, stosunek Polaków do mordowanych wokół nich Żydów był typowo ludzki i właśnie nielogiczny (przypuszczam, że mniej wię-

cej tak by się zachowywała każda inna grupa, Żydzi również). To znaczy, była mała grupa Polaków, która ryzykowała życiem, aby uratować Żydów i wielu spośród nich istotnie oddało za to życie – fakt ten dla Lanzmanna nie był wart odnotowania. Jest oczywiście prawdą, że byli i inni, którzy wyrażali otwarcie swoje zadowolenie z tego, że Żydzi „odeszli”. Moi przyjaciele, i ja sam też, bardzo dobrze pamiętają sytuację, kiedy – jak to Garton Ash cytuje za Kazimierzem Brandysem – głośno i z nieskrywanym zadowoleniem reagowano na ludobójstwo Żydów. Ale częściej było tak (i trzeba to przypomnieć dla sprawiedliwości), że gdy ktoś wyrażał radość z powodu mordowania Żydów, odzywali się ci, w których budziło to sprzeciw, a większość zachowywała milczenie, nie opowiadając się po żadnej stronie. Pamiętam: było to w pociągu, wkrótce po kontroli dokumentów, na moje wielkie szczęście przeprowadzonej powierzchownie przez paru żołnierzy niemieckich. Ludzie w zatłoczonym wagonie zaczęli naturalnie rozprawiać o cierpieniach spowodowanych przez okupację i o tym, kiedy nadejdzie wolność i niepodległość Polski. Jedna z osób wykrzyknęła: „Jestem takim patriotą jak każdy z was i jestem gotów przełać krew za Polskę, ale po odzyskaniu niepodległości dam pieniądze na wzniesienie złotego pomnika Hitlerowi za uwolnienie nas od Żydów”. Nastąpiła krótka cisza i inny pasażer wykrzyknął – cytuję go dokładnie, bo słowa te wryły mi się w pamięci: „Bój się pan Bogal Oni są także ludźmi!” Zapadła wtedy całkowita, dość długa cisza, a następnie ludzie zaczęli stopniowo rozmawiać o czymś innym. Miałem zresztą wiele okazji, aby rozmyślać o tym i podobnych zdarzeniach, bo słyszałem bardzo podobne słowa wypowiedane przez Żydów izraelskich latem 1982 roku w mojej obecności i ku mojemu oburzeniu: znowu mniejszość (ale jestem pewien, że liczniejsza niż w podbitej Polsce w 1943 roku) z radością reagowała na każde domiesienie o śmierci Palestyńczyków i Libańczyków.

Bardziej typową reakcją większości Polaków można by zilustrować przytaczając zwyczajną rozmowę, którą podśluchałem przypadkowo: grupa robotników jadła posiłek, rozmawiając o braku żywności i pieniędzy, i jeden z nich zauważył, że ci, którzy szantażują Żydów, „zarabiają dużo pieniędzy”. „Zrobiłbyś to?” – dodał, zwracając się do sąsiada. „Nie” – padła odpowiedź.

„Dlaczego?” „Ponieważ nie mógłbym spojrzeć na własną gębę w lustrze”. I obaj powrócili do jedzenia. Można to uznać za nie-logiczną odpowiedź, ale oddaje ona lepiej prawdziwy sposób postępowania większości ludzi niż to, do powiedzenia czego Lanzmann „zmusił” polskich świadków Zagłady. To nie jest „polska” odpowiedź, jest to – ze wszystkim złem i dobrem, co w niej zawarte – odpowiedź ludzka. Powinniśmy próbować być lepszymi niż przeciętna, powinniśmy próbować należeć do tej lepszej mniejszości, która wśród Polaków głośno wyrażała, także czynem, swoje przywiązanie do zasad humanizmu, ale bez złudzeń co do zachowania się większości ludzi.

\*\*

Wszystkie te poważne uchybienia i groźne błędy popełnione przez Lanzmanna i Hilberga, a do pewnego stopnia i przez Garton Asha, wypływają z przekonania o wyjątkowości zagłady Żydów. Z założenia, jawnie w moim mniemaniu fałszywego, że eksterminację Żydów należy traktować w całkowitym oderwaniu od zbrodni popełnionych przez Niemców na innych narodach oraz że antysemityzm jest zjawiskiem nieporównywalnym z innymi rasizmami.

Hilberg, doszukując się przyczyn Zagłady, pisze o logicznym postępie, ponieważ od najwcześniejszych lat misjonarze chrześcijaństwa mówili do Żydów: nie możecie żyć wśród nas jako Żydzi. Jest to nonsens podwójny. Po pierwsze dlatego, że choć Kościoły chrześcijańskie domagały się poważnego ograniczenia praw dla Żydów, ich poniżania i degradacji, Żydom pozwolono żyć jako Żydom w krajach chrześcijańskich przy zapewnieniu prawie pełnej ochrony ich religii i zagwarantowaniu prawa do pozostania Żydami. Cieszyli się tymi prawami w znacznie większym stopniu niż wyznawcy jakiegokolwiek innej religii. W średniowieczu i długo potem stanowili jedyną niechrześcijańską grupę tolerowaną w większości krajów chrześcijańskich. Paganie, czarownice, heretycy (i nie tylko oni) byli likwidowani lub przesładowani z dalece większą gwałtownością niż Żydzi. Święty Ludwik, król Francji, spalił, po długim przewodzie prawnym, Talmud i poważnie ograniczył przywileje Żydów. W porównaniu

jednak z tysiącami heretyków, szczególnie albigensów, palonych żywcem oraz niezliczoną masą więzionych i prześladowanych innowierców traktowanie Żydów było stosunkowo łagodne i oczywiście tę różnicę w podejściu do nich w pełni zaaprobował Kościół. Ale jeśli nie tylko życzenie, lecz i rzeczywisty zakaz, aby „inni” żyli w określonej zbiorowości mógł prowadzić do masowej zagłady, powstaje pewien problem. I bardzo byłbym ciekaw opinii Lanzmanna i Hilberga na ten temat. Piszę te słowa w momencie, gdy jeden z dwu głównych rabinów Izraela, rabin Mordechaj Eliahu, ogłosił zarządzenie, na mocy którego Żydom na ziemi izraelskiej zakazuje się sprzedaży lub wynajmu jakiegokolwiek nieruchomości, łącznie z mieszkaniami, nie-Żydom. To rasistowskie zarządzenie oznacza, że nie-Żydzi w państwie żydowskim będą nie tylko dyskryminowani i umieszczani w gettach, ale i pozbawieni – dosłownie – możliwości egzystencji. Nastąpiło to po wielu podobnych, a nawet gorszych oficjalnych oświadczeniach miejscowych rabinów, które nie spotkały się z najmniejszym sprzeciwem ze strony choćby jednego rabina ortodoksyjnego. Co więcej, można to przypisać historycznemu judaizmowi, ponieważ zanim Oświecenie nie wywarło wpływu na Żydów pod koniec osiemnastego wieku, wszyscy Żydzi byli ortodoksyjni. A zatem, jeśli przyjmuje się tezę Hilberga i Lanzmanna, wszystkim nie-Żydom w państwie izraelskim zagraża poważne niebezpieczeństwo eksterminacji i wszyscy Żydzi, szczególnie ci religijni, są podejrzani albo o jej wspomaganie, albo co najmniej sprzyjanie jej ze względu na swój judaizm. Hilberg i Lanzmann powinni to rozróżniać. Bo jeśli tego nie czynią, to znaczy, że nie widzą różnicy między dyskryminacją rasową a ludobójstwem, apartheidem w Afryce Południowej i likwidacją getta w Warszawie.

Tego rodzaju tricki z „misjonarzami chrześcijaństwa” są wkładaniem w usta określonej zbiorowości słów, których nigdy ona nie wypowiedziała. Wypływają one z ignorowania faktu, kogo Niemcy nazistowskie mordowały. Pierwsza na dużą skalę przeprowadzona przez nazistów likwidacja grupy kompletnie niewinnych ludzi objęła – jak to dobrze wiadomo – Niemców w kalekach i psychicznie chorych. Czy w dyskusji nad tym, czym jest nazizm, można to pominąć? Jak można to ignorować, obciążając chrześcijaństwo historyczną winą za to, co nazizm

zrobił? Jakkolwiek był osunek chrześcijan do Żydów lub do heretyków, jest całkiem jasne, nawet bez powoływania się na przykład św. Franciszka z Asyżu, że chrześcijańskie zasady podejścia do kalek, słabych, chorych i ludzi ubogich były zawsze godne podziwu i trudno sobie wyobrazić coś bardziej odległego od zasad chrześcijańskich niż świadoma likwidacja ludzi dlatego, że są chorzy i słabi. Fakt, że eksterminacja chorych psychicznie i kalek Niemców została wstrzymana w wyniku stanowczego sprzeciwu chrześcijan (szczególnie katolików) nic tu nie zmienia. Pojawia się natomiast istotne pytanie: co mogło być uczynione, by wstrzymać eksterminację Żydów?

Ważne jest przypomnieć w tym miejscu, że w przypadkach, kiedy stanowcza opozycja wobec eksterminacji Żydów była objawiana, co mogło być przyjmowane przez Niemców jako niebezpieczne dla nich samych. Żydzi nie byli mordowani, choć dany kraj znajdował się pod okupacją niemiecką. Tak było w przypadku dwu różniących się bardzo państw — Bułgarii i Finlandii, i tak się dzieło na ogół w wypadku Żydów, którzy mogli dowieść, że są obywatelami albo neutralnego, albo wrogiego, niezależnego państwa. Intencje Niemców co do ostatecznego wymordowania zarówno Żydów i wszystkich kalek Niemców (i oczywiście także innych grup) nie zmieniły się w żadnym z tych wypadków.

W istocie powody, które przynajmniej częściowo doprowadziły do ludobójstwa (a nie ma żadnej tajemnicy w tym względzie ich poglądy), wynikały z niskiego i wulgarnego zrozumienia przez „społeczny darwinizm” i „przeklecia niemieckiego”, które rozwinęło się w Europie i w Ameryce Północnej od końca dziewiętnastego wieku. Koncepcje te (współ z / eugeniką, teorią rasową w najniższej swej formie) przeobraziły się w warunkach totalitarnych, przy niemieckim opozycji, podparte doktryną o całkowitej lojalności wobec państwa i połączone z dużą dozą szowinizmu wystarczają, aby wykonać wszystko to, co Niemcy uczynili (albo zamierzali uczynić po ostatecznym zwycięstwie) wobec wszystkich, włączając Żydów, którzy oczywiście ucierpieli szczególnie, ale którzy nie byli jedynymi ofiarami. To dogmatyczne podkreślanie całkowitego poświęcenia między cierpieniami ludzi (czego Gordon Ash jest do pewnego stopnia świadomy) wydaje

mi się najgorszym błędem, niemal – powiedziałbym – duchowym przestępstwem Lanzmanna, albowiem powoduje u niego prawie całkowitą moralną ślepotę i nawet obojętność na los tych, którzy nie są Żydami. Należy bowiem pamiętać, że cele Niemców hitlerowskich w Europie wschodniej były różne od tych, które mieli oni wobec Zachodu. Garton Ash nie jest zbyt precyzyjny, gdy wspomina wyłącznie Polaków. Wszystkie narody słowiańskie na wschód od Niemiec miały, wedle zamiarów nazistów, zostać skazane na los niewiele lepszy niż Żydzi, podczas gdy los Francuzów i innych narodowości w Europie zachodniej miał być dużo lepszy, ze względu na respekt i snobizm, jaki Niemcy, a szczególnie Hitler, żywili wobec nich. Toteż radziłbym Lanzmannowi, jeżeli można mu cokolwiek radzić, aby zamiast rzucać bezpodstawne uwagi o Francuzach i Polakach zbadał dobrze udokumentowane plany Hitlera dotyczące Francuzów (ujawnione szczególnie w czasie jego wizyty w Paryżu w 1940 roku) i Polaków. I jeśli Lanzmann nadal by powątpiewał, że mniejszość francuska mogłaby sobie życzyć eksterminacji innego narodu, zalecałbym lekturę co bardziej ekstremalnych propozycji katolickich w sprawie rozprawienia się z hugenotami w szesnastym wieku, łącznie z opisami, co z hugenotami rzeczywiście robiono. Istotnie, w owym czasie hugenoci domagali się tolerowania ich we Francji przynajmniej na takich warunkach, na jakich papież tolerował Żydów w państwach papieskich, do których należał był wówczas Awinion jako enklawa na terytorium samej Francji.

Trzeba stale powtarzać: likwidacja Żydów przez Niemcy nazistowskie nie była sprawą jedyną w swoim rodzaju i można zacząć ją nieco rozumieć dopiero wówczas, gdy zauważy się, że nie była czymś wyjątkowym. Próbując dostrzec, że większość ludzi zachowywała się niemal przez cały czas w typowo ludzki sposób, możemy być przygotowani na inne podobne horrory, które mogą nastąpić. Jeśli nie zdołamy im przeciwdziałać, być może prawdziwe zrozumienie tego, co się stało, sprawi, że nie zadowolimy się zachowywaniem się jak zdecydowana większość w każdych okolicznościach, ale że, bez potępienia tej większości, będziemy starali się w godzinie próby być lepsi, działając na rzecz ocalenia życia.



Redukowanie, by tak powiedzieć, Holocaustu do tego, co zdarzyło się tylko Żydom, sprzyja, świadomie lub nie, postawie obojętności lub niezauważania w znacznym stopniu tego, co się działo, dzieje lub stanie się w przyszłości z innymi ludźmi, z innymi zbiorowościami.

Jedną z najmądrzejszych myśli odnotowanych w historii ludzkości wyraził Konfucjusz, apelując o uściślenie terminologii, jakiej się używa i ostrzegając przed nieszczęściami, które grożą w razie użycia fałszywych pojęć oraz wprowadzających w błąd definicji. Rzecz jasna, użycie przez Niemców takich terminów jak „ostateczne rozwiązanie”, „przerzedzanie” albo „oczyszczenie z Żydów”, gdy mowa była o masowych morderstwach, jest tego najlepszym przykładem. (Nawiasem mówiąc, dwa ostatnie terminy używane są czasem w Izraelu w odniesieniu do Palestyńczyków). A zatem, aby zrozumieć Zagładę, powinniśmy zbadać inne przykłady masowych mordów popełnionych na całych lub prawie całych zbiorowościach, przy akompaniamencie pochwał za takie postępowanie, oraz sytuacje, w których wprowadzenie nie cała grupa była celem eksterminacji, jednak wymordowanie wielu jej członków (wybranych na podstawie nieludzkich kryteriów) i zniewolenie pozostających czyniło jej los w kategoriach ludzkiego cierpienia niemal tak samo tragiczny jak los Żydów pod okupacją niemiecką. Przykładem może być budzący grozę handel afrykańskimi niewolnikami z ich przeprawą przez Atlantyk. Powinien on być uważany przez każdego, również przez Żydów, za dokładny odpowiednik horroru Holocaustu. Gdy próbuję wyobrazić sobie najazd na wioskę afrykańską, selekcję zdolnych do pracy mężczyzn i kobiet (jak w Oświęcimiu), wymordowanie innych – dzieci, starych, słabych; następnie długi marsz i transport zostawionych przy życiu w najbardziej poniżających warunkach, strasznych, takich, jakie widziałem za nazistów; wreszcie życie w niewolnictwie, przeważnie na plantacjach; wtedy muszę i jako człowiek, i jako Żyd, który przeżył Zagładę, powiedzieć: Holocaust i niewolnictwo są aktami tak samo strasliwymi i powinno się je tak samo oceniać. Szczytów ludzkiego cierpienia nie można rozróżniać, pozostając przy tym człowiekiem. Musimy pamiętać, jak ja o tym cały czas pamiętam, że tylko klęska Hitlera ocalała Polaków, Rosjan i inne narody słowiańskie Europy od

podobnego losu niewolników. W ten sam sposób powinniśmy traktować również i akty ludobójstwa innych grup, małych czy dużych. Historia ludzkości zna ich wiele, przypomnę trzy: całkowitą likwidację mieszkańców Tasmanii w drugiej ćwierci dziewiętnastego wieku przeprowadzoną przez brytyjskich osadników z pomocą aboryginów australijskich (przywiezionych w tym celu z Australii na Tasmanię); niemal całkowitą zagładę Ormian w Cesarstwie Otomańskim w latach 1915-1917; oraz „wyczał utrzymujący się przez większą część zapisanej historii Chin, polegający na „ścieraniu” z powierzchni ziemi całych rodzin lub klanów – „wrogów państwa”, szczególnie dzieci (wymordowanie według zwyczaju – w jego najłagodniejszej formie – nakazywało zabicie pięciu pokoleń, czyli oprócz „wroga” wszystkich członków jego rodziny począwszy od dziada, a skończywszy na wnukach; wiedząc, że wyższe klasy w Chinach uprawiały poligamię, można z łatwością poczynić orientacyjny rachunek, ile osób skazywano w wypadku oskarżenia o wrogość wobec państwa – powiedzmy sześćdziesięcioletniego ministra).

Poważnego zastanowienia się nad Zagładą nie można ograniczać do rozważań nad zachowaniem się w przeszłości (i obecnie). Musimy pójść dalej i postawić naprawdę kłopotliwe pytania: jaki jest nasz (i naszych bliźnich) prawdziwy stosunek do ludobójstwa, do masowej eksterminacji dzieci, do tego wszystkiego, co się naprawdę zdarzyło w czasie Holocaustu; musimy zapytać tych wszystkich ludzi, którzy, będąc gotowi potępiać Hitlera i nazizm (który, jakby nie było, przegrał), pochwalają, nawet teraz, eksterminację, jeśli tego żąda ich Bóg w ich świętych księgach. Bo przecież eksterminacja całych narodów oraz selekcja w nazistowskim stylu, z mordowaniem niewinnych ludzi lub dzieci arbitralnie wybranych na rozkaz „władz” jest przykazana w Starym Testamencie, a skazanie większości rodzaju ludzkiego „na wieczny ogień” jest zapowiedziane w Nowym Testamencie (i w Koranie). Żadna znacząca i prawdziwie ludzka dyskusja na temat znaczenia zagłady Żydów nie może w moim mniemaniu nastąpić, jeśli ludzie – odważniejsi od Lanzmanua – nie zadadzą pytań tym Żydom, którzy wierzą w „zasadniczą” świętość i prawość takich tekstów jak: „...niczego nie zostawisz przy życiu” (Księga Powtórzonego Prawa, 20, 16) lub: „...nie

lituj się nad nimi, zabijaj tak mężczyzn, jak i kobiety, młodzież i dzieci" (Samuel, I, 15, 3), lub jeszcze: „Zabijcie więc spośród dzieci wszystkich chłopców, a spośród kobiet te, które już obcowały z mężczyzną. Jedyne wszystkie dziewczęta, które jeszcze nie obcowały z mężczyzną, zostawicie dla siebie przy życiu" (Księga Liczb, 31, 17-18), które przypomina selekcję w nazi-stowskim stylu przeprowadzoną z zimną krwią na kobietach i dzieciach. Bez jeżdżenia w okolice Trebłinki Lanzmann mógłby i w Paryżu znaleźć ludzi, którzy, gdyby ich zapytano, wystąpiliby w obronie wszystkich tych zbrodni, bo po pierwsze – były one przypuszczalnie wykonywane przez ich własne plemię na rozkaz władz (rzekomo boskich, co tylko pogarsza sprawę), a po drugie – ponieważ w tym wypadku zbrodnie te zostały poparte sukcesem przeżycia ich jako grupy i zdobyły akceptację wielu pokoleń wiernych. Oczywiście postawienie takich pytań wymaga prawdziwej odwagi, której, pozwolę sobie zaznaczyć, Lanzmann (i Hilberg) nie mają. Przecistawianie się czynnie lub biernie wrogom społeczności, do której się należy przez urodzenie lub wychowanie, wcale nie uważam za wyższy typ odwagi i uczciwości, ponieważ można liczyć na jej poparcie moralne i solidarność, czasem ślepą i nieracjonalną. Prawdziwie wielką odwagę i uczciwość dostarczałem za to w warunkach Zagłady, wtedy, kiedy Polak przeciwstawiał się (w formie otwarcie wyrażanego poglądu lub indywidualnego działania) opiniom lub milczeniu innych Polaków; kiedy Żyd przeciwstawiał się innym Żydom; i kiedy Niemcy przeciwstawiali się innym Niemcom, czy to broniąc kalekich Niemców, czy krytykując nazizm jako taki. Jest to ten rodzaj odwagi, który powinien stanowić dla nas wzór do naśladowania, którego powinniśmy się uczyć. Bez okazywania jednak zbyt wielkiej pogardy dla tej milczącej większości, która nie jest doń zdolna, ani w warunkach Zagłady, ani będąc świadkami innych ludobójstw. Jest to w istocie podstawowe, nie kończące się poszukiwanie, w którym Lanzmann zawiódł, a Garton Ash nie rozumie jego błędu.

Israel Shahak

Przełożyła z angielskiego R.G.

Włodzimierz Goldkorn

## SENS HISTORII I ZAGŁADA ŻYDÓW

• Jedną ze scen „Shoah”, filmu Claude Lanzmanna, przedstawia chłopca z Treblinki, który gardłując „rararara” twierdzi, że „tak mówili między sobą Żydzi” zamknięci w wagonach kolejowych. Lanzmann prosi chłopca, aby jeszcze raz powtórzył ten dźwięk, co bohater scenki czyni z uśmiechem na ustach. Publiczność w paryskim kinie jest oburzona. Traktuje to jako przejaw prymitywnego antysemityzmu.

I rzeczywiście, dla francuskiego widza zobaczenie w kinie polskiego chłopca, który w Treblince zachowuje się w sposób niewątpliwie, choć nieświadomie, antysemicki jest szokiem. W tym momencie paryski widz skłonny jest uznać polskiego chłopca za winowajcę losu Żydów przez niego przedrzeźnianych. Komora gazowa, krematorium stają się „naturalnym” zwieńczeniem tradycyjnego antysemityzmu. Nic prostszego niż ustalić logiczny związek między przedrzeźnianiem Żydów a ich mordowaniem w obozach zagłady.

Podobnych scenek jest w filmie Lanzmanna wiele. W jednej z nich dostoyny obywatel Cheimna oświadcza, że zagłada Żydów była karą za zamordowanie Chrystusa, w jeszcze innej pewien chłopca mówi, że przed wojną Żydzi byli elementem szkodliwym, bo wyzyskiwali Polaków.

Wspólną cechą tych scen jest przeniesienie zdarzeń z jednego kontekstu do innego, nie mającego z kontekstem pierwotnym nic wspólnego. Chłop przedrzeźniający Żydów, dostojny obywatel oskarżający ich o zamordowanie Chrystusa i inni antysemita nie wysyłali i nie mieli zamiaru wysłać Żydów do komór gazowych. Lanzmann stwarza jednak wrażenie, że to z ich winy dokonał się Holocaust.

Możliwe, że trzech antysemita, o których wyżej, w pewnych warunkach byłoby nawet skłonni wziąć udział w ewentualnym pogromie. Paryski widz odczuwa to wyraźnie. Paryski widz i Lanzmann nie zdają sobie jednak sprawy z tego, że zagłada nie była pogromem. Nie była nawet „pogromem totalnym”. Była wydarzeniem jakościowo innym od wszystkich pogromów, wygnañ i nieszczęść doznawanych w ciągu dwóch tysięcy lat przez naród żydowski.

Antysemityzm prowadzi do pogromów, antysemityzm niejednokrotnie prowadził do mordowania Żydów. Zagłada nie jest jednak logicznym „ukoronowaniem” antysemityzmu.

Nierozróżnianie między zagładą a pogromem, traktowanie Holocaustu jako „naturalnej” konsekwencji antysemityzmu, prowadzi do umiejscowienia polskiego antysemityzmu w kontekście, z którym nie ma on nic wspólnego. To poplątanie ułatwione jest przez fakt, że zagłada dokonała się właśnie na ziemiach polskich.

Jeden z najwybitniejszych historyków antysemityzmu, Herbert A. Strauss, pisze, że relacje ludzi, którzy przeżyli zagładę, „napotykają barierę tego, co język może wyrazić”<sup>1</sup>. I dodaje: „Holocaust nie ma żadnego racjonalnego sensu”. Zdaniem Straussa celem badań nad Holocaustem nie powinno więc być doszukiwanie się tego sensu, lecz „tylko” próba głębszego zrozumienia *condition humaine*.

Ale czym był Holocaust? Bariera językowa, o której mówi Strauss, spowodowała, że do dziś nie potrafimy w pełni opisać zagłady. A bariera to nie innego jak brak czegoś, co nazwać można „kodem językowym”. Po wielkich klęskach (zburzenie Drugiej Świątyni, wygnanie z Hiszpanii, fala pogromów związanych z wyprawami krzyżowymi) Żydzi wypracowali sposoby interpretacji tych wydarzeń. Stawały się one zrozumiałe, mieściły

się w ramach tego, co nazwać możemy sensem historii. Josef Haim Yerushalmi zauważa<sup>2</sup>, że to właśnie Żydzi „wynaleźli” sens historii (podczas gdy historia jako taka jest wynalazkiem greckim). Wszystkie nieszczęścia doznawane przez naród żydowski lub przez poszczególne gminy mieściły się w ramach „zobiektywizowanego” rozumienia historii jako urzeczywistniania się projektu Bożego, projektu, w którym człowiek uczestniczy. Holocaust natomiast dotychczas nie znalazł swojego autonomicznego języka. Do dzisiaj jest czymś z trudem wypowiedalnym. Dlaczego? Jakie są skutki tego stanu rzeczy?

Książka Yerushalmiego doskonale opisuje i analizuje żydowskie tradycyjne widzenie historii. Kiedy rabini z Javneh około 100 roku naszej ery włączyli do Biblii księgi Samuela i Królów, „laicka” historia narodu stała się częścią Pisma Świętego. Tym samym dokonała się swego rodzaju sakralizacja historii. Sakralizacja, której korzenie sięgają zresztą dużo głębiej. Historia jest i była dla Żydów polem realizacji woli Bożej przy pomocy człowieka. Bóg zawarł przymierze z ludźmi (konkretnie z narodem żydowskim, a jeszcze konkretniej – z każdym poszczególnym Żydem) i każdy poszczególny Żyd jest zobowiązany dopomóc w realizacji projektu Bożego. Historia narodu jest więc przeżywana w sposób indywidualny. Zresztą już przepisy religijne zobowiązują każdego Żyda, aby uważał się za człowieka, który o s o b i ę przebywał w niewoli egipskiej<sup>3</sup>.

Rytualizacja i sakralizacja historii doprowadziły do tego, iż dzieje narodu są przede wszystkim interpretowane, a dopiero potem zapisywane. Innymi słowy, nowe nieszczęścia odhieranę są jako powtórzenie dawnych wydarzeń. Masowe samobójstwa Żydów, którzy chcieli uniknąć przymusowego chrzczenia przez krzyżowców w Dolinie Renu, porównywane są przez rabinów do ofiary Izaaka. Śmierć „al kidusz ha Szem” (dla uświęcenia Boga, a ściślej – za wiarę w jednego Boga) staje się punktem stałym życia gmin żydowskich. Nawet formy tej śmierci są rytualizowane. Umierający Żydzi recytują modlitwę „Szma Israel, Elohejnu Echad” (słuchaj Izraelu, Bóg jest jeden). Tę samą modlitwę wypowiadali Żydzi mordowani przez uczestników wypraw krzyżowych, przez kozaków Chmielnickiego i przez hitlerowców.

Historiografia Żydów w pewnym momencie obróciła się – zdaniem Yerushalmiego – w „schematologię”. Interesujące nie były już wydarzenia, lecz próba nadania im sensu w ramach globalnego projektu Bożego. Dla Żydów zburzenie Drugiej Świątyni stało się li tylko powtórzeniem losów Pierwszej Świątyni. Rzezie Chmielnickiego były tylko powtórzeniem rzezi dokonywanych przez krzyżowców. Haskala (żydowskie Oświecenie) nie stworzyła nowoczesnej, wolnej od z góry przyjętych schematów historiografii (nie miejsce tu na wy tłumaczenie, dlaczego tak się stało). Zadaniem dzisiejszej historiografii żydowskiej jest więc, wedle Yerushalmiego, opracowanie racjonalnego podejścia do Holocaustu. Innymi słowy, mówiąc o Holocaustcie, trzeba wyjść poza mity i zająć się rzeczywistością.

Ten dość długi wywód niezbędny jest dla zrozumienia miejsca, jakie Holocaust zajmuje w świadomości Żydów. Powiedzieliśmy już, że opis zagłady jest w zasadzie niemożliwy. Ludzie, którzy To przeżyli, nie są w stanie dokładnie opowiedzieć swoich doświadczeń. Z drugiej jednak strony Holocaust nie został zepchnięty do podświadomości. Nie występuje on tylko w snach lub w formach wysublimowanych. Holocaust jest podstawowym świadomym przeżyciem każdego Żyda, nawet tych Żydów, którzy, jak autor tego artykułu, urodzili się już po wojnie. O Holocaustcie stale się mówi, pisze, Holocaust jest w naszym życiu wszechobecny <sup>4</sup>.

Jednak dotychczas główną formą zapisu Holocaustu jest coś, co nazwać można „zapisem osobistym”. Ludzie opowiadają (w granicach tego, co można opowiedzieć) swoje subiektywne przeżycia. Ale jak już zauważyliśmy, opowiedzieć w s a j s t k i e g o o Holocaustcie po prostu się nie da. Przeszkoda jest bariera językowa, o której pisze Strauss: „Jak w świecie, gdzie codziennie ludzie się myją, można opisać uczucie utraty własnej wartości, uczucie obecne codziennie, przez całe lata, a spowodowane ściekaniem ekskrementów oblepiających nogi w czasie wielodniowych apeli?” Strauss zapisuje reakcję typową dla ludzi, którzy przeżyli Holocaust: „Tu, w tym świecie, nie ma z kim rozmawiać”. Ale nie jest to jedyna reakcja. Ludzie, którzy przez zagładę przeszli, o zagładzie mówią, bo przecież muszą mówić. Mówimy o zagładzie także my, którzy w tej atmosferze się wy-



chowaliśmy, ale mówimy siłą rzeczy w sposób abstrakcyjny. Tym samym zapis osobisty, subiektywny, „świata wyjątkowego, unikalnego”, zostaje wyrażony „obiektywnie” w słowach używanych w świecie codziennym, zwykłym, tym, do którego jesteśmy przyzwyczajeni. Dla Polaków przyjmuje to formę nieuznawania unikalności Holocaustu. „Mordowano także Polaków, tyle że mniej niż Żydów”. Żydzi, którzy przeżyli Holocaust lub wychowali się w jego atmosferze, nie dysponują żadnymi racjonalnymi interpretacjami Holocaustu. Istnieją tylko subiektywne obrazy ujęte w ramy tradycyjnych zrytualizowanych interpretacji meta-histerycznych. Zapis subiektywny nakłada się z kolei na wspomnienia tego, co się działo (w Polsce) przed zagładą. Holocaust staje się w ten sposób ukoronowaniem polskiego antysemityzmu.

Żydzi bardzo często po prostu nie pojmują, że polski antysemityzm z Holocaustem nie ma nic wspólnego. Spowodowane to jest także między innymi faktem, że Holocaust bardzo mało zmienił w polskiej percepcji problemu żydowskiego. Oskarżenia, iż większość Polaków była obojętna wobec zagłady, są słuszne. Film Lanzmanna obojętność i niezrozumienie tego, co się stało, doskonale dokumentuje. Nieporozumienie wynika dopiero z tego, że tę obojętność uważa się za aktywny współdziałanie w zbrodni.

Powyższą tezę można ująć jeszcze drastyczniej. Otóż niewykluczone jest, że wielu spośród tych, którzy Żydów ukrywali, pozostało antysemitami. Polski antysemityzm nie posuwał się bowiem do zbrodni zagłady. A ponieważ polski antysemityzm nie nzwzględniał możliwości hitlerowskiego sposobu rozwiązania kwestii żydowskiej, polska kultura nie poczuwała się do obowiązku głębszej refleksji nad problemem zagłady. Albo jeszcze inaczej. Charakterystyczny jest fakt, że dla kultury polskiej, dla polskich intelektualistów, *exodus* 1968 roku był większym szokiem niż Holocaust. Dlaczego? Chyba nie tylko dlatego, że w 1968 roku wyjechali z Polski ludzie uważani i uważający się za Polaków, lecz przede wszystkim dlatego, że w 1968 roku zrealizowany został program polskiego antysemityzmu: Żydów wygnano. W latach wojny natomiast realizowany był przez Niemców program, który z polskim antysemityzmem nie miał nic wspólnego.

Żydzi na ogół nie rozumieją tych niuansów. Zrytualizowana wizja historii (jedyna „niesubiektywna” interpretacja) czyni wszystkich antysemitów odpowiedzialnymi za Holocaust. Ale problem żydowskiej percepcji zagłady nie sprowadza się tylko do zapisu indywidualnego, zobiektywizowanego przez rytualno-sakralną wizję historii. Holocaust jest jednocześnie wydarzeniem o wymiarach wręcz mistycznych i mitologicznych, ale w żydowskiej percepcji historii mitologia – jak wykazuje Yerushalmi – poprzedza zapis realnych wydarzeń. Wynika stąd, że sprzeczność między poczuciem unikalności Holocaustu a jego skodyfikowaniem jako epizodu stale powtarzającej się historii jest tylko pozorna. W rzeczywistości Żydzi widzą w Holocaustcie coś zarazem unikalnego i będącego powtórzeniem na wielką skalę rzezi Chmielnickiego czy pogromów w Kiszyniowie lub w Częstochowie. Po prostu pogromy doprowadziły do Holocaustu.

Tego typu interpretacja Holocaustu została zresztą zaakceptowana przez tę ideologię, która z drugiej wojny światowej wysłała wśród Żydów zwycięsko. Brani to cynicznie, ale trudno zaprzeczyć, iż zwycięzcami „żydowskiej wojny domowej” okazali się syjoniści. Albo inaczej, zwycięzcami sporów, a nieraz ostrych i bolesnych bójk, jakie w łonie społeczności żydowskiej toczyły ze sobą rozmaite partie, ruchy polityczne i ideologie, okazali się syjoniści. Zarówno lewicowi, jak i prawicowi. Zwyciężyli z kilku powodów. Przede wszystkim ponieważ przeżyli. Nie zapominajmy, że Holocaust przeżyli tylko ci członkowie elit politycznych, którzy pozostali poza zasięgiem hitlerowskiej przemocy. A więc w pierwszym rządzie pionierzy w Palestynie i komuniści, którzy schronili się w Związku Radzieckim. Bundowcy, folkiści, działacze Agudy, anarchiści zostali po prostu wymordowani. Komuniści na ogół od żydostwa się odjęzywali, a w każdym razie nie uważali tego właśnie wymiaru swojej osobowości za podstawowy. Życie polityczne, ideowe i kulturalne Żydów po wojnie zostało więc siłą rzeczy zdominowane przez syjonistów. Nie tylko dlatego, że „masowo przeżyli”, także dlatego, że historia przyznała im gorzką rację. Ich teza, że nie ma ratunku dla Żydów w diasporze, okazała się prawdziwa. Bundowskie i folkiwskie programy autonomii kulturowej w krajach osiedlenia okazały się marzonką.

Ale jaka była i jest syjonistów wizja historii Żydów? Zajmuje się tym w doskonałym eseju izraelsko-niemiecki politolog i historyk Dan Diner<sup>6</sup>. Otóż program osiedlenia wszystkich Żydów w Palestynie był odpowiedzią na tradycyjne formy antysemityzmu jak bojkot gospodarczy, pozbawienie pewnych praw politycznych lub obywatelskich, pogromy. Nie był i nie mógł być ten program odpowiedzią na masową zagładę. Z kilku powodów. Przede wszystkim Holocaustu nikt nie mógł sobie wyobrazić. I to nie tylko teoretycznie. Już w czasie zagłady do Palestyny docierały osoby, którym udało się zbiec z Polski (osobiście znam ludzi związanych wówczas ze zorganizowaną siatką przemytu Żydów ze Śląska i Zagłębia Dąbrowskiego, przez Słowację, Węgry i Turcję do Palestyny). Ci ludzie w Palestynie dotarli do przywódców ówczesnego jiszuwu (zorganizowanej społeczności żydowskiej) i zdali im dokładny raport o sytuacji w Polsce. W odpowiedzi usłyszeli, że o tych sprawach powinni milczeć. I milczeli. Zresztą o zagładzie informował Jan Karski i, w dramatyczny sposób, Szmuel Zygielbojm. Informacje o zagładzie przekazywali przebywającym na Zachodzie kolegom działacze żydowscy będący w Polsce. Te wiadomości natrafiały jednak na mur niewiary. Dlaczego? Po prostu dlatego, że żaden człowiek wychowany w racjonalistycznej tradycji europejskiej nie mógł w to uwierzyć. W Polsce dokonywały się rzeczy niewyobrażalne. Kto nie widział Oświęcimia albo przynajmniej zdjęć zagłady, kto nie czytał świadectw tych czasów, nie może sobie nawet dziś wyobrazić tego, co się stało. (Kłamstwo o tym, że w Oświęcimiu nie mordowano Żydów jest nośne, bo zagłada dosłownie nie mieści się w głowie.)

Program syjonistów nie był i nie mógł być odpowiedzią na Holocaust także z innego powodu. I tu dochodzimy do sedna sprawy. Otóż, jak zauważa Diner; społeczność żydowska w Palestynie przeżyła wojnę zupełnie przypadkowo, na tych samych zasadach, co społeczność żydowska w Anglii lub w ZSRR. Ci Żydzi przeżyli, bo wojska aliantów nie dopuściły do tego, by wpadli oni w ręce hitlerowców. Gdyby Rommel zwyciężył bitwę pod El-Alamein, społeczność żydowska Palestyny podzieliłaby los Żydów z Warszawy. Uznanie tej prawdy byłoby jednak dla kultury żydowskiej ogromnym szokiem. Uznanie faktu, że

Holocaust był zjawiskiem, na jakie żadna tradycyjna ideologia żydowska, żaden tradycyjny program polityczny nie mogły dać odpowiedzi (ponieważ – powtarzam – stała się rzecz niewyobrażalna), podważyłoby legitymację istnienia państwa Izrael. Okazałoby się, że syjoniści nie zrozumieli więcej niż „pokonani” bundowcy, albowiem w pewnych warunkach po prostu nie ma ratunku.

A jaki człowiek, jaka społeczność mogą żyć ze świadomością, że nie ma ratunku? Więcej, do dziś Żydzi, wielu Żydów chciałoby wierzyć, że od zagłady był ratunek, a Żydzi zginęli, bo nie chciano ich ratować. (Kto nie chciał? No, oczywiście Polacy. Szmalcownik staje się w ten sposób symbolem Polski).

Można tę tezę ująć inaczej. Dla syjonistów (dla większości syjonistów) 2000 lat diaspory jest tylko jednym długim pasmem powtarzających się nieszczęść. W tym kontekście historiografia syjonistyczna jest spadkobierczynią rytualno-sakralnej wizji historii, o której pisze Yerushalmi. Do niedawna w Izraelu i w diasporze dominowała Ben-Guriona wizja historii Żydów: najpierw Królestwo Salomona i „prawdziwa historia” aż do zburzenia Drugiej Świątyni, potem dwa tysiące lat rzezi i wstydu, a potem znów prawdziwa historia, czyli ruch syjonistyczny i pionierzy. W szkołach izraelskich (maturę zrobiłem w Izraelu) uczono do niedawna, że przez dwa tysiące lat Żydzi nigdy nie byli podmiotem, lecz zawsze pasywnym przedmiotem, bezsilną ofiarą wrogości otaczającego ich świata. W tej wizji historii nie ma różnicy między rzezią Chmielnickiego a śmiercią al kidusz ha-Szem w czasie wypraw krzyżowych, między śmiercią al kidusz ha-Szem a Oświęcimiem<sup>9</sup>.

Przyznać, że Oświęcim, że Treblinka były czymś nieprzewidywalnym oznacza, że syjonizm nie był lepszą odpowiedzią na problemy Żydów niż, na przykład, program autonomii kulturowej Bundu.

W ten sposób, przez czterdzieści lat, w świadomości Żydów utwierdzała się percepcja Holocaustu jako szczytowej fazy tradycyjnego antysemityzmu. A protagonistami „normalnego” antysemityzmu są Polacy, Rosjanie, Ukraińcy. Czy ten stan rzeczy może się zmienić? Odpowiedź na to pytanie powinna być pozytywna. Jesteśmy w ostatnich latach świadkami poważnych

zmian w historiografii żydowskiej. Powody tych zmian są różne. Przede wszystkim państwo Izrael istnieje już od prawie 40 lat i świadomość jego obywateli jest inna niż kiedyś. Ludzie urodzeni w Europie wschodniej i środkowej, mający wspomnienia z tej części świata, są dziś w Izraelu mniejszością. Elit politycznych i kulturalnych nie tworzą już „Pojacy” i „Rosjanie”, lecz *sabry*; ludzie urodzeni w Izraelu, dla których antysemityzm jest egzotyką i którzy uzasadnienie swojego pobytu w Izraelu widzą w samym fakcie urodzenia się tam, mówienia po hebrajsku od urodzenia i w życiu codziennym. Państwo żydowskie jest coraz mniej zideologizowane; staje się po prostu laickim krajem ludzi, którzy tam się urodzili, tam mieszkają i którzy nie wstydzą się faktu, iż wywodzą się z diaspory <sup>7</sup>.

Historycy izraelscy zaczynają zajmować się w sposób obiektywny sprawami diaspory. Charakterystyczny jest fakt swoistej „rehabilitacji” Bundu <sup>6</sup>, odkrycie na przykład, że był partią, która pierwsza zajęła się organizacją samoobrony w carskiej Rosji (jeszcze parę lat temu tego typu odkrycie byłoby skandalem, bo negowałoby tezę, że Żydzi w diasporze pozwalali się mordować bez oporu). Mamy do czynienia z naturalnym procesem normalizacji życia narodu i odzyskiwania własnej historii. Proces ten będzie jednak powolny, przeszkodą będzie szok, jaki może spowodować odkrycie, że w czasie zagłady nie było ratunków. Z drugiej jednak strony pogłębiająca się mimo wszystko integracja Izraela na Bliskim Wschodzie – pokój z Egiptem, rozmowy pokojowe z Jordanią, jeżeli do nich dojdzie – niewątpliwie złagodzą ten szok. Po prostu poczucie bezpieczeństwa pozwoli na podejmowanie ryzyka radykalnej, choć stopniowej, rewizji historii.

Włodzimierz Goldkorn

#### PRZYPISY

<sup>1</sup> „Der Holocaust. Reflexionen ueber die Moeglichkeit einer wissenschaftlichen und menschlichen Annaeherung”, w: Herbert Strauss, Norbert Kampe, *Antisemitismus*, Campus Verlag, Frankfurt 1985. Dalsze cytaty Straussa pochodzą z tego eseju.

\* Y. H. Yerushalmi, *Zakhor: Jewish history and Jewish memory*, University of Washington Press, Seattle-London 1982.

<sup>3</sup> Pamięć niewoli egipskiej jest żywa także wśród Żydów niewierzących. Na przykład trzytomowa historia żydowskiego ruchu robotniczego napisana przez trockistę Nathana Weinstocka zatytułowana jest *Pain de la misère* (Chleb nędzy), (Editions la Découverte, Paris 1984). Jest to bezpośrednia aluzja do rytuału paschalnego, a więc do wspomnienia niewoli egipskiej i wyzwolenia z niej.

<sup>4</sup> Nie zgadzam się więc z tymi, którzy twierdzą, że „miano Żyda jest dziś we Francji, jak i w Polsce, fakultatywne. Nic nas do jego przyjęcia nie zobowiązuje...” (Ewa Zarzycka-Bérard, „W odpowiedzi S. Blumsztajnowi”, *Kontakt*, nr 7-8, 1985). Niestety miano Żyda w Europie nie jest fakultatywne, do przyjęcia go zobowiązuje nas *volens volens* Holocaust, nie tylko ze względów moralnych, ale po prostu z powodów obiektywnych. Biografia Żyda w Europie po Holocaustie jest zasadniczo różna od biografii nie-Żyda. Można być co najwyżej Żydem zasymilowanym.

<sup>5</sup> „Percezione e identità. Considerazioni storico-psicologiche sul sionismo e l'«Olocausto», w: *Chi ebrei dell'Europa orientale dell'utopia alla rivolta*, Edizioni di Comunità, Milano 1985 (są to akta kolokwium, które odbyło się w styczniu 1984 roku w Turynie).

<sup>6</sup> W latach o rzeziach Chmelnickiego uczy się, pomijając kontekst historyczny. To samo dotyczy koczowniców.

<sup>7</sup> Ben Gurion zmuszał polityków do hebraizowania nazwisk; diaspora była „złem” i należało się wyrzec wszelkich korzeni: w Izraelu człowiek „rodził się na nowo”. Dziś politycy mają nazwiska z diaspery i się tego nie wstydzą. Nikt nie chce już tworzyć „nowego eżewicki”.

<sup>8</sup> Na kolokwium turyńskim dwaj wybitni historycy z Uniwersytetu Hebrajskiego w Jerozolimie – Israel Geizler i Jonathan Frankel – wygłosili referaty rehabilitujące Bund. Zarówno Geizler, jak i Frankel są syjonistami, nie należą do żadnego skrajnie lewicowego ruchu politycznego (choć są lewicowi). Po prostu historia przestała być polem walki.

NAKŁADEM ANEKSU

Wiktor Wereszyński

DZIENNIK INTERNOWANIA

i inne wiersze ilustrowano przez

JANA LESENSTEINA

Str. 64

Cena: £2,75; US\$6,50

**Jacek Kuroń**

## **ZOŚKA \***

Sprawa żydowska odegrała w moim życiu niesłychanie ważną rolę. Pamiętam, jak się z nią pierwszy raz zetknąłem. Moja babcia, mama ojca, żona bojowca PPS-u, pobożna katoliczka postanowiła nie dać żebrakowi jałmużny mówiąc, że to Żyd, a Żydzi zamordowali naszego Pana Jezusa. Ojciec powiedział, że to wszystko bzdury, a Pana Jezusa ani Pana Boga nigdy nie było, wymyślają to tylko głupie baby. Może mówił zresztą co innego, może mówił o klekach, to było zawsze dla ojca brzydkie słowo. Ale wtedy pamiętam tylko ulgę, bo nie podobał mi się pomysł, żeby nie dać jałmużny żebrakowi. Natomiast sprawa żydowska objawiła mi się z niebywałą zupełnie mocą, kiedy do Lwowa przyszli Niemcy. Wtedy nagle odkryłem, że istnieje coś takiego jak Żyd. Inaczej – że Żydami są różni moi koledzy, znajomi, znajomi rodziców.

Wszystko to wiąże się z domem, w którym mieszkaliśmy, budowanym z dochodów ZUS-u. W takich domach mieszkała przede wszystkim tak zwana postępową inteligencją: socjaliści, lewicowcy, pilsudzczy, wszyscy, którzy widzieli swoje miejsca w popieraniu różnorodnych społecznych inicjatyw. Było tam bar-

---

\* Fragment większej całości.



dzo wielu asymilujących się żydowskich inteligentów, Polaków żydowskiego pochodzenia. W związku z tym wielu było ich wśród moich kolegów. Piętro nade mną mieszkał taki chłopiec, Marek Grab. Chodziłem do niego oglądać filmy na małym dziecięcym projektorze. Pamiętam też dobrze sklep w naszym domu, prowadził go taki Liwszyc z żoną i bratem żony, Emilem. Kupowałem tam różne rzeczy dla rodziców, przychodziłem na lody, na wodę sodową, a on zawsze sprawdzał mi na głowie, czy już rosną rogi, mówił, że jestem mały diabeł. Pamiętam jeszcze pana Markusa, po prostu tych ludzi, z którymi zetknąłem się potem w czasie wojny. Właśnie Marek Grab pojawił się w naszym domu, kiedy zaczęło się polowanie na ludzi, które widziałem z bliska.

Pamiętam wstrząs, jaki przeżywałem, patrząc na to polowanie. Maszerowali w czwórkach więźniowie obozu janowskiego, Pod Lwowem, w Janowie był obóz śmierci i obóz pracy. Nie tylko Żydzi tam byli, ale te żydowskie kolumny szły codziennie przez miasto. Ogoleni na zero, w pasiakach, stukając po ziemi drewniakami, cienie ludzi. Śpiewali:

Albośmy to jacy, tacy  
 Z janowskiego łagru pracy  
 Kto nas nie zna może poznać  
 Chuj ci do dupy, kurwa mać  
 Gdy wyciągną cię z kolumny  
 Nie dostaniesz nawet trumny  
 I na piaski pójdiesz spać  
 Chuj ci do dupy, kurwa mać  
 Akcja w maju, akcja w lutym  
 Żonę z dzieckiem masz za drutem  
 Serce chce się z bólu rwać  
 Chuj ci do dupy, kurwa mać

Śpiewali jeszcze inną piosenkę, która była może nawet i śmieszna, ale nie było mi wcale do śmiechu: „Marszałek Śmigły Rydz nas nie nauczył nic, ale przyszedł Hitler złoty, nauczył nas roboty”.

Z tym wiąże się pewna historia. Wszedłem rano z domu po mleko, bo urodził się już wtedy Felek, mój brat. Wędrowałem na drugi koniec miasta i litr przynosiłem do domu. Był mroź,

śnieg, wybiegłem na swoją uliczkę Żulińskiego, bo już wyrzucili nas ze Stryjskiej, z tego domu urzędników pensyjnych, który stał się domem tylko dla Niemców. Wybiegłem i z biegu zderzyłem się z pracującym tam człowiekiem z obozu janowskiego. Ludzie z lagru sprząтали całe miasto ze śniegu ustawiając go w równe pryzmy. I kiedy się z nim zderzyłem, pierwsza moja myśl to był strach, ponieważ miasto żyło w grozie tyfusu plamistego, który szalał w Janowie. Warto wiedzieć, że we Lwowie pracował doktor Weigl, Żyd zresztą, darowano mu życie na pewien czas. Produkował szczepionki przeciw tyfusowi plamistemu, wielu znajomych moich rodziców pracowało tam karmiąc wszy. Na udzie wszczepiało się taką małą kłateczkę, w której wszy piły krew. Ta groza tyfusu plamistego, wszy, która niesie tyfus i obozu janowskiego, w którym szaleje wesz, strasznie na mnie ciążyła. Ale inuszę się przyznać, że wiązało się to też z plakatem, który wisiał na ulicach – Żyd, a ściślej wesz z ludzką twarzą o bardzo wyraźnych semickich rysach i napisem pod spodem: Żyd równa się wesz równa się tyfus plamisty. Więc zderzyłem się z tym więźniem z Janowa i poczułem strach. I równocześnie pałący straszny wstyd. Więc szedłem przez całą uliczkę Żulińskiego, może ze sto metrów, pracowało tam wielu Żydów z Janowa, ocierałem się o każdego, żeby siebie ukarać za tamten strach. Kiedy przeszedłem, nagle uświadomiłem sobie, że przecież oni są wycieńczeni, niedożywieni, że ja przy nich jestem nażarty gnój i popycham ich, utrudniam pracę. I że ta cała moja pokuta jest gównem warta.

Może jeszcze z innej strony. Na podwórku śpiewała trójka żydowskich dzieci, wychudzonych, zniszczonych, zagłodzonych. Mama czy ojciec zawołał ich do nas do domu i w kuchni dano im zupę. To nie była ta zupa, którą myśmy jedli. To była zupa z kotła, którą karmiono żydowskich robotników w fabryce, gdzie ojciec był kierownikiem. Miałem 9 lat i wiedziałem, że one zjedzą i pójdą, wyrzuci się je od nas z kuchni, a tam na ulicy czeka na nie śmierć. Było mi tak wstyd tej zupy, tego, co sam jadłem, swojego ubrania, tego, że jestem bezpieczny. Marek Grab, ten chłopiec, który miał projektor filmowy, miał być gdzieś przetransportowany. Przez cały dzień siedział u nas w domu, był blady, był cały strachem. Ja ten strach czułem. Wtedy też się wstydzilem.

Skąd wzięła się we mnie ta wrażliwość? Kiedyś w szkole, chodziłem wtedy do trzeciej klasy, uczono nas kolęd przed Bożym Narodzeniem. Chłopcy zaczęli na przerwie przekręcać jakąś kolędę, chyba „chwała na wysokości, czterech Żydów gryzie kości”. I znowu pałacy wstyd za nich, za siebie i za to, że nie miałem odwagi się im przeciwstawić. To jest sprawa mojego miejsca w szkole. Moi mądrzy rodzice wymyślili, że jestem strasznie inteligentny i utalentowany i wysłali mnie od razu do trzeciej klasy. Było mi strasznie trudno, bo nie nauczyłem się szkoły, stosunków społecznych, nie umiałem pisać, właściwie nie umiałem nic i byłem w związku z tym zawsze głupi, najgorszy w klasie. Każda moja próba znalezienia się, bycia swoim kończyła się na niczym. Poszedłem do szkoły zaraz po tym, jak Niemcy przemieśli nas na Żulińskiego i tam też byłem obcy, nie miałem kolegów. Nowy wśród dzieci jest zawsze gorszy i nim się nauczyłem, jak zostać swoim, to żeśmy się przenosili. Niesłychanie często byłem nowy i samotny. Może właśnie przez tę samotność rosła moja wrażliwość, na którą nakładałem pancerz, żeby dorównać ojcowemu wzorowi dzielnego mężczyzny. Ale myślę, że wrażliwość wobec Żydów miała o wiele głębsze korzenie – głębokie przeświadczenie o braterstwie ludzi, które dziadek i ojciec i mama wpajali we mnie na różne sposoby.

Najmocniej zaowocowało to w momencie, kiedy znajomych Żydów, jakoś mi bliskich, zaczęto ścigać jak zwierzęta na ulicach. Pamiętam taką scenę: bawiliśmy się na podwórku na Żulińskiego, nagle rozległ się strzał, huk. To ktoś pod bramą strzelił z rewolweru. Cisza, zamarliśmy, dozorczyńni woła z głębi podwórka: – Co się stało? Pamiętam dokładnie odpowiedź dozorczy: – Nic, Ukrainiec zabił Żydka. Wybiegliśmy na ulicę, była krew i małe pokręcone zwłoki żydowskiego dziecka. Nic, Ukrainiec zabił Żydka. To nie były pierwsze zwłoki, jakie oglądałem, ale może pierwsze dziecko, pierwszy mój rówieśnik. Z niesłychaną siłą poczułem bliskość, tożsamość z tymi pokręconymi zwłokami dziecka z ulicy. I znowu wstyd, jakbym przyjął to, że nic się nie stało, a to zabito człowieka. Chyba w tym momencie narodziło się we mnie głębokie poczucie jedności z tymi, na których się poluje.

Tu pora jednak opowiedzieć o rodzicach. To, co dotąd o nich mówiłem, jest krzywdą. I dalej będę mówił źle, bo będę próbo-

wał opowiadać, jak ich widziałem. Ale w faktach należy im się sprawiedliwość. Otóż ojciec prowadził na ulicy Żulińskiego pod numerem 11-ym fabryczkę abażurów do lamp dla wojska pod przymusowym zarządem niemieckim, nie wiem, po co wojsku miały być te abażury. Fabryczka była przykrywką założoną z pieniędzy wywiadu Armii Krajowej. Co on robił, tego dokładnie nie wiem. Myślę, że równocześnie współpracował z „Żegotą”, ale nigdy na ten temat nie mówiliśmy, ponieważ ojciec zaraz po wojnie zataił wszystko. Śmiał się potem i był bardzo dumny. Mówił: czytałem historię WKPb, wiedziałem, co to będzie, nic nie powiedziałem. Otóż nie wiem, czy z „Żegotą”, ale działał w ruchu pomocy Żydom zorganizowanym w ramach tej fabryczki na Żulińskiego. Pomagano Żydom wbrew instrukcjom i poleceniom władz AK, co zresztą spowodowało konieczność zakładowa nowej placówki wywiadu na Łyczakowskiej pod piątym, gdzie znowu ukrywano Żydów. W tej fabryczce pracowali Żydzi, ponieważ produkowała dla wojska, co gdzieś tam przez wywiad Armii Krajowej załatwiono. Było ich wielu. Jakaś filia zakładu mieściła się w getcie. Ojciec miał przepustkę do getta, jeździłem tam z nim, pamiętam wszystko dokładnie.

Ale największe wrażenie robiły na mnie wyprawy z mamą na basen na Zamarstynowie. Od nas z domu z Żulińskiego jeździło się tam tramwajem przez getto, patrzyłem przez okno: płot, jak mi się zdaje, drewniany i za tym płotem uliczki, na których leżą ludzie. Do getta lwowskiego zwożono Żydów z całego województwa, te parę kwadratów ulic i domów nie mogło oczywiście ich wszystkich pomieścić. Więc leżeli na ulicach. Na pewno zdychali z głodu, ale mnie jadącemu na basen zdawało się, że przede wszystkim brakuje im wody. Leżeli, stali, opierali się o płot, a myśmy jechali, jechali na basen. Na końcu linii tramwajowej był bazar i mama kupowała wiśnie albo czereśnie, wielkie, soczyste owoce. Przez kratki w płocie patrzyły na to wygłodzone żydowskie dzieci.

I moja mama znosiła to z pogodą, to było w niej fenomenalne. Nie lubiła się przejmować i w związku z tym nie wtrącała się w życie innych ludzi. Stąd brała się jej niezwykła tolerancja, chociaż takiej dobroci, żeby komuś cokolwiek pomóc, w niej nie było. I z absolutną pogodą i spokojem znosiła to, że piętro niżej

i dwa piętra niżej i w piwnicy naszego domu co noc siedzieli Żydzi wywożeni z getta i przetrzucani w różne strony. Za jednego z nich rozwalono by wszystkich – Felka, którego bardzo kochała, mnie, jej mamę, męża, ją samą – ona to przecież wiedziała. Z taką samą pogodą później wytrzymywała bombardowania. Mówiła: – Nie wejdę do schronu, jak rąbnie bomba, to i tak rąbnie wszystkich. I kołysała Felka, który nie usypiał, jak się go nie kołysało.

Z tą swoją leniwą pogodą jechała ze mną przez getto, nic nie widziała, niczym się nie przejmowała. Szliśmy na basen. Ja nie jadłem czereśni i nie wchodziłem do wody, bo wciąż widziałem tych głodnych przy płocie i tych leżących na ulicach, zdychających – jak mi się wtedy zdawało – z pragnienia. Woda była zielonkawa, wspaniała, kusila. Potem kąpałem się i jadłem te czereśnie, które tylko na początku stały mi w gardle, w końcu przełykałem.

Żyłem po aryjskiej stronie. Tak się jednak złożyło – z wyboru moich rodziców wymuszonego przez okoliczności, z przymusu moralnego – że jednocześnie nieustannie ocierałem się o ludzi, którzy żyli po tej drugiej, niearyjskiej stronie muru. Wiem, że to co opowiadam jest niesprawiedliwe wobec moich rodziców, ale nawiąże sobie, że w tym zachowana jest cała moja ówczesna fascynacja nimi i cały mój bunt przeciwko nim. Nie spowiadam się więc wcale z ich grzechów, ale opowiadam o tym, co w ich czynach może było słuszne, mądre, racjonalne, ale co we mnie wywoływało sprzeciw. I tu sprawa Emila.

To było już po rozpoczęciu wielkiej likwidacji getta, kiedy pozostawiono tylko tych, którzy pracowali w szopach, czyli dla wojska. Ojciec jako kierownik fabryczki lamp dostał pewną ilość literek „W” – takich oznak na płótnie na żółtym tle oznaczających, że człowiek, który je nosi, pracuje dla wojska i jest wyjęty spod obław czystkowych. Miał tych literek „W” mniej niż pracujących i musiał wybrać, komu je da. Pamiętam świetnie, jak tłumaczył komuś, że ma dawać intelektualistom, działaczom, pisarzom, tym, których trzeba ocalić. Mówił swobodnie, spokojnie, może zresztą mi się tylko tak zdawało. Na pewno mi się zdawało, nie wierzę, żeby on tego wyboru dokonywał spokojnie. Ale ja to tak odebrałem i strasznie mnie to boleło. Nie dał liter-

ki „W” Emilowi, szwagrowi sklepikarza Liwszycza. To był pół-analfabeta, śmieszny żydlaczący facet. Uciekł z transportu i przyjechał do nas. Siedzieli w kuchni, jadł zupę, strasznie zadowolony opowiadał mamie o swojej ucieczce. I mówił: – No, jak uciekłem, to gdzie miałem jechać, jak nie do pana inżyniera. A ja wiedziałem, że to mój ojciec wysłał go w ten transport.

Wiem, że to co mówię jest strasznie niesprawiedliwe, ale próbuję opowiedzieć, jak przeżywałem to wówczas. I inna, podobna historia, w której najmocniej poczułem obcość wobec ojca. Przyszedł do nas wieczorem przed godziną policyjną Grab starszy, ojciec tego Marka od projektora. Był blady, miał czarny cień zarostu na twarzy. Siedział, mówił jakieś blahe rzeczy, chciał zostać na noc. Tuż przed godziną policyjną ojciec zaczął wrzeszczyć, bo w ogóle wszystkie trudne sprawy załatwiał krzykiem: – Proszę stąd wyjść, ja mam żonę, mam dzieci! A ja wstydziliłem się, że byłem jednym z tych dzieci mojego ojca, że to dla mnie wysłała się człowieka pod kulę karabinu. Stały za tym jakieś wyższe racje, ta fabryka pracująca dla wywiadu Armii Krajowej, transporty Żydów, które tamtędy się przewijały. Wtedy przysięgłem sobie, że nigdy, pod żadnym pozorem, dla żadnego dobra wyższego i jeszcze wyższego nikogo nie wyrzucę z domu.

Wszystkie te historia, poszarpane, wyrwykowe, ocierają się o pewną prawdę wyjaśniającą coś z polskiego antysemityzmu. Zetknęliśmy się z bliska z polowaniem na ludzi, z masową śmiercią. Żyliśmy wszyscy w zagłębiu śmierci, skąd odchodziły transporty do obozów zagłady. Mysłmy to wszyscy przecież wdziali. Widzieliśmy policjantów ukraińskich strzelających z podrzutu z karabinu do uciekających z kolumn żydowskich dzieci, chłopców, kobiet. Widzieliśmy SS-manów strzelających do żydowskich dzieci na ulicach. Oczywiście nie wszyscy Polacy żyli obok wielkich skupisk żydowskich, ale wystarczająco wielu, aby to było znaczące społecznie zjawisko. Otóż każdy Polak, który się z tym na co dzień stykał, musiał stanąć wobec najgłębszego dylematu moralnego: jak żyć będąc obojętnym wobec tego, co się dzieje?

Pewien procent ludzi – powiedzmy 10 procent społeczeństwa, to i tak strasznie dużo – wybierał walkę z okupantem i pomoc Żydom. Ci mogli patrzeć czwartymi oczyma, nie oszukiwać się,

do końca w sobie oceniać to, co się dzieje. Wszyscy pozostali mogli żyć normalnym życiem i nie zwariować tylko wówczas, jeśli uznali, że Żyd jest inny i gorszy, jakby podczłowiek. I w ten sposób cała straszliwa propaganda hitlerowska trafiała w pewne zapotrzebowanie. Więc myślę sobie, że zetknięcie się z taką śmiercią może człowieka zaprowadzić tylko albo do walki, albo do domu wariatów, albo do uznania tych, którzy giną, za gorszych. I tak się stało z olbrzymią częścią polskiego społeczeństwa, przecież nie z ich winy.

Ten antysemityzm, uznanie Żydów za kogoś gorszego jest właściwie jedyną ucieczką przed obłąkaniem. Otóż ja nie mogłem uznać Żydów za gorszych. Taki był klimat domu, w którym żyłem, ludzie, z którymi się stykałem. W żaden sposób przecież nie mogłem Marka Graba uważać za kogoś gorszego, ani innych, którzy przewijali się przez nasz dom. Skoro nie mogłem, to musiałem przeżywać ten cały ból, wstyd, tę całą grozę. I musiałem żyć nieustannym pragnieniem walki. To pragnienie walki próbowałem realizować na różne sposoby, śmieszne, dziecinne, bo miałem przecież wtedy osiem, dziewięć, dziesięć lat. Nieustannie próbowałem założyć jakąś organizację. Musiałem zachęcić swoich kolegów do współdziałania, w związku z tym opowiadałem im o konspiracyjnej działalności ojca, przynosiłem ulotki wynoszone z domu. Raz próbowałem wynieść rewolwer, na szczęście mi się to nie udało.

Miałem wtedy kolegę z klasy, może najbliższego przyjaciela – Wieska Sminkiewiczza, syna oficera, który był w oślagu. Jego mama, bardzo zaradna, miła kobieta, która jeździła wócią między Warszawą a Lwowem, sugerowała, że jest związana z konspiracją. Po dużej wyspie Szarych Szeregów we Lwowie „Pasieka”, to znaczy główna kwatera Szarych Szeregów, próbowała szukać kontaktów między innymi przez jej dom. Pewnego dnia pani Sminkiewiczowa przyszła do mojego ojca i powiedziała: – Oddaję się w pańskie ręce, potrzebuję broni. Później rozwalono ją, okazała się konfidentką gestapo. Zakomunikował mi to ojciec, nie powiedział, że przeze mnie ją rozwalono, ale ja miałem takie poczucie. Nie z nadwrażliwości, tylko z powodu innej zupełnie historii, która zdarzyła się wcześniej.



Otóż któregoś dnia, jeszcze na Żulińskiego, przyszła do nas do domu pani Kowalikowa. Jasna blondyna, miała wielkie mleczno-białe piersi – to była moja pierwsza, dziecięca erotyczna fascynacja. Mieszkała przed wojną na Stryjskiej, w tym samym domu ZUS-owskim co my na pierwszym piętrze. Pamiętam, stała na balkonie i jadła jabłko, zupełnie jakbym wymyślił taką scenę, ta fascynacja erotyczna i to jabłko. Więc przyszła do nas na Żulińskiego, chociaż na Stryjskiej nie utrzymywała z nami żadnych towarzyskich kontaktów, i wypytywała o różnych sąsiadów. Ojciec mówił, że nikogo nie spotkał, nie widział. Interesowali ją, jak mi ojciec później zwrócił uwagę, tylko sąsiedzi Żydzi. Zapytała o Markusa, na co ojciec odpowiedział z kamienną twarzą: – Nie widziałem. Wtedy ja się okrutnie zdziwiłem i mówię: – Przecież jechaliśmy z nim razem do Krakowa. Ojciec spojrzał na mnie z bezmiernym zdziwieniem w oczach i powiedział: – Pociągiem? I tak przekonywujące było to jego pytanie, że chciałem mu pomóc, więc mówię: – Nie, nie pociągiem, ciężarówką. To był transport Żydów do Rumunli, a my, ja i mama, zabraliśmy się z nimi do Zarytego, do ciotki na wakacje. Jechaliśmy ciężarówką z materiałem budowlanym. Gubernator generalny Frank przyjeżdżał wtedy do Lwowa i co parę kilometrów zatrzymywały nas patrole, to była strasznie napięta podróż. Potem Kowalikowa wyszła. Jak tylko zamknęły się za nią drzwi i odskrzypiały schody, ojciec się zerwał i dostałem w mordę i kopa. Ojciec zaryczał: – Ona jest konfidentką gestapo, a ty w tej chwili tutaj zamordowałeś mnie, mamę, Felka, wszystkich, bo siebie to masz prawo. I wykopał mnie na schody. Biegłem absolutnie przeświadczony, że już nie wrócę, ale i z nadzieją, że mnie zawoła. Zawołał, ja się odwróciłem, a on kopnął za mną czapkę. W jakiś czas potem powiedział do mnie z takim spokojem: – Tę Kowalikową zastrzelili, może była niewinna, ale ty tyle nagadałeś, że nie mogła żyć. I miałem poczucie, że zabiłem Kowalikową. Więc kiedy powiedział, że nie żyje Sminkiewiczowa, matka mojego kolegi Wiesia, to też poczułem, że jestem sprawcą jej śmierci.

Z tą Kowalikową, z tym wieczorem, kiedy poszedłem z domu, wiąże się historia Zośki. Najważniejsza historia mojej okupacji, mojego stosunku do Żydów, wszystkich wyborów ideowych mo-

jego życia znaczonego śmiercią. Właśnie historia Zośki jest tego jakby początkiem. Nie jest pierwszą śmiercią, która mną wstrząsnęła. Pierwsze śmierci to te z 39-go roku, z 41-go, z bombardowań, to małe żydowskie dziecko, co to Ukrainiec zabił Żydka – ale to wszystko były trupy obcych ludzi. Historia Zośki zaczyna się trochę wcześniej, przed wizytą Kowalikowej. Pewnego dnia przyszła do nas na Żulińskiego dziewczyna, miała jakieś 16 lat i powiedziała, że chce pracować jako służąca. Ojca nie było, mama ją przyjęła, kazała jej coś tam robić. Zośka bardzo jej się spodobała. Potem przyszedł ojciec i doszedł do wniosku, że to Żydówka z getta. Powiedział jej, żeby sobie poszła. Ona miała bardzo napiętą, zmęczoną, przestraszoną twarz. W jakiś czas potem była ta Kowalikowa.

Kiedy mnie ojciec wyrzucił, postanowiłem do domu nie wracać. Niedaleko był tartak, a ściślej taki plac, na którym składowano deski. Wymyśliłem sobie, że będę tam spał. Była księżycowa noc. Iżno. Nazbierałem jakichś wiórów i położyłem się, nie było wcale zimno. Nie było mi nawet smutno. Usłyszałem obok siebie nierówny oddech. Gdzieś w bezpośrednim sąsiedztwie kupki desek, pod którą spałem, była podobna sterta, przez szpary zobaczyłem rozpaloną, czerwoną twarz dziewczyny. Była nieprzytomna. To była właśnie Zośka. Przeszedłem przez podwórka, było już po godzinie policyjnej, brama była oczywiście zamknięta, przez płot dostałem się do domu. Drzwi były otwarte, pewnie zostawili je, żebym mógł wejść. Mama spała. Zbudziłem ojca i powiedziałem mu, że ta dziewczyna, którą wyrzucił, leży pod deskami i ma tyfus plamisty. Ojciec wypytał dokładnie gdzie i powiedział: – Chodźmy. Doszedł, popatrzył, kazał mi wrócić.

Jakiś dobry czas potem powiedział do nas, że mamy kuzynkę, nazywa się Zośka Czarnecka, leży w szpitalu zakaźnym na tyfus plamisty i mamy ją odwiedzić. Zanieśliśmy jej kompot rabarbarowy w butelce. Wychylała się przez okno, miała na głowie białą chustkę, bo chorym na tyfus ścinano włosy, machała do nas ręką.

Wtedy było jakieś zagrożenie wyspą i przenieśliśmy się z Żulińskiego na Kochanowskiego, do generałowej. Potem na Asnyka pod 5-ym założono punkt przerzutu Żydów. Tam zamieszka-

ła Zośka i ja z nią. Nawet nie wiem, jak miała naprawdę na imię. Mieszkaliśmy razem całą jesień i pół zimy. Chodziłem na Kochanowskiego do rodziców, trochę tam mieszkalem, ale strasznie dużo czasu spędzałem z Zośką. To była moja wielka, dziecinna miłość. Miała 16 lat. Była bardzo czytana w polskiej literaturze, opowiadała mi różne książki. W tym była strasznie mądra, ale jeśli chodzi o to, jak należy żyć w tym dziwnym świecie – bardzo dziecinna i w związku z tym byliśmy właściwie rówieśnikami. Byłem pewnie dla niej jedyną bliską osobą i jakoś ona dla mnie. Chyba wtedy umarła babcia Jańcia, mama mojej mamy, która była mi bardzo bliska, ale nie czulem tego – najważniejsza była Zośka.

Mieszkanie na Asnyka było olbrzymie, mieszczańskie, z drzwiami kuchennymi i frontowymi, całkiem puste. Paliliśmy w piecyku – kozie. Ja chodziłem po zakupy, razem gotowaliśmy, jedliśmy, odrabiałem lekcje. Ona mi różne rzeczy opowiadała i ja jej. Wymyślałem przeważnie różne historie, żeby było wesoło, śmiało się. Spaliśmy w wielkim łóżku przy tej kozie. Tłukliśmy się poduszkami, potem kładliśmy się razem pod kołdrę, przytulaliśmy do siebie, bo było bardzo zimno i spaliśmy. Co jakiś czas szedł tamtędy transport – to było tuż przed likwidacją getta. Szopy też likwidowano. Wybieraliśmy kartofle z piwnicy, bo myśmy głównie kartofle gotowali, biliśmy się kartoflami i opowiadaliśmy dowcipy. Potem przychodzili ludzie, bladzi, z czarnym dużym zarostem. Raz latałem po mieszkaniu i zostawiłem szparę w drzwiach, a tam było okno na ulicę niezaciemnione i jeden z nich zwrócił mi uwagę: – Nie biegaj tak. Odpowiedziałem: – Przecież to tylko mała szparka. A on powiedział: – Ten promień światła prowadzi prosto pod lunę karabinu.

To, co się stało dalej, przeżywałem tyle razy w głowie jeszcze w czasie wojny i po wojnie, że dziś jest mi strasznie trudno powiedzieć, co myślałem wtedy i co potem. Czulem, że Zośka czegoś ode mnie chce, że coś jej grozi. A ja nie umiałem jej pomóc. Może mi się zresztą zdawało. Było tam takie podwórko – studnia, po którym biegały szczury. Takie wielkie, tłuste, olbrzymie szczury. Zośka się ich bała, co mnie zdumiewało. Na tym podwórku mieszkał dozorca, który miał sparaliżowaną żonę i małego syna. Mam wrażenie, że ten dozorca ją szantażował i

zmuszał do stosunków seksualnych. Ale może to są wszystko urojenia. Któregoś dnia jeszcze na Żulińskiego jakiś Cygan czy Rumun przyniósł skrzynkę cyjankali do fabryczki na dole. To były takie śmieszne jajeczka do wyciskania. Złapałem jedno w rękę, ojciec mnie wtedy chwycił mocno w przegubie, zaprowadził do wody, umył mi tę rękę i powiedział: – Tak byś dotknął, polizal i zdechł. Takie samo blaszane pudło cyjankali przywieziono na Asnyka i postawiono na pawlaczu. Ojciec powiedział do mnie: – Uważaj, wiesz co to jest, pilnuj, żeby Zośka tego nie dotknęła. Zośkę zafascynowało to cyjankali. Dopytywała się, ile zażyć, jak zażyć. Któregoś dnia zasnęliśmy przytuleni mocno do siebie pod koldrą i kocami w tym zimnym mieszkaniu, a kiedy się obudziłem, poczułem, że ona jest zimna, nie żyje. I w tym samym momencie wiedziałem, że się otrula. Po prostu obudziłem się przytulony do zwłok Zośki. Podniosłem głowę i na krzesle, które stało przy łóżku, leżało jajeczko cyjankali.

Wstałem, wiedziałem, że muszę pojechać do ojca i powiedzieć, że ona nie żyje. Umyłem się, ubrałem, wróciłem, pocałowałem Zośkę – miała taką wykrzywioną twarz – zacząłem beczeć. Wiedziałem, że nie mogę wyjść na miasto becząc, bo za chwilę się ktoś zainteresuje, czemu to dziecko płacze. I co ja powiem? Wróciłem do łazienki, umyłem się, pocałowałem ją, znowu zacząłem beczeć. Znowu się umyłem, znowu ją pocałowałem, wyszedłem na klatkę schodową, znowu zacząłem beczeć. To się tak powtarzało kilka razy, aż wreszcie wyszedłem na schody i poszedłem przez całe miasto do ojca.

I to jest historia Zośki. Potem był jej pogrzeb. Za trumną, zbitą z desek, szła moja mama, ojciec i ja. Pochowano ją na Cmentarzu Łyczakowskim, na którym leżał mój pradziadek, powstaniec styczniowy, zaprowadzono mnie na jego grób. Na mogile wbito krzyż, napisano Zofia Czarnecka. Więc ani imienia, ani nazwiska, ani śladu. I poczucie, że ja jeden na świecie mogłem jej wtedy pomóc i nie umiałem.

Aleksander Smolar

## TABU I NIEWINNOŚĆ

O Żydach pisze się ostatnio dużo; niewspółmiernie do miejsca, jakie zajmują w Polsce współczesnej. Mówiono o antysemityzmie bez Żydów, ostatnio ktoś pisał o filosemityzmie bez Żydów. Istnieje w każdym razie problem żydowski bez Żydów.

Do niedawna, przez parę dziesiątków lat, próbowano systematycznie eliminować Żydów z polskiej pamięci. Znikali z historii Polski i z jej pejzażu; znikali z przewodników turystycznych i (jako szczególna grupa ofiar) z oficjalnych prac o wojnie. Zajmowali jednak nadal znaczące miejsce w świadomości narodowej. Obecni byli w rozmowach o władzy i komunizmie, o okresie przedwojennym i wojennym, obecni w neurotycznych fantazmach i racjonalnych dyskusjach. Publiczne milczenie na temat Żydów ciążyło coraz bardziej. Dla młodych stawało się często skandalem moralnym i intelektualnym.

Trudne sprawy narodowej przeszłości można podejmować tylko na chłodno. A więc wymagają dystansu. Często dojścia do głosu nowego pokolenia, nie obciążonego uczestnictwem w bolesnych wydarzeniach, spoglądającego bez namietności na dziedziczoną przeszłość. Przeszłość, której nie można odrzucić, która ciąży, ale za którą nie ponosi się też odpowiedzialności.

Podejmuję temat stosunku Polaków do Żydów w czasie wojny i po wojnie w przekonaniu, iż nadszedł czas spokojnych dysku-

sji i szukania prawdy, a nie środków uspokajających duszę narodową.

Głównym argumentem przywoływanym przez Polaków dla odparcia zarzutu antysemityzmu jest wieloletnia tradycja tolerancji narodowej i religijnej. Istotnie, przez setki lat, nawet w okresie reformacji i kontrreformacji, Żydzi prześladowani w innych krajach znajdowali schronienie w Polsce. Stąd tak wielką koncentracją na ziemiach Rzeczypospolitej. Polacy zapominają jednak łatwo, iż jest to odległa już historia. Sytuacja Żydów pogarsza się w Polsce wtedy właśnie, gdy na zachodzie Europy zaczynają zwyciężać idee tolerancji religijnej i przyznawania Żydom pełni praw obywatelskich. Zasadnicze znaczenie ma postępujący upadek kraju i równoczesny wzrost roli Kościoła katolickiego jako narodowego spoiwa – co komplikuje stosunki z wszystkimi innowiercami.

Żydzi widzą w historii Polski przede wszystkim proces narastania antysemityzmu. Istotnie, od końca ubiegłego wieku, na tradycyjne postawy antyżydowskie o religijnym przede wszystkim podłożu, nakładają się nowe formy antysemityzmu mające swe źródła w interesach gospodarczych, zmianach w strukturze społecznej, narodzinach nowoczesnego nacjonalizmu. Do zaostrenia stosunków polsko-żydowskich dochodzi wraz z odzyskaniem przez Polskę niepodległości, szczególnie jednak w drugiej połowie lat trzydziestych. Szerzą się radykalne, wrogie Żydom ideologie, mnożą się antysemityczne burdy i przejawy dyskryminacji: w gospodarce, szkolnictwie wyższym, wolnych zawodach. Tu i ówdzie przygotowuje się prawa antyżydowskie. Przekonanie, że miejsce Żydów jest poza Polską, zyskuje na popularności w coraz szerszych kręgach społecznych i elitach politycznych, dalekich nawet od prawicy.

Podkreślając te fakty Żydzi nie dostrzegają, że ich niedole stanowiły fragment dramatycznych problemów kraju odzyskującego po długim czasie niepodległość i jedność, zamkniętego w błędnym kole ubóstwa, którego ofiarą padali Polacy, Żydzi i inne mniejszości. I że choć antysemityzm przybierał w Polsce coraz brutalniejsze formy, był to wyraz bardziej ogólnych tendencji w ówczesnej Europie – buntu przeciw wartościom demokratycznym i liberalnym – i że w wielu innych krajach środkowo-

-wschodniej Europy sytuacja Żydów była nie lepsza – a czasem gorsza – niż w Polsce.

Jeżeli więc w czasie wojny stosunki między Polakami i Żydami przybierają szczególny charakter, ciężąc na pamięci zbiorowej Żydów i wpływając na stereotypy szeroko w świecie rozpowszechnione, to przeszłość nie wystarczy do ich wyjaśnienia.

### WOJNA

Zdanie sprawy ze stosunku do Żydów w czasie wojny jest przedsięwzięciem niezwykle trudnym. W każdym razie, jeżeli chodzi o mnie, im więcej czytam, tym mniej wiem i tym bardziej kruche są moje przekonania. Nie zamierzam więc ani opisywać, ani też oceniać tego, co się w czasie okupacji niemieckiej działo. Nie zamierzam też w żadnym wypadku brać udziału w nie kończących się dyskusjach na temat ilości uratowanych czy zdradzonych i zamordowanych<sup>1</sup>. Interesuje mnie problem specyfiki okupacyjnej w Polsce, jej wpływ na wzajemne stosunki i przyczyny tak dramatycznie rozbieżnych obrazów przeszłości, które zachowali w pamięci Polacy i Żydzi.

Refleksję na temat losu Żydów i miejsca w nim Polaków zacząć trzeba od stwierdzenia podstawowego, którego nikt, myślę, nie będzie otwarcie kwestionował: nie było żadnej szansy uratowania skazanych przez Hitlera na zagładę trzech milionów Żydów polskich i trzech milionów Żydów z innych krajów zgładzonych na terenach okupowanej Polski. Norman Davies ma rację, gdy pisze, że z tego punktu widzenia „antagonizm między chrześcijanami a Żydami, który niewątpliwie w Polsce istniał, był w dużym stopniu bez znaczenia”<sup>2</sup>. Przy innej postawie społeczeństwa polskiego uratowałoby się może o 50 tysięcy Żydów więcej, albo o 50 tysięcy Żydów mniej. To dużo i jakże żalostnie mało. Ujść śmierci mogły jednostki, naród musiał zginąć. Tylko aliansi byłiby w stanie wpłynąć na inny bieg wydarzeń, gdyby naprawdę zrozumieli sytuację, wykazali wolę ratowania Żydów mimo nienechrychomych kosztów przedsięwzięcia i byli zdolni do działania. Zabrakło jednak nie tyle wiedzy, co wyobraźni, woli i umiejętności działania.



Spór polsko-żydowski, jeżeli chodzi o wojnę, nie dotyczy więc w istocie losów narodu żydowskiego. Dotyczy moralnej oceny postawy polskiego społeczeństwa wobec zagłady Żydów, postawy, której konsekwencje praktyczne były nikłe. Przedmiot sporu jest zarazem doniosły i ograniczony.

Można wyraźnie wyodrębnić dominującą „polską” i „żydowską” wizję historii. Obie kreślą przeszłość w czystych barwach: jedna nadużywa bielei, druga – czerni. W stanowisku „polskim” panuje przekonanie o nieciągłości historii; tragiczne doświadczenia wojny spowodowały zasadniczą zmianę stosunku Polaków do Żydów. Oto parę charakterystycznych wypowiedzi:

*Władysław Bartoszewski*: „Warunki okupacji doprowadziły do poważnego zmniejszenia się istniejących w Polsce przedwojennej nastrojów antysemitycznych. Wspólnota losu ludzi prześladowanych, cierpiących i walczących przyczyniła się do rozbudzenia poczucia solidarności i woli pomocy ginącym”<sup>2</sup>.

*Andrzej Micewski*: „...w sumie, nie mamy jako społeczeństwo, jako naród powodów do kompleksów w związku z naszym stosunkiem do Żydów”<sup>4</sup>.

*Jerzy Turowicz*: „Ta ówczesna wspólnota ludzi prześladowanych, cierpiących i walczących zmieniła dość zasadniczo stosunki polsko-żydowskie w naszym kraju. W ogromnej części społeczeństwa polskiego zniknęły ślady antysemityzmu, na jego miejsce zjawilo się poczucie solidarności, zjawila się – szeroko wprowadzana w czyn – woła pomocy ludziom prześladowanym”<sup>5</sup>.

Z kolei w stanowisku „żydowskim” dominuje wizja ciągłości historii. Jej kolejne etapy znaczą: antysemityzm, antysemityzm, antysemityzm. Może on najwyżej zmieniać formę czy intensywność, ale nie swą głęboką naturę. Oto jak trzech historycy żydowskiej różnych orientacji widzą wpływ przedwojennego antysemityzmu na postawę Polaków w czasie wojny:

*Paweł Korzec*: „Nie wydaje nam się przesadną konkluzją, iż los zgotowany Żydom polskim przez Polskę międzywojenną przyczynił się do umożliwienia ogromnej tragedii, która ich spotkała pod jarzmem hitlerowskim”<sup>6</sup>.

*Joseph Marcus* jest autorem książki zawierającej zapewne najbardziej wyważony w żydowskiej historiografii bilans sytuacji Żydów w Polsce międzywojennej. Pod koniec książki opisuje

posiedzenie Sejmu z 1 września 1939 roku. Posłowie entuzjastycznie reagują na manifestowaną przez rząd wolę oporu, głośnym aplauzem przyjmują deklarację przedstawiciela mniejszości ukraińskiej o pełnym poparciu dla obrony kraju. Kiedy z podobną deklaracją wystąpił Szymon Scidenman w imieniu Żydów, „zapanowało lodowate milczenie”. I autor komentuje: „Była to złowieszcza zapowiedź postawy Polaków w czasie zbliżających się miesięcy tragedii, w trakcie których zakończą się dzieje Żydów w Polsce trwające nieprzerwanie czterdzieści pokoleń”<sup>7</sup>.

*Ezra Mendelsohn*, historyk izraelski średniego pokolenia: „...Kiedy żołnierze Hitlera z pomocą wojsk sowieckich zdruzgotali w 1939 roku polską niepodległość, nazistowski antysemityzm, chociaż znacznie bardziej skrajny i integralny niż jego polska odmiana, znalazł bardzo przychylnie echo w poważnej części polskiego społeczeństwa”. Dodaje: „I pod tym względem Polska była typowa dla środkowo-wschodniej Europy”<sup>8</sup>.

Kontrastowymi farbami malowany obraz historii pozwala oceniać – zależnie od „strony” do której się należy – postępowanie swoich i obcych, ale nie zrozumieć cały tragizm splełtania losów ludzkich w nieludzkich warunkach.



W sierpniu 1942 roku Zofia Kossak, pisarka, przewodnicząca niewielkiej, lecz aktywnej katolickiej organizacji społeczno-wychowawczej Front Odrodzenia Polski, pisze w jego imieniu ulotkę zatytułowaną „Protest”. Treść jej przedstawił Władysław Bartoszewski we wstępie do *Ten jest z ojczyzny mojej*. Oddajmy mu głos: Zofia Kossak „...apelowała do serc i sumień wszystkich Polaków wierzących w Boga, również i do tych, którzy zajmowali dotychczas niechętnie stanowisko wobec Żydów, o czynną postawę wobec zbrodni: «(...) Kto milczy w obliczu mordu – staje się współnikiem mordercy. Kto nie potępia, ten przyzwala...»”<sup>9</sup>. Naprawdę dramatycznego wymiaru temu protestowi i apelowi nadaje druga część ulotki, zazwyczaj przemilczana: „Zabieramy przeto głos my, katolicy-Polacy. Uczucia nasze względem Żydów nie uległy zmianie. Nie przestajemy uważać

ich za politycznych, gospodarczych i ideowych wrogów Polski. Co więcej, zdajemy sobie sprawę z tego, iż nienawidzą nas oni więcej niż Niemców, że czynią nas odpowiedzialnymi za swoje nieszczęścia. Dlaczego, na jakiej podstawie — to pozostaje tajemnicą duszy żydowskiej, niemniej jest faktem nieustannie potwierdzanym. Świadomość tych uczuć jednak nie zwalnia nas z obowiązku potępienia zbrodni”<sup>10</sup>.

Dokument ten, lepiej niż wszystkie bilanse niesionej pomocy czy zdrady, pozwala dojrzeć tragiczne powikłanie wzajemnych stosunków. Bo czyż trzeba przypominać, że Zofia Kossak, wkrótce po napisaniu tego tekstu, bierze udział w organizowaniu Żegoty, organizacji o ogromnych zasługach w ratowaniu Żydów. Jako chrześcijanka, w imię miłości bliźniego, gotowa jest nieść pomoc prześladowanym, których skądinąd uważa za wrogów swojego narodu i którzy — jak sądzi — jej naród uważają za wrogi.

Wielu notorycznych antysemitów z niezwykłą ofiarnością pomagało Żydom. I nie musiało to oznaczać wyzbycia się uczuć wrogości. Często przytaczane są nazwiska ONR-owca Mosdorfa i księdza Godlenskiego. Można dodać — antysemitę i dzisiaj w służbie czynnej — Jena Dobraczyńskiego, który pomagał w ratowaniu dzieci żydowskich.

Niesienie pomocy Żydom, głębokie im współczucie, nie muszę oznaczać zmiany poglądów na przyszłość. Znowu sięgnijmy po książkę Bartoszewskiego i Lewinówny, która stała się swoistą biblią dla tych wszystkich, którzy szukają argumentów przeciwko oskarżeniom wysuwanyim wobec Polaków. Znajdujemy tam trzy dokumenty, w których mówi się o poszanowaniu w przyszłości praw mniejszości narodowych. Wszystkie trzy pochodzą z emigracji. W księgce nie ma ani jednej wypowiedzi na ten temat z Polski. A stosunek do „kwestii żydowskiej” w kraju jest oczywiście tematem bez porównania bardziej interesującym niż to, co z najbardziej szlachetnych pobudek głosili Polacy oddaleni od ojczyzny, krajowej opinii publicznej, obrazów okupacji i którzy znajdowali się pod ciśnieniem Zachodu wyczułonego na przejawy nietolerancji i dyskryminacji.

Problem stosunku do „kwestii żydowskiej”, a nie do konkretnych Żydów, w okresie, kiedy masowo ich mordowano, jest te-

matem pasjonującym. Książka Jacka M. Majchrowskiego to rzadki wyłom w murze milczenia na ten temat<sup>11</sup>. Omówił on między innymi program krajowego Stronnictwa Pracy, opowiadający się za koniecznością usunięcia Żydów z Polski. Uzasadnienie: naród żydowski jest tworem religii świadomego zła, zachęcającej Żydów do pasożytowania na ciele obcych narodów. Wniosek: rozwiązać problem przez emigrację. Przede wszystkim Polskę opuścić mieli Żydzi w wieku 18-40 lat. Miało to spowodować ustanie przyrostu naturalnego i wymarcie reszty. Żydzi, odizolowani od społeczeństwa polskiego, dysponujący własnym samorządem podporządkowanym państwu, otrzymać mieli pełną możliwość wszechstronnego zaspokajania potrzeb bieżących. Nie mieli być jednak dopuszczani do żadnych urzędów publicznych, służby w wojsku ani do produkcji dóbr i usług kulturalnych dla ludności nieżydowskiej. Polacy „koligający się” z Żydami mieli być automatycznie traktowani jak oni. Natomiast Żydzi ochrzczeni przed 1918 rokiem oraz, w wyjątkowych wypadkach, później mogli nabyć obywatelstwo polskie drogą indywidualnych decyzji sejmowych.

Oczywiście to są słowa. Ale projekt w tych słowach zawarty był bardziej radykalny od tego, co planowały w owym czasie rząd Vichy i Węgry Horthyego w stosunku do Żydów-obywateli swoich krajów. Tyle że były to rządy skrajnie prawicowe, powiązane z Niemcami, my zaś mówimy o programie demokratycznej partii niepodległościowej, przy tym, zauważmy, organizacji wcale nie radykalnej, raczej centrowej, chrześcijańsko-demokratycznej, wchodzącej w skład władz państwa podziemnego.

Przytoczyłem przykłady, różnej wagi i doniosłości, żeby zasygnalizować jedynie skomplikowanie stosunku dużej części elity narodu do Żydów (wnikliwie badania pokazałyby całą gamę postaw). Na pozór uzasadnia to tezę historiografii „żydowskiej”, wedle której postawa narodu polskiego w czasie wojny była prostą kontynuacją przedwojennego antysemityzmu. Autorzy żydowski zapominają jednak zbyt łatwo, czy też mają skłonność do bagatelizowania faktu, iż między końcem lat trzydziestych, kiedy istotnie tendencje antysemickie były coraz brutalniej wyrażane, a masową zagładą Żydów Polska była podzielona, podwójnie okupowana i że w polskiej świadomości narodowej ist-

nieje problem Żydów w zaborze sowieckim, problem zdrady państwa polskiego.

### *Okupacja sowiecka i postawa Żydów*

We wrześniu 1939 roku, gdy wybuchła wojna, Polacy mieli dwóch wrogów: Niemcy i Związek Radziecki. Nie była to postawa podzielana przez mniejszości narodowe. Świętował niemal ogół Niemców – obywateli polskich, podobnie, na wschodzie, dużą część Białorusinów, Ukraińców i Żydów (nie mówiąc o Litwinach, którzy na krótko znaleźli się w obrębie niezależnego państwa litewskiego). Można zrozumieć Niemców, można rozumieć Litwinów, można rozumieć postawę Białorusinów i Ukraińców. W każdym z tych przypadków znaczenie miały bardziej motywy narodowe niż ideologiczne. Polityka narodowościowa Rzeczypospolitej zrażała do Polski wszystkie po kolei mniejszości. Ale dlaczego Żydzi? Nie mieli roszczeń terytorialnych, nie szukali zjednoczenia we wspólnym państwie (chyba że w Palestynie) ze współwyznawcami zza granicy. Niemniej – świadectwa są zgodne – wystarczająca liczba Żydów wychodziła z entuzjazmem naprzeciw Armii Czerwonej, by w pamięci polskiej pozostał obraz tłumów witających najeźdźców jako wyzwolicieli. Jak wytłumaczyć postawę Żydów?

Autorzy żydowscy poruszający ten temat przywołują jeden argument<sup>12</sup>. W obliczu podziału Państwa władza sowiecka była równie wroga Polakom co Niemcy. Ale nie dla Żydów. Hitlerowskie Niemcy, prowadzące otwartą antyżydowską politykę, stanowiły dla nich główne zagrożenie. Z drugiej zaś strony, Związek Radziecki, nawet jeżeli czerwona dyktatura nie budziła więcej sympatii niż czarna, był krajem, gdzie Żydzi cieszyli się pełnią praw obywatelskich. Czy też, bardziej precyzyjnie, byli ich wówczas w równym stopniu pozbawieni co wszyscy inni.

Argument ma swój ciężar. Jeżeliby go uznać za w pełni przekonywający, to postawę Żydów we wrześniu 1939 roku moglibyśmy uważać za godną ubolewania, ale nie poddającą się moralnej ocenie. Problem polega jednak na tym, że nie jest to odpowiedź w pełni zadowalająca. Po pierwsze – w 1939 i w 1940 roku nikt nie był w stanie przewidzieć radykalnie antyżydow-

skiej polityki okupanta i „ostatecznego rozwiązania”. Oczywiście, wiadano o dyskryminacji w Niemczech, o upokorzeniach, o Nocy Kryształowej. Były powody do obaw. Ale nie były one aż tak dramatyczne, skoro wielu Żydów, szybko rozczarowanych władzą sowiecką i nieświadomych tego, co ich czeka, zdecydowało się na powrót pod okupację niemiecką.

Poczucie zagrożenia ze strony Niemców nie tłumaczy też entuzjazmu Żydów dla przybyszy ze Wschodu. Gdyby choć zrezygnowana akceptacja faktu dokonanego, postawa: z dwojga złego lepsi siewici, ale nie entuzjazm, o którym zewsząd donoszono. Prawda zawarta jest chyba w słowach Adama Uziębły, który w odpowiedzi na ankietę rozpisaną przez *Kulturę* na temat antysemityzmu pisze: „Powitania bolszewików były to przede wszystkim manifestacje odrębności, odcięcia się od tych, z którymi Sowiety prowadziły wojnę – od Polaków – zrzucenie z siebie odpowiedzialności za Państwo Polskie. Nie wolno udawać, że się tego nie widzi i trzeba od razu stwierdzić, że był to skutek naszej polityki i naszego antysemityzmu (...) A w roku wybuchu wojny wyodrębnienie społeczności żydowskiej osiągnęło szczyt przez rozpasanie propagandy już zgoła pogromowej, wzywającej do krwi przelewu. Odepchnęła ona od nas nawet ludzi zupełnie zasymilowanych”<sup>19</sup>.

Tragiczne błędne koło. Wielu bardzo Żydów witało entuzjastycznie krasnoarmiejców, bo Polski nie traktowali jako swojej ojczyzny, bo odpychano ich, bo sposób pozbycia się ich z kraju stał się głównym przedmiotem debat publicznych. Wyjaśnia to częściowo ich reakcję. Ale czy może w jakimkolwiek sensie usprawiedliwiać tę postawę, za którą zresztą bardzo szybko musieli zapłacić wysoką cenę?

Gdyby tylko kwiatami witano. Ale były rzeczy gorsze, znacznie gorsze. Żydzi, komuniści i nie, inteligenci czy półinteligenci, jako ludzie zasadniczo godni zaufania, zaludniali administrację lokalną, stawali się pomocnikami w organizowaniu władzy sowieckiej. Gorzej jeszcze – pomagali w wylapywaniu polskich oficerów, przedstawicieli polskiej administracji poszukiwanych przez okupanta. Cóż z tego, iż w ślad za nimi i setkami tysięcy innych Polaków na białe niedźwiedzie wysłano również tysiące Żydów. Wywożono ich nie dlatego, że byli Żydami, ale dlatego,

że bardzo szybko przestawali się entuzjazmować nową władzą, bo była ona w gruncie rzeczy wroga im w nie mniejszym stopniu niż innym narodom imperium; wroga, bo Żydzi byli przeważnie społecznie „niesłusznego pochodzenia” (kupcy, rzemieślnicy, wolne zawody), bo byli religijni...

Jeden z tych okrutnych paradoksów historii sprawił, że nawet wywożenie na Sybir nie odwodziło Żydów od sympatii do ZSRR. Bo choć cierpieli jak inni, to tylko oni, ratując życie, mieli w końcu poczucie sensowności cierpienia.

Polacy, jak donosił generał Grot-Rowecki, ci, którzy zostali na miejscu, witali – zdarzało się – nadchodzących Niemców po rozpoczęciu przez nich wojny z ZSRR wyrazami sympatii, jako „wybawców spod ucisku bolszewickiego, w którym duży udział brali Żydzi”<sup>16</sup>. W Brześciu dojsć nawet miało do pogromu Żydów przez wypuszczonych z więzień Polaków<sup>16</sup>.

Po zjednoczeniu Polski pod okupacją niemiecką wieść o postawie Żydów na wschodzie rozeszła się na cały kraj. Można sobie wyobrazić, jak fakt ten wpłynął na postawę Polaków. Nie ma powodu nie ufać często cytowanemu świadectwu generała Grota-Roweckiego zawartemu w meldunku do rządu w Londynie z 30 września 1941 r.:

„Proszę pojąć jako fakt zupełnie realny, że przygniatająca większość kraju jest nastrojona antysemicko. Nawet socjaliści nie są tu wyjątkiem. Różnice dotyczą tylko taktyki postępowania. Zalecającej naśladowanie metod niemieckich prawie nie ma. Metody te wywołują odruch współczucia, ale zmalało ono po zlanu się oba okupacji i zaznajomieniu się przez ogół z zachowaniem Żydów na wschodzie”<sup>16</sup>.

W żadnym innym kraju europejskim nie nastąpiło w czasie wojny tak dramatyczne zderzenie interesów i postaw Żydów z narodem, wśród którego zamieszkiwali, jak podczas okupacji sowieckiej 1939-1941. Gdzie indziej Żydzi mieli sprzeczne interesy z częścią otaczającego społeczeństwa (na przykład kolaborującą), ale w solidarności, w powiązaniu z resztą społeczeństwa. We wschodniej Polsce natomiast to Żydzi byli postrzegani jako kolaboranci. Winno się o tym pamiętać, gdy chce się uczciwie mówić o wzajemnych stosunkach.



### *Paradoksy jedności narodowej*

W Polsce byli zdrajcy jak wszędzie. Byli ludzie, którzy dla pieniędzy, z nienawiści, bo ich torturowano lub szantażowano, pracowali dla Niemców. W Polsce nie było jednak zjawiska kolaboracji jako sposobu realizowania w warunkach obcego panowania interesu narodowego. Nie było ludzi, którzy spełniali rolę Pétaina czy Quislinga.

Niemcy nie szukali zresztą współpracy politycznej z kimkolwiek w Polsce. Polacy nie byli narodem z przyszłością. Mieli podzielić los Żydów. Po pewnym czasie. Na początek chodziło o zniszczenie elit.

Są to rzeczy powszechnie znane. Przypominam je, bo miały ważne konsekwencje dla stosunku Polaków do Żydów. Bowiem – i znów Polska jest pod tym względem krajem jedynym – we wspólnym froncie walki z najeźdźcą znalazły się organizacje i partie, które przed wojną wszystko dzieliło. Przeciwko Niemcom walczyli demokraci i rodzimi totaliści, zwolennicy idei liberalnych i socjalistycznych, nacjonalisci i komuniści, masoni i chrześcijańscy demokraci.

W innych krajach okupowanych przez Niemców programy antysemitki głosiły kolaboranckie rządy i partie, natomiast podziemie było z reguły antyfaszystowskie, demokratyczne i wrogie antysemityzmowi. Antysemityzm należał do syndromu zdrady. Polska była paradoksalnie jedynym krajem, w którym antysemityzm zachował nie tylko legitymację patriotyczną, narodową (wzmocnioną przez okupację sowiecką 1939-1941), ale również legitymację demokratyczną. Antysemitka endecja wchodziła w skład władz zarówno emigracyjnych, jak i krajowych.

Właśnie dlatego, że polski antysemityzm nie miał na sobie piętna współpracy z Niemcami, mógł doskonale prosperować w czasie wojny nie tylko na ulicy, lecz także w prasie podziemnej, w partiach politycznych, w oddziałach zbrojnych. Wspomnieliśmy o *establishmentie* londyńskim i państwa podziemnego. Ale przecież istniało i poza nim bujne życie polityczno-kulturalno-wojskowe. Zwłaszcza na prawicy. Grupa „Szaniec” czy Konfederacja Polski Niepodległej rozwijały swój totalitarno-



-narodowy program, którego elementem było radykalne rozwiązanie kwestii żydowskiej. Aktywni byli często wybitni podci, którzy z kultury polskiej usunąć chcieli „obcych”: Tuwima, Słonimskiego i Leśmiana<sup>17</sup>. Istniały silne formacje wojskowe powiązane ze skrajną prawicą: Narodowa Organizacja Wojskowa, Związek Jaszczurczy, Narodowe Siły Zbrojne. O tych ostatnich pisał Pobóg-Malinowski, iż skupiały „młodzież gorącą i dynamiczną, miejskiego przeważnie pochodzenia, z dużym w niej odsetkiem wyznawców «narodowego radykalizmu», którzy może i nie był odmianną hitleryzmu, ale w każdym razie dźwięczał akcentami pokrewnego z nim podobieństwa przez brutalną bezwzględność w dążeniu do władzy i panowania, przez twarde, terrorystyczne, często wręcz bandyckie metody działania, przez krańcowy szowinizm...”<sup>18</sup>

Legitymacja patriotyczna wojennego antysemityzmu musiała mieć poważne i wielorakie konsekwencje. Przecież oddziały radykalnej prawicy tworzące niezależne struktury wchodziły również częściowo w skład Armii Krajowej, wpływając gdzieś na panującą w niej atmosferę. Marek Edelman, jeden z przywódców powstania w getcie warszawskim, opowiadał ostatnio, że po upadku Powstania Warszawskiego, w którym uczestniczył, nie mógł opuścić miasta wraz ze swoim oddziałem: „...czy ja wiem, kto jest w naszym oddziale. Mogą cię wydać przed obozem”, powiedział mu otwarcie dowódca<sup>19</sup>.

Józef Cyrankiewicz pisał w swoich wspomnieniach oświęcimskich bezpośrednio po wojnie, jak tłumaczył cudzoziemcom drastycznie antysemickie zachowania niektórych współwięźniów Folaaków: „Niemcy, Austriacy, Francuzi są grupą określoną politycznie, są antyfaszystami; [jako] że faszyci w obozach nie siedzą, lecz pracują ręką w rękę ze swymi hitlerowskimi przyjaciółmi. Natomiast my uiedzimy w obozie z naszą reakcją...”<sup>20</sup> Trzeba zdawać sobie sprawę, iż jak bardzo to zjawisko nie byłoby marginalne, miało ono istotny wpływ na kształtowanie opinii na Zachodzie o nieuleczalnym polskim antysemityzmie.

Okrutna ironia historii, paradoksalna cena tego, co w ówczesnej Polsce było najcenniejsze – jedności narodu w obliczu okupanta.

### *Koszty świadectwa*

„Przekonałem się wielokrotnie – pisał Herling-Grudziński – że człowiek jest ludzki w ludzkich warunkach i uważałem za upiorny nonsens naszych czasów próba sądenia go według uczynków, jakich dopuścił się w warunkach nieludzkich – tak jakby wodę można było mierzyć ogniem, a ziemię piekłem”<sup>21</sup>. Zejście do piekieł nie pozostaje bez śladów. Czy patrząc na piekło mogą ujść bezkarnie? Gdzie są granice nieludzkiego świata? Nadmierne poszerzanie jego terytorium jest niebezpieczne – zwalnia od odpowiedzialności.

W cytowanej już ulotce Zofia Kossak pisze: „Wiemy również, jak trujący bywa posiew zbrodni. Przymusowe uczestnictwo narodu polskiego w krwawym widowisku spełniającym się na ziemiach polskich może snadno wyhodować zobojętnienie na krzywdę, sadyzm i ponad wszystko groźne przekonanie, że można mordować bliźnich bezkarnie”. I dalej następuje ostrzeżenie, które trudno traktować jako zwrot retoryczny: „Kto tego nie rozumie, kto dumną, wolną przyszłość Polski śmiałby łączyć z nikczemną radością z nieszczęścia bliźniego – nie jest przeto ani katolikiem, ani Polakiem!”

Żaden naród w Europie nie został skazany na karę świadectwa w stopniu równie strasliwym co Polacy, którzy sami żyjąc w piekle musieli na co dzień oglądać niższe, jeszcze straszniejsze kręgi piekielne. Zachód widział odjeżdżające transporty na wschód, widział mord indywidualny, upokorzenie żółtej laty, zarządzenia dyskryminacyjne. Niemcy w większości nic nie widzieli. Mogli wiedzieć, domyślać się, ale nie widzieć. Poza tymi, którzy byli na terenach okupowanego Wschodu lub brali bezpośrednio udział w którejś z faz „ostatecznego rozwiązania”.

Chłopi polscy widzieli obozy zagłady i czuli smród palącego się ludzkiego mięsa. Mieszkańcy miast i miasteczek widzieli straszną mizериę getta. Widzieli ludzi przypominających coraz bardziej szkielety i upodabniających się do demonicznych postaci z niemieckiej propagandy. Napis: „Żydzi, wszy, tyfus plamisty” na bramach getta wyrabiał odruch warunkowy strachu i wstrętu (pisze o tym Jacek Kuroń):

Narastało zobojętnienie w obliczu zbrodni opisywane przez Miłosza, Andrzejewskiego, Rudnickiego, niedawno Mrożka: „To, co się działo podczas okupacji z Żydami, nie budziło w moim otoczeniu uciechy, budziło zgrozę, ale była to zgroza wkomponowana w ogólną grozę wojenno-okupacyjną. Ostatecznie to, co się działo między Niemcami a Żydami, to była sprawa między Niemcami a Żydami. Nie nasza, a więc nie nam do niej. Nieprzyjemna, więcej nawet niż nieprzyjemna, może nawet straszna, kiedy jej się przypatrzyć, ale nie nasza”<sup>22</sup>. Kiedy bezradność jest uczuciem dominującym, obojętność staje się najbardziej przyzwoitą formą ucieczki od odpowiedzialności.

Obojętność nie była jednak jedyną reakcją. Obraz Żyda ulegał w czasie wojny zmianie. Stosunek do Żydów był tradycyjnie wynikiem nie tylko stereotypów, uprzedzeń, ideologicznych wierzeń, ale również doświadczenia codziennego. Powiadało się: „Każdy antysemita ma swojego Żyda”. Teraz znikło codzienne doświadczenie. Pisał o tym sugestywnie po wojnie Michał Borwicz<sup>23</sup>. Żyd przestawał być konkretną osobą, którą się lubiło lub nie, szanowało czy pogardało – niezależnie zupełnie od ogólnych poglądów na „naturę żydowską”. Górę brały stereotypy, przesady, ideologiczny obraz Żyda. Oczywiście, wpływała na to w pewnym stopniu propaganda niemiecka. Inny czynnik zdaje się odgrywać tu większą jeszcze rolę. Ofiara zawsze prawie wzbudza podejrzenie, że nie jest bez winy. Że ma swój udział w zbrodni. Jest to naturalna reakcja psychologiczna opisywana wielokrotnie, zresztą także na przykładzie Żydów. Można nie wierzyć w mit narodu bogobójcy, można zachować zdrowy sceptycyzm w obliczu delirium „Protokołów Mędrców Syjonu” i jednocześnie twierdzić, iż Żydzi nie mogą być bez winy, skoro tyle różnych nieszczęść spadało na nich w historii.

W obliczu morderczej orgii Hitlera, w obliczu nieopisanej grozy codziennych obrazów istniała naturalna tendencja do szukania jakiegoś racjonalności w tym, co się dzieje. Uczucie przerażenia i rewolty obracało się często przeciwko Żydom. Nałkowska opisywała, jak prosta kobieta mieszkająca przy murze z rozpaczą powtarzała: „nie można wytrzymać, nie można wytrzymać”. Ale dodała natychmiast: „Dla nas lepiej, jak ich Niemcy wyniszczą. Oni nas nienawidzą gorzej niż Niemców (...) I każdy

pani powie to samo, kto ich zna. Że niechby tylko Niemcy wojnę przegrały, to Żydzi wezmą i nas wszystkich wymordują". Mieczysław Jastrun zaś zanotował zdanie usłyszane w tłumie obserwującym płonące getto: „Niemcy uprzedzili akcję Żydów przeciw nam”, oraz opowieść licealistki, która mówiła o Polakach mordowanych przez zbiegłych Żydów<sup>24</sup>.

Niechęć, strach i przede wszystkim obojętność. I rozumowanie, które odtworzył Kazimierz Wyka: „Niemcy mordując Żydów popełnili zbrodnię. Niemcy splamili swoje sumienie – my już teraz mamy same korzyści i w przyszłości będziemy mieli same korzyści, nie brudząc sumienia, nie plamiąc dłoni krwią<sup>25</sup>”.

Reakcją po szoku oglądanej zagłady było milczenie, próba zapomnienia. Problemy postawy w obliczu Holocaustu przywoływano tylko dla obrony honoru polskiego przeciwko słusznym czy niesłusznym oskarżeniom. W tym milczeniu trudno jest odczytać, jak wielu myślało tak jak Andrzejewski: „Dla wszystkich Polaków uczciwych i os ginających Żydów musiał być szczególnie bolesny, umierali bowiem (...) ludzie, którym naród nasz nie miał prawa spojrzeć w oczy śmiało i z całkowitym czystym sumieniem. Polkom i Polakom ginaącym za wolność naród Polski mógł w oczy patrzeć śmiało. Żydom ginaącym w płonącym ghetcie – nie!”<sup>26</sup>

#### LATA POWOJENNE

Wojna się skończyła. Życie ludzkie zaczyna wracać do normy. Choć w nienormalnych warunkach wojennej spuścizny i nienormalnej – przez społeczeństwo nie akceptowanej – skorupy nowego ustroju.

Ludzie zagospodarowują swoje domy, gruzy, ciągną na zachód – polski i zagraniczny. Również Żydzi. Na początku bardzo nieliczni, ci, którzy przetrwali okupację przechowani przez dobrych ludzi, ukryci w lasach, uratowani z obozów. Później napływają ci z Rosji. W sumie jest ich garstka, nie więcej niż dziesięć procent przedwojennej ludności.

Wydawało się, że wojna wypaliła źródła wzajemnej niechęci, wrogości. Nie ma przeludnienia, nie ma bezrobocia, nie mają sensu hasła „swój do swego”. Jest oczywiście problem

Żydów uczestniczących we władzy. Ale fakt ten nie powinien być zaciążyć na stosunku Polaków do uratowanych rozbitków. I tak w istocie rzeczy publicyści polscy przedstawiają postawę społeczeństwa po wojnie:

*Jerzy Turowicz*: „Twierdzą, że w latach powojennych antysemityzm w zasadzie w Polsce nie istniał”<sup>27</sup>.

*Bohdan Cywiński*: „Okupacja hitlerowska zaważyła na stosunkach polsko-żydowskich poprzez fakt hekatomby Żydów polskich. Potworność tego faktu przeżyta została przez całe społeczeństwo polskie i uznana za szczytowy punkt zbrodni hitlerizmu. Było to zarazem uświadomienie moralnej ohydy, do której prowadzić może opętanie ideologią antysemitką. Nauka ta do dziś pozostaje żywa w świadomości społecznej Polaków, stanowiąc zasadniczą barierę moralną, zabezpieczającą przed ewentualną groźbą antysemityzmu”<sup>28</sup>.

*Andrzej Szczypiorski*: „Wielki teoretyk kwestii narodowościowej i niezrównany przyjaciel całej ludzkości [mowa o Stalinie – A.S.] – pomylił się zupełnie. Do po doświadczeniach wojny i hitlerizmu antysemityzm nie miał w Polsce większych szans”<sup>29</sup>.

Tym razem nie będą cytował żydowskich ocen okresu powojennego. Kontrast byłby równie szokujący co przedtem. Przytoczę świadectwa Polaków spisane od razu po wojnie, a nie dziesiątki lat potem:

*Stanisław Stomma*: „Zdawało się, że straszliwe doświadczenie okupacji i bezmiar zbrodni popełnionych na Żydach przyniesie wielkie zmiany w poglądzie na sprawę żydowską, że pogląd ten pogłębi i zhumanizuje. Stało się inaczej”<sup>30</sup>.

*Jerzy Andrzejewski*: „Antysemityzm polski nie wypalił się w ruinach i pogorzeliskach ghet. Śmierć kilku milionów wymordowanych Żydów nie okazała się groźą dość wystarczającą, aby jej wymowa starła polskie nawyki myślowe i uczuciowe”<sup>31</sup>.

*Kazimierz Wyka*: „Jedynym krajem w Europie, gdzie antysemityzm nadal trwa i prowadzi do politycznych i moralnych zbrodni, jest Polska. Kraj, gdzie Żydzi byli wytrzebieni najgruntowniej i gdzie za okupacji siła oporu była najgwałtowniejsza. Tymczasem w tym to kraju hitleryzm pozostawił swe kukułcze jajo”<sup>32</sup>.

Po pogromie kieleckim profesor Stefania Skwarczyńska opublikowała w *Tygodniku Powszechnym* piękny i odważny artykuł.

Pisząc, iż naturalną reakcją w podobnej sytuacji jest próba ucieczki od odpowiedzialności, szukania winnych jak najdalej od nas, z trwogą i smutkiem stwierdzała, że na nikogo winy zważyć nie można, bo jeżeli nawet „działał tu obcy interes”, to „czy zdrowe społeczeństwo da się wieść na pasku interesów wroga?” Wzywa przy tym nie tylko do potępienia zbrodni, ale również do składania świadectwa o postawach prawdziwie chrześcijańskich manifestowanych w czasie wojny. Apeluje o to do Żydów i do tych, „których odmienność wykopał spod ziemi okupant”<sup>33</sup>.

Przeglądając niepełny, dostępny mi rocznik *Tygodnika Powszechnego* znalazłem trzy odpowiedzi na ten apel. Autorki ich z entuzjazmem i miłością piszą o ludziach, którzy narażając się na największe niebezpieczeństwo nieśli im pomoc. Laura Kaufman składa świadectwo, bowiem boi się, że „namiętny krzyk i złośliwe szeptki zagłuszą głosy spokojne i sprawiedliwe”<sup>34</sup>. E. Kołno-wa pisze o pomocy, której doznała, ale dodaje: „Antysemityzm nie skończył się wraz z Treblinką, Majdankiem i Oświęcimiem. Smutny to objaw, że często ci sami ludzie, którzy podczas wojny Żydom współczuli i w miarę możliwości pomagali, są im teraz niechętni”<sup>35</sup>. Wreszcie Ewa Szmajdlerowa, opisując pomoc, jakiej doznała od piętnastu kolejno osób, kontynuuje: „Droga Pani, bardzo mi jest miło to napisać, tym niemniej nie miałabym odwagi ogłosić publicznie nazwisk ludzi, którzy mi dopomogli – aby nie wyrządzić im niedźwiedziej przysługi. Tak samo nie mam odwagi wyłożyć krzyżyka, który (jako katoliczka) noszę na szyi, na wycięciu sukienki. Nie harmonizuje z typem. Proszę łaskawie wniknąć w sens ostatnich dwóch zdań. Ja zadowolę się krótkim komentarzem: Niemiec nauczył mnie gardzić Niemcem i śmiercią, którą niósł, Polacy teraz uczą mnie gardzić człowiekiem i wstydzić się, strasznie się wstydzić”<sup>36</sup>.

Takich świadectw jest znacznie więcej. Michał Borwicz wspominał o identycznym do opisanego przed chwilą zjawisku niechęci ludzi w czasie wojny ofiarnych do „dekonspirowania się” po wojnie<sup>37</sup>. Maria Hochberg-Mariańska we wstępie do tomu *Dzieci oskarżają*<sup>38</sup> pisała: „Nie wiem, czy jakiś człowiek poza granicami Polski pojmie i zrozumie fakt, że uratowanie życia ściganemu przez zbrodniarza bezbronnemu dziecku może okryć kogoś wstydem i hańbą lub narażać na przykrość”.

Jak mają się przytoczone świadectwa i oceny kreślone po wojnie do bilansów sporządzonych parę dziesiątków lat później przez wybitnych publicystów?

W jednolitej pogodnej wizji stosunków polsko-żydowskich po wojnie (jeżeli chodzi o społeczeństwo, bo o problemie władzy powiemy później), jeden jest tylko czyniony wyjątek: dla pogromu kieleckiego. Tego faktu przemilczeć się nie da: zamordowano wówczas z zimną krwią kilkadziesiąt osób, dziesiątki tysięcy Żydów porzuciło Polskę. Cała prasa światowa o tym pisała. Ale wyjątek jest tylko pozorny. Oto znów parę świadectw:

Zdaniem autorów opracowania Polskiego Porozumienia Niepodległościowego poświęconego stosunkom polsko-żydowskim pogrom kielecki wpisany jest w wieloletnią strategię ZSRR wobec Polski. Po zerwaniu stosunków z rządem RP w Londynie sowiecka propaganda podjęła kampanię oszczerstw przeciwko podziemiu polskiemu „zarzucając Armii Krajowej kolaborację z Niemcami, nacjonalizm i antysemityzm (...) Powtórzono ten zabieg w lecie 1946, kiedy to, aby usprawiedliwić ZSRR z niespełnienia zobowiązań podjętych wobec państw zachodnich, NKWD i UB zorganizowały tak zwany pogrom kielecki, zbiory mord Żydów, mający wykazać światu, że Polacy są narodem niezdolnych do samorządności rasistów”<sup>40</sup>.

Oto inne świadectwo, człowieka politycznie usytuowanego na pozycjach krańcowo odmiennych niż członkowie PPN: Stanisław Zochowski, były szef sztabu NSZ, również pisze o pogromie kieleckim jako niewątpliwej prowokacji Urzędu Bezpieczeństwa: „W dziesięć lat później, w październiku 1956 r., partia podała do wiadomości narodu, że pogrom był pomyłką”<sup>40</sup>. Niestety autor nie podaje, skąd zaczerpnął ten cytat.

Twierdzenie, że to UB lub NKWD zorganizowało pogrom, spotkać można w licznych bardzo wersjach. Przeważnie bez próby dowodu. Podjęła ją Krystyna Kerstenowa<sup>41</sup> oraz Michał Chęciński<sup>42</sup>. Trzeba przyznać, iż hipoteza prowokacji ma poważne podstawy.

Teorię prowokacji głosila również druga strona – komuniści i ich sojusznicy. Nie warto zajmować się propagandą oskarżającą rząd w Londynie, generała Andersa, Mikołajczyka. Warto zapoznać się jednak z tajnym protokołem z posiedzenia sekretariatu



KC PPR, na którym rozważano „sprawę pogromów”: Zambrowski mówi o próbach pogromów w Krakowie, Radomiu, Miechowie, Chrzanowie, Rabce. Z faktu masowości zjawiska wyciąga wnioski o jego planowym charakterze i wspólnej inspiracji. Uwagę koncentruje jednak nie na wątku policyjnym, lecz politycznym. Powiada, iż kwestia żydowska „...daje reakcji możliwość jątżenia, szerzenia nieporządków, wykazywania słabości Rządu i stworzenia pozorów, że reprezentuje ona większe masy”. Przyznaje, że antysemityzm obecny jest w aparacie władzy. Oraz zapewnia, że w walce z antysemityzmem „...mamy zapewnione poparcie demokracji europejskiej”<sup>43</sup>.

Jak było naprawdę? Czy mordowała tłuszcza podjudzana przez UB, czy przez skrajnie prawicowe podziemie? A może przyczyniły się do tego obie strony? Może na przykład nastroje w ówczesnej milicji niewiele się różniły (pod tym względem) od nastrojów w oddziałach NSZ? Może w jednym przypadku było tak, a w innym inaczej? Pytania są dzisiaj mało stosowne. Choćby rzeczywiście pogrom kielecki bardzo pomógł odciągnąć uwagę opinii zachodniej od skandalu sfałszowanego referendum. Ale czy z dzisiejszej perspektywy, zamiast powtarzać słowo „prowokacja”, nie powinno się zastanowić, jak doszło do tego, że w połowie dwudziestego wieku, po wojnie, tysiące zwykłych ludzi wywiekło na ulice i rozszarpało pod zarzutem mordu rytualnego kilkadziesiąt innych zwykłych ludzi. Bynajmniej żadnych komunistów, ubowców, dygnitarzy, ale prostych ludzi.

Koncentrowanie uwagi na pogromie kieleckim przesłania dziesiątki burd antyżydowskich, fakt, że setki Żydów ginęły nie tylko w pogromach. I znów, mordowano wcale nie tych, którzy Polską rządzieli, ale tych, którzy byli pod ręką: wracających z obozów, wychodzących z lasów, wylazących spod podłogi czy zza szafy — przechowywanych przez Polaków, wreszcie, wracających z Rosji. Mordowano ich, gdy wracali do swego miasteczka upomnieć się o swój dobytek, mordowano w pocinągach. Mordowali ludzie przypadkowi, sąsiedzi czy partyzanci znanego albo nieznanego pochodzenia.

Nie będę opisywać konkretnych faktów nienawiści i agresji. Łatwo można je odnaleźć w ówczesnej prasie i w książkach zagranicznych. Faktom nie można zaprzeczać. Można i należy je



wyjaśniać. Dlaczego w Polsce, która była świadkiem straszliwej rzezi trzech milionów swoich synów i szczęściu milionów Żydów polskich i zagranicznych, możliwa była taka konwulsja nienawiszcici? I jak to się dzieje, że czterdzieści lat po wojnie zamiast stawiać takie pytania, ludzie najbardziej światli zadowolają się krzepłącymi formułami albo milczeniem?

Jeżeli chce się cokolwiek zrozumieć, trzeba opuścić bezpieczne szlaki utartych interpretacji. Trzeba odrzucić teorię wojny oczyszczającej dusze, ale też szukanie przyczyn w owiecznym polskim antysemityzmie.

\*\*

Zatrzymajmy się na chwilę nad zmianami zachodzącymi w świadomości społecznej pod wpływem doświadczeń wojennych. W wyniku ich Polska, podobnie jak inne kraje Europy, radykalizuje się. Elementarnymi żądaniami stają się nie tylko niepodległość, wypędzenie okupanta, ale również demokracja – w porządku politycznym, i daleko idące reformy – w dziedzinie społecznej i gospodarczej. W okresie międzywojennym demokracja atakowana była w Europie ze wszystkich stron. Po doświadczeniach wojennych wartości demokratyczne są powszechnie akceptowane z wyjątkiem komunistów.

Tadeusz Łepkowski nazywa Powstanie Warszawskie polską demokratyczną rewolucją niepodległościową. Nazwa długa, ale dobrze oddaje ducha powstania, dążenia narodu „spauperyzowanego, zegalitaryzowanego i sproletaryzowanego”, który po doświadczeniach dwóch totalitaryzmów pragnął niepodległości i demokracji.

Klęska prowadzi jednak do straszliwego regresu. „W toku agonii tej rewolucji (...) zanikały w niej elementy demokratyczne, a pojawiały się szowinistyczne (gwałtowna rusofobia), antysemickie (uzasadnione sporym wpływem w PPR i rządzie Żydów i Polaków żydowskiego pochodzenia), konserwatywne (niechęć do reform społecznych i oświatowych)”<sup>44</sup>. Była to ewolucja tragiczna, ale też nieuchronna. W obliczu upadku Niemiec, głównym wrogiem, jedynym wrogiem, był Związek Radziecki i jego polscy sojusznicy. Postawą patriotyczną stawało się wszystko, co było sprzeczne z programem nowej władzy, która cele

swoje kamuflowała ogólnodemokratycznym, populistycznym frazesem i pozorem demokratycznych reform.

Ewolucja ta zarysowuje się w specyficznej polskiej sytuacji politycznej i duchowej ukształtowanej pod koniec wojny. Na Zachodzie z wojny zwycięsko w sensie moralnym wyszła lewica; szybko zdominowała ona inteligencję. Nie chciano widzieć łagrów, tyranii Stalina, istoty demokratycznej retoryki komunistów. Dekompozycji ulegał tradycyjny typ świadomości prawicowej, skompromitowanej duchowym pokrewieństwem, choćby i bardzo odległym, z faszyzmem, kolaboracją z okupantem, wrogością do demokracji.

W Polsce było inaczej. Ze względu na szczególne warunki prawica była zarazem narodowa, antyniemiecka, antysowiecka i antysemicka. Koniec wojny nie zmuszał jej do żadnych przewartościowań. Była tragedią narodu. Nie było kryzysu świadomości prawicowej.

Specyficzna polska sytuacja prowadziła do wzmocnienia dwóch stereotypów, z jednej strony Polaka-katolika, z drugiej – żydokomuny<sup>48</sup>. Oba jak nigdy przedtem zdawały się zyskiwać na wiarygodności. Polak-katolik bronił Ojczyzny, jej tradycji, kultury, religii, przed komunistyczną władzą narzuconą przez Sowiety i z jej nadania sprawowaną przez Żydów.

Żydzi byli rzeczywiście widoczni wszędzie. Zwłaszcza w centralnych punktach władzy. Ludowa wyobraźnia ilość ich jeszcze pomnażała, doszukując się wszędzie zmienionych świeżo nazwisk. Ten „zalew żydowski” był dla człowieka z ulicy jednym z najbardziej szokujących aspektów nowej rzeczywistości, przysyłającym często bardziej istotne, trwałe jej składniki. Szokującym, bo stanowił jakby przedłużenie okupacji 1939-1941, ale również dalszy ciąg „zimnej wojny domowej” toczony między „żywołem polskim” a „żywołem żydowskim” w umysłowości endeckiej przed wojną. Plakaty rozwieszane w kwietniu 1945 roku i głoszące „Chwała bohaterom obrońcom ghetta” i „Hańba faszystowskim pachołkom AK” mogłyby służyć za symbol tej wojny.

I otóż oni – Żydzi – wygrali! Jakież upokorzenie po latach okupacyjnej mizarii i heroizmu, ofiary i nadziei Żydzi rządzą Polską! Żydzi – ci śmieszni, ze szmoncesów, znający swoje mniej-

sce między wsią a miasteczkiem; Żydzi – krwiopijcy i demoralizatorzy – z endeckich brukowców i *Małego Dziennika*; Żydzi – szatan wcielony, ci z „Protokołów Mędrców Syjonu”, sięgający po władzę nad światem.

Samo pojawienie się Żydów wywołało szok. Odzwyczajono się od ich widoku. Ich nieobecność traktowano jako rzecz naturalną. I oto dokonano się swoiste zmartwychwstanie – karykatura tego prawdziwego – zmartwychwstanie Judasza! Jako araganczy władcy, jako oprawcy wracali ci, których zagładę straszną, pozbawioną jakiegokolwiek wzniosłości, jakichkolwiek elementów ludzkich dopiero co widziano.

..

Burdy antyżydowskie ustały gdzieś w 1947 roku. Co odegrało większą rolę: spadek napięcia uczuć antyżydowskich? radykalne zmniejszenie się liczby Żydów? brak politycznego interesu władzy? marginalizacja i w końcu eliminacja radykalnie pravicowego podziemia? Trudno powiedzieć. Braku publicznie manifestowanych uczuć antyżydowskich nie można uznać za dowód zniknięcia antysemityzmu. Podobnie jak niewystępowanie otwartych postaw opozycyjnych nie może świadczyć o akceptacji władzy przez społeczeństwo. *Toutes proportions gardées.*

Po pogromie kieleckim Stefania Skwarczyńska pisała w cytowanym artykule w sposób nieco zawily o strasliwej porażce „rzeczywistości ideowej” nie tylko tej „dzis u storu”, ale również tej „o metryce wiele starszej, która głosi miłość człowieka do człowieka, legitymując się słowami Chrystusa”. „Druga mówi do pierwszej: oto rezultaty waszych rządów. Pierwsza do drugiej: oto rezultaty długich wieków chrześcijańskiej kultury, oto owoc katolicyzmu”.

Ani jedna, ani druga odpowiedź nie jest zadowalająca. Ale te dwie rzeczywistości ideowe i zarazem również instytucjonalne, dysponujące poważnymi środkami oddziaływania na postawy społeczne, miały zasadnicze znaczenie dla dalszej ewolucji stosunków polsko-żydowskich.

## KOŚCIÓŁ WOBEC ŻYDÓW

List pasterski kardynała Hlonda, Prymasa Polski, z 1936 roku daje nam wgląd w oficjalne ówczesne stanowisko polskiego Kościoła wobec Żydów: „Problem żydowski istnieje i istnieć będzie tak długo, jak Żydzi będą Żydami (...) Faktem jest, że Żydzi walczą z Kościołem katolickim, tkwią w wolnomyślicielstwie, stanowią awangardę bezbożnictwa, ruchu bolszewickiego i akcji wywrotowej. Faktem jest, że wpływ żydowski na obyczajność jest zgubny, a ich zakłady wydawnicze propagują pornografię. Prawdą jest, że Żydzi dopuszczają się oszustw, lichwy i prowadzą handel żywym towarem. Prawdą jest, że w szkołach wpływ młodzieży żydowskiej na katolicką jest na ogół pod względem religijnym i etycznym ujemny. Ale bądźmy sprawiedliwi. Nie wszyscy Żydzi są tacy. Bardzo wielu Żydów to ludzie wierzący, uczciwi, sprawiedliwi, miłośni, dobroczynni. W bardzo wielu rodzinach żydowskich zmysł rodzinny jest zdrowy, budujący. Znamy w świecie żydowskim ludzi także pod względem etycznym wybitnych, szlachetnych, czcigodnych”<sup>46</sup>.

Oto podręcznikowy przykład tradycyjnego, chrześcijańskiego antysemityzmu, którego przejawy można było równie łatwo znaleźć i poza Polską. Typowe dla tego stanowiska – znajduje to również wyraz w liście Prymasa – jest równocześnie odrzucenie antysemityzmu integralnego, rasizmu i potępienie stosowania wobec Żydów przemocy.

Postawę Prymasa uznać można za umiarkowaną na tle ówczesnego stanu Kościoła. Były w nim co prawda tendencje otwarte, humanistyczne, związane z personalizmem, ale wpływ ich był ograniczony do wąskiej elity intelektualnej. Szczególną rolę odgrywały Laski, ks Kornilowicz i jego pismo *Verbum*, Stowarzyszenie Katolickiej Młodzieży Akademickiej „Odrodzenie”, z którego wywodzi się wiele wybitnych postaci powojennego katolicyzmu między innymi Jerzy Turowicz i Stanisław Stomna.

Kościół przedwojenny był jednak przede wszystkim ludowy i narodowy; kierunek nacjonalistyczny, w tym także radykalnie antysemicki, był w nim silnie obecny. *Rycerz Niepokalanej* i *Mały Dziennik* tę tendencję reprezentowały.

Nie mam możliwości przedstawienia stosunku Kościoła polskiego do Żydów i kwestii żydowskiej w czasie wojny. Nie znam żadnego dokumentu, który mógłby to umożliwić. Piękna jest natomiast karta Kościoła, jeżeli chodzi o ratowanie prześladowanych. Bardzo ofiarnie, ponosząc ogromne ryzyko, pomagali pojedynczy księża oraz całe zakony, w tym szczególnie zakony kobiece. Podobną była postawa Kościoła i w innych krajach katolickich Europy.

Jak wygląda stosunek Kościoła po wojnie do ocalałej, nielicznej wspólnoty żydowskiej i do Żydów licznie reprezentowanych we władzach?

Krystyna Kerstenowa w swojej ostatnio wydanej książce pisze, iż „Wypadki napadów na Żydów spotkały się ze stanowczym potępieniem ze strony głowy Kościoła w Polsce”. I cytuje na dowód słowa kardynała Hłonda skierowane do przedstawiciela Żydowskich Zrzeszeń Religijnych prof. Michała Zylberga: „Przejmują mnie one prawdziwym smutkiem. Nie powtarzając już argumentów wynikających z zasad chrześcijańskich, nie ma obecnie w Polsce obiektywnych danych na szereg antysemityzmu. To jest prawdziwe szaleństwo tych, którzy ciągle konspiруют, siedzą w lasach. Wydaje im się, że robią politykę, że napadając na Żydów zwalczają rząd. Potępiam działalność ich jako katolik i jako Polak”<sup>47</sup>.

Można się zastanawiać nad słusznością interpretacji Kerstenowej przytoczonych słów. Prymas Hłond w dramatycznych okolicznościach powojennych nie uczynił tego, co zrobił dziesięć lat wcześniej: nie potępił publicznie przejawów nienawiści i przemocy antyżydowskiej. A zwracano się do niego z prośbą o takie wystąpienie z różnych stron. Zwłaszcza Żydzi. Przed pogromem kieleckim i po nim. Odpowiedź Prymasa zawsze była identyczna (sformułował ją, między innymi, w rozmowie z korespondentami prasy zagranicznej<sup>48</sup>): odpowiedzialność za pogorszenie stosunków polsko-żydowskich ponoszą Żydzi. Przyczyną wystąpień jest miejsce; jakie zajmują oni w aparacie władzy siłą narzuconej Polsce. Postawa wrogości wobec Żydów nie ma więc źródeł antysemitycznych, ani tym bardziej rasistowskich, lecz czysto polityczne. Są ofiary wśród Żydów, ale więcej jest jeszcze ofiar — Polaków. Kościół nie będzie występował konkretnie w sprawie

zajść antyżydowskich, albowiem przeciwny jest z zasady wszelkiej nienawiści i wszelkiej przemocy.

Identyczne stanowisko zajmowało wielu innych biskupów. Za chwilę poświęcimy nieco miejsca ówczesnemu biskupowi lubelskiemu, Stefanowi Wyszyńskiemu. Wspomnijmy teraz o postawie biskupa kieleckiego Kaczmarka. Gdy przed pogromem miejscowi Żydzi, którzy wyczuwali zagęszczającą się atmosferę, apelowali do niego o wystąpienie do wiernych z uspokajającym listem pasterskim, biskup odmówił, przytaczając argumenty znane z powyższego omówienia stanowiska Prymasa. Po pogromie wydał odezwę, w której między innymi stwierdzał: „Każdy katolik nie może powstrzymać się od wyrażenia prawdziwego i szczerzego ubolewania z powodu tych tragicznych i godnych pożałowania wypadków”. Pisał również: „...stało się nieszczęście, tym bardziej, że działo się to na oczach młodzieży i nieletnich dzieci”<sup>49</sup>. Niepokojąca dwuznaczność sformułowań. Dzieci były nie tylko wśród widzów, również wśród mordowanych.

Czy stanowisko Prymasa, biskupa kieleckiego i, jak zobaczymy za chwilę, lubelskiego, dominowały ówczesnie w polskim Kościele? Trudno powiedzieć. Wiadomo o odmiennej postawie wielu wybitnych ojców Kościoła.

Sędziwy kardynał Sapieha, metropolita krakowski, zgodził się uczestniczyć w Komitecie honorowym patronującym uroczystościom w trzecią rocznicę powstania w getcie warszawskim<sup>50</sup>. W ówczesnej atmosferze był to akt nie tylko wielkoduszności, ale i odwagi. Był to też bodaj jedyny gest publiczny ze strony wybitnego przedstawiciela hierarchii polskiego Kościoła upamiętniający męczennicką śmierć Żydów, aż do udziału prymasa Giemby w Mszy świętej w czterdziestą rocznicę powstania w getcie warszawskim.

Ksiądz Tadeusz Kubina, biskup ordynariusz diecezji częstochowskiej, przyczynił się do zapobieżenia szykującemu się pogromowi w Częstochowie, podpisując wraz z przedstawicielami władz lokalnych odezwę głoszącą między innymi: „*Wszelkie twierdzenia o istnieniu mordów rytualnych są kłamstwem. Nikt ze społeczności chrześcijańskiej, ani w Kielcach, ani w Częstochowie, lub gdzie indziej w Polsce, nie został skrzywdzony przez Żydów dla celów religijnych i rytualnych*”<sup>51</sup>.

Dlaczego Prymas, a za nim i inni biskupi uznali za niewskazane czy niemożliwe wystąpienie w obronie Żydów? Co przeszkodziło w uczynieniu gestu, którego nicobecność zaledwie w rok po zakończeniu wojny szokowała? Chciałbym zrozumieć. Myślę, że najlepiej jest potraktować dosłownie stanowisko Prymasa powtórzone przez innych. Prześladowania Żydów widzieli oni wyłącznie w kategoriach politycznych. Jako przejaw toczącej się w Polsce walki, czasami zimnej, czasami gorącej, w której padają liczne ofiary wśród Polaków, ale również i wśród Żydów ponoszących konsekwencje tego, że inni Żydzi rządzą.

Inny argument był być może jeszcze ważniejszy. Komuniści wykorzystywali rzekomy czy prawdziwy antysemityzm swych wrogów do kompromitowania sił opozycyjnych. Władza była więc nie tylko „żydowska” w szerokiej społecznej percepcji, ale na dodatek posługiwała się przewrotnie argumentem antysemityzmu dla kompromitowania opozycji i wrogię jej społeczeństwa w oczach opinii międzynarodowej. Być może organizowała nawet w tym celu pogromy. W tych warunkach, kiedy władza występowała jako obrońca krzywdzonych Żydów, zabranie głosu przez Kościół mogłoby być pochytywane za akt poparcia udzielonego komunistom. Kościół mógł się postawić w sytuacji nader dwuznacznej wobec wiernych, wśród których tyle było ofiar władzy traktowanej jako żydowska.

Straszny dylemat. Jak trudno było kierować się czystą logiką współczucia, gdy tak różne, tak liczne były ofiary. Cóż więc dziwnego, biorąc nadto pod uwagę dominujące tradycje polskiego katolicyzmu, że miłość rodaka zdawała się brać górę nad miłością bliźniego.

Ze względu na rolę, jaką prymas Wyszyński odegrał w powojennej historii Polski, warto prześledzić, na ile to możliwe, jego poglądy na sprawę żydowską po wojnie. Zwłaszcza że w szczególnych polskich warunkach, głos kardynała Wyszyńskiego był głosem Kościoła.

Po pogromie kieleckim dwaj członkowie komitetu żydowskiego w Lublinie, M. Sztydkraut i St. Słuszny zostali na własną prośbę przyjęci przez biskupa Stefana Wyszyńskiego. Prasa światowa pisała w swoim czasie o tej audiencji, ale tylko na podstawie relacji gości. Według nich, ksiądz biskup miał w zasadzie



powtórzyć tezy Prymasa co do źródeł antysemitycznych wystąpień. Podkreślał, iż „narody przeżywają okres powojennej deprawacji”, której ofiarą padają zarówno Żydzi, jak Polacy. Oceniał negatywnie wkład Żydów w życie Polski i sugerował, że Żydzi „powinni usilnie pracować dla zdobycia swojej państwowości w Palestynie, z ewentualnym nabyciem kolonii w Południowej Ameryce”<sup>62</sup>.

Biskup, podobnie jak Prymas, odmówił zabrania publicznie głosu w sprawie zajęć kieleckich. Wkrótce wspomniał jednak o Żydach we wrześniu 1946 roku, z okazji „Tygodnia Majdanka”. Mówił do wiernych: „Zwalczajcie przesąd hitlerowski, który, zaszczepiając nienawiść rasową starał się zniszczyć cmentarze gmin wyznaniowych izraelskich. Pamiętajmy o tym, że raz pogwałcona zasada prawa zmarłych do spokojnego i uczciwego spoczynku, mści się i na nas w dalszym swym rozpędzie”<sup>63</sup>.

Przeskoczmy heroiczne lata pięćdziesiąte, kiedy Prymas i cały Kościół walczył o przetrwanie, lata sześćdziesiąte – wojny znacznie bardziej ograniczonej, pozycyjnej (choć nie wolnej od paroksyzmu 1966 roku), by zająć się marcem 1968 r. i reakcją nań Kościoła. Bardzo to selektywne spojrzenie na historię Kościoła, ale nie jego dzieje nas tu interesują, znane skądinąd coraz lepiej, lecz stosunek do bardzo konkretnej, marginalnej dla Kościoła sprawy: do Żydów.

Marzec 1968 oznacza różne rzeczy w świadomości społecznej: niszczenie kultury i nauki, prowokację policyjną, walkę o władzę, pojawienie się nowej opozycji, śmierć starych złudzeń reformistycznych czy wreszcie kampanię antysemitką zorganizowaną przez władzę komunistyczną i wyjazd z Polski tysięcy Żydów.

Episkopat poświęcił M-rzowi dwa dokumenty. W jednym mówi się o konieczności takiego ułożenia stosunków społecznych, w których „uszanowane zostaną zasadnicze uprawnienia osoby i społeczeństwa”. Poleca się też Bogu „...tych wszystkich, którym ostatnie dni przysporzyły wiele cierpienia”<sup>64</sup>. W drugim dokumencie Episkopatu mówi się, iż „z powodu odmienności swoich przekonań nikt nie może być zniesławiony jako wróg”<sup>65</sup>. Wiele miejsca poświęca się też wolności przekonań, jej roli w kulturze i nauce, konieczności pluralizmu prasy i dialogu ludzi różnych poglądów.



W tym też dokumencie, po obszernym akapicie potępiającym oskarżanie Polaków o współodpowiedzialność za zagładę Żydów, znajdujemy dwa enigmatyczne zdania zawierające, przy bliższej lekturze, pośrednie potępienie antyżydowskiej kampanii: „Sobór Watykański Drugi w «Deklaracji o stosunku do religii pozachrześcijańskich» jasno określił zasady odnoszenia się chrześcijan między innymi do wyznawców religii Starego Testamentu. Biskupi polscy przypominają wszystkim te zasady ze względu na ich głęboko humanitarną treść”. Odszukajmy odpowiedni fragment deklaracji *Nostra Aetate*, by rozszyfrować myśl ojców Kościoła: „Kościół, który potępia wszelkie prześladowania, przeciw jakimkolwiek ludziom zwrócone, pomnąc na wspólne z Żydami dziedzictwo, oplakuje – nie z pobudek politycznych, ale pod wpływem religijnej miłości ewangelicznej – akty nienawiści, prześladowania, przejawy antysemityzmu, które kiedykolwiek i przez kogokolwiek kierowane były przeciw Żydom”<sup>66</sup>.

Skąd taka dyskrecja w potępieniu kampanii, która spotkała się ze zdumieniem i potępieniem w całym świecie? Zanim spróbujemy odpowiedzieć na to pytanie, zacytujmy jeszcze fragment homilii Prymasa, wygłoszonej w katedrze św. Jana w Wielki Czwartek 11 kwietnia 1968 roku: „Ja, Biskup Stolicy, boleśnie przeżywam wszelkie «widowiska nienawiści». Może to ja jestem winien, biskup Warszawy, bo niedostatecznie mówiłem o prawie, o obowiązku miłości i miłowania bez względu na mowę, język i rasę, żeby na Was nie padał cień potworny jakiegoś odnowionego rasizmu, w imię którego my rzekomo bronimy naszej kultury. Nie tą drogą! Nie drogą nienawiści (...) Kulturę naszą obronimy tylko o przez prawo miłości”<sup>67</sup>. Są to słowa balwersujące. Po imieniu zostało nazwane to, co ówczesnie w Polsce się działo, mało tego: Prymas stawia na domiar problem moralnej odpowiedzialności Kościoła. Nie chodzi tu o konkretną, historyczną odpowiedzialność za antysemityzm. Chodzi raczej, można sądzić, o odpowiedzialność pasterza za swoją trzodę, za czyny i ich zaniechanie, za dobro i zło, które stanowią część ludzkiej kondycji.

Adam Michnik, który słowa te cytował, sumiennie zaznacza, że autoryzowany tekst homilii Prymasa, opublikowany w 1972 roku „nieco się różni” od przytoczonej przezeń wersji. Warto

spojrzeć na różnice. W cytowanych zdaniach „mowę, język i rasę” oraz „cień odnowionego rasizmu” zastąpiły słowa o obowiązku miłości „wszystkich, bez względu na poglądy i przekonania”<sup>68</sup>. Znikło potępienie antysemityzmu. Znikło nazwanie po imieniu tego, co się działo. Dlaczego? Nigdy się zapewne nie dowiemy. Częściowo rzuca być może światło na tę zagadkę rozmowa przeprowadzona przez Dominika Morawskiego z „kilkoma przedstawicielami polskiej hierarchii kościelnej”. Oto jak Marzec interpretuje po wielu latach rozmówca (czy rozmówcy) korespondenta *Kultury*: „Była to przede wszystkim «klótnia w rodzinie», rozprawa w łonie elity kierowniczej, a nie akcja o podłożu rasistowskim. Ofiarą frakcyjnych rozgrywek partyjnych padło wiele jednostek bezpośrednio niezainteresowanych, ale ci, co opuścili kraj, uczynili to głównie ze względów bytowych, ponieważ społeczność żydowska utraciła dotychczasową uprzywilejowaną pozycję. Metody zastosowane w nagonce antysemitkiej, moralnie odrażające, nie mogą zatrzeć wspomnień cierpień, jakich doznali księża, działacze katolicy i w ogóle społeczeństwo w okresie stalinowskim, kiedy aparat ucisku reprezentowali liczni dygnitarze i wysocy funkcjonariusze pochodzenia żydowskiego, odznaczający się szczególną gorliwością. Wolta, jakiej po 1956 roku dokonali żydowscy prominenci stalinowskiego «frontu ideologicznego» i świata kultury, nie mogła wzbudzić zaufania, tak jak późniejsze rugie antysyjonistyczne nie mogły wywołać przekonania, że Żydzi byli ich ofiarami wyłącznie ze względu na swe pochodzenie. Kampania antysyjonistyczna, podjęta przez partię dla załatwienia porachunków, wyrządziła szkody moralne i naraziła na szwank dobre imię Polski jako kraju o tradycjach tolerancji narodowościowej i religijnej...”<sup>69</sup>.

W dziesięć lat po Marcu pewien rozgłos zyskał list Prymasa do Izraela Zyngmana, obywatela państwa żydowskiego. W liście, dziękującym za książkę, mowa jest o getcie, które autor obserwował „przez szereg miesięcy przez mur przy ulicy Elekto-ralnej”, o państwie Izrael, którego konieczność Prymas widział przed wojną. Jest tam wreszcie zwięzłe podsumowanie stosunków polsko-żydowskich: „Te wspólne dzieje [chodzi o wojnę – A.S.] wyrównały nasz bieg historyczny współżycia obydwu narodów na ziemi polskiej przez szereg wieków. Myślę, że od mo-

mentu tych strasznych cierpień i ofiar otwartą się pełniejsze zrozumienia na nowe dzieje...<sup>1960</sup>

Jest to pierwsza, po cytowanym wcześniej liście pasterskim kardynała Augusta Hlonda, pisemna wypowiedź głowy polskiego Kościoła o Żydach i stosunkach polsko-żydowskich. Jakżeż bardzo one się różnią. Tym razem chodzi o list prywatny do Żyda w Izraelu. Prymas pisze, by wspomnieć po raz pierwszy: byłem blisko, widziałem. I przede wszystkim, by skonstatować zakończenie wielowiekowego współżycia na tej samej ziemi.

Żydzi w Polsce przestali być problemem ekonomicznym, społecznym, kulturalnym. Byli postrzegani wyłącznie jako problem polityczny, jako grupa polityczna *par excellence*. Nie widziano w nich części społeczeństwa. Byli poza nim. Albo we władzy wrogiej społeczeństwu i Kościołowi, albo poza Polską.

Symboliczny powrót Żydów do społeczeństwa i jego dziejów dokonuje się w ciągu ostatnich lat. W kwietniu 1983 roku, w rocznicę powstania w getcie warszawskim, po raz pierwszy w historii, najwyższy dostojnik hierarchii Kościoła katolickiego, Prymas Józef Glemp, odprawił uroczystą mszę za Żydów. Żydzi nie są już problemem politycznym. Zajmując przyznane im miejsce w historii narodu, stają się jego problemem moralnym.

### WŁADZA WOBEC ŻYDÓW

Żydzi od początku odgrywają istotną rolę w ruchu komunistycznym. Uciekają w utopię powszechnego braterstwa ludów od partykularyzmu, zamknięcia żydowskiej wspólnoty i od zagrożającej wrogości zewnętrznego świata. Porzucając żydowskie getto, zrywają, łatwiej niż inni, więzy wiary, tradycji, narodowych identyfikacji. Są też w tym ruchu witalni z sympatią jako jednostki wykorzenione, odrzucające swoją żydowskość. Tak jak rewolucja bolszewicka drapowała się w szaty rewolucji francuskiej, tak polityka bolszewicka wobec Żydów była karykaturą programu rewolucji francuskiej głoszonej przez Clermont-Tonnerre'a w 1791 roku: „Żydom jako narodowi nic, Żydom jako jednostkom wszystko”.

Stosunki między władzą a Żydami w powojennej Polsce układały się pod wpływem tradycji komunistycznej, polityki Kremla,

powstania państwa Izrael oraz dziedzictwa stosunków polsko-żydowskich.

Już w czasie wojny w Związku Radzieckim – wśród starych komunistów, ale nie tylko – przeprowadza się selekcję do przyszłej elity PRL. Po wkroczeniu Armii Czerwonej na ziemie polskie rozbudowujący się aparat panowania wchłania wszystkich, którzy skłonni są do współpracy z nową władzą. Szczególnie inteligencję, której brak odczuwa się najbardziej. Wśród Polaków-inteligentów wielu gotowych jest uczestniczyć w odbudowie kraju, uruchamianiu gospodarki, rozwoju szkolnictwa, ale nie we współrządzeniu pod kierunkiem komunistów. Zresztą władze żywią głęboką nieufność do grupy społecznej o bogatych i żywych tradycjach patriotycznych. Z Żydami jest inaczej. Wdzięczni Związkowi Radzieckiemu za uratowanie życia, społecznie izolowani, kulturowo wykorzenieni, odczuwający niechęć czy wrogość otoczenia, marzący o równości, braterstwie i pragnący zarazem dać nauczkę „reakcji” – stanowili znakomity zaczyn nowej władzy. Nie mówiąc oczywiście o przekonanych komunistach starej daty, wśród których procent Żydów był bardzo wysoki.

Żydzi, którzy decydują się pozostać w Polsce (zdecydowana mniejszość uratowanych z zagłady), zerwać ze zbiorowością i kulturą żydowską (zdecydowana mniejszość pozostającej w Polsce mniejszości), wsysani są przez rozrastający się aparat władzy. Zapewniają przede wszystkim te jego odgałęzienia, gdzie zaufanie i dyspozycyjność mają znaczenie zasadnicze: bezpieczeństwo, wojsko, aparat partyjny, propaganda, stosunki międzynarodowe.

Równocześnie czyni się wszystko, aby Żydzi byli jak najmniej widoczni. Przy mianowaniu ich bierze się pod uwagę wygląd i stopień znajomości języka polskiego, wymaga się spolszczenia nazwiska i imienia, często również zmianę metryk dawno już nie żyjących członków rodziny. Proceder upokarzający. Społeczeństwo postrzega w nim wyłącznie wolę oszustwa, ukrycia obcego charakteru władzy. W rzeczywistości nie chodzi tu o komunistycznych „maranów”, którzy, zewnętrznie się polonizując, kultywować by mieli w ukryciu żydowską specyfikę. Przeciwnie, polskość w tych środowiskach była akceptowana bez wahania i w pełni. Tyle że percepcja tego, co polskie, była szczególna i bar-

dzo selektywna, przepuszczona przez filtr doktryny. I nie jest pewne, czy ci sami ludzie z równym entuzjazmem podejmowali by ryzyko asymilacji w miejscu społecznie mniej uprzywilejowanym. Chociaż fundamentalnie miał rację Miłosz wkładając w usta swojego bohatera słowa: „Tylko nie będąc Żydami, mogą dalej żyć. A ci, co zostali Żydami, wyemigrują”<sup>61</sup>.

Przychyłość władzy dla Żydów u początków PRL była niewątpliwa. Trzeba jednak widzieć w tej polityce pragmatyzm, a nie uczucie. Żydów masowo stawiano na odpowiedzialne stanowiska nie dlatego, że byli Żydami, ale ze względu na ich wierność. Eliminowano ich jednak jako Żydów. Bardzo szybko dojrzewa bowiem potrzeba „regulacji kadr” i zastępowania Żydów w pośpiechu tworzoną kadrą narodową.

Tendencję eliminowania Żydów z pozycji władzy i odpowiedzialności wraz ze stabilizowaniem się nowego ustroju i poszerzaniem jego bazy społecznej wzmocnienia antyżydowska polityka Moskwy. Zimna wojna prowadziła do zaciągnięcia żelaznej kurtyny. Żydzi, ze względu na swoje tradycje, typ kultury, powiązania międzynarodowe, stawali się natychmiast podejrzaną kategorią obywateli. Powstałe państwa Izrael – które Moskwa zrazu popierała dla celów antybrytyjskiej dywersji – pogarsza sytuację Żydów w krajach bloku sowieckiego. Pojawia się groźne słowo „kospopolityzm”.

Aspekty antysemickie widoczne są już wyraźnie w procesie Rajka na Węgrzech w 1949 roku i grają pierwszoplanową rolę w procesie Słanskiego w Czechosłowacji w 1952 roku. Oddani stalinieści oskarżani są o zdradę, coraz częściej zdradę identyfikuje się z żydowskim pochodzeniem. Ale nie tylko ludzie władzy padają ofiarą. W 1952 roku zostaje zlikwidowana cała czołówka kultury żydowskiej w ZSRR, to rzeź wojennej – czołówka kultury żydowskiej *tout court*. Wiadomo, że śmierć Stalina przerwała przygotowania do wielkiej antyżydowskiej czystki w bloku wschodnim.

1956 rok w Polsce to między innymi proces przyspieszonego zakorzeniania się nowej władzy w społeczeństwie. Atmosfera euforii i patriotycznej mobilizacji towarzyszyła powrotowi Gomułki do władzy. Odchodzili od niej ci, którzy symbolizowali, a na niższych szczeblach – realizowali politykę stalinizacji kraju.

Odsunięto tysiące Żydów. Władza unarodawiała się zarówno w swojej ideologii, jak i w składzie osobowym.

Do tego momentu Polska przypominała, z interesującego nas punktu widzenia, inne kraje bloku sowieckiego. Żydów we władzach nie było ani więcej, ani mniej niż w Rumunii czy na Węgrzech. Wszędzie należeli do wiernych pretorianów Moskwy. Wszędzie ich później stopniowo eliminowano: spełnili już swoją rolę. Ale gdzieś na początku lat sześćdziesiątych polska elita rządząca wybiera inną drogę niż „bratnie partie”, drogę prowadzącą do marca 1968 roku.

Istnieją interpretacje traktujące Marzec jako naturalną konsekwencję komunizmu. Dlaczego jednak nie było jego odpowiednika w innych krajach obozu? Dlaczego nie było fałszywego zorganizowanego antysemityzmu na Węgrzech? A przecież po zdławieniu rewolucji 1956 roku można było łatwo zrzucić na Żydów odpowiedzialność za stalinizm i wszelkie wynikające z niego nieszczęścia: szef partii M. Rakosi – Żyd, jego efemeryczny na tym stanowisku następca, E. Gerö – Żyd, M. Farkas, odpowiedzialny za kulturę – Żyd, szef policji, G. Peter – Żyd. Na dwudziestu pięciu członków KC w 1945 roku było dziewięciu Żydów. Dlaczego nie było Marca na Węgrzech?

Polityka sowiecka też nie tłumaczy wszystkiego. To prawda, że Marzec poprzedzała wojna sześciodniowa, zerwanie stosunków z Izraelem przez Moskwę i brutalna kampania stamtąd sterowana przeciwko Żydom. Na pewno ten czynnik odegrał rolę, ale... Rumunia zachowała stosunki z państwem żydowskim i nie było tam żadnej kampanii antysemickiej. Węgry występując przeciwko Izraelowi, nie rozszerzyły ataków na Żydów węgierskich. Istniało więc spore pole manewru, jeżeli chodzi o reperkusje wewnętrzne polityki antyizraelskiej obozu.

Marzec był odpowiedzią na fiasko października 1956 r. Polityka Października oferowała pewien model symbiozy społeczeństwa polskiego z komunizmem opartej na autonomii narodowej, praworządności, reformach wewnętrznych poszerzających swobody obywatelskie i demokratyzujących system władzy. Ówczesny ruch odnowy – rewizjonizm – szybko się załamał pod wpływem nacisków Moskwy i dynamiki samego systemu odrzucającego przeszczep sprzeczny z jego naturą. Z poczucia frustracji

aparatu, utraconych szans, w nowej konfiguracji wewnętrznej i zewnętrznej, rodzi się „moczaryzm” – kolejny ruch odnowy komunizmu o zupełnie innym niż poprzedni programie unarodowienia władzy. Partia szukała kontaktów ze społeczeństwem, nawiązując nie do polskich tradycji demokratycznych, liberalnych, lewicowych, lecz do spuścizny narodowo-niedemokratycznej.

Antysemityzm, który dotychczas służył za oręż przeciwko tej władzy, teraz w rękach władzy dowodzić miał zasadniczej zmiany jej charakteru. Nie jest już obca, żydowska, kosmopolityczna, lecz narodowa i polska.

Nastroje i poglądy, którym Marzec pozwolił się ujawnić, nie były wyłącznie wynikiem manipulacji cynicznych pragmatyków. Marzec był też odpowiedzią na autentyczne potrzeby wyalienowanego ze społeczeństwa, sfrustrowanego, pozbawionego perspektywy aparatu. Aparatu kształconego i kształtowanego po wojnie, wyrastającego ze wsi polskiej i z małych miasteczek – złożonego z ludzi oderwanych od swego naturalnego środowiska i kultury, w którym kumulowały się jednak, poza frustracjami własnej kasty, frustracje i obsesje społeczeństwa. W resentymentach tych władza chciała odnaleźć więź z narodem.

Czy jej się to udało? Powszechnie panuje pogląd, że nie. Bardziej byłbym skłonny zgodzić się z opinią Leszka Moczulskiego, który pisał, że źródłem nadziei „...wprawdzie tylko w części społeczeństwa były wydarzenia 1968 roku: znaczny odłam narodu uwierzył, że usunięcie obcego ciała – tak zwanej grupy syjonistycznej – doprowadzi automatycznie do radykalnej poprawy sytuacji”<sup>62</sup>. Oczywiście, Marzec nie mógł uwieść na trwałe nawet części społeczeństwa wrażliwej na język propagandy. Autentyczny nacjonalizm polski musi być dzisiaj antysowiecki. Nadto antysemityzm państwowy jest na bankructwo – jak państwowe przedsiębiorstwo. Tak mówił o rządowym antysemityzmie końca lat trzydziestych żydowski dziennikarz Bernard Singer, ale formuła pasuje również do sytuacji z marca 1968 roku.

Przeskoczmy lata siedemdziesiąte. Żydzi z Polski wyjechali. Została garstka starców, paru „dobrych towarzyszy”, trochę zasymitowanej młodzieży, która w dużej części wiąże się z powstającą opozycją. Grudzień 1970 r. poza wszystkim innym sta-



nowił kompromitację marcowego modelu „odnowy”. O Marcu i Żydach milczy się. Rządzą praktycznie ludzie, którzy wówczas zdobywali ostrogi, ale niechętnie wspominają ówczesne zasługi. Antysemitka propaganda wykorzystywana jest przede wszystkim do atakowania opozycji.

Okres „anarchii” 1980-1981 nie przynosi żadnych zasadniczych zmian w interesującej nas dziedzinie. Można co prawda publicznie potępiać Marzec i kampanię antysemitką, ale również Żydów i masonów. Rzeczywista zmiana polityki na odcinku żydowskim dokonuje się po 13 grudnia 1981 roku. Fundamentalnie polega ona na uznaniu, iż Żydzi stanowią już nie problem polityki wewnętrznej, lecz międzynarodowej PRL. Oczywiście, dla celów walki wewnętrznej i w służbie polityki Imperium kontynuuje się propagandę antyżydowską, ale dominować zaczynają gesty przyjazne. Nie chodzi przy tym o Żydów polskich, tylko o zagranicznych, zwłaszcza amerykańskich. Dla nich czci się rocznicę getta, wydaje kosztowne albumy, zagospodarowuje cmentarze. Liczy się w zamian na ich życzliwość i wpływy: chodzi o przełamanie izolacji międzynarodowej, uzyskanie kredytów i dobrą prasę. Pewne sukcesy są widoczne. Przywódcy żydowski, krytykowany za spotkanie z Jaruzelskim w Nowym Jorku jesienią 1985 roku, nie ukrywał, że nic ich nie obchodzi Polska i „Solidarność”. Interesuje ich przełamanie bojkotu Izraela na Wschodzie oraz ułatwienie emigracji Żydom sowieckim. A tutaj Jaruzelski może być na pewno bardziej pożyteczny od Bujaka z Wałęsą. Zresztą – donosi dziennikarz<sup>63</sup> – generał powiedział im, że w „Solidarności” był antysemityzm.

#### POLSKI PROBLEM

Zakończyła się historia stosunków polsko-żydowskich. Nie ma ich już i nie będzie. „Sprawa jest spóźniona – pisze Andrzej Kuśniewicz – tej bielizny nie da się uprać do czysta. Pozostaną osobiste, poszczególne kontakty, metoda pomijania raf i mielizn. Przechodzenie obok i ponad, jakby nic się nie wydarzyło”<sup>64</sup>. Pozostało coś jeszcze, bez porównania ważniejszego: spuścizna stosunków polsko-żydowskich jako wewnętrzny problem polski. Czy się tego chce czy nie, garb istnieje. Tym bardziej, że



mimo często słyszanych optymistycznych zapewnień antysemityzmu nie można traktować jako sprawy w Polsce zamkniętej:

*Ks. Bronisław Dembowski:* „...widzimy dzisiaj, iż hasła antysemityczne są jakoś skuteczne w naszej polskiej społeczności, a spotykamy się z nimi do dziś dnia (...). Nic nie pomoże chowanie głowy w piasek. Zjawisko antysemityzmu jest rzeczywistością, której nie musimy przejawiać, ale nie możemy lekceważyć”<sup>65</sup>.

*Tymoteusz Klępski:* „Ja nie twierdzę, że antysemityzmu w Polsce nie było. Powiem więcej – on po dziś dzień istnieje w swej paranoicznej recydywie, bowiem w kraju, w którym Żydów właściwie nie ma, skoro albo się całkowicie wtopili w społeczeństwo, albo związali się z partią, czyli funkcjonują już jako «kostańce», albo są kandydatami na takowe”<sup>66</sup>.

*T. S.:* „każdy... człowiek uczciwy, jeśli tylko rozejrzy się w kręgu swych znajomych, znajdzie wśród nich mniej lub bardziej zagorziałych, ale zawsze – antysemitów”<sup>67</sup>.

Takich stwierdzeń znaleźć można dzisiaj dużo w prasie polskiej: katolickiej, oficjalnej, a zwłaszcza w drugim obiegu. Znacznie gorzej jest z opisem objawów i precyzyjną diagnozą.

„Solidarność” w okresie swego legalnego działania dostarczała unikalnej okazji dla obserwacji poglądów, postaw i zachowań formujących się i przejawiających w otwartym życiu publicznym.

Problem żydowski staje się szybko jednym z wielu pól konfrontacji między Związkiem a władzą. Władze (a przynajmniej ich część) próbowały kompromitować „Solidarność” udziałem w niej osób żydowskiego pochodzenia – demonizując ich ilość i wpływy. Działacze związkowi atakowali z kolei partię, wypominając nagminnie uciekanie się do propagandy antysemitycznej, przypominali Marzec, pogrom w Kielcach itp. Odpowiadając na poczynania „Grunwaldu” Wiktor Kulerski pisał:

„Świadomi tego, kto i po co usiłuje nas dzielić, świadomi okrutnych i przewrotnych sposobów do tego celu stosowanych, wreszcie świadomi ceny jaką płaci się za milczące przyzwolenie na szerzenie nienawiści i uprzedzeń, musimy wobec tych zabiegów zachować elementarne poczucie solidarności ludzkiej i związkowej”.

Ale nie jest to ton jedyny. Znanie wystąpienie Mariana Jurczyka, jednego z wybitnych przywódców Związku, w którym atakował Żydów w polskim rządzie, wywołało konsternację i uczucie zażenowania. Oto jeden z czołowych działaczy demokratycznej organizacji wypowiada sądy z gruntu absurdalne, wpisujące się w paranoiczną wizję świata, gdzie zło automatycznie identyfikuje się z żydostwem. Czy chodzi o izolowany przypadek? Nie jest to, sądzić można, opinia Bogdana Borusewicza:

„Ruch obrastał wszystkimi negatywnymi cechami systemu: nietolerancją dla inaczej myślących i czyniących, tłumieniem krytyki, prymitywnym szowinizmem (...) Powstało w «Solidarności» skrzydło porównywalne tylko z «Grunwaldem» czy *Rzeczywistością*. Różnicę widziałem jedną – w stosunku do komunizmu. «Prawdziwi Polacy» z «Solidarności» też reprezentowali ideologię totalitarną, tylko w kolorze innym niż czerwony. Co dziwniejsze, skrzydło to uzyskało duże wpływy wśród robotników. Natomiast środowiska tak zwane liberalne, których trzon stanowiła stara opozycja, były wyciskane z «Solidarności». Z jednej strony przez propagandę partyjną, z drugiej – przez «Prawdziwych Polaków», z trzeciej – przez hierarchię kościelną, której znacznie bliższa ideowo była w «Solidarności» grupa totalitarna”<sup>68</sup>.

Interesującym źródłem oceny postaw „Solidarności” są badania prowadzone przez grupę socjologów francuskich i polskich pod kierunkiem Alain Touraine’a<sup>69</sup>. Autorzy książek opracowanych na podstawie tych badań twierdzą, że kultura demokratyczna Związku nie pozwalała na publiczne ujawnianie postaw antysemitycznych. Odnajdywano je jednak dość często w wystąpieniach prywatnych działaczy związkowych. Zdarzyło się, że ci sami ludzie inaczej postrzegali i analizowali zjawisko publicznie, inaczej zaś prywatnie. Wraz z narastającym kryzysem, dekadencją ruchu, następowało w nim wzmocnienie elementów niedemokratycznych, populistycznych, nacjonalistycznych, antyinteligentkich. Wtedy też prywatny dotąd antysemityzm coraz częściej wdziera się na plac publiczny. Ale i wtedy – przypomnijmy tę elementarną prawdę – odgrywa rolę marginalną w stosunku do innych, bez porównania bardziej zasadniczych problemów i konfliktów.



Jakie są przyczyny trwałości uczuć antyżydowskich w świecie bez Żydów? Żeby zarysować przynajmniej kierunek poszukiwań możliwej odpowiedzi, warto zwrócić uwagę na konsekwencje zagłady Żydów dla tego, co ogólnie nazwać można świadomością zachodnią i świadomością polską.

Zagłada Żydów była dla Zachodu ogromnym szokiem. Nieporównanie większym niż jakiegokolwiek inne ludobójstwo dokonane w odległej czy bardzo bliskiej przeszłości. Samo pojęcie Holocaustu – całopalenie, religijna ofiara – sakralizowało jakby śmierć żydowską.

Przyczyny szoku są wielorakie. Wiązą się one z postawą Zachodu w obliczu zagłady, z ogromną dysproporcją między ofiarami Zachodu a losem Żydów. Wielką rolę odegrało poczucie kryzysu naszej cywilizacji. Zbrodnia dokonana się w centrum chrześcijańskiej Europy, z rąk narodu, który miał wielki wpływ na ukształtowanie jej oblicza. Holocaust ukazał w straszliwej karykaturze irracjonalną twarz cywilizacji zbudowanej na technicznej racjonalności: człowiek stał się już nawet nie narzędziem, ale surowcem znakomicie zorganizowanego procesu niszczenia. Przy czym, co świetnie pokazała Hannah Arendt, nawet zło zostało zbanalizowane.

Podstawowa przyczyna szoku, którego doznała świadomość zachodnia, miała, wydaje się, źródła religijne. Żydzi zostali wybrani do zniszczenia dlatego, że byli narodem wybranym. Wielu Żydów uważa Holocaust za naturalne zwieńczenie wieluset lat chrześcijańskiej nienawiści i pogardy: oto kara za rzekome bogobójstwo, oto spełnienie nowotestamentowego „krew jego na nas i dzieci nasze”. Deterministyczna ta wizja odbiera hitleryzmowi jego morderczą, kreatywną specyfikę, widzi ciągłość tam, gdzie była straszliwa mutacja. Bardziej przekonująca jest interpretacja przeciwna: mord dokonany na Żydach był przejawem pogańskiego buntu przeciw chrystianizmowi, jego wartościom i zasadom etycznym.

Pozostaje jednak problem wyboru ofiary i z tego punktu widzenia tradycje antysemityzmu europejskiego, w tym specyficznie chrześcijańskiego, związanego z miejscem przyznany Ży-

dom w historii świętej (*perfidis Judaeis*), nie były bez znaczenia. Dlatego też, odrzucając zarzuty jakiegokolwiek odpowiedzialności chrześcijaństwa za zbrodnie niemieckiego rasizmu, tak wielu myślicieli i ojców Kościoła mówiło o szczególnej odpowiedzialności chrześcijaństwa za los Żydów: Jan XXIII miał się podobno modlić słowami: „Przez całe wieki nasz brat leżał krwawiąc i płacząc z naszej winy, bo zapomnieliśmy o Twojej miłości”<sup>70</sup>. Kardynałowie francuscy A. Decourtray i J. M. Laviger po wizycie w obozie zagłady w Oświęcimiu pisali: „W tym miejscu, gdzie tyłu synów i córek ludu żydowskiego, tego samego, który otrzymał i przekazał nam przykazanie «Nie zabijaj», było prowadzonych na eksterminację, mogliśmy tylko rozważać własną odpowiedzialność”<sup>71</sup>. Kardynał Etchegaray mówił: „Mamy szczególny obowiązek pokuty za nasz odwieczny stosunek do ludu żydowskiego... Powinniśmy prosić o wybaczenie Pana naszego i naszych braci tak często karmionych «nauką pogardy» i pogrążonych w otchłani Holocaustu”<sup>72</sup>.

Na Zachodzie konsekwencje antysemityzmu rasistowskiego spowodowały jednoznaczne potępienie wszelkich form antysemityzmu. W najbardziej niewinnej ksenofobii widziano groźbę Oświęcimia. Znikł w dużym stopniu antysemityzm religijny, polityczny (poza jego nową, lewicową mutacją – antysyjonizmem), społeczny i gospodarczy: Do dzisiaj antysemityzm jest na Zachodzie znacznie ostrzej potępiany, silniejsze wywołuje reakcja niż inne formy nietolerancji religijnej czy rasowej.

Polska reakcja na Holocaust była zupełnie inna. Nie wywołał on szoku w świadomości zbiorowej Polaków. Wydarzenia wojenne i bezpośrednio powojenne wzmocniły jeszcze poczucie obcości i wrogości. Okoliczności sprzyjały utrwaleniu antyżydowskich stereotypów. Doświadczenia wojny nie prowadziły do kompromitacji postaw antysemitycznych. W Polsce bowiem nie było żadnych związków między radykalnym nawet antysemityzmem narodowej prawicy a antysemityzmem niemieckim. Przeciwnie, doświadczenia wojenne i powojenne wznaczały patriotyczną prawomocność uczuć antyżydowskich.

Straszliwe ofiary narodu polskiego również sprzyjały pomniejszeniu wagi eksterminacji Żydów. Zamordowano trzy miliony Polaków i trzy miliony Żydów polskich. Dlaczego jednym przy-

znawać status specjalny? Dlaczego ważna jest nie sama śmierć, ale jej prawdopodobieństwo, okoliczności, zasady selekcji, proces destrukcji?

Wielkie kataklizmy chronią przed małymi. W czasach wojen i rewolucji samobójstwa są rzadkością. Polacy, którzy ponieśli w czasie wojny znacznie większe straty niż kraje Zachodu i wchodzili w nowy okres obcej dominacji, nie byli wrażliwi na problematykę kryzysu cywilizacji, ani na europejsko-chrześcijańskie wyrzuty sumienia wobec Żydów.

Z czasem i w Polsce antysemityzm staje się określeniem postawy nagannej. Jednakże specyfika historii pozostawia wyraźne ślady. Antysemityzm jest sprawą opinii. Jedni mają taką, inni odmienną. A i samo pojęcie ma zakres znaczeniowy często bardzo zawężony w porównaniu z jego zachodnim użyciem. Pewna autorka utrzymuje, że propagowanie bojkotu gospodarczego wobec pełnoprawnych obywateli państwa nie jest przejawem antysemityzmu<sup>73</sup>. Ktoś inny uważa, że antyżydowskie uprzedzenia, stereotypy i propaganda to też nie jest antysemityzm<sup>74</sup>. Widać tu ślady długiej tradycji, pewnej niewinności polskiego antysemityzmu, którego samopoczuciu nie zaszkodziły niemieckie zbrodnie; przeciwnie. Bowiem nieraz odnieść można wrażenie, że za antysemityzm uważa się jedynie manifestowanie rasizmu czy gotowość użycia przemocy. Inne, bardziej swojskie przejawy antysemityzmu za takowy nie są często uważane.

W ostatnich dopiero latach, jak się wydaje, problem antysemityzmu i odpowiedzialności zań zaczyna być stawiany w polskim Kościele. Niewątpliwie, w dużym stopniu pod wpływem Jana Pawła II. W czasie mszy w czterdziestą rocznicę powstania w getcie warszawskim, która miała miejsce w kościele Świętego Augustyna, i w której uczestniczył Prymas Glemp, ksiądz rektor Bronisław Dembowski powiedział: „Przyznać musimy: zbrodnia ludobójstwa na narodzie żydowskim narodziła się z grzechu antysemityzmu”<sup>76</sup>. Słowa te tylko czytelnikowi zachodniemu wydać się mogą tautologią. Ale nie w Polsce. Bo mówią one o „antysemityzmie w ogóle”, a więc postawiony został problem odpowiedzialności wykraczającej poza granice Niemiec. Również nowe słowa – słowa dotychczas tabu – padły w niedawnym artykule Jerzego Turowicza: „Katolicy polscy będąc świadkami

straszliwego losu narodu żydowskiego na naszych ziemiach, widząc do czego może doprowadzić antysemityzm, winni byli przeprowadzić głęboki rachunek sumienia w odniesieniu do grzechu antysemityzmu. Mówię twardo, acz z bólem, że – w moim przekonaniu – ten rachunek sumienia nie został jeszcze u nas przeprowadzony do końca”<sup>76</sup>.

Poza nieliczną grupą intelektualistów katolickich i laickich, którzy temat stosunków polsko-żydowskich i antysemityzmu podejmowali w różnych momentach powojennej historii z pobudek moralnych, problemy te były podnoszone z reguły jako reakcja na zarzuty padające z zewnątrz. Nieważne były wtedy argumenty, racje, prawda, ale „psucie nam opinii”. Psuli zaś ją albo „oni” – komuniści swoją antysemitką polityką, albo też Żydzi – niesprawiedliwymi oskarżeniami. Ostro reagowali na ten typ argumentów krajowych intelektualistów Maria Czapka w 1957 roku<sup>77</sup> i Konstanty Jeleński w 1968 r.<sup>78</sup> Ostatnio liczne były artykuły i oświadczenia obrońców narodowego honoru w związku z filmem Claude Lanzmanna „Shoah”.

Dyskusja wokół tego filmu toczyła się na łamach prasy oficjalnej, katolickiej i niezależnej. W tej ostatniej prawie nigdy nie padł argument o „psuciu opinii” świadczący o narodowych kompleksach, niewrażliwości moralnej, albo – najczęściej – o jednym i drugim. Dostrzec można szereg przyczyn tej odmienności. Jest to prasa nie cenzurowana, w której autorzy mogą wypowiadać się pełnym głosem. Mniejszą też rolę odgrywa tu autocenzura narzucona między innymi przez narodowe tabu. Prasę niezależną tworzą i publikują w niej przede wszystkim ludzie młodzi. Do przeszłości odnoszą się z większym dystansem niż pokolenie ofiar i świadków. Wytworzywszy własną, podziemną przestrzeń wolności, nie czują również takiego ciężaru instytucji jak starsze pokolenie, które w ich ramach, dzięki nim czy inu na przekór wchodziło w życie publiczne.

Na zakończenie warto poświęcić parę słów formie antysemityzmu szczególnie niepokojącej zarówno ze względu na konsekwencje, jak i charakter symptomów.

George Orwell przeciwstawił sartrowskiej wizji antysemityzmu jako zbrodni, zbrodni swój pogląd na antysemityzm jako rodzaj nie do końca zrozumiałej reakcji o podłożu neurotycz-

nym. Neurotyczny antysemityzm polski występuje przede wszystkim w postaci spiskowej wizji historii. Ze względu na podziały światopoglądowe w naszym społeczeństwie mówić można o dwóch jej podstawowych formach: materialistycznie detektywistycznym i spirytualistycznie detektywistycznym. Różnice praktyczne są między nimi nikłe. Ci, którzy na przykład mówią o syjonistach w „Solidarności”, ci, którzy mówią o trockistach w „Solidarności” i ci, którzy w symbolu zjazdu „Solidarności” widzieli wystylizowaną gwiazdę Dawida, podzielają fundamentalnie tę samą wizję historii. Roman Dmowski pisał o „niewoli, która wytworzyła liczne zastępy niewolników uległych i zbuntowanych”. Walczył też z obydwoma postaciami zniewolenia, zarażając jednak kolejne pokolenia swoich wielbicieli innym bakcylem niewolniczego buntu: buntu przeciwko nieistniejącemu, buntu przeciwko wyobrażonemu, buntu – ucieczki od rzeczywistości, buntu przeciwko Żydowi. To tylko naród zagrożony, w poczuciu bezwysięciowości, ma skłonność do uciekania w neurozę, w mit wielkiego manipulatora, w demonologię.

Na myślenie magiczne, porażenie bezsilną i na wiele innych schorzeń społecznych jedno jest tylko panaceum: wolne życie publiczne, obywatelskie poczucie odpowiedzialności za własny los i wiara w wyzwoleńczą moc prawdy.

Aleksander Smolar

#### PRZYPISY

\* Jakże absurdalne jest mierzenie postaw społeczeństwa ilością uratowanych Żydów i jak niegodne rozdmuchiwanie liczb uratowanych ponad wszelki rozsądek. Holendrzy zachowywali się nadzwyczajnie (strajk dokerów, niezliczone dowody pomocy), a mimo to zgładzono 3/4 Żydów holenderskich. W Danii zaś, gdzie nie było oporu, uratowano 90% Żydów, w północnoeuropejskiej Francji – 70%. Dużo Żydów uratowano w Rumunii, na Węgrzech i zwłaszcza w Bułgarii – w państwach sojusznicznych Niemiec. Właśnie tam, gdzie kolaborowano z nazistami, ludziom Eichman na trudniej było realizować swój program. Trzeba było uwzględnić skrupuły miejscowych elit, negocjować wywożenie Żydów.

- <sup>2</sup> Norman Davies, *God's Playground. A History of Poland*, Columbia University Press, New York 1982.
- <sup>3</sup> Władysław Bartoszewski i Zofia Lewinówna, *Ten jest z ołczyzny mojej*, Wydawnictwo Żnak, Kraków 1969.
- <sup>4</sup> Andrzej Micewski, „Tradycje-historyczne katolicyzmu polskiego”, *Znak i Czas*, nr 1, 1986.
- <sup>5</sup> Jerzy Turowicz, „Antysemityzm”, *Tygodnik Powszechny*, 17.03.1957.
- <sup>6</sup> Paweł Korzec, *Juifs en Pologne*, PFNS, Paryż 1980.
- <sup>7</sup> Joseph Marcus, *Social and Political History of the Jews in Poland 1919-1939*, Mouton Publishers, Berlin, New York, Amsterdam, 1983, s. 433.
- <sup>8</sup> Ezra Mendelsohn, *The Jews of East Central Europe Between the World Wars*, Indiana University Press, Bloomington 1983, s. 83.
- <sup>9</sup> W. Bartoszewski i Z. Lewinówna, *op. cit.*, s. 17.
- <sup>10</sup> Tekst ulotki w: Teresa Pieterowa, *Konspiracyjna Rada Pomocy Żydom w Warszawie 1942-1945*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1982, zdjęcie nr 33.
- <sup>11</sup> Jacek Majelirowski, *Geneza politycznych ugrupowań katolickich*, Libella, Paryż 1984.
- <sup>12</sup> Izrael Gutman, „Polish and Jewish Historiography on the Question of Polish-Jewish Relations during the Second World War”, referat na konferencji w Oxfordzie, wrzesień 1984.
- <sup>13</sup> *Kultura*, nr 1-2, 1957.
- <sup>14</sup> Depesza do Londynu z 8.07.1941 cytowana przez Krystynę Kerstenową w: *Narodziny systemu władzy. Polska 1943-1948*, Libella, Paryż 1986, s. 172.
- <sup>15</sup> K. Kerstenowa, *op. cit.*, s. 172.
- <sup>16</sup> Cyt. za K. Kerstenową, *op. cit.*, s. 172.
- <sup>17</sup> Tadeusz Gajcy, „Już nie potrzebujemy”, *Sztuka i Naród*, nr 11-12.
- <sup>18</sup> Władysław Pobóg-Malinowski, *Najnowsza Historia Polski*, Londyn 1983.
- <sup>19</sup> Rozmowa z Markiem Edelmanem, *Czas*, nr 4-5, Solidarność Walcząca, Poznań 1985.
- <sup>20</sup> Józef Cyrankiewicz, *Oświęcim walczący*; cyt. za Michał Borwicz, *Organizowanie wściekłości*, Warszawa 1947.
- <sup>21</sup> Gustaw Herling-Grudziński, *Inny świat*, Instytut Literacki, Paryż 1965.
- <sup>22</sup> Sławomir Mrożek, „Nos”, *Kultura*, nr 7-8, 1984.
- <sup>23</sup> Michał Borwicz, *Organizowanie wściekłości*, Warszawa 1947.
- <sup>24</sup> Mieczysław Jastrun, „Potęga ciemnoty”, *Odrodzenie*, 17.06.1945.
- <sup>25</sup> Kazimierz Wyka, *Życie na ryby*, Książka i Wiedza, Warszawa 1959, s. 188-189.
- <sup>26</sup> Jerzy Andrzejewski, „Zagadnienia polskiego antysemityzmu”, *Martwa fala*, Wiedza, Warszawa 1947.
- <sup>27</sup> Jerzy Turowicz, „Antysemityzm”, *Tygodnik Powszechny*, 17.03.1957.
- <sup>28</sup> Bohdan Cywiński, „Zagadnienie stosunków polsko-żydowskich w opozycji lat 70-ych”, *Puls*, nr 24, 1984/1985.
- <sup>29</sup> Andrzej Szczypiorski, „Polacy i Żydzi”, *Kultura*, nr 5, 1979.
- <sup>30</sup> Stanisław Stormna, „Oskarżenie ze wszystkich najstraszniejszych”, *Tygodnik Powszechny*, nr 49, 1946.
- <sup>31</sup> Jerzy Andrzejewski, *op. cit.*
- <sup>32</sup> Kazimierz Wyka, „Potęga ciemnoty potwierdzona”, *Odrodzenie*, 23.09.1945.
- <sup>33</sup> Stefania Skwarczyńska, „In tenebris lux”, *Tygodnik Powszechny*, 11.08.1946.
- <sup>34</sup> *Tygodnik Powszechny*, 8.09.1946.



- <sup>33</sup> *Tygodnik Powszechny*, 27.10.1946.
- <sup>34</sup> *Tygodnik Powszechny*, 27.10.1946.
- <sup>35</sup> List do redakcji *Kultury*, nr 11, 1958.
- <sup>36</sup> Cyt. za Michał Borwicz, cytowany list do redakcji *Kultury*.
- <sup>37</sup> Polskie Porozumienie Niepodległościowe, „Polacy – Żydzi”, opracowanie nr 32, kwiecień 1979.
- <sup>38</sup> Stanisław Żochowski, *O Narodowych Siłach Zbrojnych*, Brisbane, Londyn 1983, s. 177.
- <sup>39</sup> Krystyna Kerstenowa, „Kielce – 4 lipca 1946 rok”, *Tygodnik Solidarność*, nr 36, 1981.
- <sup>40</sup> Michael Checinski, *Poland, Communism, Nationalism, Antisemitism*, Karz-Cohl Publishers, New York 1982.
- <sup>41</sup> *Zeszyty Historyczne*, nr 24, 1973, s. 141-142.
- <sup>42</sup> Tadeusz Łepkowski, „Myśli o historii Polski i Polaków”, *Zeszyty Historyczne*, nr 68, 1984.
- <sup>43</sup> Por. Krystyna Kerstenowa, *op. cit.*,
- <sup>44</sup> Kardynał A. Hlond, *Na straży sumienia narodu*, Nowy Jork 1951; cyt. za B. Cywiński, „Z dziejów Kościoła katolickiego w Polsce niepodległej”, *Niezależna Oficyna Wydawnicza*, Warszawa 1980.
- <sup>45</sup> Por. Krystyna Kerstenowa, *op. cit.*, s. 170; cyt. za *Gazeta Ludowa*, 13.01.1946.
- <sup>46</sup> Por. S. L. Shneiderman, *Between Fear and Hope*, Arco Publishing Company, New York 1947; K. Kerstenowa, *op. cit.*
- <sup>47</sup> Cyt. w: Paweł Jasienica, „Pan Sieradzki dyskutuje”, *Tygodnik Powszechny*, 1.09.1946 za *Odrodzeniem*.
- <sup>48</sup> Por. Michał Borwicz, *op. cit.*
- <sup>49</sup> Cyt. za Michał Borwicz, *op. cit.*
- <sup>50</sup> Archiwum prywatne.
- <sup>51</sup> Cyt. za Peter Raina, *Stefan Kardynał Wyszyński Prymas Polski*, Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn 1979.
- <sup>52</sup> *Listy Episkopatu Polski 1945-1974*, Editions du Dialogue, Paryż 1975, s. 518-519.
- <sup>53</sup> *ibid.*, s. 525.
- <sup>54</sup> Cyt. za *Znak*, nr 2-3, 1983.
- <sup>55</sup> Adam Michnik, *Kościół, lewica, dialog*, Instytut Literacki Paryż 1977; cyt. za *Na Antenie*, 24.11.1968.
- <sup>56</sup> Stefan Kardynał Wyszyński, Prymas Polski, *W sercu stolicy...*, Papieski Instytut Studiów Kościelnych, Rzym 1972.
- <sup>57</sup> Dominik Morawski, „Korespondencja z Rzymu”, *Kultura* nr 5, 1973.
- <sup>58</sup> Cyt. za Andrzej Micewski, *Kardynał Wyszyński Prymas i mąż stanu*, Editions du Dialogue, Paryż 1982, s. 383.
- <sup>59</sup> Czesław Miłosz, *Zdobycie władzy*, Instytut Literacki, Paryż 1953.
- <sup>60</sup> Cyt. za A. Michnik, *Odpowiedź na ankietę „W 10 lat po wydarzeniach marcowych”*, *Krytyka*, nr 1-2, 1978.
- <sup>61</sup> Por. *Jewish World*, 17.10.1985; cyt. za *Przegląd Władomości Agencyjnych*, nr 29, 1985.
- <sup>62</sup> Andrzej Kuśniewicz, „Nawrócenie”, *Twórczość*, nr 10, 1985.
- <sup>63</sup> „Patrzeć na historię w prawdzie”, *Więź*, nr 4-5-6, 1985.
- <sup>64</sup> Tymoteusz Klempski, „«Ich» drogi donikąd”, *Zeszyty Historyczne*, nr 75, 1986.

- <sup>67</sup> T. S. „Polski antysemityzm”, *Spotkania*, nr 29-30, 1985.
- <sup>68</sup> W: M. Łopiński, M. Moskit, M. Wilk, *Konspira*, Wydawnictwo Spotkania, Paryż 1984.
- <sup>69</sup> A. Touraine, F. Dubet, M. Wieviorka, J. Strzelecki, *Solidarité. Analyse d'un mouvement social*, Fayard, Paris 1982; M. Wieviorka, *Les Juifs, la Pologne et Solidarnosc*, Denoël, Paris 1984.
- <sup>70</sup> Cyt. za *Znak*, nr 2-3, 1983.
- <sup>71</sup> Por. *Tygodnik Powszechny*, 31.07.1983.
- <sup>72</sup> Por. *International Herald Tribune*, 8.11.1983.
- <sup>73</sup> Kinga Strzelecka OSU w tekście poświęconym Świętemu Maksymilianowi Kolbe, *Więź*, nr 4-5-6, 1985.
- <sup>74</sup> W. W. „Żydzi, Polacy, Antysemityzm”, *Polityka Polska*, nr 6, 1984.
- <sup>75</sup> Cyt. za Ewa Berberysz, „Z grzechu antysemityzmu”, *Tygodnik Powszechny*, 17.04.1983.
- <sup>76</sup> Jerzy Turowicz, „Shoah w polskich oczach”, *Tygodnik Powszechny*, 10.11.1985.
- <sup>77</sup> Maria Czapska, „W odpowiedzi redaktorowi Turowiczowi”, *Kultura*, nr 6, 1957.
- <sup>78</sup> Konstanty A. Jeleński, „«Hańba» czy wstyd”, *Zbiegi okoliczności*, Instytut Literacki, Paryż 1982.

## ZESZYTY LITERACKIE

W numerze 14 (WIOSNA 1986): PROZA I POEZJA: STANISŁAW BARAŃCZAK, Dziewięć wierszy; ADAM ZAGAJEWSKI, Tajne przemówienie przewodniczącego; EWA LIPSKA, Do Karola Dedeciusa; PIOTR MITZNER, List z podróży. SPOJRZENIA: ADAM MICHNIK, Książę i żebrak. EUROPA ŚRODKA: J.Z., Listy troiste; MARYNA CWIETAJEWA, BORYS PASTERNAK, RAINER MARIA RILKE, Listy (1926). LISTY Z PARYŻA: WOJCIECH KARPIŃSKI, Nicola Chiaromonte i jego „Notesy”. PREZENTACJE: NICOLA CHIAROMONTE, „Notesy”; JAMES MERRILL, Poranki w operze. O KSIĄŻKACH: RENATA GORCZYŃSKA, Szkic wieczności; JAN ZIBLIŃSKI, Ogrodnik wśród barbarzyńców. NOTATKI. LISTY DO REDAKCJI. NOWE PUBLIKACJE. NOTY O AUTORACH.

Do nabycia w redakcji (CAHIERS LITTÉRAIRES, 44, rue Tiquetonne 75002 PARIS).

Cena pojedynczego egzemplarza wraz z przesyłką 50 FF .

[6,50 \$USA]; pocztą lotniczą 56 FF (7,5 \$USA).

Prenumerata roczna — 170 FF (22 \$USA); pocztą lotniczą 210 FF.  
(27,50 \$USA).

# dziewięćdziesiąta rocznica urodzin Józefa Czapskiego

Wojciech Karpiński

## SŁOWA I WIDZENIE

Pokój wydaje się mroczny. Niewielką przestrzeń zajmują nie tylko sztalugi i stoliki z farbami, również tapczan pokryty starą kapą, wysiedziały fotel o podejrzenie wystających sprężynach z wytartym, niegdyś chyba pasowym obiciem, dwa krzesła, duży stół, na nim stosy książek, gazet, papierów, teczki z wielkimi napisami czarnym flamastrem: „Moje skarby”, „Ważne”, „Odpowiedź”, „Listy”. Rozrosłe drzewa za oknem rzucają cień. Pracownia Czapskiego na piętrze donu *Kultury* w Maisons-Lafitte przypomina jego obrazy.

Wysoka sylwetka przemyka się wąskim korytarzem z nowym płótnem w ręce. Drżę, aby nie zawadził o stół bądź o inne obrazy gromadzące się w przejściu. Kontynuujemy rozmowę. Czapski pokazuje rysunki z notesów. Wyciąga z półki nad tapczanem duże kajety, dzienniki spisywane bez przerwy od obozu, w Rosji, Iranie, Iraku, Egipcie, we Włoszech, tu w Paryżu i w licznych podróżach. Zebrało się już 200 tomów. Przedwojenne spleoneły w Warszawie. Ilustruje dzienniki szkicami. Błyskawiczne notatki do obrazów wlepione obok czarnych hieroglifów nieczytelnego pisma. W toku opowieści zrywa się, by podobnie zilustrować wywody cytatem lub reprodukcją. Sięga po swoje skarby.

Za którymś razem książki nieodmiennie spadają na tapczan. Postrzępione tomy Prousta, eseje Pawła Valéry, *Pamiętnik*

Brzozowskiego, Norwid (wiersze i listy), Simone Weil, *Dziennik podróży do Austrii i Niemiec* Hostowca-Stempowskiego, album z rysunkami Matisse'a, inny poświęcony Goyi, *La nature morte* Charles'a Sterlinga, Bonnard, tom Miłosza, wiersze Herberta, polsko-angielska antologia od Kochanowskiego po Żeromskiego i Tuwima zdobyta w czasie wojny bodajże w Kalrze. Te książki żyją. Uczestniczą w rozmowach. Odpowiadają na pytania. Czasem milczą. Strony pozakreślane ołówkiem, notatki na marginesach. Istnieje u Czapskiego zaskakująca odpowiedniość wyobraźni plastycznej i literackiej.

Uważał się zawsze przede wszystkim za malarza. Pisanie było tylko uzupełnieniem. Może dlatego w słowie zdobył się na swobodę wyrazu wcześniej niż w linii i plamie barwnej? Literatura otaczała go jak powietrze. Książki grały zasadniczą rolę w jego życiu wewnętrznym. Szukał w nich tego, co zaspokoi jego głód myśli i wyobraźni. W tym sensie nie jest bezinteresowny: nie czyta dla czystego gromadzenia wiedzy czy estetycznej dolektacji; przywłaszcza sobie cudze teksty, odnajduje się w nich i nadaje im zintensyfikowaną obecność. W poecie czy malarzu potrafi dojrzeć człowieka, autora konkretnego dzieła. I umie nadszkicować jego wizerunek słowem szybkim, całym, czasem bzlansującym na granicy gramatycznej poprawności, nigdy nie nudnym. Ta umiejętność chwytania duchowej rzeczywistości, na gorąco, w ruchu, stanowi o miejscu Czapskiego w polskiej literaturze, miejscu wyróżnionym, a ciągle jeszcze nie dość rozumianym. Spadające książki, cytaty czy opowieści ilustrujące rozmowę wydają mi się fragmentem jego autoportretu: zagracony pokój, sztalugi, długa postać wyciągnięta na tapczaniu, cudze słowa ożywione jego gestem i spojrzeniem i jego słowa, wibrujące, trafne.

Książki o tyle są ważne dla niego, o ile stanowią część jego biografii. I on napotkał w swoim życiu „książki zbójckie”. Kilkakrotnie wraca we wspomnieniach do nagłego zderzenia z Brzozowskim. Było to już po doświadczeniach petersburskich, po upojeniu literaturą rosyjską, przede wszystkim Dostojewskim i Tolstojem, po spotkaniu Mereżkowskiego, po przeżyciach w rewolucyjnym Piotrogradzie. Przyjechał wtedy, w 1919 roku, po raz pierwszy do Krakowa. „Nikogo tam jeszcze nie znałem, mo-

ja ignorancja spraw polskich dziś mnie samemu wydaje się prawie niewiarygodna. Z pobytu wówczas w Krakowie nie zachowałem wspomnień ani Wawelu, ani kopca Kościuszki, ani Panny Marii, ale pamiętam dokładnie ciemny salonik-poczekalnię jakiegoś dentysty, gdzie na stole, pod brzydką secesyjną lampą, wśród brudnych, sto razy przeglądanych pism ilustrowanych odkryłem *Legendę Młodej Polski*. Otworzyłem ją w środku pierwszego rozdziału: „Nasze ja i historia”. Odczytuję dziś ten rozdział. Cóż było w nim wówczas tak rewelacyjnego, że miałem wprost fizyczne wrażenie, że odkrywam coś dla mnie najważniejszego? Zrozumiałem nagle całym sobą, już od pierwszych stron tej książki, że nie jestem sam, że jestem związany z całym światem, z historią, że nie ma samotności, że moje najtajniejsze myśli i przeżycia nie są moją tylko własnością, że mają odpowiedniki w świecie (...); że jestem nie tylko potrzebny, ale że nikt za mnie tego, co zrobić muszę, nie robi i zrobić nie może. Potem już, idąc w głąb tej książki, odkrywałem z upojeniem to, czego nigdy mi Rosja dać nie mogła, że moja droga do idei ludzkości, która mnie na wschodzie urzekła, prowadzi przez Polskę, że jej rozwoju nie tylko nie muszę, ale nie mam prawa lekceważyć. Poprzez okrutny pamflet na Polskę zdzieciniałą, jedyną, którą znałem dotychczas, odkrywałem inną Polskę”.

Z aprobatą cytuje słowa Brzozowskiego, że co nie jest biografią, w ogóle nie istnieje. Jego własna biografia aż nadto istnieje. Jak malarstwo zarazem przybliża i przesłania jego pisanie, tak jego życiorys zarazem oświetla i zaciemnia jego sztukę. Czasem wydaje się uprzywilejowanym świadkiem XX wieku. Piękna książka jego siostry Marii Czapskiej *Europa w rodzinie* przedstawia historię ich przodków, świat europejskiej arystokracji. Pisał o tej kronice Konstanty Jeleński: „Austriacy są tu patriotami czeskimi, niemieccy protestanci wiernie służą Rosji, polscy Czapscy są lojalnymi poddanymi caratu, dopóki nie nawróci ich na patriotyzm córka udzielnego księżątka Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego. (...) Wydaje się, że historia obchodzi się z pewnymi rodzinami, jak przyroda z kryształami – grają tu podobne prawa symetrii i refleksji. U szczytu osiemnastowiecznych *quartiers* patronują Marii Czapskiej dwaj przeciwstawni

przodkowie – wykonawca rozbiorów Polski z rozkazu Katarzyny, ambasador Otto Magnus Stackelberg, i konfederat barski Franciszek Stanisław Kostka Czapski. W jej własnym pokoleniu mamy na jednym krańcu jej wuja Jerzego Cziczeryna, pierwszego komisarza spraw zagranicznych ZSSR, na drugim chyba Emeryka Czapskiego, baliwa maltańskiego”.

*Europę w rodzinie* można uznać za ważne tło, kontrastujące i dopełniające, dla biografii Józefa Czapskiego. Na jego oczach rozpadał się dawny świat. Współczesność atakowała go brutalnie: wojna światowa, służba w wojsku, tolstojowskie rojenia o pacyfizmie, rewolucyjny Piotrogród, wojna 20 roku, spotkanie z awangardą artystyczną, marzenia o czystej sztuce, doświadczenia paryskie, powrót do kraju, praca kulturalna, malarstwo, pisarstwo, znów wybuch wojny, niewola, obóz w Starobielsku, niewidoczny jeszcze cień katyńskiej masakry, znów w polskiej armii, poszukiwania zaginionych towarzyszy, daremne interwencje u dygnitarzy NKWD w Moskwie, szef wydziału propagandy i informacji armii Andersa, droga z wojskiem przez Bliski Wschód i Włochy, znów pisanie, współorganizowanie *Kultury i Instytutu Literackiego*, podróże, malarstwo.

Czasem, zwłaszcza we własnych wspomnieniach, wydaje się dalekim krewnym stendhalowskiego Fabrycego del Dongo, który zaplątał się na bitewne pola różnych Waterloo naszego stulecia. Dochodzi do niego zgiełk współczesności; później historycy układają schematy ważnych wydarzeń, ale on dostrzega i potrafi oddać ich mgliste kształty, ich wieloznaczność i nieprzejrzystość dla sumiennego obserwatora. A czasem wydaje się wiernym uczniem swych mistrzów Hokusai'a i Cézanne'a. Z admirującym zrozumieniem powtarza odpowiedź daną przez Cézanne'a na pytanie, co robił podczas wojny francusko-pruskiej: „malowałem moje pejzaże”. I ze wzruszeniem przytacza słowa Hokusai'a, „starca opętanego rysunkiem”: „Zrobiłem kilka obrazów, wierzyłem, że były dobre, gdy miałem lat 50, ale wszystko, co zrobiłem przed siedemdziesiątką, nie miało żadnej wartości. Gdy miałem 73 lata, zdobyłem zdolność uchwycenia wszelkich zjawisk natury – kształtu ptaków, ryb, zwierząt, drzew, wszystkiego. Kiedy będę miał lat 80, pójdę jeszcze dalej, ale posiadę naprawdę sekret sztuki, gdy będę miał lat 90. Kiedy osiągnę lat

100, sztuka moja będzie prawdziwie wzniosła, cel zaś mój ostateczny osiągnę około roku 110 mego życia, wtedy każda kreska i każdy punkt, który narysuję, będą nasiąknięte życiem”.

Trzeba w nim jednocześnie widzieć i świadka ważnych wydarzeń, i Fabrycego del Dongo, i Hokusai'a. Uintensywniona obecność i dystans marzeń, niewczesne rozważania i działania, skąpane w materii historycznej i wychodzące poza nią – ta postawa uderzała już w młodym Czapskim. Znakomita poetka rosyjska Zinaida Gippius i jej słynniejszy jeszcze mąż Dymitr Mereżkowski schronili się przed kataklizmem rewolucji do Warszawy. Przeniknięci byli poczuciem misji: jedynym ratunkiem przed tyranią bolszewicką jest sojusz sił demokratycznych Rosji i odradzającej się Polski. W Piłsudskim pokładali nadzieje na spełnienie tych marzeń. Ich pierwszym kontaktem w Warszawie był Czapski. Zaraz po ich przybyciu w lutym 1920 roku zjawił się w obskurnym hoteliku na Bielańskiej. Zinaida Gippius zanotowała w dzienniku: „Przyszedł Józef Czapski. Kochany, szalony, wysoki, chudy żołnierz. (Przed rokiem był oficerem, ale porzucił mundur zgodnie ze swymi tołstojowskimi przekonaniem. Wtedy odwiedził nas w Petersburgu. Potem nabrał rozsądku, wrócił do wojska, ale już nie do swojego pułku i jako zwykły szeregowiec). Zdumiewająco przyjemny i serdeczny człowiek, jak dziecko zanurzony w marzeniach, typowy przedstawiciel najlepszych cech polskiego charakteru. Zakochany w Piłsudskim”.

Zdolność „wieloplanowej obecności” nie opuszczała Czapskiego i później, nawet w czasach najtrudniejszych. Ta umiejętność, ntrwalona w słowie, stanowi o sile jego pisarstwa. *Na nie-ludzkiej ziemi* jest przede wszystkim zapisem świadka, ważną książką nie tylko polskiego losu. Przyjęcie u Aleksiego Tołstoja, spotkanie z Achmatową recytującą fragmenty tworzonego wówczas „Poematu bez bohatera”, nocna rozmowa z Lidią Czukowską (nie wymienioną z nazwiska, nie można jej było narażać), czy choćby to krótkie spotkanie w pociągu z lotnikiem czytającym Baudelaire'a, wszystko to są wyjątkowe świadectwa o prawdziwej Rosji tamtych strasznych lat.

I wtedy nie zatracił dystansu. Po latach wspominał („Tło rosyjskie” w *Oku*): „W obozie starobielskim byłem uznany za suchotnika i jak najbardziej nad tym czuwałem, by z tej kategorii,

w którą mnie zresztą wpisano mylnie, nie wypaść. Nie używany do żadnych poważniejszych robót poza obieraniem podgnitych kartofli, myciem schodów i wielkimi łowaniami na pluskwy, miałem czas nie tylko na czytanie, ale na notowanie i nawet, w Gria-zowcu, na codzienne rysowanie złym ołówkiem na okropnym jak wata papierze – to był mój ratunek”. Po wyjściu z obozu rzucił się w wir działania. Jeździł po Rosji w poszukiwaniu zaginionych jeńców. Podczas długiej podróży spisał w pociągu refleksje na temat pracy artystycznej, jedne z najciekawszych, jakie istnieją w literaturze polskiej. Te uwagi – o kontemplacji, o terapii pracy, o płodności lenistwa, o potrzebie stałego wysiłku i o konieczności rzucaania się w przepaść, w nieznanne – tkwią mocno w konkretnie, podbudowane trafną anegdotą, osobistym wyznaniem. Padają tam słowa odnoszące się nie tylko do Czapskiego-malarza: „Jeżeli chodzi o mnie, długo męczyła mnie ta dwoistość podejścia – jedno analityczne, rozumowe, wyrastające z tradycji Holendrów i do pewnego stopnia z pointylistów, i drugie, wariackie, dla siebie samego nieoczekiwane – prawdziwy skok w przepaść. Widziałem w tym brak scalonej indywidualności, jakiego rozdwojenie psychiczne, które próbowałem sztucznie przezwyciężyć bez żadnego zresztą rezultatu”.

Jako pisarz wcześniej pogodził się z tą dwoistością podejścia. Dzięki niej widzenie wielokrotnie uległo wzmocnieniu i znajdowało artystyczny wyraz w jego prozie, nerwowej, celnej. Nawet na nieludzkiej ziemi umiał odszukać i ocalić chwile kontemplacji. Tak było podczas brutalnego ataku choroby – tyfus i malaria – w Ak Ałtynie: „Patrzałem przez okno godzinami i widziałem białą-kremową ramę okienną na tle zawsze niebieskiego i prawie zawsze czystego, bez chmurki, nieba, bardzo jasnego rano, potem coraz ciemniejszego, a potem znów jaśniejącego i nabierającego koloru zielonkawego. Myślałem nad tym, jak wydobyc ten dźwięk niebieskości”.

We wczesnym szkicu o Prouście z roku 1928 mówił o dwóch ogrodach obecnych w każdej literaturze: istnieje ogród publiczny, dostępny dla wszystkich, i ogród tajemny, do którego najtrudniej dotrzeć. Może w każdym twórcy istnieją te dwa ogrody? U niektórych, wybranych, przenikają się one wzajemnie. Do nich należy Czapski. Jego piarstwo z niezwykłą siłą przekazuje



dramatyczne – i wzbogacające – współistnienie obu sfer. Dwoistość podejścia nie tylko wobec sztuki, lecz i wobec życia, nadająca materii słowa wewnętrzne rozedrganie, impet stylu, władzę chwytania w skrócie zjawisk pozornie odległych. Spotkanie z Mereżkowskimi pozwoliło mu zrozumieć naturalność tego rozdarcia, włączyć je w duchowy horyzont. W dziennikach cytuje fragment wiersza Zinaidy Gippius:

„I nie pić już nie śmiemy  
Świętego, ziemskiego wina”.

Jak echo odpowiada tym słowom, dopełniając je, wiersz Hofmannstahla *Manche freilich...* często przez Czapskiego przytaczany, a mówiący o związkach tych, co przebywają przy Sybillach i Królowych, rozumieją lot ptaków i krainy gwiazd, z tymi, którzy trudzą się przy wiosłach, wplątani w korzenie życia. Od tego poematu-leitmotiwu rozpoczął szkic o Hostowcu, zaskakujący umiejętnością portretowania odmiennej osobowości i osobistym tonem. Dwoistość podejścia sprawia, że trafny portret staje się elementem autoportretu. „Nie znam człowieka, który by bardziej od autora *Esejów dla Kasandry* zdawał się powołany, by współżyć z Sybillami i znał lepiej niż on lot ptaków i krainy gwiazd, ale na niego właśnie pada cień od tamtych wszystkich, którzy tkwią przy ciężkich wiosłach w zamięcie życia”.

Także uwagi o stylu Hostowca, przy całej odmienności temperamentów i wzorców, odnoszą się ze zdumiewającą trafnością do pisarstwa Czapskiego: „Słowa, pozornie proste, zawsze w nieoczekiwany sposób dobrane i powiązane, metafory zaskakujące nie wyszukaniem, ale właśnie codziennością, wyjaśniające, nigdy zacierające sens tekstu, liczne i udane spolszczenia słów obcych, cytaty diamentowe z dziewięciu języków wzięte, oddech zdania, płynny i oszczędny zarazem – zdaje się, że rozpoznać moglibyśmy autora zawsze wśród stu przeróżnych tekstów – sam kształt myśli krągły i pełny – to stop magiczny”.

Magiczny stop Czapskiego też daje się rozpoznać wśród stu Innych. Rytm jego frazy jest odmienny od Hostowca, przejrzystego i lapidarnego, od Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, metaforycznego i powściągliwego. Od Wata, od Miłosza, od Jeleńskiego, od Gombrowicza. A jednak w moim poczuciu łączy tych pisarzy podobna postawa wobec rzeczywistości, różnie realizo-

wana. Może dlatego zdołali nadać słowom żywy dźwięk, że starali się dotrzeć do świata i nie zniszczyć ogrodu sekretnego. O podobnym wysiłku duchowym – widzenia rozszerzającego, głębokiej pamięci, osobistego słowa – myślał chyba Czapski, gdy kreśląc sylwetkę Remizowa mówił: „Poniżenie *każdej* emigracji, która trwa nie dnie, ale lata, rodzi nie tylko gorycz, swary i nienawiści – rodzi także światło. Im więcej myślę o emigracji, tym więcej mi się zdaje, że takie zjawisko siły twórczej w pustyni wygnania, to najwyższe usprawiedliwienie tulaczki emigracyjnej. (...) «Ciężkie są stopnie wygnania», ale jeżeli prowadzą do gwiazd czystych, które chadzają po czystym niebie – jak pisze Remizow – i do przezroczystych strumieni, które płyną na naszej surowej ziemi?»”.

W prozie Czapskiego uderzają energią stylu nie tylko portrety ludzi. Potrafi także ożywić słowem i nasycić własną osobowością mury miasta. Paryż od dwóch stuleci stanowi jedną ze stolic polskiej literatury. Tutaj były pisane i drukowane jej najwybitniejsze dzieła. Samo miasto jest mało obecne na kartach książek. Mickiewicz zamykał drzwi od Europy hałasów, na paryskim bruku chciał rozmyślać o litewskich obłokach i puszczach. Słowacki przyglądał się, jak w „Nowej Sodomie” „z Sekwany łona powstają gmachy połamanym składem”, ale dla niego:

„Tu dzisiaj Polak błąka się wygnany,

W nędzy – i brat już nie pomaga bratu.

Wierzby płaczące na brzegach Sekwany

Smutne są dla nas jak wierzby Eufratu”.

Gombrowicza nad paryskimi trotuarami straszyl płas francuskich guwernantek, koszmar dzieciństwa, a w Ogrodzie Tuileryjskim osaczyła nocą kamienna nagość posągów, gry imaginacji i ostrości spojrzenia. Miłosz schodząc ulicą Descartes ku Sekwanie ogląda w jasnym świetle wirujące koło czasu i na ścieżce dzieciństwa rozpoznaje węża zwiniętego w trawie.

Wśród polskich Paryżów Paryż Czapskiego ma istnienie szczególnie intensywne. Wizerunek miasta z napisanego w 1948 roku szkicu „Groby czy skarby” – przejęty sprawami publicznymi i wprowadzający w ogrody sekretne, prawdziwy manifest „tajemnej swobody” – powinien znaleźć się w każdej antologii polskiej prozy żywej. „Szedłem przez Pont Neuf. Była mgła, nie

niebieska, jak często bywa w Paryżu, ale szara, prawie londyńska. Ciężka kupała Instytutu koloru sadyz wynurzała się nad starych, szarych domów na tle szarego nieba. Domy na wyspie były także szare, jeden z nich najeżony cienkimi żelaznymi rusztowaniami wyglądał jak odrutowany garnek. Przecież przez ten sam most – przypomniałem sobie – wyjeżdżał Sułkowski do Egiptu razem z Venturą, wyjeżdżał karetą tuż stąd, z domu Bréguetów na 39, Quai de l'Horloge. (...) Szedłem mostem zmęczony, bez myśli. Ostatni skrawek Cité, ogród pod mostem, wrzynający się ostrym szpicem w Sekwanę, był prawie zatopiony. Drzewa ogrodu dotykały wody, konary ich miały kolor kupały Instytutu, stała tam również stara, niska, o połamanym pniu, podparta kijami wierzba płacząca. «Wierzba płacząca na brzegach Sekwany»...

Stała nad falą gęstą, nieprzezroczystą, barwy matowej, szarozielonej. Krótkie, ciężkie fale szły szybko i burzliwie. Patrzałem na miasto odruchowo, półświadomie notując zestawienie czerni, szarości i odbijającą od tych szarości głuchą zieleń szybkich fal narastającej Sekwany (...).

Innego dnia śpieszyłem po moście de la Tournelle z Biblioteki Polskiej z wyspy Św. Ludwika. Na szczycie gmachu, na przeciwnym brzegu błyskały wielkie szyby restauracji de la Tour d'Argent. Zamknięto ją po Libération na jakiś czas, miała jakoby być zbyt gościnna dla Niemców. Jest już otwarta z powrotem, jedna z najdroższych restauracji Paryża, ale w tejże Tour (musiała chyba wyglądać inaczej i o wiele skromniej) przyjaciele Mickiewicza wydali w roku 1855 obiad na jego cześć, gdy wyjeżdżał do Konstantynopola, zaledwie dwa i pół miesiąca przed śmiercią. Na tle niebieskiego nieba, w świetle ciepłego, prawie wiosennego dnia styczniowego, w delikatnie niebieskim i mglistym oparze wyrastała nad ciemnych konarów drzew Notre Dame, liliowa koronka. Tylko wysoki szpic, zbudowany dopiero przez Viollet le Duc w połowie XIX wieku, gdy restaurował świątynię zmasakrowaną podczas Rewolucji, był ciemnoszafirowy”.

Istnieje u Czapskiego równoległość wrażliwości pisarskiej i malarskiej, ale tylko równoległość: zaskakujące szkicowanie sylwetki, waloryzacja zwyczajności, kadrowanie artykułu jako „mi-

gawki totalnej", ewokującej z niezwykłą siłą nową twarz pozornie znanej rzeczywistości. Kto oglądał jego obrazy, ten na stacji paryskiego metra, w teatrze, na ulicy będzie nieraz mówił do siebie: to przecież Czapski! Podobnie w jego prozie: szokujące początkowo użycie czasu teraźniejszego, gdy mowa o Gierym-skim czy Delacroix, szybki oddech równoważników zdań, dopadanie rzeczywistości od razu, bez zbędnych wstępów i kolowad, nagle przeskok, ostra linia wyводу, słowa-kieże akcentowane szykiem zdania bądź kursywą, zaskakujące i trafne, anegdota rozjaśniająca sens. Gdy czytam jego szkice, słyszę jego głos, charakterystyczny, przejęty tym, o czym opowiada. Starający się zrozumieć, nie pouczają.

Zrozumieć innych i siebie. Z uwagą i odwagą podjęła się nad tym, co boli. Jest w jego dziele; stale obecne, w różnych okresach i w różnych tekstach dochodzące do głosu z różną siłą, ale stale obecne zafascynowanie grozą istnienia. Jakby od czasu do czasu musiał spoglądać w przepaść, uświadamiając sobie bezmiar cierpienia, poniżenia, przemocy. Dopiero wówczas, na takim tle, może zaakceptować *sérénité* sztuki – nie bez wewnętrznych konfliktów. Przejmującym zapisem wewnętrznego zmagania z tymi dylematami są zwłaszcza ówa jego szkice „Raj utracony” i „Mafisse i troglodyta”. W tym sensie bliski mu jest Proustowski postulat „widzieć jasno w zachwyceniu”. Nie o defektację mu chodzi, lecz o dar „syntetycznego widzenia”, o moment szoku. I o odwagę rozpoczynania od nowa, ciągłego ponawiania wysiłku, niezawisłości wobec mód i konwensów.

Nie brak mu śmiałości ducha. I potrafi ją przekazać czytelnikom, bo towarzyszy jej śmiałość stylu. Dzięki niej możemy spotkać Józefa Czapskiego na kartach jego książek. On sam dobrze rozumie konieczność stylistycznej odwagi i wierności sobie. Mówi o tym w dwóch anegdotach, kluczowych dla zrozumienia jego pisarstwa, a przywołujących ówczesną szczególnieść mu bliskich twórców rosyjskich. „Rozanow gwałcił paze, że pisarz szuka wyrazu dla swej myśli i nagle, jakby z bólem, przychodzi mu na myśl, że te słowa mogą być zupełnie dla czytelnika niezrozumiałe, stara się jedno, drugie zamienić czytelniczym, a wtedy twój jedyny czytelnik odkłada książkę i już do niej nie wraca”. „Remizow wie – w młodości przede wszystkim –

cierpiał nad swoją innością, starał się być możliwie niezauważony, być jak wszyscy, ale *był* inny i całe życie szukał słów do tej inności przeżyć naprawdę przylegających. Nie zapomnę, jak kiedyś, słuchając mego francuskiego artykułu o nim, przyłapał mnie na paru słowach o Sowietach czy dyktaturze, czy totalizmie banalnie, po gazeciarsku spiętych. Aż rękami zamachał: «Niech Pan tych słów nie używa, z nich się już *proch sypie*». Samym stylem swego życia, każdym odezwaniem, nie tylko słowem pisanim, był Remizow protestem przeciwko wszelkiej drętwej mowie, nie jest więc dziwne, że właśnie ten arcyrosyjski mistrz słowa był na czele sporządzonej przez Żdanowa listy szkodliwych i zakazanych formalistów. (...) Remizow, który w sobie nosił Rosję od mitów najdalszych do okrutnych lat, w których żył i tworzył – zostanie jako pomnik z kruszcu najrzadszego tej wielkiej epoki literatury rosyjskiej przez rewolucję zglądzonej czy wygnanej. I kiedy ostatni atak serca dotknął Remizowa w mieszkaniu na rue Boileau, językiem zrozumiałym tylko dla najbliższych opowiadał jeszcze sny wyśnione, tworzył słowa – werbalator”.

Czapski jest pisarzem osobistego wyznania, stąd impet jego tekstów, a jednocześnie potrafi zatrzymać się w odpowiednim miejscu, stąd ich celność. Zwrócił uwagę na tę umiejętność Adam Michnik w znakomitym „portrecie zwielokrotnionym” Czapskiego: „Wbrew pozorom, Czapski jest pisarzem *wstrzeźliwym*. Wie dobrze, kiedy zatrzymać się w wywodzie i zaprzestać uczytelniania tekstu; wie, jak nie zagubić tajemnego rytmu swej prozy”. Michnik wskazał na głęboki sens stylistycznej śmiałości Czapskiego – dzięki niej jest pisarzem na dziś, na jutro; tajemny rytm jego prozy pomaga docierać do współczesności: „Zaden ze znanych języków nie syntetyzuje naszego doświadczenia. Nie wystarczy język politycznych analiz czy socjologicznych prognoz, język historycznej refleksji czy religijnej medytacji. Wartości, których obecność intuicyjnie wyczuwamy i którym pragniemy być wierni – to wartości egzystujące na styku różnych sfer naszej ludzkiej kondycji, przeto i język ich opisu nie może być wewnątrznie jednorodny. Szukamy przeto języka innego, który dotknie tego, co niewyraźalne. Takim właśnie – sądzę – jest język Józefa Czapskiego”.

Zgadzam się z tym sądem Adama Michnika. Józef Czapski zdolał stworzyć własny styl, osobisty, żarliwy, przejęty światem. Ta „wielostroność subiektywnego widzenia”, otwierająca ku innym, bo nasączona osobowością autora, nadaje spotkaniom z Czapskim szczególną temperaturę. Może najwyraźniej słyhać jego głos, przejmujący, rozpoznawalny wśród stu innych, na kartach jego dziennika. Opublikował dotąd w czasopiśmie – *Kultura, Res Publica, Zeszyty Literackie* – siedem fragmentów. Tytuł „Wyrwane strony” dobrze określa istotę tych tekstów. Są to fragmenty o uderzającej intensywności opisu. Migawki z rzeczywistości, szkice do obrazów, „cytaty diamentowe”, wyrwane od innych i pozwalające lepiej żyć, rozumieć, widzieć, rozważania nad własnym wysiłkiem twórczym, jego mankamenty i perspektywy, portrety ludzi (niezapomniany Żeromski w przedziale kolejowym o twarzy kamiennej z rozpaczą, polemika z Gombrowiczem i opis jego odcięcia od świata, jakby za szklaną szybą), chwile refleksji religijnej, momenty poezji, ale też momenty znużenia, zwątpienia. I znów mgnienia koncentracji.

Proza Czapskiego *odstania* jego rzeczywistość. Nagle portrety jego świata: „Wyskok do Paryża. Co widziałem? Pod czarną kolumną, na peronie stacji St. Lazare, jakieś śmiecie i parę rozbitych szklanek, błysk czystości tej bieli, jej *blask* – kontrast z szarością i bielą kolumny. Na moście przed Louvrem kobieta oparta o parapet, czarny płaszcz, kukielek włosów blond na zwyczajnej głowie. W tle gęsta, puszysta ściana zieleni. To wszystko co widziałem, właściwie nic więcej”. Te dwa obrazy Czapskiego, nakreślone słowem szybkim, łatwo sobie odtworzyć. Czasem jego zapiski stanowią językowe notatki do realnych płócien. Ta odpowiedniość plastycznej i literackiej transpozycji rzeczywistości jest zjawiskiem chyba wyjątkowym. Można zamarzyć sobie wydanie dzieł Czapskiego, gdzie tekstowi towarzyszyć będą płótna i rysunki o podobnej tonacji: „Na stacji St. Lazare (rezerwuję bilety) młody mężczyzna w białym kitlu, z oczami Ormianina i czarną słuchawką przy uchu, na tle brudnej, na żółto pomalowanej kolumny i czerwonej (geranium) ceraty na podłodze – nad głową czarna blacha z napisem *Location*. Dawno nie przeżyłem tak błyskawicznie jakby

już „namalowanego” obrazu: fio – żółć cytrynowa, pomarańczowa, bogata, brudne zielenie, biel kitta i ciężkie czernie”.

Świat Czapskiego nie ogranicza się do wyobraźni plastycznej, jego portrety rozszerzają się w czasie i przestrzeni, nabierają zaskakującego rytmu, uderzają kondensacją. Tego szkicu już żadne płótno nie odda: „Przebudzenie. Jeszcze w półśnie myśl? uczucie? jakiś pewnik, że religia to wszystko. Piękno – po co piękno, jeżeli nic nie wieczne, «powąchał kwiatek i umarł»” (Rozanow). Jakaś ulica. Neapol? Procida? Czy ta ulica w Capri zobaczona w kinie? To wszystko jest mniej niż nic, podkreślać zapisując już fałszuje jakby, a przecie to trzeba zapamiętać, bo to idzie jakby z większej, z czystszej głębi. To wszystko. Tołstoj, kiedy miał takie przeżycia, zmieniał wszystko w życiu, reagował *czynnie*. U mnie bierność zupełna. Sznur z nieba opuszczony, trzeba się za niego uchwycić zaraz, albo go już nie będzie? A mnie się zdaje, że trzeba czekać, żeby coś dojrzało, i pracować, żyć możliwie dobrze. Jakby nigdy nie. Jest list Norwida do Zaleskiego o snach nad ranem, które się sprawdzają, list króciutki, przepiękny, to jest gdzieś blisko, obok”.

W dziennikach Czapskiego często przewija się motyw snu nad ranem. Przebudzenie ze wspomnieniem smutku. Realność i oniryczność, naturalność opowieści i sztuka słowa, szczerłość i wstrzemięźliwość; portret stanu duchowego przemienia się w autoportret, zwielokrotniony i fragmentaryczny. „Skąd smutek? Nie pamiętam snu, tylko smak tego smutku mnie dziwił i naraz sen mi się przypominał. – «Ich habe im Traume geweinet...» Więc nawet sen o przeszłości ma ci to poczucie wolności i siły scalającej, którą mi dawało ostatnie odejście od tych spraw. *Ens realissimum*: miłość daje wyzwolenie z czasu, wykreślając poza jednym uczuciem wszystko, scala, czas przestaje istnieć. Czy miłość bliźniego, taka, jaką mają święci, nie jest stanem, do którego najbliżej pochodzi zakochanie? Zakochanie jest rewelacją *e d n e j* istoty. Miłość chrześcijańska, pełna, to odkrycie tego *ens realissimum* w każdym człowieku, stworzeniu, kamieniu! To ma też wizja malarska, te trzy światy tak różne tu się dotykają. Może bredzę jak w swoim ostatnim artykule, ale tak jest, że tylko te trzy dziedziny dawały mi to wymknięcie się z czasu i to ośnienie. Najrzadziej, prawie nigdy religia, najczęściej przecie,

ale wcale nie najsilniej, sztuka, najsilniej i w toku największego bólu – uczucie. (...) Budzę się tak późno po nocnym przebudzeniu. Sny znowu i głuchy (we śnie) wybuch, jakby biała okrągła plama-przepaść i tam jak na starej monecie Chrystus (w zbroi?) i napis *Christus surrexit*. Bez konfliktów, bez bólu te sny, gdzie się wszystko miesza bez wyboru”.

Gdybym miał z dzienników Czapskiego wybrać jego autoportret szczególnie mi bliski, zatrzymałbym notatkę z 16 maja 1979 roku. Tajemny rytm jego prozy tworzy tu naprawdę stop magiczny. Utrwalona została rzeczywistość duchowa w ruchu: pasja kontemplacji i polityki, rotmistrz i malarz, pamięć i wyobraźnia, *sérénité* sztuki i ból życia, sybille i wioslarze, ogród publiczny i prywatny, Fabrycy del Dongo i Hokusai – tworzą jedną osobę, Józefa Czapskiego. Wieloplanowa obecność w kulturze zaświadczone została została stylem oddającym widzenie zwielokrotnione:

„Ze snu jeszcze przed szóstą godziną, a przedtem jeszcze w nocy budzę się pewny, że to dzień, a tu księżyc w całym blasku, w czerwonym, pomarańczowym otoku – z mgły? – w twarz mi świeci na poduszkę. Skąd naraz – «ten trud, co mnie zabija» – strzępy strzępów Wyspiańskiego? Jego wiersze? Jego sztuki? Ależ nie, to on sam, ta jego «mowa własna», osaczające go maski i nie chcę nic, nic, «chcę, żeby w leini dzień, w upalny letni dzień... i krzyż na progu znaczą, krzyż znaczą Boży nie przeto, bym na się krzyż przyjmował; lecz byś mnie, Boże, od męki, od męki krzyża zachował...» I jego *umieranie*, kiedy nie mógł już nic malować. Miał wtedy powiedzieć – «Teraz dopiero wiem, jak trzeba malować»; z tego okresu umierania pochodzi mała główka dziewczynki w profilu na pudełku od zapatek, narysowana w ostatnich miesiącach życia.

Więc co? Już nie strzępy wierszy coraz to nieściśle sobie powtarzane, ale słowa wyrwane są mi bliższe niż Miłosz, niż Zbyszek Herbert, a przecie mam od nich w sercu i «Traktat poetycki», i ten wiersz przez Barańczaka cytowany z «chłostą śmiechu, zabójstwem na śmietniku», ale cisną mi się zaraz inne strzępy – «kto ciebie nie czuł w natury przestraczu» i inne z «Beniowskiego», i ten, który sobie wkleiłem w Neapolu, niezrównany – «gdzie nasz lazurowy golf i ciche przy białym księżycu rozmowy» – i zaraz potem ten inny o Polsce – «że się jako trup nie



zwali». Co to wszystko znaczy? Naraz wracają mi te teksty, nie teksty, słowa, ta garść, garsteczka. To mi zostało z pierwszych lat Polski, to, i nic więcej?

Ale te słowa, wszystkie, jakże słyszę je inaczej niż kiedyś, «ten trud, co mnie zabijał», ta śmierć zdawała mi się tak bezprzytomnie straszna, śmierć człowieka, który niewyrażony geniusz w sobie czuł i wiedział, że go już nie wyrazi. A ja dziś śmierć czuję jakże inaczej, jak ratunek, jak wyzwolenie, jak «dosyć». Ani mistyki, ani poezji. I skąd tu to wspomnienie tekstu sprzed laty, że towarzysze świętego Franciszka z Asyżu idąc drogami przez zniszczone miasta i domy zbierali z drogi oderwane strony zniszczonych ksiąg, zbierali je starannie i czcili, zbierali je pobożnie, bo z tych liter można było ułożyć słowo Jezus?

Co zostaje naprawdę, to «poezja i dobroć». Może tak właśnie jest dobrze, i te moje strzępki słów, które budzą inne i inne skrawki zdań. *Denn das Schöne ist nichts als des Schrecklichen Anfang* w wierszu Rilkego, Hofmannsthal z rzuconą w polu kowenką, ze szczurami zatrutymi w piwnicach («Lord Chandos») i to jego «nie, już nie będę więcej pisał, nigdy», i śmierć Prousta, papierek na nocnym stoliku zalany lekarstwem z przewróconej buteleczki, w noc jego śmierci, na którym odczytać można było zaledwie nazwisko którejś z drugorzędnych postaci z *À la recherche du temps perdu*, i profil Prousta na łożu śmierci, i *le pan de mur jaune*, i tuż obok ten zły ślepy starzec z Becketta, który każe się prowadzić słudze pod okno, które mu kazał otworzyć, żeby odetchnąć morskim powietrzem, i nagle, już oddychając z ulgą, nagle pyta — czyś ty naprawdę to okno otworzył? i cała ohyda życia, ta matka i ojciec w pubelach, znów z Becketta, te przeżycia zostają przytomne przy tamtych skrawkach poezji — «chcę, żeby w letni dzień»”.

Wojciech Karpiński

# wywiad *Aneksu*

Rozmowa z Martinem Malią

## ROSJA, EUROPA, „SOLIDARNOŚĆ”, REWOLUCJA

*ANEKS: Jest Pan znany jako historyk Rosji. Znane są Pańskie prace o rewolucji, o inteligencji rosyjskiej w dziewiętnastym wieku. Skąd się wzięło Pana zainteresowanie Polską? Nie mówię o prywatnej fascynacji — tak częściej w ostatnich latach ze względu na to wszystko, co się w Polsce działo. Chodzi mi o zainteresowanie intelektualne, zawodowe.*

**MARTIN MALIA:** Aby wytłumaczyć moje zainteresowanie Polską, muszę sięgnąć dalej, mianowicie do mojego zainteresowania Europą zwaną dzisiaj wschodnią, a przede wszystkim Rosją. Zacząłem przecież od Rosji, nie od Polski. Rosją zaś zająłem się z powodu drugiej wojny światowej. Nie dlatego, bym wierzył w potencjalne możliwości eksperymentu sowieckiego, ale dlatego, że wojna wyniosła Rosję do rangi wielkiego mocarstwa. Skądinąd lubiłem bardzo literaturę rosyjską, Tolstoja, Dostojewskiego... Zacząłem się więc uczyć rosyjskiego na amerykańskim uniwersytecie. Kiedy wybuchła wojna, byłem za młody na służbę wojskową, a kiedy pod koniec wojny zostałem zmobilizowany do marynarki, skierowano mnie — ponieważ znałem trochę rosyjski — najpierw na dalsze kursy rosyjskiego, a potem w 1945 roku jako tłumacza do bazy amerykańskiej na Alasce, gdzie przycumowywały sowieckie okręty handlowe. Po wojnie

zacząłem studiować historię na Harvardzie. Znałem wówczas dwa języki „banalne” – francuski i niemiecki – i na dodatek egzotyczny rosyjski, wybrałem więc historię Rosji. Szybko zrozumiałem, że nie sposób studiować historii Rosji, abstrahując od historii pozostałej Europy XVIII i XIX wieku. Interesowała mnie zwłaszcza historia Rosji od czasów Piotra Wielkiego. Zrozumiałem, że Rosja była w stosunku do rozwiniętej Europy ogromną prowincją – przede wszystkim kulturalną, ale także wojskową i administracyjną. Rosjanie zapożyczali i adaptowali do swoich potrzeb wszystko, co znajdowali na Zachodzie, począwszy od organizacji wojskowej aż po styl pisania listów i układy baletowe. Historia Rosji prowadziła mnie więc w sposób naturalny ku historii porównawczej. Ponadto, niepodobna poważnie studiować dziejów Rosji bez podstawowej choćby znajomości historii Polski nie tylko przedrozbiorowej, ale i dziewiętnastowiecznej i dwudziestowiecznej. Nie można naprawdę zrozumieć historii Rosji, jeśli się nie weźmie pod uwagę tego, co się działo na ziemiach polskich, zwłaszcza na terenach wcielonych do imperium rosyjskiego. Musiałem więc zdobyć rudymenarną choćby wiedzę o dziejach Polski. Daleko mi jednak było do wiedzy pogłębionej, nie znałem też języka, a ponieważ koniec końców to Rosja zwyciężyła w tej części świata, Polska wydawała mi się czynnikiem drugorzędym. Po jakimś czasie jednak moje zainteresowanie Rosją zaczęło słabnąć. Dziewiętnasty wiek rosyjski (rozumiany szeroko, tzn. aż do 1917 roku) nie ma jakby organicznego zwieńczenia: dziewiętnastowieczna postępująca okcydentalizacja Rosji kończy się całkowitą klęską 1917 roku. Tak że dzisiejszego Związku Radzieckiego nie można organicznie wyprowadzać z poprzedzającej go Rosji. Jeśli się na przykład analizuje ewolucję Francji, znajduje się nić przewodnią aż do XVII wieku, a nawet dalej wstecz. W Rosji 1917 rok wprowadza zmianę jakościową. Wiem, że nie wszyscy się z tym poglądem zgadzają, zwłaszcza wśród ludzi mówiących po polsku. Jego przeciwnicy wyszukują empiryczne dowody na więzi łączące dawną Rosję czasów carskich ze Związkiem Radzieckim i znajdują mentalność rosyjską (pojęcie dość mętne), ducha Rosji (pojęcie nie mniej mętne) itp. Z punktu widzenia historyka żadne elementy – ani instytucjonalne, ani kul-

turalne itd. – nie wiążą Rosji z ZSRR. Dziewiętnasty wiek rosyjski jest więc dlań mało interesujący, bo prowadzi donikąd.

Potem, po klęsce „reform” Chruszczowa, doszedłem do wniosku, że Związek Radziecki jest systemem skostniałym. Mam na myśli nie społeczeństwo, ale system (wyjawszy straszny okres lat stalinowskich). Czyli znów wróciłem do punktu wyjścia, że mianowicie nie ma w tym nic ciekawego. Przestałem się więc zajmować nie tylko XIX wiekiem rosyjskim, ale też okresem radzieckim. Aż wydarzyło się coś, co uważałem za niemożliwe – zmiany 1980 roku w Polsce. Nie wchodząc na razie w to, czy można je nazwać rewolucją, wypada stwierdzić, że była to zmiana na świecie, w którym – z definicji – nie się zmieni nie może. Co więcej, zmiana ta nie została zdławiona jak na Węgrzech czy w Czechosłowacji w 1956 i 1968 roku. Zacząłem się więc znowu interesować światem komunizmu, ale tym razem bardziej z punktu widzenia Polski niż z punktu widzenia Związku Radzieckiego, ponieważ to w Polsce system zaczął – nie powinien rozpaść się, ale zdecydowanie chwiać.

Do tego wszystkiego należy dodać jeszcze jeden, z pozoru błaży powód. W 1981 roku przebywałem we Francji, gdzie po blisko dziesięcioletnim pączkowaniu zjednoczony front lewicy nareszcie zaowocował władzą. Przez całe minione dziesięciolecie śledziłem uważnie nienaturalny, moim zdaniem, związek socjalistów z komunistami i kiedy nareszcie socjaliści doszli do władzy, pomyślałem sobie: skoro sami ją zdobyli, niczego komunistom nie zawdzięczają (owszem, głosy, ale nie mandaty poselskie), a skądinąd wiadomo, że socjaliści nigdy nie budują socjalizmu – od tego są wyłącznie komuniści – to Mitterand skończy jako Guy Mollet. Przez dwa-trzy lata będzie rzucał kraj, ale żadnego prawdziwego niebezpieczeństwa nie ma. Ale kiedy po wyborach parlamentarnych Mauroy uformował swój drugi rząd, tym razem z komunistami, i zapowiedział, że na serio zamierza realizować program Mitteranda (który był lekko zmodyfikowanym programem zjednoczonej lewicy), skończyć z kapitalizmem i przejść do socjalizmu, uświadomiłem sobie, że o żadnym Guy Mollet nie ma mowy. Mitterand najwidoczniej uwierzył w to, co mówił i naprawdę wprowadził socjalizm. Ostatecznie zraziło mnie do bruku paryskiego zdanie Mauroy, że wprowadził ko-

munistów do rządu, aby zjednoczyć wszystkie siły postępu. Już i bez tego z trudem znosiłem atmosferę Paryża, ale kiedy socjaliści bez żadnego przymusu zdecydowali w towarzystwie komunistów obalać kapitalizm i żeglować w stronę socjalizmu, powiedziałem sobie, że zamiast tkwić w świecie złudzeń i kłamstw, lepiej pojechać do Warszawy, gdzie ludzie walczą o sprawy naprawdę ważne. Pomyślałem sobie też, że trzeba się spieszyć: w Polsce wrzało już od roku, zbliżał się zjazd PZPR i polscy komuniści wyraźnie zapowiedzieli pewne zmiany w duchu odnowy. Tymczasem Moskwa i tak już przekroczyła próg cierpliwości, jakiej można było od niej oczekiwać, i z całą pewnością nie przełknie reformatorskiego zjazdu, czyli zrobi to, co zrobiła w Czechosłowacji przed tamtejszym reformatorskim zjazdem partii. Słowem, trzeba się spieszyć. Pojechałem więc do Warszawy i w ciągu piętnastu dni, które tam spędziłem (na tyle miałem wizę), zdałem sobie sprawę, że sytuacja jest nieskończenie bardziej skomplikowana, aniżeli myślałem. Poza tym znalazłem się w atmosferze walki o prawdziwe ideały i zachłysnąłem się tym. Paryż mnie mierzył, bo wszystko było fałszywe, przedłużyłem więc pobyt w Polsce (wyskoczyłem na krótko do Paryża pod koniec lata, ale wróciłem do Polski na zjazd „Solidarności” i śledziłem wydarzenia na miejscu aż do pierwszych dni listopada, kiedy musiałem wrócić do Paryża). W ten sposób zacząłem troszkę rozumieć całą złożoność, bogactwo i absolutnie unikalny w świecie komunistycznym charakter polskiego eksperymentu. Była to pierwsza długa próba demontażu socjalizmu realnego, pierwszy w dziejach okres post-komunizmu z wszystkimi nieuchronnymi problemami, niejasnościami, nieprzetartymi jeszcze drogami. Śledziłem więc możliwie najdokładniej ostatnie cztery miesiące „Solidarności”

Od tego czasu interesuję się naturalnie na nowo Rosją, ale już z innej perspektywy. Przede wszystkim znacznie uważniej śledzę, co się dzieje w Związku Radzieckim, a także zachodnią literaturę sowietologiczną, szczególnie amerykańską. Odkryłem przy tej okazji (co zresztą mniej więcej wiedziałem), jak bardzo ta literatura jest idiotyczna, pozbawiona jakiegokolwiek związku z rzeczywistością; trudno nawet powiedzieć, że graniczy z ignorancją, bo składa się z samej ignorancji, graniczy natomiast z

dezinformacją. Przeczytałem więc ponownie, a właściwie zacząłem znacznie krytyczniej czytać nie tylko literaturę sowietologiczną, ale w ogóle zachodnią literaturę na temat Rosji w świetle wydarzeń w Polsce. W wyniku tych lektur zacząłem się zastanawiać nad tym, co wydaje mi się teraz dość powszechnym, choć bardzo powolnym kryzysem sowieckiego modelu ustrojowego nie tylko na peryferiach imperium, ale i w rosyjskim centrum.

*Wróćmy do problemu, o którym Pan wspominał, opisując swoją drogę intelektualną: czy Rosja należy do Europy? Znane są wystąpienia w tej sprawie Milana Kundera. Upraszczając nieco można powiedzieć, że Kundera wyklucza Rosję z Europy. Historia, tradycja, kultura tego kraju ma go sytuować poza europejską wspólnotą. Przeciwstawia Kundera Rosji, ale też w pewnym sensie Zachodowi, Europę środkową. Jest to pogląd dość rozpowszechniony, jak się zdaje, wśród intelektualistów czeskich i węgierskich, z nostalgią wspominających Austro-Węgry. Dla Polaków układem odniesienia nie była nigdy Europa środkowa, lecz po prostu Europa z tradycją zachodniego chrześcijaństwa, z dziedzictwem antycznej Grecji i Rzymu, z demokratyczną organizacją życia zbiorowego. Tym niemniej i w Polsce — wydaje mi się — pojęcie Europy środkowej zaczyna robić pewną karierę. Pozwala ono choćby wyrwać się z politycznej wschodniości, podkreślić wspólnotę losu z innymi narodami leżącymi w tej strefie. Ile jest Europ? jedna? dwie? trzy?*

Zatrzymajmy się najpierw chwilę przy Kunderze, zanim przejdziemy do Europy. Wydaje mi się, że trafnie Pan nazwał źródła jego utopii: jest to wyidealizowana przeszłość austro-węgierska. Basen naddunajski rzeczywiście był strefą pośrednią między rozwiniętą Europą zachodnią, a właściwie środkową, i znacznie mniej rozwiniętą Europą, jaką było imperium carskie. Polska została podzielona między Niemcy, Rosję i Austrię, myślano tam więc w kategoriach Europy jako całości, roznmiejąc przez to pojęcie przede wszystkim Europę zachodnią, Włochy, Francję, Anglię, Niderlandy. Kundera powołuje się na pewną przeszłość austro-węgierską, źle jednak zna historię swojej *Mitteleuro-py*, skoro zapomina (przede wszystkim), że imperium austro-

-węgierskiemu brakowało trzeciego członu, mianowicie Czech: ani Węgrzy, ani Niemcy (ale przede wszystkim Węgrzy) nie życzyli sobie monarchii potrójnej, czyli równości dla Czechów. Czesi nie byli więc wcale tak szczęśliwi w ramach imperium austro-węgierskiego. Czesi byli wysepką słowiańszczyzny w świecie niemieckojęzycznym i aby znaleźć wyjście z tej sytuacji, przez cały XVIII wiek i aż po okres po drugiej wojnie światowej idealizowali Rosję. Wystarczy wspomnieć Masaryka ojca i jego książkę o duchu Rosji (napisaną zresztą po niemiecku). Byli ze zromantyzowanych rusofilscy – dla nich zagrożeniem byli Niemcy. Nawet w 1948 roku to oni sami, a nie armia sowiecka, narzucili sobie komunizm, trochę przez ducha odwetu, trochę z rusofilstwa. Myślę więc, że Kundera nie rozumie dobrze historii tego regionu, kiedy przypisuje Czechom z imperium austro-węgierskiego stałą wrogość wobec Rosji. To nie odpowiada prawdzie. Jest nam zatem bardzo łatwo robić to, co robiło wielu Polaków w toku XIX wieku, a także Marks i Michelet, mianowicie twierdzić, że Rosja jest czymś zupełnie obcym Europie, a po drugiej wojnie światowej uważać, że komunizm nie jest niczym innym jak przemaslowaną na czerwono odwieczną Rosją. Kundera mówi to niemal dosłownie. Zapomina jednak, że intelektualści ze strefy pośredniej, na przykład Węgier Lukacs, aby nie wspomnieć o pewnej liczbie Czechów, stali w pierwszym szeregu piewców komunizmu międzynarodowego. Wydaje mi się więc, że jego wizja historii jest bardzo mało precyzyjna. Zgadząm się z Panem, że można chcieć wykroić sobie skrawek wolności w obecnym imperium sowieckim, powołując się na częściowo wyimaginowaną, częściowo realną, ale uproszczoną przeszłość.

Co do meritum zaś: czy Rosja należy do Europy? Pytanie to zakłada po pierwsze istnienie jednolitej Europy, co jest błędem. Czy, powiedzmy, konstytucyjna liberalna Anglia XVIII i XIX wieku oraz autokratyczne i zmilitaryzowane Prusy były jedną i tą samą Europą? Czy Prusy nie były bliższe imperium Mikołaja II i Aleksandra II niż wiktoriańskiej Anglii? Niemal Prusaków i Rosjan tak uważało i niemal Anglików zgadzało się z nimi. Nie widzę więc jednolitej Europy nie tylko od Atlantyku do Uralu, ale nawet od Atlantyku do Bugu. Wolalbym mówić o całej gamie sytuacji europejskich od Atlantyku po Ural i używać

niemieckiego terminu „wschodnio-zachodnie promieniowanie kulturowe”. Im dalej na wschód, tym prymitywniejsze warunki życia, tym więcej chłopów a mniej mieszczan, tym mocniejsza – w dawnym ustroju – szlachta a słabsza burżuazja, tym mocniejsze i bardziej zmilitaryzowane państwo a słabsze społeczeństwo cywilne. Trzeba naturalnie cieniować, w Europie były różne strefy, różne poziomy rozwoju, różne etapy urbanizacji, ale ogólnie można przyjąć takie kryterium dla dużych zjednoczonych państw narodowych. Począwszy od XVII-XVIII wieku państwa te zdołały stworzyć nie tylko nowoczesne gospodarki, ale też i liberalne ustroje konstytucyjne, w których społeczeństwo cywilne było ważniejsze od państwa. W Niemczech istniały odrębne regiony, na przykład Nadrenia, ale wszystkie zostały ujęte w ramy narodowe przez pruską arystokratyczną monarchię. Monarchii austro-węgierskiej, słabszej aniżeli pruska, udało się zrobić to samo, tyle że pozostały większe różnice między Austrią i Węgrami i znaczna autonomia prowincji takich jak Galicja. Rosja znajdowała się na dole drabiny: była krajem najbiedniejszym geograficznie, o ogromnym odsetku chłopstwa, burżuazji złożonej w znacznej mierze z urzędników, gospodarczo zacofanym, zdławionym przez autokratyczne, zmilitaryzowane, zbiurokratyzowane i skorumpowane państwo. Państwo to – imperium rosyjskie – zjednoczyła najbardziej zacofana część Rosji, księstwo moskiewskie.

Istnieje jednak ważny wyjątek od wyżej wspomnianej zasady podziału państw, mianowicie dawna Rzeczpospolita Polska, która dość długo miała bardzo słabo rozwiniętą państwowość przy bardzo rozwiniętym społeczeństwie cywilnym. Społeczeństwo cywilne w gruncie rzeczy trzymało w szachu państwo. Polska jest jedynym krajem od Atlantyku po Ural, który nie zaznał absolutyzmu, przynajmniej własnego absolutyzmu. Z tego punktu widzenia przypomina trochę Czechy i Węgrów, dwie pozostałe monarchie konstytucyjne. Ale Węgry zostały wchłonięte przez Turków na początku XVI wieku, a konstytucyjne Czechy przez Habsburgów na początku XVII wieku.

Polskie państwo szlacheckie i konstytucyjne o wątej bazie gospodarczej zostało koniec końców podzielone między trzy monarchie militarne. Te trzy monarchie – Wiedeń, Berlin i Mo-



skwa – pochłonęły też inne ziemie sąsiedzkie, bardziej rozwinięte: począwszy więc od początków XIX wieku wszędzie na wschód od Renu triumfowały państwa autokratyczne i wojskowe. Państwo rosyjskie było wśród nich najprymitywniejsze, najbardziej autokratyczne, najbardziej zmilitaryzowane i najbardziej zacofane, ale nie różniło się jakościowo od Prus i Austrii. Te trzy monarchie wojskowe zdobyły, jak powiedziałem, nie tylko Polskę, ale wszystkie ziemie o silnym społeczeństwie cywilnym między Dnieprem a Renem. W ten sposób powstał jednolity dla wschodu i zachodu model kulturowy. Rosja stanowiła w nim strefę najprymitywniejszą, ostatnia włączyła się do obiegu kontynentalnego, ale nie była Azją, nie była obcym ciałem w systemie europejskim. I dlatego właśnie wybuchła w Rosji rewolucja pod przewodnictwem małej grupki ideologicznych fanatyków.

*Czyli dla Pana samo pojęcie rewolucji jest pojęciem europejskim i rewolucja bolszewicka 1917 roku — przewrotnym dowodem na europejskość Rosji?*

Tak, z tym że należałoby dodać, iż poczynając od drugiej wojny światowej cała planeta jest zeuropeizowana i wybuchają jedna po drugiej rewolucje, na ogół zresztą typu sowieckiego: Chiny, Kuba, Wietnam i tak dalej, daleko jeszcze do końca. Ale rewolucja rosyjska jest nieodrodnym dzieckiem rewolucji, które zaczęły się na ziemiach angielskich w XVI wieku: ich celem było stworzenie modelu konstytucyjnego, w którym społeczeństwo cywilne miało takie same prawa co silne państwo.

Na początku tych europejskich rewolucji dokonywały małe elity szlacheckie (nawet jeśli zdarzył się wśród nich kupieć) w imię własnych interesów. Podczas rewolucji francuskiej społeczeństwo cywilne po raz pierwszy uważało się za demokratyczne i stawiało sobie demokratyczne cele, tzn. walczyło o całe społeczeństwo.

W planie czysto teoretycznym takie aspiracje muszą obejmować wszystkich. Ponieważ jednak w praktyce zrównanie sytuacji społecznej wszystkich obywateli jest niemożliwe, na fali rewolucji francuskiej zrodziła się utopia socjalistyczna, która domaga się rzeczywistej – nie tylko prawnej, formalnej i politycznej –

ale rzeczywistej absolutnej równości ekonomicznej i społecznej dla wszystkich. W roku 1848 po raz pierwszy rozmaite mniejszości działały tu i ówdzie w imię tego ideału. Rewolucja rosyjska wybuchła bardzo późno, kiedy utopia socjalistyczna zapuściła korzenie wszędzie, i wybuchła w kraju, który po 1905 roku ledwie zaznał nikłych form liberalizmu typu pruskiego; zrealizowanie utopii socjalistycznej wydawało się więc zupełnie możliwe. Rosja nie ma rzeczywistego życia politycznego, funkcjonuje w kategoriach idei abstrakcyjnych. Na zgliszczach pierwszej wojny światowej, w chwili potężnych rabacji chłopskich i buntów wojskowych, jakich historia jeszcze nie widziała, mała grupka fanatyków skorzystała ze skromnych „komun paryskich” w Petersburgu i Moskwie, aby objąć władzę. Kraj był pozbawiony zdolnego do oporu społeczeństwa cywilnego, w tej próżni więc mogli próbować urzeczywistnić to, co wszędzie indziej było tylko marzeniem i utopią. Nie udało im się oczywiście zrealizować utopii, ponieśli klęskę, ale klęska ta nie cofnęła kraju do punktu wyjścia. Pozostały po niej monstrualne, ale bardzo silne instytucje, silne dlatego, że nie napotkały żadnego oporu i że pretendują do miana realizacji utopii. Ale jest to wynik procesu ogólnoeuropejskiego. Rosja sama nigdy by tego nie zrobiła, gdyby nie miała tej zachodniej utopii o długiej tradycji rewolucyjnej. W tym sensie Rosja jest jednym z mutantów wielokształtnej Europy.

*Pozostaniemy przy temacie rewolucji, ale wróćmy do Polski. Czy to, co się wydarzyło w latach 1980-1981, nazwałby Pan rewolucją?*

Tak, ale trzeba natychmiast powiedzieć, co się przez to rozumie. Począwszy od rewolucji francuskiej rewolucje zawsze oznaczały gwałcenie prawa i przemoc. Od zdobycia Bastylli gwałcenie prawa zostało uznane za konieczny i słuszny warunek rewolucji. W 1848 roku opierano się bezprawnemu despotyzmowi, czyli gwałt był znowu uprawiony. Im bliżej XX wieku, tym większym kultem otaczano przemoc i gwałcenie prawa. Uważano je już nie za zło konieczne, a za element oczyszczenia. Polska między rozbiorami a 1918 rokiem uczestniczyła w tej rewolucyj-

nej ewolucji Europy. Zbrojny, a więc nielegalny opór (przeciw Rosji przede wszystkim) został uznany za uprawniony, bo państwo było podbite. Polska miała więc tradycje rewolucyjne.

Ale „Solidarność” nie mogła i nie chciała sięgnąć do tych tradycji. Wracamy więc do pytania, na ile „Solidarność” była rewolucją. Wydaje mi się, że jej szczególną cechą było połączenie wolnościowej, konstytucyjnej, narodowej tradycji polskiej z bardzo specyficznymi warunkami, jakie stwarza społeczeństwo leninowskie czy post-leninowskie. Przypomnijmy, że szczególną cechą ustrojów sowieckich jest likwidacja społeczeństwa cywilnego i autonomii jednostek i instytucji na rzecz partii-państwa. Ta likwidacja nigdy jednak nie jest całkowita. W Polsce była ona znacznie mniej posunięta niż gdzie indziej, bo przetrwał Kościół, chłopstwo, a wieloletnia tradycja oporu wobec władzy okupacyjnej zrodziła szereg odruchów, które pozwoliły społeczeństwu częściowo obchodzić wszechwładzę partii-państwa. Ponadto potęga wojskowa imperium sowieckiego, znacznie większa aniżeli potęga imperium carów, połączona z totalną – przynajmniej w zamierzeniu – władzą partii-państwa, wykluczała działanie sił. Równocześnie pamięć o niegdyś istniejącym społeczeństwie cywilnym była wciąż żywa, a w Polsce roku 1980 istniały fragmenty społeczeństwa cywilnego, tak że próba bezkrwawego rozwoju z partią-państwem była możliwa – pod warunkiem, że się uniknie rozlewu krwi. Ta dziwna rewolucja, odmienna od tradycji europejskiej od czasów rewolucji francuskiej i od tradycji polskiej między 1793 a 1918 rokiem, musiała się ograniczać, ale cel pozostawał ten sam – wyzwolenie społeczeństwa cywilnego spod władzy państwa, tyle że państwa specyficznego, państwa-partii. Ta mieszanka tradycji polskiej ze szczególnymi warunkami, jakie stwarza leninowskie państwo-partia – co więcej narzucone Polsce z zewnątrz – zrodziła rewolucję bezkrwawą i legalistyczną, która jednak, jak powiedziałem, stawiała sobie ten sam cel, co każda rewolucja – wyzwolenie społeczeństwa cywilnego od państwa (w tym przypadku państwa-partii). Natomiast jeśli chodzi o jej aspekt duchowy i kulturowy, to nie było w niej utopizmu. Czterdzieści lat rządów państwa-partii do cna wytrzebiło utopię, bardziej niż gdziekolwiek indziej w sowieckiej Europie. Brak więc w tej rewolucji jednego z głównych elementów rewo-

lucji europejskich od czasów rewolucji francuskiej, mianowicie utopii totalnej i natychmiastowej demokracji. Zamiast tego sięgnięto w 1981 roku do wartości humanistycznych i demokratycznych, wyrażanych w kategoriach absolutów moralnych albo religijnych. Siegnięto do dziedzictwa prawa naturalnego i wiary, które rewolucje europejskie odrzuciły w swej ewolucji ku utopii. Zaczęło się to już u Anglików, ale było znacznie wyraźniejsze u Francuzów. Powtarzam, jest to *novum*, chociaż w planie kulturowym stanowi powrót do przeszłości, ale w celu, który nie jest nowy, a którym jest obrona społeczeństwa cywilnego przed wszechmocnym państwem.

Przełożyła z francuskiego Julia Jurys

# archipelag

miesięcznik kulturalno-polityczny

proza, poezja, dramat, esastyka, historia najnowsza, publicystyka polityczna, felietony, recenzje, grafika, fotografia artystyczna

Adres redakcji: Andrzej Więkowski

Wilhelmsruher Damm 139, 1000 Berlin 26

Roczna prenumerata: RFN — 115 DM, kraje europejskie — 117, USA i Kanada — 52 US \$ (poczta lotnicza)

Należność prosimy przysyłać przelewem pocztowym (z dopiskiem *Abo*) na konto: Postcheckkonto 458 667 — 107, Andrzej Weckowski — Sonderkonto *Archipelag*, Berlin West, BLZ 100 100 10

Alain Besançon

### KWESTIA ROSYJSKA \*

W swej słynnej mowie Perykles stwierdził, że Ateny były „szkołą Grecji”. Żaden kraj w Europie nie może rościć sobie prawa do takiej godności. Wielkie narody Europy, Włochy, Francja, Anglia, Hiszpania, Niemcy, były zawsze, kolejno lub jednocześnie, uczniami i nauczycielami siebie nawzajem i każdy z nich dokonał czegoś jedyne go i w równym stopniu godnego podziwu. Narody mniejsze, Holandia, kraje skandynawskie, Portugalia itd., miały udział na swoją miarę, a ich zasługi proporcjonalnie biorąc nie są mniejsze. Na tym, moim zdaniem, polega cud europejski. Jakie są jego granice geograficzne? W jakim stopniu ów cud rozciągnął się na Polskę, Rumunię, Finlandię, na Rosję? Próba odpowiedzi na takie pytanie mogłaby stanowić przedmiot odrębnego kolokwium. Sądząc bowiem po zdecydowanej większości wystąpień, w naszym zgromadzeniu dominuje inna koncepcja cudu: nie cudu Europy, ale cudu w Europie. Miałby on polegać na pojawieniu się nowoczesnego świata pomyślanego tu głównie w wymiarze ekonomicznym. W takim ujęciu, narodziny nowoczesności dokonują się w jednym

---

\* Tekst referatu wygłoszonego na kolokwium „Cud europejski”, które odbyło się w Emmanuel College, Cambridge we wrześniu 1985 r.

punkcie usytuowanym gdzieś w Anglii, a pytanie brzmi następująco: dlaczego zjawisko to nie nastąpiło gdzie indziej, dlaczego gdzie indziej było niemożliwe?

Nie sądzę, aby ten drugi sposób widzenia cudu europejskiego był bardziej płodny lub bardziej interesujący. Przyjmę go jednak w tych rozważaniach, wyraziwszy uprzednio powyższe zastrzeżenie. Dyskusja toczyła się wokół dwóch spraw: narodzin kapitalizmu oraz sprzyjającego im stosunku między państwem a społeczeństwem. Nie wiem, co to jest „kapitalizm”, ale zwyczajowo wiąże się go z nowoczesnością, z odczarowaniem świata, z przemianą człowieka, który staje się aktywny, racjonalny, zdolny do inicjatywy w tonie społeczeństwa, które również jest autonomiczne i wolne. W tym właśnie konwencjonalnym znaczeniu, obciążonym wszelką historiograficzną aluzją, użyję tutaj słowa *kapitalizm*.

Gdy termin ten odnosimy do całości historycznej oznaczonej słowem „Rosja”, należy postawić trzy pytania.

I. Dlaczego było, zupełnie niemożliwe, aby „kapitalizm” narodził się w Rosji?

II. Dlaczego, pomimo tego niepodobieństwa, narodził się tam jednak, co stanowi swego rodzaju „cud rosyjski” w ramach cudu europejskiego?

III. Dlaczego tak szybko i całkowicie został zniszczony; do tego stopnia, że Rosja jest dziś bardziej odległa od europejskiego Zachodu niż w jakimkolwiek momencie swej historii?

### *Niewykonalne naśladownictwo*

Jeśli spojrzeć na warunki, jakie wymienił profesor Feiner, a mianowicie: prawo, obywatelstwo, indywidualizm, nienaruszalna własność, ograniczona władza, spójność religijna, kontrkultura – w Rosji nie zaistniał żaden z nich. Świat rosyjski charakteryzują w rzeczywistości dwie cechy.

1) Skrajne barbarzyństwo.

W porównaniu z otaczającą ją łańcuchem – Europą, Cesarstwem Tureckim, Cesarstwem Perskim, Indiami, Chinami, Japonią, przestrzeń rosyjska, jaka jawiła się w XVII wieku, była najbardziej pusta, najniezdniejsza. Chiop powierzchownie oral

ziemię radłem. Z narzędzi żelaznych dysponował jedynie siekierą i ostrzem swego lemiesza. Rzemiosło niemal nie istniało. Miasta były bardzo nieliczne i stanowiły ośrodki administracyjnego zarządzania i ściągania podatków. Organizacja była słabo rozwinięta (zbiór posiadłości utrzymywanych w całości przez prymitywną administrację). Poziom alfabetyzacji był bardzo niski, kultura niemal nie istniejąca, język jeszcze nieuformowany, prymitywny sposób myślenia.

2) Państwo moskiewskie przeszkodą dodatkową.

Państwo to składało się z elementów tatarskich i bizantyńskich niesprzyjających rozwojowi kapitalizmu. W dodatku znalazło ono sposób, by jeszcze bardziej wzmocnić ich zdeprawowany charakter. Wielki książę moskiewski już od dawna był swego rodzaju wezyrem chana tatarskiego. Jako lojalista kazał Kościołowi prawosławnemu modlić się za cara Seraju lub Kazania. Państwo tatarskie korzystało faktycznie z praw zdobywców. Gdy jednak wielki książę uzyskał niezależność, zamiast uznać, że wraz ze swym ludem stanowi *polis*, którego byłby monarchą, wolał uważać się za zdobywcę swych własnych poddanych. Gdy Fletcher zapytał Iwana III, jaki jest status jego poddanych, ów odrzekł: „To wszystko niewolnicy”. Jednocześnie wielki książę poszukuje innego rodzaju uprawomocnienia jako spadkobierca już nie tylko cara tatarskiego, ale również cesarza Konstantynopola. Postarano się więc o zbudowanie pośród wielkich lasów tworu państwowego, wyglądającego trochę na karykaturę cesarstwa bizantyjskiego. Rosja stała się państwem rytuału, gdzie władca spędzał większą część dnia na wypełnianiu obzędów. Połączenie władzy duchownej z doczesną było całkowite, lecz z przewagą tej drugiej. Bizantyzm został zapożyczony od cesarstwa z okresu dynastii Paleologów, zupełnie zatrutego nienawiścią do Kościoła rzymskiego. Stąd wzięto się poczucie zamknięcia w oblężonej twierdzy i idee mesjańskie, jakie po upadku Konstantynopola zrodziły się w „trzecim Rzymie”, czyli w Moskwie.

Państwo rosyjskie miało charakter patrymonialny. Władza słabo odróżniała się od własności. Dobra poddanych należały do księcia. Prawo nie mogło się rozwijać. Państwo to było gwałtowne i drapieżne. Z końcem XVI wieku zniszczyło elity szlache-

ckie kraju podczas tej niewiarygodnej rzezi, jaką była *opriczina*, a jedyne w kraju miasta handlowe, na wpoi hanzeatyckie, Nowogród i Psków, zostały zrujnowane. Spośród trzech legend (rumuńskiej, niemieckiej i rosyjskiej), które pod postacią Drakuli ukazują rządy Włodzimierza-okrutnika, jedynie rosyjska głosi pochwałę tego księcia. Drakula przedstawiony jest tu jako wzór księcia, księcia makiawelicznego, jakiego Rosja potrzebuje.

Piotr Wielki pogorszył jeszcze ten stan rzeczy. Od stu lat naród powoli wchodził w więzy poddaństwa. Piotr więzy te wzmocnił, a za jego następców poddaństwo rosyjskie przekształciło się w niewolnictwo, które objęło większość ludności. Państwo piotrowe ujarzmiło całość społeczeństwa, wraz ze szlachtą zmuszoną do służby państwowej od dzieciństwa aż do emerytury, oraz Kościołem, który utracił tę znikomą autonomię, jaką dotąd mógł być zachować. Podobnie do Moskwy, państwo petersburskie było niszczycielem arystokracji. Prześladowało i usuwało na margines starowierów, czyli jedyną grupę społeczną, która miała powołanie do działalności handlowej i przemysłowej; w XVIII wieku przeprowadzone zostały liczne „czystki” wśród wyższej arystokracji. Dla tych czystek, którym towarzyszyła konfiskata dóbr, państwo znalazło poparcie drobnej, pozostającej na służbie, szlachty, która zazwyczaj woli równość pod władzą despoticzną aniżeli wolność powiązaną z przywilejem. Burzliwa historia dynastii w XVIII wieku; zamachy stanu, kaprysy władców, uniemożliwiły Rosji stanie się państwem opartym na prawie.

Otóż to rosyjskie państwo, tak archaiczne, tak obce Europie, było państwem zwycięskim. W swej odmienności znalazło siły do pokonania trzech wielkich wodzów wojskowych, jakich przeciwstawiła nin Europa: Karola XII, Fryderyka II i Napoleona. Zwycięstwo nad tym ostatnim oszczędziło Rosji przymusowej modernizacji, jakiej zaznała Europa pod panowaniem Napoleona. Państwo rosyjskie uprawnomożnione militarnym triumfem, co rozumiał dobrze Karamzin, doskonali się własnymi metodami pod koniec rządów Aleksandra I i za panowania Mikołaja I.

Dlatego to Zachód i sami Rosjanie byli zaskoczeni bezsilnością państwa rosyjskiego w cywilizowaniu kraju, sztucznością i nietrwałością rezultatów tych działań. Oto trzy słynne wypowiedzi:



Rousseau: „Rosjanie nigdy nie zostaną ucywilizowani, bowiem cywilizowano ich za wcześnie. Piotr był geniuszem naśladownictwa (...) Widział barbarzyństwo swego narodu, ale nie spostrzegł, że nie dojrzał do cywilizacji; zapragnął Rosjan ucywilizować, gdy tymczasem należało ich tylko zahartować. Chciał najpierw uczynić z nich Niemców i Anglików, gdy tymczasem należało zacząć od tworzenia Rosjan. Wmawiając swym poddanym, że są kimś innym, na zawsze uniemożliwił im, by stali się takimi, jakimi mogliby być”.

Marks: „Obok fascynacji, widzimy jak nieustannie odradza się idący za nią jak cień sceptycyzm, łączący lekką nutę ironii z krzykiem dogorywających ludów, drwiąc z prawdziwej wielkości potęgi rosyjskiej, jak aktorzyzna, który chce zarazem olśnić i oszukać. Inne imperia wzbudzały u swych początków podobne wątpliwości; Rosja wszakże stała się kolosem, któremu wątpliwości tych nie udało się rozwiązać. Stanowi ona jedyny w historii przykład ogromnego imperium, o którym nawet po dokonaniach na miarę światową nadal uważa się, że należy do sfery wiary, a nie faktu”.

Kłuczewski: „Reforma Piotra była walką despotyzmu z ludem, z jego bezwładem. Car spodziewał się, iż sposobem sprawowania władzy obudzi w ujarzonym społeczeństwie zapal i inicjatywę, a także, iż z pomocą szlachty uciskającej poddanych, wprowadzi w Rosji nauki europejskie, szkolnictwo publiczne, warunki niezbędne dla społecznej produktywności. Pragnął on, by niewolnik, pozostając nadal niewolnikiem, działał w sposób świadomy i wolny. Sprzężone działanie despotyzmu i wolności, cywilizacji i niewolnictwa – oto kwadratura politycznego koła, problem, jaki staramy się rozwiązać od dwóch stuleci, od czasów Piotra, a który po dziś dzień nie został rozwiązany”.

### *Naśladownictwo udane*

Wolter pisał, że „Jan Jakub nie dostrzegł, iż wpierrw należało posłużyć się Niemcami i Anglikami, by stworzyć Rosjan”. Spór koncentruje się na płodności naśladownictwa. Rosja naśladowała dotychczas hordę i Bizancjum. Piotr wyprowadza ją z systemu imperium stepowego i na dwieście lat wiąże z systemem euro-

pejskim. Ale którą Europę naśladować? Nie wchodziło w grę naśladowanie starych krajów zachodnich, bogatych, łagodnych, zaludnionych, „rozwinętych”. Mogła jednak Rosja naśladować te spośród krajów europejskich, które same szukały wzorca rozwoju. Na wschód od Elby rozpościerała się inna, biedniejsza Europa, która jednak pod koniec XVII wieku weszła na drogę przeobrażeń. Szwecja, Prusy, a następnie Austria stają się monarchiami wojskowymi. Celem ich było utworzenie armii, które mogłyby dorównać wojskom francuskim, i to przy uboższych ziemiach, mniej licznej ludności, bardziej prymitywnym społeczeństwie. Stanie się to dziełem państwa, które wykorzystując jak najefektywniej ograniczone zasoby, tworzy karne, rozwinięte technicznie armie. Pociąga to za sobą reformę państwa, tak zwany *polizeistaat*. Zamiast wycisnąć sakralizującą pieczęć na samoorganizującym się społeczeństwie, państwo staje się motorem tego społeczeństwa i wprowadza je na drogę planowaną i racjonalną. W tym celu trzeba było zaprowadzić administrację centralną, następnie lokalną, o systematycznych metodach i ciągłości działania. Polsce nie udało się przemiana w monarchię wojskową i dobrze zorganizowane państwo: była więc skazana. Piotr Wielki naśladuje Prusy i Szwecję, nie bez użycia środków okrutnych, które nadały naśladowaniu pewien wymiar karykaturalny, zwyrodniały i powodują, iż niektórzy twierdzą, że naśladowanie się nie powiodło. Tymczasem wśród wzlotów i upadków, z wyspami barbarzyństwa tym bardziej widocznymi, że wzbogaconymi i uporządkowanymi, powiodło się ono z około półwiecznym opóźnieniem w stosunku do pruskich i szwedzkich wzorców.

Kluczowym problemem była kwestia кадр wojskowych i administracyjnych. Dla sprostania najpilniejszym potrzebom państwo petersburskie sprowadziło pewną liczbę specjalistów zachodnich, na ogół niemieckich. Bardziej masowo czerpano z elit świeżo podbitych narodów zachodniego pogranicza: najpierw Ukraińców, a następnie Bałtów, Polaków, ludów kaukaskich. Wobec duchowieństwa przyjęto metodę pruską. Państwo narzuciło Kościołowi quasi-reformę, a z duchownych uczyniło kadry dla rodzącego się systemu oświaty. Faktycznym rozwiązaniem problemu było wykształcenie nowych elit rosyjskich, wychowa-

nych w duchu zlaicyzowanego ideału służby państwowej. W ramach *polizeistaat* zbędna i niebezpieczna była alfabetyzacja mas, wciąż trzymany w więzach poddaństwa. Przemiana miała więc dotyczyć jedynie wąskiej grupy szlachty, czyli około 600 000 osób za Mikołaja I. One to i tylko one objęte zostały systemem szkolnictwa. System ten, wprowadzony w pierwszej połowie XIX wieku, obejmował 50 gimnazjów z około 15 tysiącami uczniów oraz sześć uniwersytetów z pięcioma tysiącami studentów. Instytucje te były na dobrym poziomie, niższym oczywiście od renomowanych uniwersytetów niemieckich, ale wobec rosyjskiego zacofania stanowiły znaczne osiągnięcie.

Otóż właśnie na tym polegał cud rosyjski: przeszczep się przyjął. Począwszy od końca XVIII wieku, za panowania Katarzyny, naśladownictwo zaczęło przynosić owoce. Przec cały wiek XIX postępować będzie (według mierników europejskich) rozwój społeczeństwa, państwa i gospodarki.

W roku 1762 szlachta została zwolniona z obowiązkowej służby państwowej oraz uwolniona od kar cielesnych. Szlachta ta, przywrócona swym własnym sprawom i nie lękająca się już chłosty, szybko przyjęła obyczaje, maniery, stroje a nawet języki Europy zachodniej. Nawiązuje ona bezpośredni kontakt z Zachodem podczas wojen, rewolucji i cesarstwa. Jej przedstawiciele nie szokują. Pani de Stael sądzi, iż oddycha w Rosji „powietrzem wolności”, co było dużą przesadą, ale środowisko arystokratyczne, które ją przyjmowało, pozwalało żywić złudzenia. De Maistre w swych wieczorach petersburskich nie obawia się włożyć w usta Rosjan słów rozsądnych, a nawet podniosłych. Szlachcic rosyjski został zaakceptowany przez europejską arystokrację.

Drogą naśladownictwa zwyczajnie te zdobywają szersze środowisko. Wykształcenie bardziej niż urodzenie, a nawet bardziej niż służba państwowa, wystarcza, by wejść do tego, co w Rosji nazywano „towarzystwem”, czyli do zeuropeizowanej części narodu. Dzięki oświacie rozpowszechnia się poza warstwę samej szlachty zeuropeizowany typ szlachecki. Spotyka się go odtąd wśród klas lub kast tradycyjnych (kupcy, urzędnicy) oraz klas nowych, zrodzonych w wyniku ogólnego rozwoju. Dowodem, że przeszczep się przyjął, że Rosja znalazła się w Europie, są narodziny rosyjskiej kultury literackiej, w pełni europejskiej przez

swe gatunki, retorykę, tłumaczonej zresztą z powodzeniem na Zachodzie, a zarazem o całkowicie rosyjskim charakterze i nadającej młodemu narodowi poczucie własnej tożsamości. Pod koniec wieku można mówić o społeczeństwie rosyjskim zróżnicowanym, pełnym, świadomym samego siebie.

Rozwój państwa to przede wszystkim stopniowe ustanawianie państwa prawa. Od Aleksandra I staje się oczywiste, że naśladownictwo Europy może być pełne tylko wówczas, gdy państwo rosyjskie stanie się praworządne, gdy będzie szanowało osoby i dobra wedle norm cywilizacji, do jakiej dąży. Sperański unormował prawodawstwo rosyjskie, wprowadził doń nowoczesne pojęcia własności, umowy, społeczeństwa. Konfiskata staje się wyjątkiem. Począwszy od roku 1860 sądownictwu zostały nadane formy niniejszej więcej europejskie. Zniesione więc zostały „prawne” przeszkody dla rozwoju „kapitalizmu”.

Jednocześnie usunięta została następna bariera: poddaństwo chłopów. Ta ogromna operacja przeprowadzona została z półwiecznym opóźnieniem w stosunku do Prus i Austrii. Mimo iż chłopci nie otrzymali ziemi na własność osobistą, mimo iż zostali zamknięci w dławiących ramach wiejskiej wspólnoty, mimo iż musieli płacić za ziemię cenę wygórowaną, mogli odtąd stopniowo wchodzić w społeczeństwo obywatelskie.

Dzięki temu społeczeństwo rosyjskie jest odtąd w stanie zaistnieć wobec państwa, domagać się udziału w sprawach publicznych, za pomocą rewolucji uzyskać to, co uzyskały zachodnie społeczeństwa obywatelskie, bądź drogą kompromisu te korzyści, które stały się udziałem obywatelskiego społeczeństwa niemieckiego. Rozwój państwa rosyjskiego, promotora Oświecenia, ucywilizowanego dzięki zachodniej edukacji swych kadr, prowadzi więc do jego własnego kryzysu: państwo ancien regime'u widzi, jak zbliża się perspektywa rewolucji typu europejskiego. Obrony szuka w Europie, raz jeszcze ze strony wojskowych monarchii środkowoeuropejskich; w kompromisie typu bismarckowskiego – z masami, bez elit, pozostawiając biurokrację i wojsko w rękach władcy i przyznając społeczeństwu obywatelskiemu zaczątki reprezentacji.

W Rosji rodzi się kapitalizm, nawet jeśli jego elementy pojawiają się w porządku odwrotnym niż na Zachodzie. Państwo za-

pragnęło zbudować gospodarkę zdołną podtrzymywać potęgę militarną imperium. Podjęło więc inicjatywę „modernizacyjną”, ale wierne wzorcowi europejskiemu odwołało się do prywatnego przedsiębiorcy. Najpierw powstaje przemysł wielki. Ściąga on w tym celu kapitały i technologie zachodnie, ale w ostatnim dzieścioleciu przed wojną gospodarka rosyjska rozwija się dzięki swemu własnemu dynamizmowi. Rodzimy kapitał rosyjski zajmuje miejsce kapitałów francuskich i angielskich. Potężny system bankowy zastępuje funkcje administracji ministerstwa finansów. Państwo się wycofuje, a gospodarkę bierze w swe ręce społeczeństwo. Odblokowanie i zapoczątkowanie rozwoju rolnictwa idzie w ślad za przemysłem. Główne fakty to stopniowe wyeliminowanie szlachty, która zmuszona jest likwidować swe majątki ziemskie, zniszczenie wspólnot wiejskich po reformie Stołypina oraz rozwój ruchu spółdzielczego.

Obserwatorzy zagraniczni oceniający gospodarkę rosyjską w przededniu 1914 roku dostrzegają jej braki strukturalne: młody wiek i niedojrzałość systemu przemysłowego, zacofanie rolnictwa. Wszyscy jednak widzą potężny dynamizm i nieskończone perspektywy rozwoju. Rosja w szybkim tempie kroczy drogą kapitalizmu typu wilhelmańskiego, i to na skalę kontynentalną. Pod względem monetarnym, finansowym, handlowym jest ona w pełni włączona w rynek światowy.

### *Zgubne naśladownictwo*

Cztery lata później wszystko ulega zniszczeniu. Kapitalizm definitywnie rozwiewa się jak sen. Dlaczego? Oto nasza teza: podobnie jak zrodziło go naśladowanie Europy, również naśladowanie Europy (ale czegoś innego w Europie) skazało ów kapitalizm na śmierć.

Ten kapitalizm świeżej daty, sprzeczny z tradycją polityczną, dziedzictwem barbarzyństwa, słabością społeczeństwa, był krucho. Wszelako siły, które mu poważnie zagroziły, nie miały ani politycznego, ani społecznego charakteru. Państwo, nawet archaiczne, ancien régime'u, rozwijało kapitalizm i gdy ten stał się dość silny, umiało wycofać się ze sfery gospodarczej: ministrowie znali dzieła ekonomistów liberalnych.

Klasy społeczne przeciwstawiły zmianom inercję, opór bierny, ale nie wrogość systematyczną i zorganizowaną. Klasą najbardziej dotkniętą była szlachta wiejska. Jednakże europeizacja, podniesienie własnego poziomu kulturowego, wydawały się jej rekompensatą za stopniową utratę chłopów pańszczyźnianych i majątków. Nowoczesne życie otwierało przed nią zastępcze perspektywy. Oswaja się także inteligencja. Pewna jej warstwa już się włączyła w nowoczesność i nie określa się już przez dysydencję polityczną czy moralną, ale przez zatrudnienie zawodowe. Nauczyciele, personel medyczny, zawody prawnicze, techniczne – wszyscy oni są pracownikami umysłowymi. Kasta kupców, niegdyś tak barwna, zrzuca swe kaftany i brody. Klasa robotnicza, w stopniu, w jakim wolno jej kierować się tam, gdzie chce, zmierza, śladem syndykalizmu żydowskiego i polskiego, ku swego rodzaju socjaldemokracji na modłę niemiecką. Klasa chłopska, uwolniona od jarzma wspólnoty, szybko się różnicuje i organizuje. Krótko mówiąc, społeczeństwo rosyjskie, w sposób gwałtowny i autorytarny wepchnięte przez państwo na drogę europeizacji, zaczyna w niej gustować i w swej całości pragnie iść szybciej do przodu, w razie potrzeby przeciw państwu.

Takie były przynajmniej spontaniczne dążenia tego społeczeństwa. Przeszkodą wszak były wpajane mu idee, które znalazły wsparcie w inercji i milenarystycznym nastawieniu społeczeństwa, w jego duchu zarówno wsteczności, jak i rewolucyjności.

Idee te zrodziły się w najbardziej zeuropeizowanej części świata rosyjskiego jako bezpośrednie naśladownictwo Europy. Napłynęły one z zagranicy i trafiły w wąskie środowisko, które je zaszczerpiło i przystosowało do kraju o trudnościach rzeczywistych bądź urojonych, w nie dość rozwiniętym społeczeństwie, które zajmując odległe przedmieście Europy, z rzadka było zdolne idee te pojąć w ich złożoności i prawdziwych proporcjach.

Idee te wpoily Rosji świadomość samej siebie, która stanowiła przeszkodę rzeczywistej ewolucji i uniemożliwiła nawet jej postreganie. Nie mogą tutaj szkicować historii kultury rosyjskiej XIX wieku. Układa się ona wszakże wokół trzech wielkich zapożyczeń intelektualnych.

Pierwsze z nich ma charakter religijny. Upadek, jakiego doznał Kościół prawosławny po rewolucji piętrowej, wytworzył pustkę, którą zapelniają europejskie idee religijne, głównie niemiecki pietyzm. Pietyzm ze swymi odgałęzieniami ezoterycznymi, gnostycznymi i masońskimi, przesadnie rozwija mistycyzm spekulatywny, który drogą uproszczenia rozpowszechni się w Rosji. Wzmocniona filozofią idealistyczną, ta sprowadzona z zagranicy religijność odnajdzie korzenie narodowe, wymyśli sobie prawosławną genealogię i uchodzić będzie za samoistną religię rosyjskiego ludu. Przenika ona dzieła Gogola, Tołstoja, Dostojewskiego, symbolistów. Religijność ta szerzy pogardę dla świata, dla wartości świeckich, dla prawa, własności, dla przestrzegania zwyczajowych zasad moralnych; głosi wysublimowaną moralność i religijność bardzo pociągającą młodzież i odciągającą ją od owego doczesnego ascetyzmu, który Weber uważał za jedną z przyczyn powstania „kapitalizmu”.

Drugim zapożyczeniem był nacjonalizm. W Rosji zawsze istniało silne poczucie narodowe, które jednak od XIX wieku wzoruje się na niemieckim modelu nacjonalizmu. Ten ostatni przeciwstawił anglo-francuskiemu Zachodowi całkowitą oryginalność kulturową (*Volksgeist*). Wobec niedostatków kultury w Rosji, zastąpiła ją religia, czyli wiara prawdziwa, prawda absolutna. Twórcy religii narodowej (mieszaniec pietyzmu i filozofii idealistycznej ukryte pod osłoną greckiej patrologii) byli także twórcami rosyjskiego nacjonalizmu. Słowianofile zapoczątkowali sposób myślenia, który następnie został przejęty przez nacjonalistów południowoamerykańskich, arabskich, chińskich itd., a który wyraża się następująco: nie jesteśmy gorsi (lub zapóźnieni) wobec europejskiego Zachodu. Jesteśmy z natury inni. Co więcej, Europa jest zła, co sama przyznaje w swych książkach, czasopiśmie, gazetach, które wszystkie są niezmiernie krytyczne. A więc my jesteśmy lepsi. Stąd wniosek, że Europy naśladować nie należy, ani jej form życia społeczno-gospodarczego, ani też politycznego. Życie mieszczańskie, duch mieszczański, rządy konstytucyjne, polityczny system przedstawicielski, wszystko to zostało poddane krytyce.

Trzecie zapożyczenie — socjalizm — jest najbardziej bezpośrednio skierowane przeciwko kapitalizmowi. W swej pierwotnej po-

staci, jaką był populizm, jest on połączeniem religijności i romantycznego nacjonalizmu, ale z przesunięciem na lewo problemów i wartości wspólnych tym nurtom, czyli z przeniesieniem ich w sferę rewolucyjnej walki klas. W swej drugiej postaci, marksizmie, zwłaszcza w jego wersji bolszewickiej, kwestie religijne i narodowe zniknęły, bądź też nie dają się bezpośrednio rozpoznać. Wszelako wartości są nadal obecne, skupione, radykalizowane: czysta nienawiść do rzeczywistości społecznej takiej, jaką ukształtowała natura i historia, dążenie do jej gruntownej i całkowitej zmiany wedle zasad i metod znanych doktrynie w sposób absoletny, z naukową wręcz pewnością.

Ta rozbieżność między rosyjską rzeczywistością a rosyjską świadomością nie była nieuleczalna. Faktycznie zresztą szybko się zmniejszała. Doktryny rewolucyjne traciły swój prestiż i znaczenie. Spazm nacjonalistyczny zrodzony z „kompleksu niższości” zanikał wobec znaczących sukcesów narodu rosyjskiego. Nawet w dziedzinie religijnej zanotowano powrót do bardziej zrównoważonej ortodoksji.

Nic nie było nieuchronne. Nic nie podlegało nieuniknionemu procesowi historycznemu, *zakonomiernosti*. Dla zadecydowania o losach tego kraju potrzebne było wydarzenie, tajemnicze jak każde inne: wojna światowa. Wejście w system państw europejskich było pierwszym krokiem naśladownictwa za czasów Piotra Wielkiego. Wejście w wojnę za czasów Mikołaja II – naśladownictwo ostateczne – stanowiąc o przyjęciu Rosji przez Europę i to przez Europę najbardziej europejską: Francję, Anglię, Włochy – w ciągu niewiele lat doprowadziło do definitywnego wykluczenia Rosji z Europy.

Przełożył J. G.

A. de la Mesangon



# *polska gospodarka*

Stanisław Gomulka

## DROGI WYJŚCIA Z KRYZYSU ZADŁUŻENIA \*

### CZEŚĆ A. TŁO I CELE

#### *1. Wstęp*

Gospodarka polska w roku 1985 stanowi przypadek szczególny w Europie wschodniej. Kryzys, który rozpoczął się w późnych latach siedemdziesiątych, okazał się zdecydowanie najbardziej niszczący ekonomicznie i najpoważniejszy społecznie wśród współczesnych krajów świata za czasów pokoju, począwszy od Wielkiego Kryzysu lat trzydziestych. Kryzys polski pod wieloma względami trwa nadal. Wprawdzie główne wskaźniki produkcji i wydajności uległy poprawie od lata 1982 roku, ale w roku 1984 konsumpcja indywidualna na 1 mieszkańca według ocen oficjalnych była niższa o 11%, a inwestycje brutto o 34% w porównaniu z rokiem 1979. W okresie od 1979 roku import zachodnich urządzeń i technologii został drastycznie ograniczo-

---

\* Niniejszy tekst jest skróconą wersją opracowania przygotowanego w związku ze staraniami Polski o przyjęcie do Międzynarodowego Funduszu Walutowego. Wyrażone tu poglądy nie muszą reprezentować stanowiska instytucji czy banków zainteresowanych polskim zadłużeniem; odpowiedzialność za te poglądy ponosi wyłącznie autor. Przekład autoryzowany.

ny, co obecnie zaczyna mieć poważne skutki negatywne dla innowacji technologicznych i eksportu maszynowego na rynki dolarowe (w ujęciu realnym eksport ten spadł o 8,7% w roku 1982, o 3,4% w 1983 i o 2,3% w 1984). Ogólny bilans handlowy z Zachodem jest dodatni, ale nadwyżka wystarcza jedynie na pokrycie około połowy należnych odsetek od zadłużenia. Nie spłacone odsetki od pożyczek zachodnich oraz straty *terms of trade* w obrotach z ZSRR są tak znaczne, iż można być pewnym, że realna wartość zadłużenia zagranicznego, tak w strefie dolarowej, jak rublowej, nadal wzrasta. Niewykorzystanie środków trwałych i czasu pracy jest wciąż wysokie, czego głównymi przyczynami są brak dewiz i niewłaściwa struktura zasobów krajowych.

Reforma gospodarcza została zapoczątkowana w styczniu 1982 r. Mimo jednak, że imponująca w porównaniu z poprzednimi próbami, jest ona zasadniczo dla pewnych produktów odmianą węgierską typu „ani rynek, ani plan”, dla innych „nieformalnym planowaniem nakazowym”. Jej rezultaty ekonomiczne są jak dotąd oceniane jako mieszane lub rozczarowujące przez polskich ekonomistów i zachodnich ekspertów, i tylko jako skromnie pozytywne przez rząd polski. Elastyczność podejmowania decyzji mikroekonomicznych oraz zainteresowanie efektywnością zapewne wzrosły, ale widocznie niewystarczająco, by wywrzeć jakiś dostrzegalny wpływ na zużycie nakładów materiałowych, zwłaszcza energii, na jednostkę produkcji finalnej, na wielkość i jakość eksportu dóbr innych niż surowce i materiały podstawowe oraz na sektorową strukturę inwestycji. Tymczasem znaczna poprawa w tych trzech dziedzinach stanowiła i stanowi główną nadzieję, jaką Polska wiązała i wiąże z reformą. Główną przyczyną tych dążeń do poprawy jest fakt, że w przeciwieństwie do lat 1946-1980, przewiduje się stagnację krajowej produkcji surowców i materiałów podstawowych bądź jej bardzo powolny wzrost w przewidywalnej przyszłości. Przeto wszelki wzrost produkcji finalnej jest odąd zależny od bardziej efektywnego użycia tych surowców i półfabrykatów. Skądinąd skandalicznie niskie obecnie wykorzystanie nakładów musi stanowić najważniejszą rezerwę wzrostu gospodarczego Polski. Uruchomienie tej rezerwy jest więc za-

daniem zarazem decydującym gospodarczo i – wobec politycznych, ideologicznych i społecznych ograniczeń typowych dla krajów pod panowaniem komunistycznym – prowokującym intelektualnie oraz politycznie.

Zachęcającym aspektem polskiej sytuacji jest skala przemiany, jakiej doznało środowisko ekonomistów począwszy od roku 1979. Waga pomysłowego uporania się ze wspomnianym wyżej, trudnym i prowokującym zadaniem wydaje się dziś doceniana przez licznych przedstawicieli tego zawodu; są oni świadomi, że sukces ten zależy głównie od stworzenia w miarę konkurencyjnych rynków, gdzie samorządne przedsiębiorstwa musiałyby być wyraźnie świadome, że ich własne przetrwanie wiąże się z problemem kosztów. W tym celu innowacyjność i przedsiębiorczość ludności musiałyby być starannie wykorzystane i poddane silnym motywacjom do rozpoznawania możliwości i dokonywania istotnych obniżek kosztów jednostkowych; w efekcie środki krajowe i zagraniczne szybko przepływałyby z rynków mniej do bardziej rentownych.

Rząd polski od lata 1981 podjął wiele pożytecznych prac edukacyjnych i legislacyjnych, których deklarowanym celem było stworzenie takich właśnie w miarę konkurencyjnych (lecz nadal regulowanych) rynków. Niestety, głównym problemem była i jest interpretacja i realizacja tego programu reformy. Niemniej jednak, wobec kłopotliwej sytuacji gospodarczej Polski, nie należy wykluczyć możliwości, iż rząd w Warszawie będzie podatny na sugestie dotyczące istotnych nowych posunięć, które winny być wprowadzone, jeśli reforma ma się okazać skuteczna. W każdym razie, niniejsze studium opowiada się za ustaleniem wyraźnego i przekonującego związku między reakcją rządu na te sugestie, a zakresem jakiegokolwiek nowej pomocy Zachodu.

## *2. Zakres studium*

Problemy, jakie omawiamy w tym artykule, dotyczą głównie kwestii, jak Polska może podejść do sprawy zwiększającego się zadłużenia zewnętrznego i spróbować przywrócić równowagę bilansu płatniczego. Dokładniej rzecz biorąc, artykuł dotyczy re-

form gospodarczych i związanych z nimi zmian w polityce ekonomicznej tak, by Polskę mogło osiągnąć znacząca poprawę bilansu handlowego w wakatach wzmiankowanych w ciągu następnych pięciu lat oraz utrzymać tę poprawę w okresie późniejszym. Ogólnym celem powinno być, by poziom zadłużenia do eksportu uległ zmniejszeniu z około 4,5 obecnie do około 3,5 w roku 1990 i zbliżył się do 1 w roku 2000. Kilka spośród omawianych ogólnych zagadnień będzie przedmiotem szczególnego zainteresowania:

- a. Celowość (realność) kompleksowych reform gospodarczych w porównaniu z selektywnym, bardziej „wstrząsowym”, ale też bardziej skoncentrowanym wysiłkiem reformatorskim. Jeśli pewna selektywność uznana zostałaby za niezbędną lub stosowną, jak należałoby uszereżować priorytety wśród rozmaitych instrumentów polityki gospodarczej bądź wśród sektorów gospodarki?
- b. Czym winni kierować się decydenci w kwestii cén?
- c. Zakładając realizację reformy cen, co będzie można uczynić dla przyspieszenia procesu zwiększania podatności przedsiębiorstw – od tak dawna przyzwyczajonych do miękkich ograniczeń budżetowych – na będzie i dla wzrostu ich „efektywnościowej” świadomości i nastawienia na zysk?
- d. Jak zabezpieczyć się przed decentralizacją podejmowania decyzji ekonomicznych prowadzącą – z powodu monopolistycznej struktury przemysłu – do utraty kontroli makroekonomicznej, w szczególności do inflacyjnych podwyżek płac i cen oraz marnotrawnych wydatków inwestycyjnych (co wydarzyło się w Jugosławii)?

Artykuł ten nie jest ani szerszym przeglądem obecnego stanu polskiej gospodarki, ani też systematycznym omówieniem istniejącego systemu ekonomicznego. Przyjmujemy, że są one znane z rozmaitych publikacji polskich i zagranicznych. Spora ilość informacji o gospodarce i systemie zawarta w artykule stanowi minimum konieczne dla spełnienia głównego celu: sformułowania i omówienia nowych kroków reformatorskich i politycznych, których realizacja pomogłaby Polsce w wywiązaniu się z poważnych zobowiązań zagranicznych. Jednocześnie, z wyjątkiem nielicznych posunięć polityki gospodarczej, których pewien jakościowy

i przybliżony wpływ ilościowy próbuję oceniać, w artykule tym jestem jak najdalej od dokładnego szacowania potencjalnych korzyści proponowanych reform. Nie czynię tak dlatego, bowiem podczas gdy długofalowy wpływ tych przedsięwzięć byłby, moim zdaniem, dość znaczny i można by próbować jego przybliżonego szacunku, to wszelkie oceny lub sądy dotyczące czasowego wymiaru tego wpływu sprowadzają się do spekulacji myślowych, zwłaszcza w odniesieniu do pierwszych kilku lat. Niepewność ta w znacznej mierze wiąże się z pytaniem, czy, jak szybko i w jakim stopniu każda z rozmaitych propozycji może być wprowadzona w życie. Istnieją też inne ważne przyczyny tej niepewności: związane są one głównie z faktem, że obecne technologie można zastąpić jedynie stopniowo wraz z wprowadzeniem nowych projektów inwestycyjnych i przy zamknięciu niektórych z istniejących fabryk.

### *3. Korzyści głównych zainteresowanych stron*

Pożyteczne będzie rozpocząć od ukazania prawdopodobnych celów i niepokojów czterech głównych stron zainteresowanych skutkami wszelkich zmian w polskiej gospodarce. Stronami tymi są: zachodni kredytodawcy komercjalni (banki prywatne), zachodnie rządy, polskie społeczeństwo oraz rząd polski. Można przyjąć, że cele dwóch pierwszych stron są przede wszystkim typu ekonomicznego: zwiększenie przez Polskę nadwyżki dolarowej w swoim bilansie płatniczym do poziomu zgodnego z wymaganiami, jakie stawia właściwa obsługa zadłużenia. Sytuację uznano by za znajdującą się pod kontrolą, gdyby ta nadwyżka pozwoliła na pełną spłatę oprocentowania. Wymagałoby to zwiększenia nadwyżki w handlu ze strefą dolarową z około 1.5 miliarda dolarów w 1984 do około 2.5 miliarda dolarów w 1990.

Sądząc po oficjalnych oświadczeniach Lecha Wałęsy, niepokój społeczeństwa polskiego jest podwójny. Po pierwsze, społeczeństwo lęka się, że Zachód nie dba o to, czy upragniona poprawa bilansu płatniczego osiągnięta zostanie kosztem obniżenia konsumpcji krajowej czy też w rezultacie zmian polityki wewnętrznej rządu polskiego, przy czym zasadniczymi zmianami oczekiwany przez ludność Polski miałyby być dostrzegalny stopień

politycznej liberalizacji oraz skuteczna reforma gospodarcza. (Niektórzy ekonomiści, zwłaszcza profesor Brus z Uniwersytetu w Oxfordzie, poprzednio z Uniwersytetu Warszawskiego, utrzymują, że pierwsza z tych zmian jest konieczna dla zaistnienia drugiej). Po drugie, przy braku istotnych zmian tego rodzaju, skuteczność wszelkich nowych prób ożywienia polskiej gospodarki za pomocą pożyczek zachodnich byłaby równie nieudana, jak miało to miejsce w latach siedemdziesiątych, co zwiększyłoby w przyszłości ryzyko posunięć oszczędnościowych w rodzaju tych, jakie wprowadzono w roku 1982. Obawy te mogą być uzasadnione lub nie, ale z pewnością wydają się silne i powszechne. Podziemne publikacje „Solidarności” często zauważają, że typowym zaleceniem zagranicznych kredytodawców, takich jak MFW dla uporania się z nierównowagą zewnętrzną jest ograniczenie konsumpcji krajowej. Podkreślają one, że w przeciwieństwie do rynkowych gospodarek Dalekiego Wschodu i Ameryki Łacińskiej, w Polsce istnieje pewna droga alternatywna – urynkowanie gospodarki – którą należałoby wpierv wy badać. Nowe oficjalne związki zawodowe wydają się zajmować podobne stanowisko, podkreślając przy każdej okazji potrzebę wprowadzenia przez rząd posunięć bardziej radykalnych, podnoszących wydajność. Jednocześnie zarówno „Solidarność”, jak i oficjalne związki zawodowe wydają się przejawiać dużą niechęć do otwartego uznania społecznych kosztów takich kroków.

Interesujące, że w publicznych wypowiedziach rządowych również utrzymuje się, że jakkolwiek dalsza poprawa bilansu handlowego nie może dokonać się kosztem zmniejszenia krajowych inwestycji ani konsumpcji oraz że Polska dokonała już wyrzeczeń, jakich w tych okolicznościach można było od niej oczekiwać. Rząd szczeni się tym, że wprowadził poważną reformę gospodarczą w samym środku kryzysu. Jednakże wobec rozczarowujących dotychczasowych rezultatów reformy wydaje się, że rząd jest niepewny co do tego, jak ma postępować dalej, w jaki sposób ma sprostać ogromnym potrzebom gospodarczym wewnętrznym i zewnętrznym. Rząd wyraźnie jest nie przygotowany, bądź nie jest w stanie podjąć politycznej decyzji, by prowadzić naród drogą ugody i perswazji. Zarazem sprawia wrażenie, że nie pociąga go ryzyko masowego użycia raz jeszcze sił repre-

syjnych w celu narzucenia społeczeństwu programu oszczędnościowego podobnego do wprowadzonego w 1982 roku. Wobec tej politycznej specyfiki polskiej sytuacji realistyczna jest ocena, że najprawdopodobniej większość nowych środków z Zachodu, jeśli nie będą dostarczone na odpowiednich warunkach i z odpowiednimi gwarancjami, wykorzystana zostanie w znacznej mierze tak jak w latach siedemdziesiątych: na uzupełnienie starych i zainicjowanie nowych, kapitałochłonnych i materiałochłonnych projektów inwestycyjnych służących bardziej potrzebom krajowym niż wprowadzeniu reformy i pobudzanemu reformą rozszerzaniu i utrwalaniu zdolności eksportowania na rynki zachodnie.

Największą nadzieją zarówno zachodnich kredytodawców, jak i Polski jest realizacja przez Polskę pakietu posunięć – finansowych, systemowych i politycznych – po których można oczekiwać, że ułatwią wzrost eksportu dolarowego i zmniejszenie stosunku zadłużenia do eksportu bez zauważalnego obniżenia konsumpcji krajowej poniżej poziomu, który miałby miejsce bez takich posunięć.

Taki pakiet powinien w zasadzie spotkać się z przychylnym przyjęciem wszystkich czterech stron. Posunięcia te muszą po prostu być dostatecznie radykalne, by dodać obecnej reformie sił wystarczających dla uruchomienia przez Polskę jej głównej rezerwy wzrostu: dużych, lecz słabo wykorzystanych zasobów. Rząd w Polsce zapewne będzie pilnie studiował społeczne, polityczne i ideologiczne skutki wszelkich sugestii proponowanych z zewnątrz. Przed rokiem 1980 sugestie te i ich konsekwencje zostałyby prawdopodobnie uznane za nie do przyjęcia. Dzisiaj istnieje przynajmniej szansa, że będą ocenione jako zasadniczo zgodne z własnymi celami reformatorskimi rządu oraz z długofalowymi interesami Polski.

#### *4. Kompleksowa reforma gospodarcza czy środki silne, lecz selektywne*

W roku 1981 przedstawionych zostało około dziesięć dokumentów reformatorskich. Najbardziej całościowe były dwa: jeden przygotowany przez liczną rządową komisję do spraw refor-

my oraz drugi przez tak zwaną „Sieć”, czyli grupę działaczy związanych z radami robotniczymi wielu przedsiębiorstw. Pierwsza propozycja została następnie przyjęta przez zjazd partii komunistycznej w lipcu 1981, a druga przez zjazd „Solidarności” we wrześniu tegoż roku.

Dwie główne propozycje różnią się wyborem pewnej liczby rozwiązań, przy czym program „Sieci” był bliższy samorządowemu, opartemu o rynek, systemowi Jugosławii, a program rządowy systemowi węgierskiemu. Jednakże ogłoszone cele zasadnicze obu modeli są podobne: 1) zasada 3 „s”: samofinansowania, samorządu i samodzielności; 2) rynkowy mechanizm kształtowania cen; 3) twarde ograniczenia budżetowe dla przedsiębiorstw; 4) plany centralne, odzwierciedlające preferencje społeczne, realizowane poprzez wykorzystanie rynku (planowanie centralne typu parametrycznego).

Znaczna część legislacyjnej maszynerii reformy pomyślana została przez rząd według tych zasad. Wszelako, w dodatku do normalnych społecznych, politycznych i ideologicznych przeszkód dla reformy, jej faktycznemu wprowadzeniu w życie przeciwdziałal także kryzys gospodarczy i polityczny. W szczególności rząd twierdził, że kryzys ten wymaga siatki bezpieczeństwa w postaci trzyletniego okresu przejściowego, podczas którego zostałyby utrzymane niektóre podstawowe elementy dawnego systemu nakazowego. Trzy lata już upłynęły, przeto więc nacisk kredytodawców i międzynarodowych instytucji finansowych na pełną realizację własnych celów rządu zawartych w programie 1981 roku zamiast jakiejś nowej kompleksowej reformy, będzie łączyć mądrą politykę i praktyczną dogodność ze zdrową ekonomią. Selektywne kroki zaproponowane w niniejszym raporcie zmierzają do osiągnięcia tego celu. Posunięcia te jednak muszą być rzeczywiście przymusowe i dotyczyć ponad wszystko samego jądra programu reformy: finansowej dyscypliny przedsiębiorstw oraz stworzenia i/lub rozwoju odpowiednich rynków, w miarę możliwości rzeczywiście konkurencyjnych, a jeśli to konieczne — oligopolistycznych. Szczególnie ważny jest rynek kredytowy, dewizowy, dóbr inwestycyjnych oraz półfabrykatów. Oznacza to zwłaszcza, między innymi, potrzebę wyeliminowania ilościowego rozdzielnictwa nakładów i wprowadzenia cen kształtowanych



przez rynek. Ten ostatni warunek jest zasadniczy, jeśli przedsiębiorstwa mają zostać poddane dyscyplinie rynkowej oraz w celu podporządkowania rządowego planowania ilościowego planowaniu finansowemu, przy czym oba typy planowania uznane zostały za niezbędny warunek wszelkiej skutecznej reformy. Zaproponowane w niniejszym tekście posunięcia reformatorskie są dość wszechstronne, tak że ich pakiet można uważać za kompleksową reformę gospodarczą. Jednakże podstawowa struktura prawna obecnej reformy nie musi ulec większym zmianom. Główne cele są również identyczne. Co więcej, jak wspomnieliśmy wyżej, mądrzejsze politycznie byłoby przedstawienie propozycji jako pakietu posunięć selektywnych – reforma wdrażanej reformy – zamiast jako nowej reformy.

## CZEŚĆ B. PROPOZYCJE REFORM CELEM WYPROWADZENIA POLSKI Z KRYZYSU ZADŁUŻENIA

### *1. Wymienialność złotego na dolary dla przedsiębiorstw*

Zachowanie części dochodów eksportowych w dewizach do własnej dyspozycji stanowi, według rządowego Raportu o Reformie Gospodarczej z 1984 r., „główny instrument zwiększania zainteresowania przedsiębiorstw eksportem do krajów kapitalistycznych o wymienialnej walucie” (RRG-84, s. 29, par. 25). Ocenę tę potwierdzają niezależne badania ankietowe. W roku 1985 około 2000 przedsiębiorstw (mniej więcej jedna trzecia wszystkich przedsiębiorstw w sektorze uspołecznionym) posiadało swe własne rachunki dewizowe. Jednakże przyznanie prawa do odpisów dewizowych oraz ich wielkość znajdują się w kompetencji władz centralnych. Są więc zindywidualizowane dla poszczególnych przedsiębiorstw, pozostają przedmiotem przetargów i służą jako instrument centralnej kontroli administracyjnej. W dodatku, przedsiębiorstwa mogą wykorzystywać swoje dewizy tylko do zakupów własnego importu oraz importu swych bezpośrednich dostawców. Ten administracyjny przepis ograni-

cza zainteresowanie wielu przedsiębiorstw eksportem dolarowym tylko do poziomu niezbędnego dla pokrycia ich pilnych potrzeb importowych. Usunięcie tych alokacyjnych i motywacyjnych mankamentów obecnego systemu może szybko przynieść znaczne skutki, a zatem powinno stanowić cel priorytetowy.

Przyjmijmy, że system zostaje zreformowany następująco:

- a. Wszystkie przedsiębiorstwa mają prawo zachowania określonej, jednolitej części swych dochodów dewizowych.
- b. Powiedzmy, że początkowo wynosi ona 35%. Z góry ogłasza się także, że proporcja ta będzie zwiększana o, powiedzmy, 5 punktów procentowych rocznie przez jakiś, na przykład pięcioletni okres, w celu skłonienia przedsiębiorstw do długofalowego, prockspornowego zaangażowania w inwestycje.
- c. Przedsiębiorstwa mogą swobodnie sprzedawać swe zachowane dewizy po cenie umownej innym przedsiębiorstwom państwowym i im tylko. Postanowienie to równoznaczne jest ze stworzeniem w stosunkach między przedsiębiorstwami wolnego rynku dewiz pochodzących z odpisów dewizowych przedsiębiorstw. Pozostała część dochodów dewizowych nadal byłaby odsprzedawana Bankowi Narodowemu po oficjalnym kursie wymiennym.

W ramach obecnej reformy przedsiębiorstwa państwowe mają już prawo sprzedaży większości swych produktów lub nakładów materialnych innym przedsiębiorstwom państwowym, lecz nie prywatnym ani też osobom fizycznym, według swobodnie kształtowanych cen. Powyższa więc sugestia oznacza jedynie uznanie odpisanych dewiz za taki sam produkt lub nakład jak każdy inny. Zmiana ta byłaby przeto prostym rozszerzeniem istniejącego stanu rzeczy.

Stworzenie międzyzakładowego rynku dewiz wymiennalnych miałoby prawdopodobnie istotne skutki psychologiczne i ekonomiczne. Najważniejszym z nich byłoby znaczne wzmocnienie motywacji do wzrostu eksportu dolarowego *netto* w rezultacie znacznie wyższego zapewne rynkowego kursu dewizowego w porównaniu z obecnym kursem oficjalnym. Dalsza korzyść z tego sposobu dewaluacji złotego płynęłaby stąd, iż droższe byłyby tylko dolary „wolnorynkowe”. Wobec tego, że dolary te przypuszczalnie przeznaczane byłyby zwi-

szcza na cele produkcyjne, dewaluacja ta miałaby mniej inflacyjny charakter aniżeli odpowiedni wzrost oficjalnego kursu dolarowego złotego w obecnym systemie. W wyniku tego posunięcia niektórzy główni eksporterzy minerałów i metali obecnie dotowani, jak na przykład przemysł węglowy, staliby się prawdopodobnie rentowni nawet jeszcze przed podwyższeniem cen ich produktów do poziomu rynku światowego. Przyjmując jednolitą proporcję zachowania dochodów dewizowych i pozostawiając alokację dewiz w coraz większym stopniu mechanizmowi rynkowemu, władze centralne oszczędziłyby swój cenny czas, podczas gdy przedsiębiorstwa zyskałyby niezależność i elastyczność. Co ważniejsze, wolny kurs dewizowy umożliwiłby również rynkową ocenę krajowej wartości importowanych zasobów, co jest bardzo pożyteczną informacją zarówno dla władz polskich, jak i dla banków zachodnich, a także dla samych przedsiębiorstw.

Powyższy system traktować należy jako istotną część reformy cen. Reforma ta zasadzać się ma na ogólnej regule, że wszystkie ceny, z kursem dewizowym włącznie, winny być cenami równowagi (patrz część 4 poniżej).

## *2. Inwestycyjny Bank Dolarowy (IBD)*

Przyjmijmy, że powyższe zalecenia zostaną przyjęte i wprowadzone w życie. Wyższa rentowność eksportu dolarowego zwiększy zainteresowanie przedsiębiorstw projektami inwestycyjnymi nastawionymi na eksport. Oznaką tej atrakcyjności byłaby stopa procentowa, jaką przedsiębiorstwa skłonne byłyby płacić za uzyskanie określonej wielkości kredytu dolarowego. Jeśli wielkość tego kredytu jest niska, wówczas rynkowa stopa procentowa może być wysoka. W tym przypadku pożyteczne byłoby powołanie odrębnego banku skupiającego wszelkie nowe przepływy środków z Zachodu do Polski, pochodzące z Banku Światowego oraz/lub z banków prywatnych, z których częściowo finansowane byłyby wspomniane proeksportowe projekty inwestycyjne.

Pożyczki powinny być na początek stosunkowo niewielkie i krótkoterminowe, w miarę możliwości na okresy nie dłuższe niż 5 lat. Łączna podaż środków miałaby narzucony z zewnątrz

górną pułap poprzez wymóg, by rynkowa stopa procentowa równała się stopie eurodolarowej powiększonej o ekonomicznie uzasadnioną premię ryzyka i koszt obsługi. Bank służyłby za mechanizm rynkowej selekcji nowych projektów o wysokich zyskach dolarowych, których realizacja wymaga zewnętrznego finansowania. Wszystkie przedsiębiorstwa – tak państwowe jak prywatne, będące własnością obcą, polską jak i mieszaną – miałyby prawo ubiegania się o kredyty dewizowe. IBD byłby własnością polską, ale zagraniczni inwestorzy mieliby znaczny udział w zarządzaniu. Z wszystkich praktycznych powodów IBD byłby spółką akcyjną jego udziałowców, jednym z których mógłby być NBP; wszelako zyski netto byłyby całkowicie polskie.

Propozycja ta ma tę zaletę, że przyniosłaby Polsce nowe pożyczki na cele inne niż obsługa długu, a uwarunkowane istnieniem odpowiednich, proekspansyjnych projektów inwestycyjnych. Jeśli rząd Polski pragnie pożyczek znacznej wielkości, sposobem ich uzyskania byłoby stworzenie warunków ekonomicznych sprzyjających pojawieniu się większej liczby projektów zdolnych przynieść wystarczające zyski.

Nawiasem mówiąc, gdyby na rynku między przedsiębiorstwami dolary były również dostępne za złote, tak jak sugeruję to w części I powyżej, pożyczki dolarowe byłyby dla IBD mniej ryzykowne. W każdym razie IBD powinien mieć możliwość odbierania swych pożyczek drogą bezpośredniego przejmowania części dochodów zainteresowanych przedsiębiorstw bądź ich majątku.

### *3. Negocjowany udział w zysku, system bodźców i zmodyfikowany podatek FAZ*

Bodźce i podatki stanowią zasadniczy element każdego systemu ekonomicznego. Tutaj polscy reformatorzy stają wobec nieuchronnego pytania: jak pogodzić socjalistyczną zasadę pełnego zatrudnienia ze skuteczną kontrolą inflacji cenowej wówczas, gdy przedsiębiorstwa swobodnie kształtują płace. W typowo rynkowej gospodarce, pewien stopień bezrobocia jest zazwyczaj konieczny dla uniknięcia eksplozji płac i cen. Rząd kontroluje podaż pieniądza i jeśli postanawia obniżyć inflację płac i cen, wówczas odmawia zwiększenia podaży pieniądza wywołującej

zwyczaję stóp procentowych, a ta z kolei zwiększenie bankructw i bezrobocia. W warunkach wysokiego bezrobocia inflacja płacowa (a więc i cenowa) ma tendencję malejącą. Reformatorzy wschodnioeuropejscy przez wiele lat poszukiwali substytutu dla tej wolnorynkowej zależności między inflacją i bezrobociem (krzywa Phillipsa). Wymyślony został i wprowadzony substytut w postaci płaconego przez przedsiębiorstwa skrajnie progresywnego podatku od wynagrodzeń, w Polsce znanego pod nazwą FAZ. Rozwiązanie to ma jednak tę wadę, że w poważnej mierze osłabia pozytywne bodźce do wysiłku na rzecz większej efektywności oraz innowacji (Gomułka and Rostowski, 1984). W dodatku, istnieją w Polsce ogromne podatki negatywne (dotacje), które w dużym zakresie eliminują lub zmniejszają groźbę nieprzyjemnych konsekwencji zastosowania nieefektywnych strategii przez przedsiębiorstwa. Pozytywny bodziec do wydajnej pracy naruszony jest szczególnie silnie, gdy kontrolowane centralnie składniki płac i inne dochody znacznie rosną, powiedzmy o 20% rocznie lub więcej, tworząc nadmierny popyt na dobra i tym samym umożliwiając przedsiębiorstwom finansowanie większości podwyżek płac możliwych w ramach FAZ po prostu drogą podwyżek cen.

Na dłuższą metę najlepszym zapewne rozwiązaniem byłaby rezygnacja z podatku FAZ. Jednakże na krótką metę krok taki prowadziłby prawdopodobnie do przyspieszenia inflacji płac. Można natomiast rozważyć następujące zmiany:

1) Zarówno dotacje, jak i podatek od zysku ulegają znacznemu zmniejszeniu. Istotne ograniczenie stopy podatkowej od zysku, na przykład do 30%, wymagałoby zmniejszenia dotacji i strat o około 30% w celu utrzymania dochodów państwa na tym samym poziomie.

2) Jednakże nawet po zmniejszeniu podatków i dotacji, premia z zysku nadal pozostałaby stosunkowo niewielką częścią wszystkich osobistych dochodów pracowników. Błędem przeto jest sądzić, jak czynią to wyraźnie polscy reformatorzy, że premia z zysku może stać się silnym bodźcem dla przeciętnego pracownika. Premia ta wszakże jest dostatecznie duża, by służyć jako bodziec dla personelu kierowniczego przedsiębiorstw i innowatorów, których łącznie możemy nazywać „grupą kierowni-

czo-innowacyjną" (KI). W każdym przedsiębiorstwie głównym członkiem tej grupy jest oczywiście dyrektor. Pracownicy tej grupy, stanowiący z reguły 5-10% wszystkich zatrudnionych, są zasadniczym personelem dyrektora i głównym sztabem myślowym przedsiębiorstwa. Rząd polski mógłby rozważyć propozycję, aby powiedzmy połowa funduszu premiowego znajdowała się w wyłącznej dyspozycji dyrektorów w celu wynagradzania przedsiębiorczości i innowacyjności, podczas gdy druga połowa znajdowałaby się pod kontrolą rad robotniczych. W tym systemie premia z zysku ma możliwość stać się ważnym źródłem dochodu dla pracowników grupy KI (niektórzy z nich mogą być oczywiście zwykłymi robotnikami). Dla ograniczenia arbitralności w podziale funduszu premiowego, wszyscy pracownicy powinni móc uczestniczyć w podziale premii z zysku, przy czym wielkość udziału każdego staje się częścią procesu przetargów płacowych między, przede wszystkim, radami robotniczymi (bądź komisjami nominacyjnymi) a dyrektorami (kandydatami), a następnie między dyrektorami a wszystkimi pozostałymi pracownikami. Porozumienie to można nazwać motywacyjnym systemem negocjowanego udziału w zysku.

Szczegóły tych proponowanych zmian w obecnym systemie podatków i bodźców są oczywiście drugorzędne tak długo, jak długo zaspokajają potrzebę wyraźnego zwiększenia motywacji kierowniczego i innowacyjnego personelu przedsiębiorstw do obniżania kosztów, przy zachowaniu zmodyfikowanego podatku FAZ w celu kontroli inflacji płacowo-cenowej.

3) Proponowane modyfikacje obecnego podatku FAZ zmniejszyłyby jego progresywny charakter i ograniczyły (lub co lepiej, wyeliminowały) zarówno wszelkiego rodzaju dotacje, jak i uprawnienia ministerstw do przykrawania dotacji i innych zasad podatkowych odrębnie dla każdego przedsiębiorstwa. Celem tych zmian jest ograniczenie możliwości przetargów między przedsiębiorstwami a władzami centralnymi. Elastyczność obecnego systemu pozwalająca dostosowywać zasady podatkowe do określonych okoliczności może wydawać się uzasadniona w większości przypadków rozpatrywanych przez władze centralne. Problem polega na tym, że przyznane w każdym takim przypadku korzyści skłaniają inne przedsiębiorstwa do wkładania wiele

wysiłku w starania o podobne korzyści. W rezultacie rozpowszechnia się świadomość i praktyka zależności przedsiębiorstw od faworytyzmu ministerstw, co podważa zupełnie podstawowe zasady samofinansowania i niezależności przedsiębiorstw.

Powyższa sugestia oznacza również, że zyski budżetu państwa płynące z proponowanego zmniejszenia dotacji dla przedsiębiorstw byłyby użyte na obniżenie stopy podatku od zysku, a przeto na wzmocnienie roli bodźców.

#### *4. Ceny i stopy procentowe a mechanizm rynkowy*

Od czasu wprowadzenia reformy w 1982 roku Polska dokonała pożądanego postępu w zmniejszaniu nagromadzonych w przeszłości ogromnych zniekształceń cen. Jednakże wartość dóbr, których ceny ustalane są przez państwo, wynosi nadal około połowę wartości wszystkich wytwarzanych dóbr. Ceny państwowe nie muszą być gorsze od rynkowych, zwłaszcza ustalanych na rynkach wysoce zmonopolizowanych, pod warunkiem, że są cenami równowagi. W Polsce jednak zbyt wiele cen znajduje się pod kontrolą administracyjną – ich liczba sięga podobno setek tysięcy – by państwu, nawet przy dobrej woli, udało się znaleźć ich poziom równowagi. Zasadnicze znaczenie kształtowania się cen na poziomie równowagi dla powodzenia całego wysiłku reformatorskiego może nie być w pełni doceniane przez rząd i zrozumiane przez społeczeństwo. Władze skłonne są natomiast podkreślać, że wszystkie ceny powinny być oparte o zasadę kosztów na jednostkę produktu. Wprawdzie obserwowane znaczne różnicowanie rentowności między przedsiębiorstwami stanowi oznakę sugerującą, że ta kosztowa zasada cen nie zawsze jest ściśle przestrzegana, ale nacisk władz na jej przestrzeganie hamuje potrzebne przesunięcia środków z mniej ku bardziej rentownym zastosowaniom. Właściwe funkcjonowanie systemu cen podważają również rozmaite zarządzenia państwowe poważnie ograniczające względną elastyczność cen. Ceny wielkiej liczby produktów są na dłuższy czas zamrażane, a inne mogą być zwiększane nie więcej niż o pewien procent rocznie. Problem nie polega więc na ogólnym zanizeniu cen artykułów będących w obiegu handlowym, czego korekty można

w znacznej mierze oczekiwać dzięki podwyżce kursu dewizowego pod warunkiem, że podwyżka ta znalazłaby pełne odzwierciedlenie w cenach. Problemem jest raczej istotne zniekształcenie relacji wzajemnych cen artykułów handlowych – chociaż zapewne znacznie mniej wyraźne obecnie niż w roku 1980 – oraz fakt, że ceny nie mogą kształtować się swobodnie w odpowiedzi na zmiany podaży i popytu. Ten brak swobody utrzymuje i może nawet powiększa z upływem czasu powyższe zniekształcenia wzajemnych relacji cen. Moje propozycje zmian w tej dziedzinie są następujące:

1) Liczba artykułów, których ceny ustalane są przez państwowe komisje cen, musi być współmierna z możliwościami komisji utrzymania tych cen na poziomie zbliżonym do poziomu równowagi rynkowej. Zasada ta wymagać będzie zapewne drastycznego zmniejszenia ilości tych artykułów.

2) Państwo zachowuje kontrolę nad cenami niektórych podstawowych artykułów i usług.

3) Jedynie w przypadkach, gdy potencjalne rynkowe ceny równowagi nie są oczywiste, ceny ustalane początkowo przez państwo byłyby równe jednostkowym kosztom produkcji lub kosztom importu. Ceny te miałyby charakter tymczasowy, bowiem metodą prób i błędów nietrudno jest oszacować ceny równowagi, gdy ilość tych cen jest stosunkowo niewielka.

4) Zasada równowagi rynkowej stosowałaby się także do krajowych stóp procentowych od wszelkiego rodzaju kredytów bankowych, zwłaszcza kredytów inwestycyjnych.

W gospodarce rynkowej system cen jest zasadniczym mechanizmem sygnalizacyjnym dla producentów i konsumentów, stanowiąc szybką i tanią informację o relatywnych kosztach wytworzenia dodatkowych jednostek towarów oraz o relatywnej wartości dóbr dla ich nabywców. Z tego powodu wszystkie ceny, wolne lub państwowe, muszą w każdym momencie i jak najściślej odzwierciedlać rynkowe warunki podaży i popytu. Państwo może chcieć wpływać na ilości konsumowanych i wytwarzanych dóbr. Istnieć mogą względy polityki społecznej uzasadniające wywieranie takiego alokacyjnego wpływu. Jednakże dla osiągnięcia tego celu państwo może i powinno oddziaływać na ceny tylko pośrednio, za pomocą podatków i dotacji zmieniając po-



daż i/tub popyt, podczas gdy same ceny byłyby nadal ustalane na poziomie równowagi podaży z popytem.

Po zniesieniu wszystkich dotacji cenowych dla producentów, głównym przedmiotem troski powinno być równoważenie podaży z popytem zamiast zrównywanie tych cen z cenami światowymi. Wszelako w przypadku niektórych ważnych artykułów zbywanych za granicę, jak na przykład podstawowe minerały i metale, konieczne byłoby ustalenie ich cen krajowych na poziomie zbliżonym do cen światowych.

Znaczne rezultaty w ograniczaniu stopnia inflacji można potencjalnie osiągnąć dzięki podwyższeniu wszystkich stóp procentowych, zwłaszcza od oszczędności prywatnych i kredytów konsumpcyjnych. Od 1980 roku realne stopy procentowe od oszczędności i od kredytów były ujemne, zachęcając ludność do pożyczania pieniędzy i do zakupów towarów (oraz, do niedawna, również dolarów). Znaczne podniesienie stóp procentowych zwiększyłyby stopę oszczędności oraz zmniejszyły stosunek pożądaných środków pieniężnych do rzeczowych, usuwając w ten sposób pewną część „gorącego pieniądza” z rynku konsumpcji. Możliwe i pożądane jest wykorzystanie oszczędności prywatnych w większym niż dotąd stopniu jako źródła funduszy inwestycyjnych dla przedsiębiorstw: cel ten zostałby częściowo spełniony przez podwyżkę stóp procentowych.

Pożyteczne byłoby dokonanie oceny potencjalnych skutków inflacyjnych proponowanego rozluźnienia cen, ze stopami procentowymi i kursami dewizowymi włącznie. Najważniejsze jednak są konsekwencje rozmaitych zmian cen krajowych dla kursu dewizowego, zwłaszcza oficjalnego, oraz wpływ wprowadzenia rynkowego kursu dewizowego na ceny krajowe.

Proponowałbym utrzymać oficjalny kurs wymienny (dolara i rubla) na niezmiennym obecnym poziomie w wyrażeniu realnym, przynajmniej początkowo, i pozwolić, by rynkowa cena złotówkowa dolara wchłonęła i odzwierciedliła wpływ wszystkich różnorodnych zmian cenowych i ilościowych. Przyjmijmy, że 35% dochodów dolarowych z eksportu, bądź 2 mld dolarów, zostałyby sprzedane bez ograniczeń w pierwszym roku programu oraz, że wolny kurs rynkowy wynosiłby 70 zł powyżej kursu oficjalnego. Eksporterzy zarobiliłby wówczas o 140 mld zł wię-

cej. Kwota ta stanowi w 1985 roku około 2% dochodu narodowego brutto. Owe 2% byłoby również bezpośrednim skutkiem inflacyjnym w pierwszym roku tej szczególnej reformy. Jeśli rynkowy kurs dewizowy okazałby się znacznie wyższy, powiedzmy 150 zł powyżej kursu oficjalnego, wówczas bezpośredni wpływ inflacyjny wyniósłby około 5%. Wpływ ten byłby więc stosunkowo niewielki. W pozostałych czterech latach programu pozostałby on nadal nieduży, wynosząc faktycznie około 1/7 wpływu z pierwszego roku.

### 5. *Trudny pieniądz*

Osiągnięcie rzeczywistego samofinansowania w przedsiębiorstwach zostało słusznie uznane przez rząd polski za decydujące o powodzeniu reformy. Tymczasem praktyka daleka jest od tej zadeklarowanej zasady. Rozważałem już niektóre z głównych zmian niezbędnych dla usunięcia tej niezgodności. Są to: po pierwsze, usunięcie państwowego ilościowego rozdzielnictwa nakładów i produktów oraz uelastycznienie cen artykułów i stóp procentowych; po drugie, stworzenie rynku dewizowego dla przedsiębiorstw, a po trzecie wyeliminowanie wszystkich negocjowanych dotacji i zwolnień podatkowych (według wyrobów bądź przedsiębiorstw). Pełne wprowadzenie tych zmian w ciągu następnych dwóch do trzech lat nie jest prawdopodobnie możliwe politycznie, a zapewne nie jest konieczne pod względem ekonomicznym. Jednakże bardzo istotny postęp w tym kierunku jest z pewnością niezbędnym warunkiem właściwego funkcjonowania zreformowanego systemu ekonomicznego.

Poziom dotacji w stosunku do wartości dodanej pozostał mniej więcej ten sam od czasu wprowadzenia reformy w roku 1982. Dotacje do przemysłu żywnościowego stanowiły w 1984 roku 22,4% wszystkich dotacji. Istnieć mogą ważne względy społeczne dla utrzymania tych specjalnych dotacji. Jednak niewielki sens ekonomiczny mają ceny węgla, energii i metali podstawowych, niższe od kosztów produkcji, a znacznie poniżej cen światowych. Podniesienie tych cen do poziomu światowego przekształciłoby przemysł węglowy w jedno z ważniejszych źró-

deł dochodów rządu, zmniejszyłoby dochody energochłonnych gałęzi przemysłu oraz zwiększyło relatywne ceny ich wyrobów.

Wszystkie te modyfikacje powinny z kolei przynieść, poza gospodarką paliwowo-energetyczną, korzystne zmiany w strukturze popytu i produkcji, w wyborze projektów inwestycyjnych oraz użyciu technologii produkcyjnych. Bez takiej zmiany Polska może zaznać w przyszłości kłopotów z utrzymaniem eksportu węgla na obecnym poziomie.

Wstrzymać należałoby również finansowanie długu rządowego poprzez kreację pieniądza. Natomiast główną metodą finansowania długu powinno się stać emitowanie obligacji przez władze centralne i lokalne. Celem tej zmiany jest zmniejszenie inflacji i tym samym zmniejszenie ujemnego wpływu FAZ na zainteresowanie obniżką kosztów.

#### *6. Działalność inwestycyjna, pośrednicy i mobilność środków*

Istnieją przekonujące dowody na poparcie tezy, że reforma była i jest nieskuteczna. Jednym z głównych jest to, że nie złamała ona tradycyjnej tendencji materiałochłonnej w wyborze projektów inwestycyjnych, technologii i produktów.

Czy proponowana przez nas reforma reformy byłaby pod tym względem skuteczna? W szczególności, czy możemy oczekiwać, że propozycje zmian relacji cen zmienią rachunek ekonomiczny w stopniu wystarczającym do znacznie szerszej rezygnacji ze szczególnie materiałochłonnych projektów inwestycyjnych, linii technologicznych i produktów?

Odpowiedź na te pytania zależy od dwóch czynników: po pierwsze, od szybkości wprowadzenia nowych cen węgla, energii i innych nakładów, a po drugie, od zdecydowania, z jakim rząd zaangażuje się w zamknięcie tych rodzajów produkcji, które konsekwentnie przynoszą straty. Można się spodziewać, że proponowana reforma cen zwiększy zróżnicowanie rentowności między przedsiębiorstwami, a być może zwiększy również zakres strat i ich globalne rozmiary, szczególnie jeśli nierentownym kierunkom produkcji i całym przedsiębiorstwom umożliwi się dalsze funkcjonowanie. Będzie to więc czas prawdziwej próby dla zasady samofinansowania. Przyjmując, że zasada ta próbę tę

przetruwa, oczekiwałbym, że stopniowo wyeliminowana zostanie znaczna część przemysłu stojąca technologicznie szczególnie energo- i materiałochłonna.

W rezultacie takiego chirurgicznego zabiegu mniej trzeba będzie inwestować w sektor produkujący materiały podstawowe dla celów krajowych, a zwiększyć będzie można ich eksport, bądź rozwinąć gałęzie przemysłu przetwarzającego te materiały. Obecna tendencja materiałochłonna jest tak wielka, że pożyteczne dla Polski skutki w zakresie przesunięcia inwestycji mogłyby być dość znaczne, zwłaszcza po przeprowadzeniu pełnej reformy cen.

Wadliwe wydają się także postanowienia obecnej reformy: zmierzające do zapewnienia przepływu finansowych środków inwestycyjnych między przedsiębiorstwami. W zasadzie banki powinny być pośrednikami w procesie przepływu środków finansowych z przedsiębiorstw nie dysponujących odpowiednimi możliwościami inwestycyjnymi do tych, które możliwości takie posiadają. Skuteczność tego procesu zależy jednak od stworzenia konkurencyjnego systemu bankowego, obejmującego co najmniej kilka niezależnych i samofinansujących się banków. Konkurencja między nimi zmierzałaby do zregulowania, że stopy procentowe zrównoważą odpowiednio rynek finansowy, potrącenia bankowe nie będą nienormalnie wysokie, a banki kierować się będą rentownością projektów inwestycyjnych, a nie decyzjami ministerialnych grup nacisku. Jednakże takim ustano- wiony zostanie odpowiedni stopień konkurencyjności, koszty obsługi bankowej musiałyby podlegać kontroli centralnej.

Mobilność środków można zwiększyć także przez obniżenie barier wejściowych. W tym celu przedsiębiorstwa powinny mieć prawo powoływania filii w swych własnych bądź wszystkich innych branżach przemysłu. Przedsiębiorstwa mogłyby mieć również prawo wypuszczania obligacji i lub akcji w celu przyciągnięcia oszczędności prywatnych i funduszy innych przedsiębiorstw. W pewnym momencie należałoby przeto utworzyć warszawską giełdę papierów wartościowych, choć kroku tego nie uważam za pierwszoplanowy.

Innym ważnym pośrednikiem w przepływie środków jest sektor obrotu hurtowego. Głównym zadaniem rządu w tym sekto-

rze jest zapewnienie skutecznego funkcjonowania rynków półfabrykatów. Obecnie w każdej branży przemysłu istnieje tylko jeden hurtownik, co czyni strukturę rynkową bardzo nieefektywną. Potrzebne są dwie zmiany. Jedną jest wyeliminowanie rozdzielnictwa ilościowego na rzecz cenowego dla niemal wszystkich półfabrykatów. Druga to ustanowienie kilku równoległych przedsiębiorstw hurtowych w każdej branży tak, by cena ich usług była kontrolowana przez wzajemną konkurencję. Celem tych dwóch zmian, z których pierwsza jest zasadnicza, a druga pożyteczna, jest stworzenie i utrzymanie odpowiednich rynków nakładów pośrednich (półfabrykatów). Istnienie takich rynków winno pomagać przedsiębiorstwom produkcyjnym w rozpoznawaniu popytu i obniżaniu własnych kosztów dystrybucji ich produktów, które to usługi mają szczególne znaczenie dla przedsiębiorstw małej skali i potencjalnych nowych producentów. Zanim takie rynki zostaną stworzone, powinny zostać zniesione wszystkie ograniczenia utrudniające lub uniemożliwiające przedsiębiorstwom produkcyjnym zaopatrywanie się bezpośrednio u wytwórców półfabrykatów i materiałów do produkcji.

### 7. Struktura rynku

Dotąd wspominałem jedynie o wysokiej koncentracji produkcji w wielu gałęziach polskiego przemysłu i o jej skutkach dla efektywności, ale nie formułowałem żadnych propozycji naprawy. Problem ten jest szczególnie poważny w przemyśle państwowym, gdzie w roku 1983 istniały tylko 2271 przedsiębiorstwa, o 46 mniej niż w 1982 roku. Przeciętne zatrudnienie w tych przedsiębiorstwach wynosi około 1800 pracowników. Kierując się doświadczeniem zachodnim, pożądane byłoby zwiększenie liczby państwowych przedsiębiorstw przemysłowych zatrudniających więcej niż 20 osób do około 10.000 bądź pięciokrotnie w stosunku do liczby obecnej. Nie jest to zadanie niemożliwe. Wiele przedsiębiorstw jest faktycznie zbiorem wyraźnie odrębnych jednostek, zwanych zakładami. W całym przemyśle uspołecznionym liczba zakładów dziesięciokrotnie przewyższa liczbę przedsiębiorstw (Józefiak, *Ż.G.*, 10 luty, 1985, tablica 2). W przeszłości planiści uważali za dogodne dla celów planowania i

nadzoru, aby zakłady były połączone w większe jednostki. Wysoka koncentracja cieszyła się także względami agresywnych dyrektorów przedsiębiorstw, bowiem skala przedsiębiorstwa niosła ze sobą status społeczny, korzyści finansowe oraz siłę przetargową wobec ministerstw.

Nowy system ekonomiczny wymaga, by zakłady ponownie stały się jednostkami podstawowymi, niezależnymi pod względem finansowania i zarządzania. Może być przeto celowe derażdzić rządowi, by utworzył „oddział specjalny” dla dokonania przeglądu organizacji wszystkich przedsiębiorstw państwowych, z zamiarem przeprowadzenia takiej dekoncentracji stopniowo w ciągu, powiedzmy, trzech do pięciu lat.

### 8. Nomenklatura

Nomenklatura partyjna jest systemem mianowania personelu kierowniczego przez odpowiednie komitety i egzekutywy partyjne. Jest więc ona zapewne najważniejszym instrumentem władzy partii. Wykazy stanowisk rezerwowanych dla rozmaitych komitetów i egzekutyw są zazwyczaj pilnie strzeżoną tajemnicą. Dzisiejsza Polska jest prawdopodobnie jedynym krajem RWPG, w którym temat ten może być otwarcie dyskutowany, chociaż dość niewiele w środkach masowego przekazu. Moim zdaniem, większość nominacji kierowniczych w gospodarce nadal podlega zatwierdzeniu przez komitety partyjne. Jest to problem bardzo drażliwy i nie jestem pewien, czy można tu cokolwiek sensownego zaproponować. Zgodnie z postanowieniami reformy, większość dyrekcji ma być mianowana przez rady robotnicze lub przez specjalnie powołane komisje nominacyjne, dla których decydującym kryterium miały być cechy zawodowe kandydatów. W 1983 roku podobno około 80% nowych nominacji na dyrektorów przedsiębiorstw dokonanych zostało lokalnie przez takie właśnie komitety o profesjonalnym nastawieniu (RRG-84, s.22). W każdym systemie jednopartyjnym, choć zapewne zwłaszcza wówczas, gdy partia jest komunistyczna i dominuje własność państwowa, nadmierna ingerencja polityczna jest prawdopodobnie nieunikniona. Wydaje mi się, że najlepszym sposobem obniżenia kosztów ekonomicznych tej ingerencji jest rzetelne wpro-

wadzenie zasad reformy gospodarczej. Reforma taka wzmocni rolę rynku, a ograniczy rolę biurokracji państwowej w faktycznych wynikach pracy dyrektorów oraz kierowanych przez nich przedsiębiorstw. W takich warunkach komisje nominacyjne, nawet te zdominowane przez aparat partyjny, będą promiowały fachowość raczej niż poglądy polityczne i dobre koneksje. Odpolitycznienie gospodarki na poziomie przedsiębiorstwa zostałoby więc wprowadzone drogą pośrednią. System polityczny uległby zakwestionowaniu, ale nie w sposób otwarty i prowokujący.

### 9. *Handel Polski z RWPG a reforma*

Dalszym pokrewnym problemem systemowym jest klin wbiły w proces reformy przez stosunkowo duże uzależnienie Polski od handlu z jej partnerami w RWPG. W szczególności, problem polega na tym, w jaki sposób rząd może zapewnić, by polscy producenci wywiązali się z zobowiązań eksportowych wobec socjalistycznych partnerów Polski bez jednoczesnego poważnego narażenia działań na rzecz centralizacji podejmowania decyzji.

Nie jest mi znane żadne poważne opracowanie na ten temat. Ze skąpych danych, jakie istnieją, wydawałoby się, że z pewnymi wyjątkami problem ten nie jest może bardzo poważny. Ogromna większość całego eksportu rublowego i dolarowego pochodzi jedynie z około 200 przedsiębiorstw. Wiele z nich zostało powołanych specjalnie w celu zaopatrywania rynku RWPG. Rynek krajowy jest dla nich zbyt mały, a rynki zachodnie zbyt kłopotliwe bądź nieodpowiednie. W negocjacjach handlowych z innymi krajami RWPG przedstawiciele rządu Polski przyjmują często rolę rzeczników tych przedsiębiorstw i dostawy, na jakie się zgadzają, są wtedy równoznaczne z ofertami przedsiębiorstw. Ciekawe, że pomimo niskiej ceny złotówkowej rubla transferowego – tylko połowa kursu wynikającego z oficjalnej relacji dolara do rubla – od 1982 r. rząd uznał za konieczne zdewaluować złotego wobec dolara znacznie bardziej niż w stosunku do rubla. A i tak rynki RWPG nadal wydają się wielu polskim producentom bardziej atrakcyjne od rynku dolarowego.

Jednakże względna atrakcyjność rynków RWPG może zostać w pewnym stopniu naruszona, jeśli zaproponowany rynkowy

kurs wymienny dolara okaże się znacznie wyższy od obecnego kursu oficjalnego. Dla sprostania temu problemowi rząd dysponuje pewną liczbą instrumentów. Po pierwsze, w przypadku „dobr wolnodewizowych”, które znalazłyby nabywców na Zachodzie po atrakcyjnych cenach, transakcje z partnerami RWPG mogą być zawierane w dolarach. Udział takich dolarowych transakcji jest już znaczny i będzie prawdopodobnie dalej wzrastał. Te dolary z RWPG, chociaż nierealne dla przedsiębiorstw, mogłyby być sprzedawane NBP po kursie oficjalnym. (Te dolary są w pełni realne w rozrachunkach międzyrządowych). Po drugie, rząd może użyć swych własnych środków, jak kredyty lub dotacje inwestycyjne, w celu ekwionienia danego producenta do dostaw dla partnera z RWPG tych produktów, których sprzedaż uzgodnił na własną rękę. Rząd może również dobrze wprowadzić rynek rublowy dla przedsiębiorstw, chociaż znaczenie tego posunięcia dla omawianego celu byłoby ograniczone ze względu na niedużą wymiennalność artykułów w ekonomicznej strefie RWPG. Wreszcie, rząd ma prawo narzucić przedsiębiorstwu określone zadanie i skompensować mu wszelkie koszty z nim związane. W roku 1983 zarejestrowano oficjalnie tylko 35 takich poleceń z łącznej liczby 358 nakazów (RRG-84, s. 7). Wszelako w roku 1983 nakazy *nieformalne* były najprawdopodobniej w szerokim użyciu.

#### 10. Inwestycje zagraniczne i prywatna działalność przemysłowa

W wielu nowo uprzemysłowionych krajach kapitalistycznych zagraniczny kapitał prywatny odegrał i nadal odgrywa ważną rolę w przenoszeniu nowoczesnych technologii i *know-how*; w rozwoju lokalnych kwalifikacji i eksporcie netto do głównych krajów rozwiniętych. Kraje wschodnioeuropejskie nie spieszyły się i wahały się skorzystać z wyboru takiej polityki. W zasadzie, przedsiębiorstwa mieszane dozwolone są nie tylko w Jugosławii i na Węgrzech, ale także w Bułgarii i Rumunii. W praktyce obecność ich we wszystkich tych krajach jest znikoma.

W Polsce kapitał zagraniczny jest obecny, ale samodzielnie może działać tylko w drobnej wytwórczości. Istnieje około 600 przedsiębiorstw zagranicznych, zwanych firmami polonijnymi.



Zatrudniają one około 45 tysięcy osób, co stanowi 1% całego zatrudnienia przemysłowego, ale wytwarzają 2% produkcji przemysłowej netto, a ich udział w eksporcie netto i substytucji importu również przewyższa udział w zatrudnieniu. Rząd najwyraźniej przygotowuje ustawę, która umożliwiłaby rozszerzenie eksperymentu poionijnego na całą gospodarkę („Oswajanie kapitału”, *Polityka*, Eksport-Import, marzec 1985, s.13). Wobec politycznego ryzyka i ekonomicznych ograniczeń wydaje się nieprawdopodobne, by Polska mogła przyciągnąć kapitał zagraniczny wystarczający dla istotnej zmiany jej ogólnej sytuacji gospodarczej. Ale pole do poprawy jest tak wielkie, że nawet zmiana z obecnego poziomu 1% zatrudnienia przemysłowego na, powiedzmy, 5% miałaby prawdopodobnie zauważalny, długofalowy wpływ na bilans handlowy w walutach wymienialnych oraz na rozpowszechnienie postaw przedsiębiorczości i wzrost konkurencyjności rynków.

Bardzo ważną rolę ekonomiczną może potencjalnie odegrać także rodzima prywatna działalność nierolnicza. Z końcem 1984 roku w działalność tę zaangażowanych było 663 000 osób pracujących w 315 000 zakładów (*Ż.G.*, 12 maj. 1985, s. 3). Rozwój tych prywatnych zakładów jest obecnie poważnie zahamowany przez trudności rejestracyjne, ograniczone przydziały centralnie przyznawanych nakładów oraz przez silnie progresywny podatek dochodowy (maksymalna stopa podatkowa wynosi 80%; stosuje się ona do dochodów przewyższających rocznie 4 mln zł lub około 25 000 dolarów). Prywatna działalność gospodarcza narażona jest również na ryzyko nagłych, niekorzystnych zmian w polityce. Pomimo tych trudności, ograniczeń i ryzyka, sektor ten wytwarza wysoki dochód netto i prawdopodobnie jest głównym w Polsce posiadaczem oszczędności przymusowych i konsumentem dóbr luksusowych. Złagodzenie rejestracji oraz ograniczeń przydziałowyci i fiskalnych spowodowałoby wykorzystanie części tych oszczędności na inwestycje produkcyjne i na rozszerzenie produkcji właściwą drogą, czyniąc z nierolniczego sektora prywatnego liczącego się dostawcą dewiz, ważnego dostawcą dóbr i usług dla sektora rolnego oraz pożytecznego konkurenta niektórych działów gospodarki państwowej.

## 11. Działalność rolnicza

Łączna produkcja rolna netto podwoiła się w ciągu dwudziestu lat (1953-1973), lecz następnie pozostała w stagnacji, wahając się w latach 1973-1985 od niskiego poziomu 133,4 w roku 1982 do wysokiego 159,1 w 1978 (przy poziomie średniorocznym 1961-65 = 100). W wyrażeniu na 1 mieszkańca produkcja rolna netto (produkcja rolna globalna pomniejszona o nakłady rolnicze) wzrosła w okresie 1950-1973 o 46%, czyli o 1,7% rocznie, ale w latach 1973-1983 spadła o 11,1% to znaczy o 1,1% rocznie. W okresie 1981-1984 produkcja na 1 osobę była w rezultacie tylko o 18% wyższa niż w latach 1961-65 i tylko o 30% przewyższała poziom z roku 1950. W celu zwiększenia konsumpcji żywności na 1 mieszkańca w latach siedemdziesiątych rząd wyeliminował eksport netto produktów żywnościowych do krajów niesocjalistycznych, a od roku 1976 zapoczątkował import netto. W rezultacie, w latach 1977-1981 Polska stała się znacznym importerem netto żywności, który to import netto osiągnął 1 373 milionów dolarów w 1981 roku. Import ten został zredukowany do 394 milionów dolarów w 1982 r., a od 1983 roku Polska ponownie stała się eksporterem netto żywności, choć jak dotąd na skromną skalę (66 milionów dolarów w 1983 i 90 milionów w 1984 r.). Ten zwrot w polityce handlu zagranicznego w połączeniu ze spadającą krajową produkcją na 1 mieszkańca, istotnie ograniczył krajową konsumpcję żywności począwszy od roku 1979. W latach 1980-84 konsumpcja na 1 mieszkańca była faktycznie o około 20% niższa w porównaniu z latami 1978-79.

Rolnictwo polskie może stać się głównym źródłem nadwyżki dewizowej w bilansie handlowym Polski. Jedną z możliwych dróg zwiększenia eksportu netto byłoby utrzymanie krajowego spożycia żywności na 1 mieszkańca na obecnym, obniżonym poziomie oraz próba zwiększenia produkcji krajowej w tempie wyższym niż tempo wzrostu ludności, które wynosi obecnie 0,9%. Prognoza *PlanEcon* przewiduje możliwości wzrostu eksportu netto żywności do krajów niesocjalistycznych następująco:

Rok	1986	1987	1988	1989	1990
w mln dolarów	249	360	505	735	983

Źródło: J. Vanous and C. Movit (31 maj, 1988).

Dane dotyczące eksportu netto w innych latach pochodzą z tego samego źródła.

Liczby te nie muszą być nierealne, zwłaszcza jeśli zmodyfikowana zostanie polityka rolna rządu. Jednym z możliwych źródeł korzyści produkcyjnych byłoby wyeliminowanie wszystkich przywilejów fiskalnych i zaopatrzeniowych, którymi dysponują wszystkie nieindywidualne gospodarstwa rolne. Likwidacja tych przywilejów wymagalaby zamknięcia deficytowych państwowych gospodarstw rolnych i oznaczałaby sprzedaż ziemi państwowej oferującym najwyższą stawkę w sektorze prywatnym lub państwowym. Krok ten zwiększyłby zaufanie i bezpieczeństwo prywatnego rolnika, skłaniając go do obniżenia ryzyka kolektywizacji w swych długofalowych decyzjach inwestycyjnych. Innym potencjalnie ważnym kandydatem do modyfikacji jest rola nierolniczego sektora prywatnego w obsłudze prywatnych producentów rolnych. Jeśli rząd postanowi zrezygnować ze swej motywowanej ideologicznie, karzącej polityce administracyjnej i fiskalnej wobec przedsiębiorców prywatnych, istnieje znaczne prawdopodobieństwo, że w dużych ilościach powstaną dobrze wyposażone warsztaty i drobne jednostki wytwórcze obsługujące urządzenia i maszyny prywatnych rolników.

Zmiany w obecnej polityce rolnej powinny przynieść znaczne rezultaty, zwłaszcza jeśli nastąpi istotna poprawa dostaw przemysłowych dla rolników indywidualnych. Istnieje jednak pewna liczba czynników, które przy każdej polityce utrudnią zadanie zwiększenia produkcji rolnej w Polsce. Główne z nich wiążą się ze słabym przepływem środków od rolników niewydajnych do przedsiębiorczych, a posiadających wiedzę i motywacje. Ogólna liczba gospodarstw jest duża i będzie musiała pozostać duża z oczywistych przyczyn społecznych. Inne czynniki dotyczą niszczących efektów zewnętrznych uprzemysłowienia: obniżenia poziomu wód gruntowych, zmniejszania się arealu ziem upraw-

nych, zanieczyszczenia gleby, wody i powietrza. Nie widać rychłych perspektyw dostrożalnej poprawy w żadnej z tych kwestii.

W porównaniu z prawdopodobną stagnacją wielkości, a nawet wartości eksportu surowców za waluty wymiennalnic, sprzedaż bezpośrednio spożywalnych produktów rolnych oraz żywności przetworzonej stanowi bardziej obiecujący teren ekspansji. Dobrym sposobem jej realizacji byłoby podniesienie jakości i rozszerzenie zdolności przemysłu przetwórstwa żywności oraz zmniejszenie bardzo wysokich strat żywności ponoszonych obecnie w rozmaitych fazach transportu, produkcji i magazynowania. Projekty inwestycyjne w przemyśle żywnościowym są zazwyczaj na niewielką skalę, o krótkich okresach realizacji i wysokiej rentowności. Projekty te mogą również przyciągnąć kapitał zagraniczny łatwiej niż projekty większe i bardziej ryzykowne. Istnieje przeto potencjał, który uczynić może z Polski dostawcę przetworzonych artykułów żywnościowych, a może także i owocowych, do rozwiniętych krajów zachodnioeuropejskich w stopniu większym niż obecnie. Pożądane może okazać się dla Polski zbadanie, w jakim zakresie polityka EWG stanowiłaby przeszkodę w wykorzystaniu tego potencjału.

### CZEŚĆ C. PROBLEMY REALIZACJI I ASPEKTY POLITYCZNE

#### *1. Potencjalne problemy realizacji proponowanych reform*

Uzyskanie zgody rządu polskiego na przeprowadzenie powyższych i powiązanych z nimi reform oraz trwałe jego zaangażowanie w ich realizację nie będzie rzeczą prostą. Jeden z możliwych scenariuszy związany z rolą MFW został już zarysowany przez Jana Vanousa, doświadczonego eksperta od spraw Europy wschodniej. Warto przytoczyć jego ocenę w całości:

„Międzynarodowy Fundusz Walutowy stanie prawdopodobnie na stanowisku, iż w celu uzyskania dużej pożyczki rząd polski będzie musiał zgodzić się na pakiet raczej nie-

popularnych kroków dostosowawczych, zawierający między innymi kolejne podwyżki cen detalicznych, wyeliminowanie rozmaitych dotacji, zahamowanie konsumpcji i inwestycji, dalszą dewaluację złotego, zwiększenie eksportu itd. Oficjalne stanowisko polskie będzie zapewne głosić, że liczne z tych kroków zostały już zrealizowane w latach 1982-84 i że Polska w tym momencie nie jest w stanie znieść polityki dalszych oszczędności (ze względów politycznych). Najprawdopodobniej rząd polski zgodzi się najpierw na niektóre twarde warunki MFW, a następnie zobaczy, czy uda mu się uniknąć dokonania posunięć w obiecany stopniu.

Naszym zdaniem, w ciągu kilku miesięcy po wstąpieniu do MFW rząd polski znajdzie się w konflikcie z linią uzgodnioną z MFW. Co więcej, podczas gdy w przeszłości wielu przedstawicieli polskiego rządu twierdziło, że członkostwo w MFW faktycznie umożliwi Polsce realizację pewnych politycznie niepopularnych środków ekonomicznych dzięki zdjęciu z rządu odium tych posunięć wobec niezadowolonej ludności, ich stanowisko zmieni się zapewne w sytuacji kryzysowej. Polskie związki zawodowe – czy to oparte o «Solidarność», czy też nowe związki oficjalne – wypowiedziały się zdecydowanie negatywnie o większości posunięć, jakie prawdopodobnie zaleci MFW; najświeższym przykładem tej postawy było ich *veto* wobec kolejnej rundy znacznych podwyżek cen konsumpcyjnych. Przy jakimkolwiek odkryciu kart znaczna część polskich polityków zapewne odmówiłaby instynktownie wprowadzenia tych środków z powodu ich niepopularności, a to w interesie swego własnego politycznego przetrwania. Jest to dodatkowa przyczyna, dla której wątpimy, by MFW mógł w sposób zasadniczy przyczynić się do wzmocnienia polskiej gospodarki i nadania jej rozmachu.

Nie oznacza to, że polski kryzys gospodarczy jest nierozwiązywalny. Problem tkwi w tym, że prawdziwie realne rozwiązania wymagałyby tego rodzaju wyobraźni, której brak polskiemu kierownictwu politycznemu, oraz podjęcia takiego ryzyka politycznego, do jakiego większość polityków komunistycznych czuje odrazę. W chwili obecnej trudności w

Polisce nie są jeszcze takie. by kierownictwo polityczne kraju rozważało połączenie polityki znacznej liberalizacji politycznej (z pewnymi formami przywrócenia wolnych lecz apolitycznych związków zawodowych) z poparciem dla drobnych i średnich przedsiębiorstw prywatnych, eksportem siły roboczej na Zachód oraz poważnymi reformami gospodarczymi w sektorze państwowym wraz ze zdecydowaną polityką płac i cen, nastawioną na przywrócenie równowagi pieniężnej w Polsce. Tymczasem bez tych posunięć trudno wyobrazić sobie, jak odnowa gospodarcza w Polsce mogłaby się utrzymać bez dalszego wzrostu zadłużenia" (27 luty, 1985, ss. 4-5).

Ta krytyczna ocena wydaje mi się realistyczna.

Plan gospodarczy rządu na lata 1986-90, jak już wspomniałem, zasadza się na uzyskaniu niezwykle szybkiej poprawy pewnej liczby podstawowych wskaźników efektywności i eksportu. Według oceny rządu, wyprodukowanie jednostki planowanego dochodu narodowego będzie wymagało w 1990 roku o 6,1% do 10,3% mniejszych nakładów materiałowych, 8,1% do 12,3% mniej energii, 16% do 21,5% mniej czasu pracy oraz 1,4% do 4,9% mniej środków trwałych (Gorywoda, maj 1985). Pierwsze z tych dwóch zadań wydaje się szczególnie wymagające. Ze strony zachodnich kredytodawców roztropnie byłoby zapytać o szczegółowy program osiągnięcia tych celów, zwłaszcza iż rząd nie wydaje się rozważać dalszego wysiłku w dziedzinie reformy. Szczególnie interesujące byłyby przesłanki dla 11%-ego rocznego wzrostu eksportu maszynowego. Przypomnijmy, że eksport ten do strefy dolarowej spadł o 3,4% w 1983 roku, o 2,3% w 1984, a szacunki za rok 1985 są równie mizerne. Jeśli zadania te są i okażą się wykonalne, rząd nie będzie zapewne skłonny myśleć o pójściu drogą jakichkolwiek zewnętrznych sugestii w sprawie reformy. Nie będzie także nieodpartej potrzeby, aby zachodni kredytodawcy czy międzynarodowe instytucje finansowe próbowali zmienić stanowisko rządu.

Przyjmijmy jednak, że zadania te, jak sądzę, nie są realne. W szczególności założmy, że eksport maszynowy na rynki dolarowe pozostanie w zastoju bądź będzie rósł powoli. Co więcej, przypuśćmy, że światowe ceny energii w dolarach USA nadal będą

spadać, tym bardziej w walutach zachodnioeuropejskich. W takim przypadku wielkość eksportu za waluty wymienialne może niewiele wzrosnąć i, co więcej, Polska poniesie straty wynikające z pogorszenia się *terms of trade*. Początkową reakcją rządu na te niekorzystne zjawiska może być zamrożenie wielkości importu wolnodewizowego w celu ochrony nadwyżki bilansu handlowego. Wybór ten jednak uczyniłby zupełnie nierealnymi zadania dotyczące produkcji krajowej, inwestycji i konsumpcji, i tak przecież skromne według kryteriów trzydziestolecia 1950-1980. Możliwość ta z kolei wywołałaby silną presję polityczną na reakcję alternatywną: zmniejszenie dolarowej nadwyżki handlowej. Tymczasem wzrosłyby napięcia popytowo-podażowe w gospodarce, kusząc planistów pozbyciem się obecnego pośredniego planowania centralnego i w coraz większym stopniu użyciem bezpośrednich środków administracyjnych. Celem proponowanego zbadania planu rządowego winno być ustalenie prawdopodobieństwa tak zarysowanego scenariusza, bądź doń zbliżonego.

W nieprawdopodobnym przypadku, gdyby rząd z własnej woli lub przynaglany przez zachodnich kredytodawców lub międzynarodowe instytucje finansowe postanowił wprowadzić serię posunięć reformatorskich w celu urealnienia zadań eksportowych i efektywnościowych, zaistniałaby potrzeba zbadania ich możliwych skutków ujemnych. Być może najważniejszą konsekwencją negatywną byłoby wzrost tempa jawnej inflacji oraz czasowy spadek siły nabywczej nagromadzonych oszczędności i dochodów bieżących. Utrzymanie zmodyfikowanego podatku FAZ oraz okoliczność, że związki zawodowe oraz negocjacje płacowe są specyficzne dla każdego przedsiębiorstwa, powinny utrzymać w ryzach tempo wzrostu płac nominalnych. Jednakże wzrost cen wielu minerałów, zlikwidowanie niektórych dotacji, dewaluacja złotego oraz szerokie zastosowanie zasady, że ceny muszą być cenami równowagi, musiałyby spowodować znaczny wzrost wskaźnika cen, być może nawet o 15% rocznie ponad obecne tempo wzrostu, zwiększając stopę inflacji do około 25-30% rocznie przez okres około trzech lat. Innym możliwym skutkiem ujemnym jest pojawienie się pewnego bezrobocia, wymagającego wprowadzenia zasiłków dla bezrobotnych. Wszelako w tym momencie istnieje wciąż silny, nadmierny popyt na

siłę roboczą i przeto nie spodziewałbym się, aby w krótkim, czy nawet w dłuższym czasie, bezrobocie stało się poważnym problemem społecznym. Natomiast pewien wzrost liczby osób poszukujących (nowego) zatrudnienia byłby pożądany.

## 2. Krajowe i światowe aspekty polityczne

Współzależności między czynnikami ekonomicznymi i politycznymi odgrywają zazwyczaj decydującą rolę w zmianach instytucjonalnych i wyborach politycznych w każdym systemie ekonomicznym. Współzależności te w konkretnym przypadku Polski są przeto zagadnieniem ważnym i odrębnym. Dotknęliśmy go już w tym raporcie kilkakrotnie. Wprowadzić systematyczne i wyczerpujące potraktowanie tej kwestii nie jest zapewne konieczne dla naszych ograniczonych celów, lecz wybrane aspekty zasługują na bliższą uwagę.

W stopniu, w jakim podejmowanie decyzji ekonomicznych jest ważną formą władzy politycznej, urynkowienie każdej gospodarki typu sowieckiego stanowi przejaw ćwiczenia z samoograniczania się politycznej dyktatury. Ograniczenie narzucone sobie przez najwyższą partynio-państwową grupę komunistycznej nomenklatury ma dwojaki charakter. Pierwszym jest widoczna gołym okiem decentralizacja władzy dotyczącej codziennych decyzji ekonomicznych. Drugim – bardziej subtelna forma zwiększenia roli rynku, oznaczająca zazwyczaj wzmocnioną rolę preferencji indywidualnych konsumentów w alokacji środków oraz odpowiednio zmniejszoną rolę preferencji najwyższej elity władzy. Oba ograniczenia oznaczają przeto przesunięcie władzy z najwyższych i średnich szczebli podejmowania decyzji do rąk dyrektorów przedsiębiorstw (z radami pracowniczymi włącznie) oraz konsumentów indywidualnych. Najwyższe kierownictwo może być gotowe do zaakceptowania takiej utraty władzy jedynie w okresie kryzysu (Polska 1956, 1971, 1980-81, Czechosłowacja 1967-68) lub w celu uniknięcia kryzysów i ich powtórzeń (Węgry 1968, Chiny 1978-84). Istnieje również teza, popularna w Polsce okresu 1980-81 po chaosie końcowych lat siedemdziesiątych, że w wysoce scentralizowanym systemie ekonomicznym linie komunikacji nie funkcjonują, a polityko-planisci w każdym



razie nie sprawują realnej kontroli. Tak więc decentralizacja poprzez rynek jest sposobem odzyskania skutecznej kontroli nad „wielkimi” decyzjami, a „drobne” w każdym razie znajdują się poza kontrolą centralną. Występuje tu pewna analogia z decyzją General Motors zdecentralizowania swej centralnej, ciężkiej organizacji w latach dwudziestych, przez wyznaczenie kompetentnych dyrektorów rozmaitych oddziałów. Można zatem uważać, że na skutek tej decyzji władza centrum korporacji wzmocniła się, a dodatkowym zyskiem korporacji była poprawa wyników ekonomicznych. Nie jestem pewien, jak wielką wagę komunistyczni przywódcy Polski przywiązują do takiego rozumowania w roku 1985, kiedy twierdzi się, że nadmierna centralizacja lat siedemdziesiątych została już wyeliminowana. W socjalizmie typu sowieckiego menedżerowie i konsumenci nie posiadają własnej reprezentacji politycznej dla wyrażania i obrony swych interesów wówczas, gdy stają one w konflikcie z interesami centrum. Oni sami i ich niedawno uzyskane korzyści w Polsce i na Węgrzech nadal znajdują się na łasce opinii i interesów najwyższego kierownictwa partii komunistycznej. Co więcej, kierownictwo to często uznaje instrumenty planowania parametrycznego za nieskuteczne w krótkim czasie, stąd też ulega pokusie zlekceważenia nałożonych sobie ograniczeń. Zazwyczaj w rok lub w kilka lat po reformie pojawiają się ponownie tendencje centralizacyjne. (Jedynym wyjątkiem od tej zasady jest jak dotąd Jugosławia, gdzie polityczna konfrontacja z ZSRR i na szeroką skalę handel z zachodnimi krajami o gospodarce rynkowej wymuszały pewien stopień rozszerzenia władzy). Węgry stanowią pouczającą ilustrację w tej sprawie. Niedawno dokonana analiza daje następujący opis:

„Pięć lat po 1968 roku były złotym okresem nowego mechanizmu ekonomicznego. Gospodarka rosła w dobrym tempie, brak było jawnego bezrobocia, ceny były stosunkowo stałe, a bilans płatniczy w równowadze. Tymczasem począwszy od 1972 roku łączny wpływ wydarzeń krajowych i międzynarodowych spowodował wstrzymanie dalszej realizacji NME. Wprawdzie jego zasady nie zostały formalnie zarzucone, ale koncentracja gospodarcza oraz ingerencja centralna i administracyjna znacznie wzrosły w następnej fazie węgierskiej polityki gospodarczej, będącej *okresem złudzeń*.”

Jednym z fascynujących paradoksów podejmowania decyzji ekonomicznych było to, że przejściowe osiągnięcia *złotego okresu* NME pomogły ukształtować „politykę złudzeń” lat siedemdziesiątych. W tym okresie węgierscy politycy sądzili, że gospodarkę można odizolować od wstrząsów zewnętrznych (pierwsze złudzenie), że najlepszą polityką jest przyspieszenie tempa wzrostu (drugie złudzenie), a najlepszym sposobem dokonania tego jest powrót do tradycyjnego, scentralizowanego typu inwestowania i polityki handlowej (złudzenie trzecie) oraz, że właściwym krokiem jest wstrzymanie, a w niektórych dziedzinach odwrócenie poprzednich reform systemowych (złudzenie czwarte)” (E. Comisso i P. Marer, 1985).

Kryzys bilansu płatniczego w późnych latach siedemdziesiątych, a zwłaszcza w pierwszej połowie 1982 roku, ponownie przekonał przywódców węgierskich, iż w pewnym stopniu należy powrócić do pierwotnych zasad reformy.

Nie jest całkiem jasne, w jakim punkcie znajduje się obecnie Polska. Kierownictwo polityczne w swych publicznych wystąpieniach nadal wydaje się bardzo oddane reformie. Jednocześnie istnieć musi silny opór wobec (radikalnej) reformy wśród niektórych wpływowych części tego kierownictwa, bowiem realizacja reformy została wstrzymana w punkcie, w którym pierwotne jej zasady są dalekie od pełnego wprowadzenia w życie. Plan pięcioletni 1986-90 wymaga bardziej uważnego przestudiowania. Przy pierwszym czytaniu budzi on wrażenie, że Polska właśnie wkracza w okres złudzeń. Wspomniałem już poprzednio, że napięty plan, jakim ten właśnie się wydaje, może wzmocnić tendencje do ponownej centralizacji. Skądinąd, trwające nadal mierne wyniki polskiej gospodarki oraz potrzeba poprawy dolarowego bilansu płatniczego i krajowej konsumpcji poprzez zwiększoną efektywność są czynnikami, które tendencję tę mogą powstrzymywać. Wcale jednak nie jest oczywiste, czy owe czynniki są dostatecznie silne, by kierownictwo pozostało wiernie pierwotnemu programowi reformy, a przeto by okazało się podatne na jakiegokolwiek reformatorskie propozycje zachodnich kredytodawców lub międzynarodowych instytucji finansowych.

Stanisław Gomułka

## BIBLIOGRAFIA

- Comisso, E. and Mater, P., „Explaining Economic Strategy in Hungary”, *International Organisation*, w druku 1986.
- Crane, K., *The Credit Worthiness of Eastern Europe in 1980s*. Rand, Santa Monica, 1985.
- Rada Gospodarcza, „Sytuacja ekonomiczna w 1984 r.”, *Życie Gospodarcze*, 24 marzec 1985.
- Główny Urząd Statystyczny, „Komunikat o społecznych i gospodarczych wynikach w 1984 roku”. Opublikowany w polskiej prasie z 4 lutego 1985.
- Gomułka, S., *Growth, Innovation and Reform in Eastern Europe*. University of Wisconsin Press and Weatsheaf Books, 1986.
- Gomułka, S. and Rostowski, J., *The Reformed Polish Economic System*, *Soviet Studies*, nr 3, lipiec 1984.
- Gorywoda, M., Narodowe plany gospodarcze na rok 1986 i 1986-90: przemówienie sejmowe przewodniczącego Komisji Planowania. *Życie Gospodarcze*, 19 maj 1985, s. 8-9.
- Józefiak C., „Bilans okresu przejściowego. cz. 1: Ceny, reglamentacja, płace”, *Życie Gospodarcze (Ż.G.)*, 27 stycznia 1985, cz. 2: „Struktura i funkcje administracji centralnej”, 3 luty 1985, cz. 3: „Struktura rynkowa a zachowanie przedsiębiorstw”, *Ż.G.*, 10 luty 1985.
- Józefiak, C., *Wynogi i skutki zasady samofinansowania*, Polskie Towarzystwo Ekonomiczne, czerwiec 1985.
- Józefiak, C., „Investment decisions under Polish reformed economic system”, mat. powielony, bez daty.
- Kowalska, M., „Zmiany w opodatkowaniu sektora prywatnego”. *Ż.G.*, 12 maj 1985, s. 3.
- Sieć organizacji „Solidarności” przedsiębiorstw wiodących. Stanowisko w sprawie społecznej i gospodarczej reformy kraju. *Solidarność* 29/59/81, numer specjalny, Gdańsk, 5 wrzesień 1981.
- Płowiec, U., „Zadłużenie a reforma gospodarcza”, *Ż.G.*, 24 marzec 1985, s. 11.
- Poznański, K., „Competition Between Eastern Europe and Developing Countries in the Western Market for Manufactured Goods”. *Eastern European Economies: Slowdown in the 1980s.*, vol. 2, Joint Economic Committee of the US Congress, w druku.
- RRG-84, Raport o reformie gospodarczej, zaakceptowany przez Radę Ministrów na posiedzeniu w dniu 22 czerwca 1984. *Rzeczpospolita*, Warszawa, sierpień 1985.
- Sulimierski, B., „Polski dług: światło w tunelu”, *Polityka (Eksport-Import)*, 23 luty 1985.

- Vanous, J., „Polish Economic Performance in 1984: Continued Modest Recovery”, Washington: PlanEcon, Inc., mat. powielony, 27 luty 1985.
- Vanous, J. and Movit, C., „Polish Hard-Currency Trade, Balance of Payments and External Debt, 1980-90”, Washington: PlanEcon, Inc., mat. powielony, 31 maj 1985.
- Wojciechowska, U., „Państwowy system finansowy: krytyka z punktu widzenia zwolennika”, *Polityka*, 18 maj 1985, s. 5.
- Wojciechowska, U., „Reforma gospodarcza w 1984 roku: Podsumowanie wniosków Instytutu Gospodarki Narodowej”, *Ż.G.*, 10 marzec 1985, s. 5.
- The Wharton World Model Service Assumptions about international economic developments during 1985-90. mat. powielony, kwiecień 1985 (WWMS).

NAKŁADEM ANEKSU  
**ANDRZEJ WALICKI**

**SPOTKANIA Z MIŁOSZEM**

Str. 200

Cena: £ 4,00; US\$ 10,00

**Cornelius Castoriadis**

**W OBLICZU WOJNY**

analiza natury systemu sowieckiego

Naga siła stała się głównym instrumentem sprawowania władzy i celem samym w sobie.

Str. 94 + VIII

Cena: £3,00; US\$7,00

**Tadeusz Konwicki**

**RZĘKA PODZIEMNA,  
 PODZIEMNE PTAKI**

Powieść o stanie wojennym.

„Wracam z nadzieją i wita mnie jeszcze raz płacz i zgrzytanie zębów... Jeszcze przed nami straszna wieczność...”

Str. 216

Cena: £4,00; US\$10,00

## polemiki

Grzegorz Bakuniak

### „SENS LUDZKIEGO DOŚWIADCZENIA”, CZYLI PAMIĘĆ LUDZKA JEST FIGLARNA

Po przeczytaniu artykułu Ireneusza Krzemińskiego: „Solidarność – Sens ludzkiego doświadczenia” (Aneks 40) sięgnąłem ponownie po dwie książki: *Filozofię i myśl społeczną Jana Pawła II*<sup>1</sup> – zbiorową pracę religioznawców z Instytutu Filozofii i Socjologii PAN i *Polaków – Jesień 80*<sup>2</sup> – raport z przeprowadzonego na przełomie 1980 i 1981 roku socjologicznego badania działaczy „Solidarności”, którego, obok Krzemińskiego, jestem jednym ze współautorów.

„Pamięć ludzka jest figlarna” – przestrzega w tej książce autor „Sensu ludzkiego doświadczenia”, wskazując na proces „wyglądania” przeżytych doświadczeń przez badanych działaczy związkowych. Tym razem sam autor przestrogi nie ustrzegł się przed zgubnym wpływem czasu na pamięć. We wspomnianej na wstępie rozprawie, analizowane postawy i style myślenia członków ruchu ukazane są w całym skomplikowaniu wynikającym z bogactwa doświadczeń i tradycji ideowych. W pracy „Sens ludzkiego doświadczenia” przedstawiony został czytelnikowi obraz już wyglądzony, by nie powiedzieć wyidealizowany, zniknęły konflikty ideowe, z natury rzeczy obecne w demokratycznym ruchu. Można powiedzieć na obronę autora, że chciał pokazać najogólniejszą strukturę myślenia społecznego, niemniej pozostawiając

staje wrażenie, że „Solidarność” Krzemińskiego z 1986 roku to nie ten sam ruch, co badany przed kilku laty. Oczywiście Krzemiński nie myli faktów. Rzecz idzie raczej o ich interpretację i selekcję.

Interesuje go „analiza społecznie używanych kategorii i sposobów myślenia ludzi”, a środki, jakimi się posługuje, należą do teoretycznego wyposażenia „socjologii rozumiejącej”. Przedstawiona propozycja jest próbą teoretycznego stypologizowania interesującego autora fenomenu.

Sytuację „socjologa rozumiejącego” cechuje jednak nierozwiązywalny paradoks. Z jednej strony „musi ująć proces społeczny z punktu widzenia aktorów tego procesu. Musi zatem spoglądać «od wewnątrz», żeby móc ująć całość ludzkiego doświadczenia”<sup>3</sup>. Jest to jeden z elementów programu „gorącej socjologii”<sup>4</sup> Krzemińskiego. Z drugiej jednak strony, by utrzymać się w kanonach myślenia naukowego, musi intelektualnie znajdować się „poza” badaną sytuacją w roli naukowego, bezstronnego obserwatora<sup>5</sup>. Oba te warunki stanowią razem niespełnialny postulat oddzielenia emocji od intelektu, z czego zresztą Krzemiński zdaje sobie sprawę przypominając, że „coś ważnego i aktualnego powiedział nam Freud o nas samych”.

To jednak nie tylko „wysoka temperatura” wywołu sprawia, że zaprezentowana konstrukcja teoretyczna przestaje być adekwatna do wyjaśnianych faktów społecznych. Jej podstawową wadą jest ahistoryzm, a przecież, jak pisał Alfred Schütz, „nie można zrozumieć obiektu kulturowego bez odwołania się do ludzkiej aktywności, która go zrodziła”. „Solidarność” Krzemińskiego jest ruchem bez historii i takie ujęcie umożliwia mu dogodne komponowanie różnych elementów samoświadomości ruchu.

Wywód autora charakteryzuje zasadnicza niespójność. Początkowa część tekstu sprawia wrażenie dowodu na to, że ruch „Solidarności” nie mieścił się w tradycyjnie używanych w naukach politycznych kategoriach. Przekonanie o słuszności tej tezy wydaje się być powszechne, wskazywano już na to wcześniej. Leszek Kołakowski w „Próbie zrozumienia” (*Aneks* 26) stawia podobne jak Krzemiński pytania: Czy „Solidarność” była ruchem demokratycznym, narodowym, religijnym, syndykalnym,

czy wreszcie ruchem walki klasowej? Czy jej program był programem ewolucji czy rewolucji? by dojść w końcu do wniosku: „Wszystkie te określenia dają się przy pewnych rozciągnięciach znaczeniowych użyć, ale żadne nie jest całkiem zadowolające”. Nie dowód więc na wyjątkowość fenomenu „Solidarności” określa w moim odczuciu wagę artykułu: „«Solidarność» – sens ludzkiego doświadczenia”. Centralny problem leży gdzie indziej.

Jakby zapominając o swojej początkowej tezie, dowodzi Krzemiński w drugiej części tekstu, że „Solidarność”, odrzucając idee socjalistyczne, była w swojej istocie ruchem wywodzącym swą ideową tożsamość ze społecznej nauki Kościoła. Dwa elementy w solidarnościowej wizji nowego ładu społecznego, mają zasadnicze znaczenie. Z jednej strony – jednostka-obywatel pojmowana jako moralny podmiot, z drugiej – wspólnota obywateli, jak pisze Krzemiński: „węzeł wiążący prawa i interesy jednostki z interesami i prawami innych w kategorii «dobra wspólnego»”.

Jest to teza według mnie trafna i wyniki badania *Polacy — Jesień 80* w pełni ją potwierdzają<sup>6</sup>. Wątpliwości natomiast budzi twierdzenie, że „dla większości uczestników ruchu społecznego «objektywny porządek wartości» (...) nieodłącznie wiązał się z Bogiem i z obecnością Chrystusa, zatem z religią i Kościołem jako żywą formą duchową”. Zjawiska powstania specyficznej utopii społecznej wewnątrz ruchu nie można bowiem po prostu sprowadzić do nagłego odkrycia transcendentnych wartości głoszonych przez Kościół, a w szczególności przez Jana Pawła II. Wydaje się, że Krzemiński, zafascynowany myślą społeczną Jana Pawła II, zapomniał o całej historii powojennego oporu przeciwko dominacji partii-państwa nad społeczeństwem. Filozofia społeczna „Solidarności” tylko po części była odbiciem społecznych koncepcji Kościoła, bo też i nauka Kościoła stanowiła w historii PRL tylko jeden z nurtów sprzeciwu wobec społecznej praktyki partii-państwa.

Jeśli porównamy obie wymienione na wstępie prace z omawianym artykułem, to okaże się, że przypisywany członkom „Solidarności” typ myślenia społecznego w gruncie rzeczy niczym się nie różni od nauki Jana Pawła II. Niektóre fragmenty z rekonstrukcji myśli społecznej Papieża mógłby Krzemiński dosłownie umieścić we własnej pracy. Mirosław Nowaczyk, doko-

nując syntezy wypowiedzi Jana Pawła II na tematy społeczne; pisze: „W perspektywie tej aksjologii [chrystologii Jana Pawła II ~ G.B.] osoba jest wartością ze względu na jej odniesienie do Boga, a zatem zakorzenione w niej wartości są transcendentne wobec rzeczywistości historycznej, jakkolwiek w tej właśnie rzeczywistości się realizują, bowiem osoba jako podmiot istnienia i działania skierowane jest ku Prawdzie i Dobru przez «otwarcie» na inne osoby, z którymi współbytuje i współdziała tworząc wspólnotę. Prymat osoby wobec wspólnoty nie pomniejsza wymiaru wspólnotowego osoby, gdyż ta spełnia się tylko we wspólnocie, będącej realizacją porządku nadprzyrodzonego”<sup>7</sup>. Znacznie natomiast mniej wspólnych elementów ma prezentowana koncepcja z wynikami badań. Krzemiński jakby w ciągu kilku lat zapomniał, że ten typ uzasadnień w myśleniu członków „Solidarności” o sobie samych i o społeczeństwie nie występował. Można się o tym przekonać czytając *Polaków — Jesień 80*. To nie z nagłego odkrycia transcendentnych wartości brała się społeczna koncepcja ruchu, lecz z konkretnych doświadczeń społecznych i 35 lat kolejnych prób sformułowania ideowej płaszczyzny niezgody na politykę partii-państwa. Kościół w procesie tym odgrywał znaczną rolę, toteż i liczne elementy jego społecznej doktryny znalazły się w ideologicznym tygliku, jakim była „Solidarność”. Krzemiński powinien dobrze sobie z tego zdawać sprawę, bo taki jest w istocie sens jego własnych rozważań sprzed kilku lat.

Jeżeli chcemy dokonać analizy „społecznie używanych kategorii i sposobów myślenia”, uwzględnić musimy co najmniej cztery procesy, które zachodziły w powojennej historii Polski. Nie podejmuję się w ramach krótkiej polemiki dokonać ich szczegółowej analizy. Postaram się jedynie wskazać na zasadnicze problemy.

Po pierwsze, musi zostać uwzględniona polityka i nauka społeczna Kościoła — co zresztą Krzemiński robi — które doprowadziły do tego, że stał się Kościół jedyną autentyczną i niezależną instytucją społeczną w Polsce. Jego znaczenie dla społecznej aktywności lat osiemdziesiątych trudno przecenić. Z jednej strony był Kościół polem inicjatyw społecznych, miejscem, w którym mogły realizować się potrzeby autentycznej aktywności społecz-



nej, z drugiej strony nauka Kościoła – zasługa w tym przede wszystkim Stefana Kardynała Wyszyńskiego, a później Jana Pawła II – tworzyła system ideowy, poprzez który codzienne doświadczenia ludzi nabierały uogólnionego sensu. Oba te wymiary widoczne były szczególnie podczas pierwszej wizyty Papieża w Polsce. Przygotowania do wizyty i sam jej przebieg były nie tylko praktyczną szkołą działań organizacyjnych, w których władze państwowe miały minimalny udział. Wystąpienia Jana Pawła II wprowadziły do publicznego obiegu takie idee, jak godność człowieka, prawda, godność pracy, niezbywalne prawa jednostki i wspólnoty, w których odbijały się codzienne doświadczenia członków społeczeństwa. Były one dodatkowo legitymizowane przez sam autorytet Papieża. Jednakże nie umniejszając znaczenia pontyfikatu Jana Pawła II i oddziaływania jego myśli, podkreślić należy, że idee zawarte w jego wystąpieniach w zasadniczej formie można znaleźć już we wcześniejszych kazaniach Kardynała Wyszyńskiego. Wystarczy sięgnąć chociażby do kazań z pierwszej połowy lat siedemdziesiątych: „Pokój jest możliwy”, „Realizacja praw osoby ludzkiej jako warunek pokoju”, „Homo Oeconomicus” czy „Homo Politicus”<sup>8</sup>. Nie miały one porównywalnego z późniejszym wpływem na nastroje społeczne, bo inne procesy, które później doprowadziły do powstania „Solidarności”, nie były jeszcze dostatecznie zaawansowane. Przypomnijmy, że „laicka lewica” dopiero w drugiej połowie lat siedemdziesiątych zaczęła dostrzegać znaczenie Kościoła dla demokratycznych przemian w Polsce. Jeszcze w 1963 roku Witold Jedlicki pisał: „Nastroje te [demokratyczno-liberalne – G.B.] jednak rozbijają się o nihilistyczną postawę episkopatu, skoncentrowanego całkowicie na problematyce skrobanek, rozwodów, krzyży w szkołach, nauczaniu światopoglądu materialistycznego itp. bzdurach, zupełnie indyferentnego we wszystkich sprawach społecznych czy politycznych. Z punktu widzenia czysto politycznego jest rzeczą nie do pojęcia, że Kościół w Polsce do niczego nie używa ogromnej siły, jaką dysponuje”<sup>9</sup>. Nic też dziwnego, że po tylu latach ataków, propozycja dialogu sformułowana przez Adama Michnika mogła być traktowana przez Kościół nieufnie<sup>10</sup> i że dopiero rok 1980 stanowił we wzajemnych stosunkach pewien przełom.

Dochodzimy w ten sposób do drugiego procesu zasadniczego dla powstania niezależnego związku i jego ideowego kształtu, do uurtu laickiej opozycji. Trudno w kilku zdaniach scharakteryzować kolejne przemiany ideowe w obozie „laickiej lewicy” – a ona właśnie zdominowała inteligentną opozycję w Polsce – i przedstawić proces jej odchodzenia od sztywno rozumianego marksizmu. Niemniej trzeba podkreślić, że choć daleko odeszła ona od rewizjonistycznych koncepcji październikowych wyrażających zgodę na dominującą pozycję polityczną partii komunistycznej, to ciągle mieści się ona w tradycji lewicowej.

Jakie elementy tej tradycji wydają mi się zasadnicze? Przede wszystkim optymistyczna wizja natury człowieka. Człowiek w lewicowych koncepcjach społecznych jest z natury „dobry”, to znaczy wyzwolony z pewnych zewnętrznych uwarunkowań – i nie jest ważne w tym momencie, czy jest to marksowska własność prywatna, czy biurokratyczny system realnego socjalizmu – będzie działał w interesie ogółu, jest w stanie wznieść się ponad swoje partykularne korzyści. Po drugie, koncepcje te charakteryzuje wiara w możliwość stworzenia takiego ładu społecznego, w którym będzie można zintegrować poszczególne interesy grupowe w interes ogólny. Jest to wiara w możliwość zastąpienia systemu konkurencyj interesów systemem porozumień, tym, co Stanisław Ossowski nazywał czwartym, teoretycznym typem ładu społecznego, w którym „wielostopniowe porozumienie i więź społeczna miały zastąpić szerokim rzeszom obywateli udział w społecznym planowaniu i pogodzić swobodne ścieranie się idei i skal wartości z racjonalnie skoordynowaną gospodarką”<sup>11</sup>. Uznanie za podstawową społecznej własności środków produkcji staje się wtedy tylko konsekwencją dwóch wymienionych wyżej przeświadczeń. Występowały one wyraźnie wraz ze swoimi praktycznymi konsekwencjami (jak na przykład przekonanie o wyższości demokracji bezpośredniej nad przedstawicielską) w ideowym obliczu ruchu i w tym, a nie w werbalnym przyznawaniu się do socjalizmu członków „Solidarności” widzę lewicowe dziedzictwo w niezależnym związku.

Trzeci proces, bez którego ideowy wizerunek „Solidarności” nie może być pełny, to historia kolejnych buntów robotniczych i wypracowywania nowych, skuteczniejszych form działania oraz

codzienne doświadczenia robotników związane z miejscem pracy. Poczucie wspólnoty losu strajkujących nie pojawiło się nagle w sierpniu 1980 roku. Był to proces sięgający Czerwca 56, a szczególnie widoczny od czasu „wypadków grudniowych”. Poczucie to było związane z kolejnymi formami samoorganizowania się robotników. Pierwszy autentyczny komitet strajkowy, reprezentujący nie tylko zakładowe interesy, powstał dopiero pod koniec dramatycznego tygodnia 19 grudnia 1970 roku pod nazwą Miejskiego Komitetu Strajkowego z siedzibą w Stoczni Szczecińskiej. Jeszcze w lipcu 1980 roku partykularne interesy członków załogi FSO uznawane były za podstawowe i nikt nie myślał o symbolicznych gestach solidarności. Jeden z działaczy związkowych mówił nam o lipcowym strajku: „...nam nie chodziło (o to), żeby na zewnątrz ludzie o tym [o strajku – G.B.] się dowiedzieli, nam chodziło o wyegzekwowanie tych pieniędzy od dyrekcji. Czyli to była sprawa wewnętrzna, nasza”<sup>12</sup>. O tym, że przechodzenie kolejnych progów samoidentyfikacji nie było procesem prostym, świadczy dramatyczna noc z 16 na 17 sierpnia, kiedy to postanowiono w Stoczni Gdańskiej kontynuować dalej strajk jako solidarnościowy i utworzono Międzyzakładowy Komitet Strajkowy. Jak pamiętamy, znaczna część strajkujących czuła się usatysfakcjonowana osiągniętymi podwyżkami i nie widziała sensu dla dalszej kontynuacji strajku. Uświadomienie sobie przez robotników wspólnoty interesów było procesem długotrwałym i zakończonym właśnie dopiero strajkami ostrzegawczymi przed rejestracją związku.

Tak jak poczucie wspólnoty interesów kształtowało się w toku kolejnych strajków, tak świadomość ugodzonej godności ludzkiej wyrastała z codziennych doświadczeń. „Nie chcemy być białymi murzynami od czarnej roboty”, mówili nam badani działacze „Solidarności”, „chcemy być traktowani jak ludzie”. To poczucie braku poszanowania dla zasadniczych, immanentnych naturze ludzkiej wartości przekształcało wspólnotę interesów we wspólnotę losu, stawiając człowieka – moralny podmiot – na pierwszym planie.

Po raz kolejny pojawia się więc motyw człowieka – autonomicznej jednostki i wspólnoty. Rzeczywiście wszystkie trzy wymienione wyżej procesy, które miały swój udział w kształtowa-

niu solidarnościowej wizji społecznej, doprowadziły do tej zasadniczej struktury. Za każdym jednak razem, struktura ta wypełniana jest odmiennymi znaczeniami wywodzącymi się z różnych doświadczeń i tradycji.

Czwarty czynnik niezbędny przy prowadzeniu interesującej nas analizy, to proces oddziaływania państwowej propagandy na społeczeństwo i mniej lub bardziej świadomego kształtowania pożądanych przez państwo wzorów zachowań. Krzemiński jest bliski tezy, że cała propaganda pełniła tylko i wyłącznie funkcje dekoracyjne, a jeśli nie tylko, to wystarczająco skompromitowała się ciągłymi wołaniami ideologicznymi. Wniosek: wraz z powstaniem nowego związku i uruchomieniem procesu odkłamywania historii jej wpływ spadł prawie do zera.

Zgadzam się z autorem, że słowo „socjalizm” i jemu podobne ze słownika oficjalnej propagandy traktowane były w „Solidarności” z rezerwą. Nie znaczy to jednak, że 35 lat życia w realnym socjalizmie nie wpłynęło na sposób widzenia świata przez społeczeństwo, nie ograniczyło skali możliwych wyborów ideologicznych, nie miało wpływu na indywidualne i grupowe wzory działania. Problem ten ciągle pozostaje do zbadania przez socjologów i na razie jest raczej tematem rozważań publicystycznych (*Mysł staroświeckiego Polaka* Piotra Wierzbickiego) niż rozpraw naukowych.

Na zakończenie pytanie, którego Krzemiński *explicite* nie postawił. Co zostało po kilku latach z doświadczenia „Solidarności” w warstwie ideowego myślenia o społeczeństwie?

Sposób przeprowadzenia wywodu sugeruje, że było to doświadczenie trwałe, bo powiązane z odkryciem transcendentnych wartości, wartości osoby ludzkiej i ludzkiej godności, jak pisze Krzemiński, jako „integralnego elementu planu stworzenia”. Obserwacja dynamiki rozwoju ruchu wskazuje jednak na to, że to, co nazwałem centralnym mitem (w sensie sorelowskim) „Solidarności”<sup>19</sup>, czyli wiara w możliwość stworzenia takiego ładu społecznego, którego człowiek-podmiot moralny i wspólnota będą stanowiły zasadnicze elementy, zaczęła się pod naciskiem realnych procesów społecznych wewnątrz związku kruszyć jeszcze w czasie legalnego istnienia „Solidarności”. Tworzenie struktur organizacyjnych ukazało braki bezpośredniej demokra-

cji, zaczęły się krystalizować grupowe interesy niesprowadzalne do interesu ogólnego, okazało się, że nowy związek nie stanowi wyjątku od tak zwanego „żelaznego prawa oligarchii” R. Michelsa. Na dodatek sytuacja konfrontacji z władzami nakazywała rezygnację z realizacji społecznej utopii, nawet we własnych szeregach, w imię większej skuteczności działania. Utopia po raz kolejny w historii pozostała niespełniona.

Grzegorz Bakuniak

#### PRZYPISY

<sup>1</sup> *Filozofia i myśl społeczna Jana Pawła II* (Studia Religioznawcze), IFiS PAN, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1983.

<sup>2</sup> *Polacy — Jesień 80*, Ireneusz Krzemiński, Grzegorz Bakuniak, Henryk Banaszek, Anna Kruczkowska, Instytut Socjologii UW Warszawa 1983.

<sup>3</sup> Ireneusz Krzemiński, „Proces społeczny — Działania i symbole”, w: *Polacy — Jesień 80*, str. 20.

<sup>4</sup> Por. jak wyżej.

<sup>5</sup> Por. Alfred Schütz, „Potoczna i naukowa interpretacja ludzkiego działania”, *Studia Filozoficzne* nr 6, 1979.

<sup>6</sup> Por. Grzegorz Bakuniak, „My — «Solidarność» — Nowy związek we własnych otzach”, w: *Polacy — Jesień 80*.

<sup>7</sup> Mirosław Nowaczyk, „Myśl społeczna Jana Pawła II”, w: *Filozofia i myśl społeczna Jana Pawła II*, str. 178.

<sup>8</sup> Por. Stefan Kardynał Wyszyński, *Prymat człowieka w świecie społecznym*, Odnowa, Londyn 1976.

<sup>9</sup> Witold Jedlicki, *Klub Krzywego Koła*, Instytut Literacki, Paryż 1963.

<sup>10</sup> Por. ks. Józef Tischner, *Polski kształt dialogu*, Editions Spotkania, Paryż 1981.

<sup>11</sup> Stanisław Ossowski, „Koncepcja ładu społecznego i typy przewidywań”, w: *Dzieła I, IV, O nauce*, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1967.

<sup>12</sup> Grzegorz Bakuniak, jak wyżej, str. 296.

<sup>13</sup> Por. jak wyżej.

# książki

Stanisław Barańczak

## OD SOŁŻENICZYNA DO GREENE'A

Robert Boyers: *Atrocity and Amnesia.  
The Political Novel Since 1945.*  
Oxford University Press 1985, ss. 259.

W ustach niejednego krytyka przymiotnik „polityczny” brzmi jak słowo nieprzyzwoite. Mam na myśli zarówno krytyków zachodnich, jak polskich. Niezależnie od różnic ustrojów i historycznych tradycji, słysząc o „politycznej” literaturze, o „politycznym” wierszu, powieści czy dramacie, jednakowo się najeżamy i nastawiamy odruchowo na najgorsze: na ideologiczne tyrały, czarno-białe podziały postaci, bezceremonialne pranie mózgu czytelnika, jednym słowem – na takie czy inne wtłaczanie nieposkromionego ducha literatury w klatkę doktryny, utopii, czy „linii partyjnej”. Czy taka reakcja klasyfikuje nas automatycznie jako pięknoduchów? Niekoniecznie. Złe tradycje pseudoliterackiej agitki – czy to w wersji socrealistycznej, czy w wydaniu na przykład niektórych odłamów zachodniej kontrykultury lat sześćdziesiątych – są niestety faktem i każą podchodzić do wszelkich form upolitycznienia literatury z wielką ostrożnością. Tak wielką, że chwilami tracimy z oczu inny fakt: ten, że słowo „polityczny” nie jest wcale synonimem słów „agitacyjny” czy „propagandowy”.

Ktoś, kto o tej różnicy znaczeń zapomniał, ze zdumieniem spoglądać będzie na spis treści książki Roberta Boyersa, cenionego amerykańskiego krytyka z pokolenia obecnych czterdziestolatków, który podjął się opisu i analizy zjawiska „powieści politycznej po roku 1945”. V. S. Naipaul. Graham Greene. Alejo Carpentier. Gabriel Garcia Márquez. Aleksander Solżenicyn. Nadine Gordimer. Jorge Semprun. George Steiner. Günter Grass. Milan Kundera. Oto lista głównych bohaterów tego zbioru esejów i studiów. Można ją uzupełnić o parę nazwisk przez Boyersa nie uwzględnionych, a bliskich niektórym z wymienionych przed chwilą – nazwisk takich jak Mario Vargas Llosa, Heinrich Böll czy Andriej Siniewski – i rezultat będzie całkiem nieoczekiwany. Okaże się, że budząca tyle odruchowego oporu kategoria „powieści politycznej” obejmuje lub przynajmniej daje się dla celów analitycznych zastosować do większości najgłośniejszych powieści literatury światowej w naszej połowie stulecia. Co ważniejsze, nie są to powieści głośne wyłącznie z uwagi na swój „polityczny” temat: wiele z nich (wystarczy wspomnieć Márqueza, Grassa, Kunderę) zdobyło sławę dzięki temu, że temat popchnął w nich autora w stronę nowatorskiego poszerzenia pola możliwości artystycznych gatunku powieściowego. Gdy jeszcze w roku 1957 książka Irvinga Howe’a *Politics and the Novel* mogła się ograniczyć do analizy wąskiego wycinka współczesnej prozy, wydzielonego na zasadzie tematycznej specjalizacji, krytyk dzisiejszy zmuszony jest wyciągnąć wnioski z rozwoju historycznej rzeczywistości: z faktu, że w naszej epoce nie można właściwie pisać o tak zwanej kondycji ludzkiej bez uwzględnienia jej wszechobecnych uwarunkowań politycznych. Powieści polityczne to może po prostu powieści dążące do kompletności obrazu.

Oczywiście, Boyers nie zadawała się tak ogólnikową definicją – choć, z drugiej strony, ostrzega również czytelnika, że różnorodność i różnorodność form dzisiejszej powieści politycznej uniemożliwia w gruncie rzeczy jakąkolwiek ścisłą definicję tego gatunku. Howe w roku 1957 mógł jeszcze udowodniać, że „polityczność” powieści politycznej polega na jej usiłowaniu „włączenia ideologii w powieściowy strumień wrażeń zmysłowych” tak, iż w najlepszych okazach gatunku same idee „stają się jak gdyby

aktywnymi bohaterami". Prawda, że z dzisiejszej perspektywy można powiedzieć to samo o powieściach Naipaula czy Nadine Gordimer, a nawet – do pewnego stopnia – Márqueza czy Grassa. Jednakże, jak słusznie wskazuje Boyers, „wchodzące w grę intencje są tak dalece odmienne w wypadku tych pisarzy niż w wypadku badanych przez Howe'a autorów z pierwszej połowy stulecia, że trzeba wynaleźć nowe sposoby ich rozpatrywania. Teoria powieści politycznej, która za reprezentatywnego przedstawiciela gatunku uznaje Orwella albo Koestlera, stanie bezradna w zetknięciu z *Blaszany młot* albo *Jesienią patriarchy*".

Drugi rozdział książki Boyersa, zatytułowany „Czas, obecność, ctyka”, nie tyle ustala definicję gatunku w jego nowoczesnym wydaniu, ile wyszczególnia pewne nieodłączne od niego wątki tematyczne. Są to wątki nieodłączne w tym sensie, że pojawiają się w dzisiejszej powieści politycznej jako nieunikniona konsekwencja jej „polityczności”, to jest jej takiego czy innego związku z „ideami dotyczącymi zbiorowości, kolektywnego działania i dystrybucji władzy”. Powieść tak ukierunkowana musi, po pierwsze, zgłębiać problematykę czasu: „Stanać po stronie jakiegoś poglądu politycznego znaczy, bądź co bądź, wypowiedzieć się na temat szans powodzenia określonego sposobu postępowania, związać nadzieje z przyszłością, która usiłuje się narodzić, lub też dążyć do odrodzenia rozwiązań wcześniejszych, zdradzonych czy porzuconych przez teraźniejszość. Samo postawienie pytania politycznego, nawet bez poczucia osiągalności ostatecznej odpowiedzi czy stanowiska, zmusza pytającego do przemyślenia własnego stosunku do czasu”. Po drugie, podobna nieuchronność jak w wypadku związku z porządkiem czasu cechuje również zakorzenienie powieści politycznej w porządku istnienia, świata obiektywnego i teraźniejszego: „Autor powieści politycznej wciąga nas w gęstą tkankę tego świata, gdyż wierzy, że tylko w takim świecie lub przez taki świat możemy osiągnąć zbawienie. Pisarz, któremu brak miłości dla tego świata, który nie dość cierpliwie znosi jego niedoskonałość, może zabrać się do pisania powieści krytycznej wobec teraźniejszości. Jeśli jednak nie odkryje w sobie w trakcie pisania nieoczekiwanej fascynacji niegodziwymi porządkami, którymi pogardza, wówczas



stworzy nie polityczną powieść lecz polemikę". Pojęcie „tego świata” obejmuje przy tym nie tylko rzeczywistość poznawalną empirycznie, ale i zjawisko, określane przez Boyersa zapożyczonym od Louisa Althussera i Frederica Jamensona terminem „nieobecna przyczyna”; chodzi tu o układ stosunków społecznych, który jest odpowiedzialny za stan rzeczywistości, choć nie daje się w niej empirycznie wykryć (w płaszczyźnie narracji powieściowej dostęp do „nieobecnej przyczyny” możliwy jest dzięki ukrytym odwołaniom do – jeszcze jeden termin Jamensona – „politycznej podświadomości” czytelnika). Po trzecie wreszcie, innym jeszcze stałym wątkiem tematycznym obecnym pod powierzchnią współczesnej powieści politycznej jest jej dążenie do ustanowienia stabilnej podstawy etycznej, która umożliwiałaby moralistyczny osąd postępowania bohaterów. Innymi słowy, zadawanie pytań politycznych w powieści prowadzi nieuchronnie do zajęcia stanowiska moralistycznego, gdyż jakakolwiek aktywna postawa jednostki wobec problemów historii i zbiorowości pociąga za sobą etyczne rozterki i alternatywy.

Już lektura dwóch wstępnych, metodologicznych rozdziałów książki Boyersa wystarczy, aby się zorientować, że autor jest do prawdy rzadkim ptakiem w dzisiejszej krytycznoliterackiej menażerii. Z jednej strony, jego otwarcie zadeklarowana chęć zgromadzenia „argumentów na rzecz znaczenia, postaci literackiej i zawartości etycznej” w powieści stawia go w opozycji do modnego dekonstrukcjonizmu, przypuszczającego dziś ataki na samo pojęcie semantycznej integralności tekstu literackiego. Ze strony drugiej, nie mniej obecne są Boyersowi metodologie ukształtowane (czy raczej zdeformowane) przez ideologiczne doktrynerstwo, marksistowskie czy inne – metodologie, w myśl których należy najpierw pytać, czy dzieło literackie dorasta do wymagań jedynie słusznego światopoglądu i czy w zadowalającym stopniu popiera jedynie słuszną sprawę. O inteligencji i zarazem intelektualnej uczciwości krytyka dobrze świadczy fakt, że wystrzega się on opierania swych sądów estetycznych na diagnozie na przykład „postępowości” lub „reakcyjności” danego pisarza. Boyers pisze o powieści „politycznej”, ale nie zapominając, że pisze o powieści: ocenia nie poglądy pisarza, lecz literacki użytek, jaki pisarz z nich czyni. Stąd pewne przewartościowania,

które zwłaszcza w oczach publiczności zachodniej mogą wyglądać prawie szokująco. Sołżenicyn, ulubiony chłopiec do bicia wielu krytyków, zarzucających mu zarówno polityczny, jak literacki konserwatyzm, zostaje przez Boyersa po prostu uważnie przeczytany – i wynikiem tej lektury jest stwierdzenie, że polifoniczne techniki narracyjne, zastosowane w *Kregu pierwszym*, czynią tę powieść znacznie bardziej złożonym i odkrywczym dziełem literatury, niż to się zwykle uważa. Graham Greene z kolei, lub Márquez – obaj pisarze „postępowi”, a zarazem faworyci masowej publiczności – ukazani są bezlitośnie jako ofiary ograniczeń obecnych już w samych podstawach powieściowej wizji każdego z nich. Greene z reguły zawodzi jako powieściopisarz polityczny, ponieważ „nie wyobraża sobie politycznego przedsięwzięcia, które nie byłoby skażone przez zepsucie tkwiące w ludzkiej naturze”; jego „przedstawianie zaangażowania stoi w sprzeczności z jego niezdolnością do wyjścia poza perspektywę zamkniętej monady”. Márqueza *Jesień patriarchy*, zwłaszcza w porównaniu z takimi książkami jak *Racja staru Alejo Carpentiera*, okazuje się nie tyle powieścią polityczną, ile raczej „utworem, w którym polityka stanowi składnik jednolitego materiału nadającego wszystkiemu niepodzielną, niezróżnicowaną wagę i zabarwienie”. Z drugiej strony wszakże Grass, choć ideologicznie pod wieloma względami skrajnie przeciwny Sołżenicynowi, spotyka się znowu z pochwalami za swoją wyszukaną sztukę „negatywnej dialektyki” i „obalania paradygmatów”, która pozwala mu znakomicie na osiągnięcie pełni jego własnych możliwości jako pisarza politycznego.

Słowo „możliwości” należałoby w ogóle potraktować jako klucz do metody krytycznej Boyersa. Zalety jego książki biorą się z konsekwencji, z jaką krytyk podchodzi do każdego z pisarzy, niezależnie od jego zapatrywań, z tym samym pytaniem: co uczyniłeś – w swój indywidualny i niepowtarzalny sposób – aby zbudować artystyczny i poznawczy kapitał z ogromnych możliwości, drzemających w dzisiejszej powieści politycznej? Albowiem właśnie dzisiaj, w dzisiejszym świecie, możliwości gatunku są naprawdę ogromne – i trzeba je sobie uświadomić, aby narreszcie straciło ważność tradycyjne wyobrażenie literatury politycznej jako czegoś nieuchronnie jednoznacznego, doktryner-

skiego i płaskiego. Jednym z motywów stale przewijających się przez książkę Boyersa jest obrona powieściopisarzy politycznych przed prostodusznym krytycznym odczytywaniem, które czyni z nich heroldów tej czy innej jednowymiarowej racji (obok rozdziałów o Naipaulu czy Solżenicynie szczególnie przekonujący przykład stanowi szkic, w którym autor nie zostawia suchej nitki na krytykach usiłujących interpretować głośną powieść George'a Steinera *Transport A. H. do San Cristóbal* jako próbę wybielenia hitleryzmu). Co więcej, w rozdziale ostatnim Boyers broni gatunku powieści politycznej przed zastrzeżeniami i obawami – samych powieściopisarzy politycznych. „List do Milana Kundery” to esej, w którym krytyk strofuje taktownie wielkiego Czecha za jego odzęgniwanie się od literackiej „polityczności” I uświadamia nam, że w pewnych warunkach historycznych samo podjęcie tematu przeszłości i pamięci – tak jak to czyni Kundera – jest dla artysty aktem o politycznym znaczeniu.

Przy całej swojej analitycznej bystrości i szerokim zakresie obserwacji książka Boyersa pozostawia bez zadowalającej odpowiedzi jedno istotne pytanie – i można sobie wyobrazić złośliwego czytelnika ze Wschodniej Europy, który ów brak odpowiedzi poczytałby za oznakę typowo amerykańskich nieporozumień. W swojej przedmowie Boyers poświęca mianowicie kilka zdań usprawiedliwieniu faktu, że jego książka traktuje o powieściach europejskich, latynoamerykańskich czy południowoafrykańskich, natomiast nie zawiera ani jednego rozdziału na temat któregoś z rodaków autora. W czym leży przyczyna? Zdawkowa uwaga krytyka na temat obecności „elementu prowincjonalizmu w większości dzieł amerykańskich na tematy polityczne” nie trafia w sedno sprawy. Jeśli wyobrazić sobie typowego bohatera powieści politycznej jako osobowość rozpiętą między biegunami Wolności i Konieczności, jasne będzie, że Konieczność musi reprezentować siłę na tyle przemożną i nieugiętą, aby opór bohatera przeciwko niej był w minimalnym przynajmniej stopniu interesujący literacko. Jakimże więc cudem – zapyta złośliwy wschodnioeuropejski czytelnik – miałyby powieść polityczna znaleźć sprzyjający klimat w USA, w kraju, w którym (jak głosi refren piosenki) „anything goes”, gdzie aktywność publiczna jest przyrodzonym prawem obywatela i

każdy może założyć najdziwaczniejszą partię polityczną w ciągu dwudziestu czterech godzin, gdzie sferę politycznej Konieczności ograniczono do niezbędnego minimum? Być może zatem jedynie mniej fortunne kraje świata zmuszone są produkować powieści polityczne – czy też, ściślej mówiąc, w takich krajach nawet powieści o miłości, śmierci i kłopotach z przydziałem mieszkania są *de facto* powieściami politycznymi, jako że nie ma w nich sfery życia wolnej od ucisku politycznych Konieczności? Najlepsze z dzisiejszych powieści politycznych są arcydziełami literatury i analizy Boyersa nie pozostawiają co do tego żadnych wątpliwości. Ale nie ma też wątpliwości, że gatunek jako taki zniknąłby całkowicie, jako najzupełniej zbędny, gdyby cały świat wkroczył w erę przynajmniej względnej wolności politycznej – tak jak gorączka znika, gdy zaczyna się powrót do zdrowia. Na szczęście dla powieściopisarzy politycznych – nie bardzo się na to zanosi.

Stanisław Barańczak

## WILKI PODCHODZĄ ZE WSZYSTKICH STRON

Nowy

ZBIÓR OPÓWIADAŃ

Marka

Nowakowskiego,

wybitnego prozaika z Polski,  
autora rewelacyjnego "Raportu  
o stanie wojennym".

*Fascynująca lektura dająca  
obraz szarej, ponurej rze-  
czywistości w Polsce Ludo-  
wej. Bogaty przekrój typów  
i zachowań ludzkich.*

Do nabycia u wydawcy:



POLONIA BOOKSTORE

2886 Milwaukee Ave., Chicago, IL 60618 • tel. (312) 489-2554

a także w innych księgarniach polskich.

Cena \$8.00, z przesyłką (UPS) \$9.75.

Wacław Wyrwa

**„HISTORIA LAT SIEDEMNASTU”  
— KSIĄŻKA, KTÓREJ NIE MA**

Chciałbym przeczytać książkę historyczną. Książki tej nie ma. Nie wiem, czy kiedyś ktoś ją napisze. Ja nie, bo nie jestem historykiem. Historyk pewnie też nie, bo książka, którą wymyśliłem, jest w sprzeczności z obowiązującymi kanonami pracy naukowej. Poza tym trudno, żeby on ją napisał, skoro ja ją wymyśliłem. Moja wymyślona książka jest w jawnej niezgodzie z cenzurą — z cenzurą też, ale nie o to chodzi. Cezura stoi w środku i uniemożliwia jej powstanie.

Ta nieszczęsna cezura to rok 1945. Napisano setki (tysiące?) książek o drugiej wojnie. Napisano setki książek o pierwszym pięcio- czy dziesięcioleciu władzy ludowej, pisząc je „za” lub „przeciw”. Ale nikt nie napisał książki, w której razem omówiono by jeden wielki, wspólny, tragiczny dla nas okres 1 IX 1939 — 20 X 1956. Data początkowa jest niewątpliwa, data końcowa może się przesunąć o kilka miesięcy — książka może się kończyć gdzieś między wydarzeniami poznańskimi a październikowym plenum, ale myślę, że lepiej przyjąć październikowe plenum jako granicę. Siedemnaście lat. Taki mógłby być tytuł *Historia lat siedemnasu*.

Te lata stanowią jedność nie ze względu na wydarzenia prawne, militarne czy ogólniejsze sprawy światowe. W tych latach

spróbowano nas zniszczyć lub przetworzyć, tak byśmy się już nigdy nie rozpoznali. Wtedy dokonały się przekształcenia społeczne, które spowodowały, że nie z wojny, ale właśnie z całego okresu siedemnastu lat wyszliśmy jako zupełnie nowa zbiorowość. Zbiorowość, w której ogromne grupy społeczne zanikły całkowicie, inne zaś zatraciły struktury życia zespołowego ukształtowane przed laty, nieraz wręcz przed wiekami. Nie jestem w stanie — może dlatego, że nie jestem historykiem — znaleźć w okresie od 1700 roku do teraz podobnych siedemnastu lat tak bardzo przeorywujących był narodu. A dlaczego trzeba to wszystko widzieć w całości? Ano dlatego, że ogromna większość zniszczeń i przekształceń, które zaraz wymienię, dokonywała się za sprawą Niemców, Rosjan i ewentualnie naszych władców kierowanych przez Rosjan, czasem w formie harmonijnej współpracy, czasem zupełnie bez kooperacji, ale zawsze z zadziwiającym w swej konsekwencji kontynuowaniem wątku rozpoczętego przez poprzednika. Zwykle Niemcy przygotowali grunt, który Rosjanie wykorzystali. Najczęściej Niemcy ograniczyli, ograbili, zdziesiątkowali, wyeksploatowali, a Rosjanie dorznęli. Nie zawsze tak było, bo oczywiście kwestię żydowską Niemcy doprowadzili do „ostatecznego rozwiązania” sami, ale już mało kto zwraca uwagę na fakt, że wymordowanie Żydów ułatwiło niepomierne zlikwidowanie w 1949 r. warstwy kupców i drobnych rzemieślników. Wobec wielu innych zjawisk, zwłaszcza na ziemiach wschodnich, to Rosjanie zainicjowali rozbicie, Niemcy poprawili, tak że potem już znów Rosjanie niewiele mieli do roboty.

W tej książce powinny być ukazane dwie rzeczy:

— jak wcześniej w pomroce dziejów ukształtowało się to, co właśnie w owym siedemnastoleciu zniszczono i

— jak przebiegała interakcja obu niszczących sił wobec każdej z osobna rozpatrywanej sprawy.

Spróbuję wymienić zjawiska, które powinny by znaleźć się w tej książce. Myślę, że lista ta nie jest wyczerpana. Większość spraw dotyczy albo fizycznego zniszczenia grup ludzkich, albo rozbicia struktur społecznych, które ludzie od lat tworzyli (wtedy eliminuje się tylko jednostki znaczące, zezwalając pozostałym na kontynuowanie — każdej z osobna — fizycznej egzystencji).

A więc popatrzmy na żalobną listę siedemnastolecia:

1) Żydzi polscy – cywilizacja współistniejąca z polską od – chyba – czternastego wieku. Koniec w 1943 roku, robota niemiecka. Wobec ogromu zbrodni, radziecki wkład właściwie nieistotny (dla porządku wspomnijmy o współpracy w przekazywaniu więźniów w latach 1939-41 oraz o zniszczeniu Bundu – zabójstwo Erlicha i Altera). Prawie całkowity zanik pamiątek materialnych – domów, świątyń, cmentarzy.

2) Polska warstwa ziemiańska – istniała jako szlachta-chyba od początków państwa polskiego. W latach 1939-41 zniszczona jako warstwa na kresach zachodnich przez Niemców i na wschodnich przez Rosjan, ograniczona w działaniach, przez Niemców w Generalnym Gubernatorstwie, wykończona reformą rolną i wysiedleniami z odwiecznych siedzib. Jako grupa jednostek fizycznie przez władzę ludową nie likwidowana. Prawdopodobnie wyjątkowo duży procent strat w działaniach wojennych i eksterminacjach radzieckich i niemieckich, ale kto to obliczył? Większość z 20 000 dworców (tylko na obecnym terenie PRL) rozsypała się w pył.

3) Inteligencja polska – formacja, która przybrała swój kształt w XIX wieku, likwidowana szczególnie zajadłe wówczas, gdy jej przedstawiciele traktowano jako należących do Żydów (przez Niemców) lub do warstwy ziemiańskiej (przez Rosjan). Zwalczana przez Rosjan i Niemców jako główny nosiciel programu niepodległościowego. Likwidowana fizycznie przez Rosjan i Niemców na kresach wschodnich i zachodnich, ograniczana i dziesiątkowana przez Niemców w Generalnym Gubernatorstwie. Rozrzucana na Syberii i na emigracji, wyróżniona przez Niemców w Powstaniu przy milczącej zgodzie zadowolonych Rosjan. Wykańczana w latach 1945-55 przez prześladowania polityczne, program planowego pauperyzowania, odebranie możliwości działania i grupowania się.

4) Kupiectwo – prawdopodobnie istniało „od zawsze”. Kupcy żydowscy zniszczeni fizycznie, reszta ograniczona w działaniach przez Niemców. Zlikwidowanie kupiectwa jako warstwy społecznej nastąpiło około 1948-49 przez władzę ludową realizującą program radziecki (wygranie „bitwy o handel”).

5) Rzemiosło polskie – losy takie jak kupiectwa. Formy or-

ganizacyjne istniejące z mniejszą lub większą ciągłością od średniowiecza (cechy) zlikwidowano około 1948/49 roku.

6) Drobnny przemysł prywatny, czy, jak to się teraz nazywa, drobna wytwórczość – ciągłość gdzieś od XIX wieku – ograniczony i ograbiony przez Niemców, zlikwidowany przez władzę ludową około 1948-49 r.

7) Żywiół polski na ziemiach wschodnich (w dziewiętnastym wieku zwanych Ziemią Zabranymi). Prawdopodobnie w okresie omawianych siedemnastu lat nastąpiła całkowita likwidacja problemu, który był niezwykle ważny dla Polski od XVI wieku (od wtedy mamy Małopolskę Wschodnią) aż do drugiej wojny. Likwidacja żywiółu polskiego fizyczna (przez Rosjan i Niemców na zmianę), wywózki lub przesiedlenia do około 1947 roku.

8) Autochtoni polskiego pochodzenia na Warmii i Mazurach – grupa ludnościowa istniejąca od XVI wieku lub wcześniej. Ewakuacja przez Niemców w 1944 r., wywózki przez Rosjan w 1945, potem w latach 1945-56 polska polityka zmuszająca do wyjazdów lub represje wypychające w obręb niemiecką.

9) Mniejszość ukraińska – zwarta grupa mieszkająca „od zawsze” na terenie obecnego południowo-wschodniego krańca Polski. Wywożona do Rosji (1945), rozproszona po Polsce (1947).

10) Mniejszość niemiecka w Polsce, istniała od średniowiecza, likwidacja w wyniku ewakuacji w roku 1944/45 (Niemcy) i wywozów (naci, na polecenie Rosjan).

11) Wszelkie formy zrzeszeń się ludzkich – istniały „od zawsze”, w większości zakazane lub ograniczane przez Niemców, rozbite przez władzę ludową około 1948-50 r.

Ten ostatni punkt oczywiście powinien być rozbudowany. Wspomnieć by tu trzeba o dziesiątkach (setkach?) form i rodzajów zrzeszeń – zawodowych, społecznych, kulturalnych, religijnych, oświatowych. Wymieniać właściwie można wszystko – od towarzystw regionalnych, przez chóry po uniwersytety ludowe. Gdyby tak sporządzić tylko spis organizacji, grup i stowarzyszeń, których los urwał się około 1948-50 r., to samo pewnie starczyłoby za książkę. Tytułem przykładu wymieńmy tylko:

a) partie polityczne, cały schemat życia politycznego kraju, podstawowe orientacje i ugrupowania, formy działań, wszystko to, co pojawiło się pod koniec XIX wieku, najpierw zakazane i



likwidowane przez Niemców, potem całkowicie rozbite około 1945-1950 r.

b) spółdzielczość rozwijana od końca XIX wieku, ograniczona przez Niemców, zlikwidowana około 1949-50 r.

c) samorząd terytorialny – niezbyt mocny, ale jednak obecny w niektórych rejonach w czasie drugiej Rzeczypospolitej – zlikwidowany około 1948-50 r.

d) organizacja nauki – formy i struktury funkcjonowania nauki wywodzące się z pierwszej połowy XIX wieku (Towarzystwo Naukowe Warszawskie) lub z drugiej połowy XIX wieku (Polska Akademia Umiejętności, Kasa im. Mianowskiego) najpierw zakazane i porozbijane przez Niemców, całkowicie zlikwidowane około 1948-50.

e) organizacje młodzieżowe – formowały się w latach 1900-1920, np. „Wici”, harcerstwo i inne. Zakazane i niszczone przez Niemców, manipulowane przez władzę ludową w latach 45-46 (manipulowanie prowadzące do „zagenturalizacji” przez wprowadzanie swoich ludzi do kierownictwa nazywało się wtedy oficjalnie „demokratyzacją”), zlikwidowane w latach 1948-50.

Poprzestaśmy na tym. Ile jeszcze spraw można by wymienić?

Tyle zjawisk zakończyło się właśnie wówczas... Na przykład może należałoby jeszcze wspomnieć o własności ziemskiej i o materialnych podstawach działalności charytatywnej Kościoła. Istniała pewnie od średniowiecza, ograniczona przez Niemców, rozbita przez władzę ludową w latach 1945-50.

A cała kultura? Prześledzić by tak inicjatywy wydawnicze, tytuły czasopism, serii... Wszystko to zanika z życia jawnego za Niemców, czasem odradza się nieśmiało w latach 1945-47, potem ginie około 1950 roku. Gdzie małe prywatne wydawnictwa, gdzie księgarnie?

Nie wspominałem w ogóle o zmianach wśród robotników, wśród chłopów...

Nie wspominałem o wojsku...

Nie wspominałem o ograniczeniu i likwidowaniu praw obywatelskich w siedemnastolecu, ani o systemie prawnym, ani o poczuciu prawnym z nim związanym.

A może w naszym wykazie winien też być wymieniony po prostu pieniądz – istniał od zawsze, ograniczony przez Niem-

ców, zlikwidowany przez władzę ludową, jako że to, co mamy w czterdziestolecu, to tak zwane „company tokens”, czyli jakby kwitki umożliwiające (czasem) kupno niektórych towarów, ale tylko w sklepach należących do właściciela „kompanii”.

Może trzeba też powiedzieć, że dzięki Niemcom, przy bierności Rosjan skończyła się Warszawa taka, jaka powoli narastała i budowała się od średniowiecza do 1944 roku.

Niezależnie od tego wszystkiego warto zauważyć, że ewakuacja i wysiedlenie Niemców z naszych Ziemi Zachodnich też stanowi likwidację stanu rzeczy, który trwał od średniowiecza.

Większość przebiegów niszczących z lat 1939-56 odznacza się zwykle monotonną powtarzalnością.

Lata 1939-45 to najczęściej na ziemiach zachodnich rozbitcie danego zjawiska przez Niemców, na ziemiach wschodnich rozbitcie przez Rosjan i przez Niemców, na ziemiach Polski centralnej osłabienie, ograniczenie, dziesiątkowanie przez Niemców.

Lata 1945-51 to kończenie przez Rosjan lub przez naszych pod ich kierunkiem dzieła wcześniej rozpoczętego. Tu można wyodrębnić dwa podejścia:

- coś, co określamy mianem „grupa ludzka” czy „struktura społeczna”, było zwykle niszczone cały czas, bez wahań i przerw;
- coś, co wchodziło w zakres życia ekonomicznego, przeszło przez krótki okres złudnych nadziei i nieraz rozkwitu w latach 1945-48, by być gwałtownie zniszczonym w latach 1949-51.

Lata 1952-56 to lata przyklepywania grobu.

Książka, którą wymyśliłem, jest tendencyjna. Były i zmiany pozytywne, tu mnie one nie interesują. Pisano o nich gdzie indziej.

Jak teraz z perspektywy 1985 roku patrzeć na całość tych zniszczeń dokonanych w okresie siedemnastolecia? Sprawy ludnościowe zdają się być nieodwracalne. Żydzi, ziemiaństwo, mniejszość niemiecka... to wszystko przeszłość.

Zniszczenie dawnych, „normalnych” struktur społecznych owocuje do dziś. W stalinizmie stworzono sztuczne ciała, które miały zastępować dawne formy grupowań społecznych i udawać, że reprezentują naturalne potrzeby zrzeszania się ludzi. Tu oczywiście trzeba wymienić wszelkie organizacje skupione we

Froncie Narodowym (tak to się wtedy nazywało), a także Polską Akademię Nauk, związki zawodowe będące transmisją partii do mas itd., czyli to wszystko, co powstało około 1950 r. i bardzo skutecznie wykorzystano lata 1950-56 na okrzepnięcie. Okrzepnięcie na tyle mocne, że żadna późniejsza odwilż, odnowa czy liberalizacja nie mogły ich rozbić. Pod koniec omawianego siedemnaściolecia wyłoniła się (i niejako została zalegalizowana przez spontaniczne poparcie dla towarzysza Wiesława w Październiku 56) Polska taka, jaką znamy ją w tej chwili – Polska pseudoorganizacji i pseudostowarzyszeń, uznających kierowniczą rolę partii, skupionych we Froncie Narodowym (potem Froncie Jedności Narodu, potem PRON-ie). Władza ludowa raz za razem likwiduje próby tworzenia niezależnych ugrupowań ludzkich (np. Kluby Inteligencji w latach 56-57, „Solidarność”) lub rozkłada je stopniowo (np. rady robotnicze po Październiku).

Bez względu na to, że Polska Ludowa stoi na tym mocnym stalinowskim fundamencie zbudowanym w latach 50-56, że struktura tego gmachu trwa, pocieszające jest, że wiele komórek tej budowli powoli wyewoluowało, realizując zadania będące przeciwieństwem ich pierwotnie założonych funkcji. Patrząc na kłopoty gen. Jaruzelskiego z intelektualistami trudno pamiętać, że PAN i jego Instytut Historii został stworzony z zadaniem marksizowania nauki. Geneza rozwiązanego niedawno Związku Literatów Polskich też nie była chwalebna. Ale to wszystko już inne dzieje. W wielu wypadkach podmienienie treści i zadań ciał i struktur tworzonych przez władze ludową jest już dziełem innej generacji i miało miejsce w wiele lat po interesujących nas tu wydarzeniach, które zakończyły się w 1956 roku.

Z perspektywy 1985 roku chyba najbardziej pocieszające jest zmartwychwstanie inteligencji – a może powstanie nowej inteligencji, która przejęła pałeczkę w sztafecie. Jak bardzo blisko ta warstwa była śmierci, świadczy fakt, że odradzanie się jej, odtwarzanie jej normalnych funkcji trwało niezwykle długo: 20-25 lat od 1956 do 1976-1981 roku.

Ale to, co zdarzyło się po 1956 r., to już temat na inną książkę. Tymczasem chciałbym przeczytać *Historię lat siedemnastru*.

Wacław Wyrrwa

W ramach krajowego kwartalnika literackiego

## ZAPIS

dostępne są powieści wybitnego prozaika

**Tadeusza Konwickiego**

---

### ZAPIS 3

---

#### Kompleks polski

„Tematem powieści jest nie tylko Wielki Bezsens, ale i ludzkie nadzieje, ludzkie próby wyrwania się z cęgów absurdu, ludzkie oczekiwanie cudu i ludzkie usiłowanie zwalczania bezsensu własnymi siłami...”

*Stanisław Barańczak w Zapisie nr 5*

---

### ZAPIS 10

---

#### Mała apokalipsa

.. – Chcemy ci coś zaproponować. W imieniu kolegów.

Czuje jakiś mróz na plecach, Odstawiam bardzo wolno nie dopity kieliszek.

– Co chcecie zaproponować?

– Żebyś dziś o ósmej wieczorem spał się przed gmachem centralnego komitetu partii...”

*(fragment)*

---

### ZAPIS 21

---

#### Wschody i zachody księżycyca

Nowa powieść, w której autor powraca do formuły «Kalendarza i klepsydry». Tym razem jest to zapis roku 1981. Aktualne wydarzenia stanowią pretekst do spojrzenia wstecz, do nostalgicznych i często pełnych goryczy obrazów z przeszłości.

«Wschody i zachody księżycyca» kończą się opisem przesłuchania autora po wprowadzeniu stanu wojennego przez oficera SB, którego literacką postać Konwicki stworzył w «Małej apokalipsie».

Groteska stała się rzeczywistością.

Cena 1 egz. (z przesyłką) — £ 4,00, \$ 10,00

Zamówienia wraz z wpłatą należy przysyłać na adres:

Aneks, 61 Dorset Rd. London W5 4HX, England  
załączając czeki lub przekazy pieniężne wystawione na Aneks.

## o autorach

**GRZEGORZ BAKUNIAK** – socjolog. Przygotowuje pracę doktorską na uniwersytecie w Hagen. Współautor książki *Polacy — Jesień '80*. Instytut Socjologii, Uniwersytet Warszawski, Warszawa 1983.

**STANISŁAW BARAŃCZAK** – ur. w 1946 r. Od 1981 r. profesor na Uniwersytecie Harvarda. Członek redakcji *Zeszytów Literackich*. Najnowsze książki: *Czytelnik ubezwłasnowolniony. Perswazja w masowej kulturze literackiej PRL* (1983), *Uciekinier z utopii. O poezji Zbigniewa Herberta* (1984), *Poeta pamięta. Antologia poezji świadectwa i sprzeciwu 1944-1984* (wybór i wstęp, 1984). W *Aneksia* opublikował m. in.: „Moje niecenzuralne dzięciołocie” (nr 26), „Norwid nie chce podpisać volkstisty” (nr 29-30), „Jak leczyć migrę światła” (nr 31), „Imponderabilia Zbigniewa Herberta” (nr 32).

**ALAIN BESANÇON** – ur. w 1932 r. Profesor historii w paryskiej Ecole des Hautes Etudes en Sciences Sociales. Autor m. in.: *Court traité de sociologie à l'usage des autorités civiles, militaires et religieuses* (1976), *Les Origines intellectuelles du léninisme* (1977), *La Confusion des langues: la crise idéologique de l'Eglise* (1978), *La Falsification du bien. Soloviev et Orwell* (1985). W *Aneksie* opublikował m. in.: „Sołżenicyn i Zachód” (nr 22), oraz „Sowiecka teraźniejszość i rosyjska przeszłość” (nr 23). Zamieszczony w bieżącym numerze *Aneksu* tekst wykładu w Oxfordzie ukazał się również w kwartalniku *L'Autre Europe* nr 7-8, 1985.

**TIMOTHY GARTON ASH** – ur. w 1956 r. Stale współpracuje z *The Spectator* i *The Times*. Autor książki *The Polish Revolution: Solidarity* (1983), za którą otrzymał Somerset Maugham Award, oraz *Und willst Du nicht mein Bruder sein... Die DDR* (1981). W *Aneksie* opublikował szkic „Polityka Niemiec” (nr 39).

**STANISŁAW GOMUŁKA** – ur. w 1940 r. Ekonomista, profesor w London School of Economics and Political Science. Ważniejsze publikacje: *Inventive Activity, Diffusion and the Stages of Economic growth* (1971), *West-East Technology Transfer and its Contribution to the East's Economic Growth* (z A. Nove, 1984), *Growth, Innovation and Reform in Eastern Europe* (1986). Wielokrotnie publikował w *Aneksia*. M. in.: „O czynnikach ekonomicznych w demokratyzacji socjalizmu i socjaliza-

cji kapitalizmu" (nr 15). „Propozycje zmian doraźnych i długofalowych" (nr 20). „Patologie i reakcje obronne systemu radzieckiego" (nr 27).

**WŁODZIMIERZ GOLDKORN** – ur. w 1952 r. Dziennikarz. Studiował historię i nauki polityczne. Wyjechał z Polski do Izraela w 1968 r. W 1974-1977 w Niemczech, od 1977 r. mieszka we Włoszech. Publikuje m. in. w *l'Espresso*. Redaktor kwartalnika *l'Ottavo Giorno*.

**JAN TOMASZ GROSS** – ur. w 1947 r. Profesor socjologii na Uniwersytecie Emory w Atlancie (USA). Autor książek: *Polish Society Under German Occupation* (1977), W czterdziestym nas matko na Sybir zesłała... (wraz z Ireną Grudzińską-Gross, 1984). Najnowsza jego książka *Revolution from Abroad. Sovietization of Western Ukraine and Western Belorussia, 1939-1941* ukaze się wkrótce nakładem Princeton University Press. Opublikował w *Aneksie*: „W 20 lat później" (nr 13-14), „Opozycja polityczna w Polsce" (nr 15). „W zaborze sowieckim" (nr 22 i 28) oraz rozmowy, przeprowadzone wraz z Ireną Grudzińską-Gross, z Tomaszem Venclową (nr 28) i Wiktorem Erlichem (nr 34).

**JAKUB KARPIŃSKI** – ur. w 1940 r. Doktorat z socjologii na Uniwersytecie Warszawskim. Współredaktor *Zapisu i Głosu*, członek Towarzystwa Kursów Naukowych. Wykładał na uniwersytetach w Stanach Zjednoczonych i we Francji. Najnowsze książki: *Cele polityczne* (1983), *Mowa do ludu* (1984), *Przyczynowość w badaniach socjologicznych* (1985), *Polska, komunizm, opozycja* (1985), *Ustrój komunistyczny w Polsce* (1985). Opublikował w *Aneksie* nr 36 „Wiktymologia polityczna" oraz pod pseudonimem Adam Terc „Marksizm w działaniu: filozofia i nauki społeczne a marksizm w Polsce" (nr 2).

**WOJCIECH KARPIŃSKI** – ur. w 1943 r. W latach 1974-1981 członek zespołu redakcyjnego *Twórczości*. Współredagował niezależny kwartalnik *Res Publica*. Od 1982 r. pracuje w Centre National de la Recherche Scientifique w Paryżu. Członek redakcji *Zeszytów Literackich*. Ważniejsze publikacje: *Sylwetki polityczne XIX wieku* (wraz z Marcinem Królem, 1974), *Szkice o wolności* (1980), *W Central Parku* (1980, 1982), *Chusteczka Imperatora* (1983), *Amerykańskie cienie* (1983).

**JACEK KUROŃ** – ur. 1934 r. we Lwowie. Ukończył wydział historii na Uniwersytecie Warszawskim. W latach 1965-1984 spędził ponad osiem lat w więzieniu. Współtwórca Komitetu Obrony Robotników. Zbiór jego artykułów i esejów ukazał się nakładem Wydawnictwa Aneks pt. *Polityka i odpowiedzialność* (1984).

**MARTIN MALIA** – ur. w 1925 r. Profesor na Kalifornijskim Uniwersytecie w Berkeley, wykłada często we Francji w Collège de France i w Ecole des Hautes Etudes en Sciences Sociales. Autor książek: *Alexander Herzen and the Birth of Russian Socialism, 1812-1855* (1961), *Comprendre la Révolution russe* (1980).

**ISRAEL SHAHAK** – ur. w 1933 r. w Warszawie. Profesor chemii na Hebrajskim Uniwersytecie w Jerozolimie. W czasie wojny w getcie warszawskim. Po powstaniu w kwietniu 1943 r. wywieziony z rodzicami do obozu w Poniatowie. Ucieka stamtąd wraz z matką dzięki pomocy Polaków. Ukrywa się w Warszawie. W czerwcu 1943 r. wysłany do obozu w Bergen Belsen. Uwolniony w kwietniu 1945 r., we wrześniu 1945 r. emigruje do Palestyny. Studia w Tel-Awiiwie. Doktorat z chemii organicznej na uniwersytecie w Jerozolimie. Przewodniczący Izraelskiej Ligii Obrony Praw Człowieka i Obywatela.

**ALEKSANDER SMOLAR** – ur. w 1940 r. redaktor *Aneksu*. Pracuje w Centre National de la Recherche Scientifique w Paryżu.

**WACŁAW WYRWA** – pseudonim. Autor mieszka w Polsce. Opublikował w *Aneksie* nr 37: „Polska młodzież a przyszłość kraju”.

## ARKA KRAKÓW

eselistyka  
krytyka  
literatura

Niezależne pismo redagowane w Polsce i rozpowszechniane poza granicami kraju. Nagrodzone w 1984 roku przez Komisję Kultury TKK NSZZ „Solidarność”.

## ARKA wybór 1 – 9

W tomie między innymi:

**Historia najnowsza:** Rozmowa z delegatem rządu londyńskiego • Piotr BROŻYNA: Grudzień 1970 • Lesław MALESZKA: Poiskie lato • Ostatnie posiedzenie Komisji Krajowej „Solidarności” • Szkice: Łukasz PLESNAR, Stanisław BALBUS, Andrzej KIJOWSKI • Proza i poezja: Wiktor WOROSZYLSKI, Natalia GORBANIEWSKA, Bronisław MAJ, Ryszard KRYNICKI, Jan POLKOWSKI •  
Recenzje • Felietony • Dokumenty

Str 224

Cena: FF 55- USS 8,00

Zamówienia wraz z wpłatą prosimy kierować do przedstawiciela pisma:  
Wojciech Sikora 50, Bd Victor Hugo Bât. B4 Apt 32 92110 CLICHY, FRANCE;  
konto pocztowe CCP PARIS 20 149 66 L

NAKLADEM WYDAWNICTWA ANEKS

Teresa Torńska

**ONI**

Rozmowy z czołowymi funkcjonariuszami komunistycznymi:  
J. Bermanem, L. Chajnem, W. Klesiewiczem, J. Mincową,  
E. Ochabem, S. Staszewskim i E. Werfleim.

Str. 368

Cena: £ 7,00; \$ 14,00

Adam Michnik

**TAKIE CZASY...**

**RZECZ O KOMPROMISIE**

Książka napisana w więzieniu w 1985 r. na temat polityki  
władz oraz celów i taktyki KOR-u i – po Sierpniu 80 –  
„Solidarności”, przed i po wprowadzeniu stanu wojennego.

Str. 140

Cena: £ 3,00; \$ 7,50

Jakub Karpiński

**USTRÓJ KOMUNISTYCZNY W POLSCE**

Systematyczna analiza struktury i funkcjonowania władzy  
komunistycznej oraz różnych przejawów oporu społeczeństwa  
– od początków nowego ustroju w Polsce po stan wojenny.

Str. 228

Cena: £ 4,00; \$ 10,00

Adam Zagajewski

**JECHAĆ DO LWOWA**

Wiersze z ilustracjami  
**JÓZEFA CZAPSKIEGO**

Str. 80

Cena: £ 3,00; \$ 7,50

Cena: £ 3,00; US \$ 6,10